

John O'Farrell

To jest twoje wspaniałe życie

Tłumaczył Tomasz Bieroń

Tytuł oryginału THIS IS YOUR LIFE

Dedykuje Pat O'Farrell

1

SCENARIUSZ *TO JEST TWOJE WSPANIAŁE ŻYCIE* - JIMMY CONWAY

NIEŚWIADOMY CZEKAJĄCEJ GO NIESPODZIANKI, JIMMY ZBLIŻA SIĘ DO SCHRONISKA DLA OCALONYCH WYDR. APLAUZ PUBLICZNOŚCI. POTEM JEDNAK PODCHODZI SŁYNNY PREZENTER TELEWIZYJNY (WCIAŻ EAMONN ANDREWS??) Z DUŻYM CZERWONYM ALBUMEM W GARŚCI.

SŁYNNY PREZENTER: Jimmy Conway?

JIMMY CONWAY: Tak? (JIMMY WIDZI KAMERY TELEWIZYJNE I SŁYNNY CZERWONY ALBUM PREZENTERA) Och, oczom nie wierzę!

SŁYNNY PREZENTER: Tak, myślał pan, że jest pan tutaj po to, aby otworzyć kolejne schronisko dla wydr w ramach pańskiej niestrudzonej pracy dla licznych organizacji ochrony zwierząt, ale nie dzisiaj, Jimmy Conway, ponieważ *TO JEST TWOJE WSPANIAŁE ŻYCIE*

JIMMY ROBI OSŁUPIAŁĄ MINĘ, POTEM ŚMIEJE SIĘ I Z NIEDOWIERZANIEM PODNOSI WZROK KU NIEBU. KAMERA POKAZUJE SŁYNNNE STUDIO, KTÓRE ZNAJDUJE SIĘ W LONDYNIE I JEST BARDZO DUŻE.

SŁYNNY PREZENTER: Urodził się pan jako „James Elliot Conway”, drugie dziecko Kohna i Valerie Conwayów z 27 Elms Crescent, East Grinstead, Sussex, Anglia, Europa. Pańska rodzina nie zdawała sobie sprawy, że czeka pana wielka przyszłość, jak musi dzisiaj przyznać pański brat Nicholas...

KOMENTARZ Z OFFU NICHOLASA (TERAZ

CZŁOWIEKA DOROSŁEGO, GRUBEGO I ŁYSEGO): Och, nasz mały Jimmy ciągle się śmiał i żartował. Ja się z nim droczyłem, szykanowałem go i mówiłem, że nic w życiu nie osiągnie, ale on nam wszystkim pokazał. Jesteśmy z niego bardzo dumni. Tak Bogiem a prawdą, zaszedł dużo dalej niż ja.

SŁYNNY PREZENTER: Po ukończeniu na prestiżowej uczelni intelektualnie wymagającego, lecz komercyjnie przydatnego kierunku, który był dla pana swoistą siatką zabezpieczającą, rozpoczął pan błyskotliwą karierę w show-biznesie. Zaczynał pan jako zwykły pracownik obsługi sceny, co było bardzo rozsądne, bo zawsze lepiej jest od podstaw nauczyć się fachu, niż od razu skakać na głęboką wodę. Jednak już tydzień później gwiazda programu i jego dubler mieli tragiczny wypadek samochodowy: zderzyli się z ciężarówką przewożącą zwierzęta do eksperymentów. Na szczęście aktorzy nie odnieśli poważniejszych obrażeń i żadnemu ze zwierząt też nie stało się nic groźnego, ale strażacy potrzebowali dwunastu godzin, żeby uwolnić aktorów z płataniny pozgniatanych klatek, podczas gdy

zwierzęta, króliki i tym podobne, uciekły do pobliskiego lasu, gdzie na szczęście nie było lisów. A zatem nie było nikogo do zagrania głównej roli w wieczornym spektaklu, więc reżyser zgromadził całą obsadę i powiedział, że zmuszony jest odwołać spektakl, co nawiasem mówiąc, doprowadziłoby do bankructwa całego teatru i wszyscy ci biedacy, łącznie ze sprzątaczkami i tak dalej, musieliby pójść na zasiłek dla bezrobotnych. W tym momencie młody, nieznanymi pracownik obsługi sceny, Jimmy Conway (czyli pan), wystąpił przed szereg i dzielnie oznajmił, że zna główną rolę na pamięć. Oddajmy głos reżyserowi...

SŁYNNY REŻYSER: Jimmy był po prostu świetny. To było dla nas wielkie odkrycie, grał znacznie lepiej niż znany komik, którego zaangażowaliśmy, ale którego nikt nie lubił. Wkrótce Jimmy na stałe przejął główną rolę, przenieśliśmy się do teatru w West Endzie, Jimmy został sławnym komikiem i, jak to mówią, „reszta jest historią”.

Złożyłem zacytowany scenariusz i ostrożnie włożyłem do kieszeni koszuli. Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd z wywieszonym językiem wystukałem go na maszynie do pisania Silver Reed, którą dostałem na trzynaste urodziny.

Położyłem się na wystrzępionej sofie i zamknąłem oczy. Chciałem opróżnić głowę z wszelkich myśli, ale gdzieś w pokoju głośno bzyczał jakiś owad. Przy oknie osa zmagą się z owadnim odpowiednikiem ostatniego twierdzenia Fermata. Założenie: okno jest uchylone. Pytanie: jak wydostać się na zewnątrz? Rozwiązanie osy: raz po raz wal głową w szybę. „A - komentuje osi profesor - typowy dla ciebie sposób myślenia. Ale jeśli wielokrotnie uderzysz o szybę uchylonego okna i stwierdzisz, że z jakiegoś powodu nie możesz przelecieć przez szybę, to co wtedy robisz?” Na seminarium zapada cisza, ponieważ wyteżone mózgi osi ocierają się o granice możliwości osiej logiki. Wreszcie pewna łebska młoda osa, intelektualna supergwiazda Osiego Kolegium w Cambridge, nieśmiało podnosi przednie odnóże, bo w jej owadziej głowie powoli wykluwa się rozwiązanie.

- Jeśli... nie da się... przelecieć bezpośrednio przez szybę... - kiedy jej umysł pracuje na przyspieszonych obrotach, w sali jest cicho jak makiem zasiał, ponieważ inne osy mają świadomość, że obcują z geniuszem - ...a zdążyliśmy już ustalić, że okno jest uchylone... - ciągnie ze zmarszczonym w skupieniu czołem - to logika nakazuje chyba... raz po raz uderzać w szybę z głośnym bzyczeniem...?

Inni studenci z napięciem zerkają na profesora, żeby sprawdzić, czy ich kolega znalazł właściwe rozwiązanie, ale profesor uśmiecha się tylko wyrozumiale i kręci głową.

- Nie - mówi. - Odpowiedź brzmi, że nie istnieje rozwiązanie tej zagadki. Problem jest tak samo nierozwiązywalny jak wyznaczenie wszystkich liczb pierwszych albo podanie dokładnej wartości liczby pi. To jest jak zenistyczny koan, zagadka filozoficzna bez

odpowiedzi.

*

Wstałem i zwinąłem gazetę w rulon, żeby trzepnąć osę w ten durny łeb, ale potem zmieniłem plany i za pomocą mojej zaimprovizowanej packi delikatnie pokierowałem owadem, umożliwiając mu wydostanie się górą na zewnątrz. Rok wcześniej chyba nie darowałbym mu życia, ale teraz uważałem, że znajduję się w na tyle szczęśliwym położeniu, aby pozwolić sobie na odrobinę wielkoduszności i dobroci.

Ponownie położyłem się na sofie i zamknąłem oczy. Ależ byłoby przyjemnie, gdybym mógł po prostu zasnąć, gdybym mógł zapomnieć, gdzie jestem i co mnie czeka. A potem, jakby ktoś czytał mi w moich eskapistycznych marzeniach, rozległ się głośny elektryczny trzask i z wiszącego na ścianie starego głośnika wydobyła się zaskakująca informacja: „Jimmy Conway, za pięć minut prosimy na scenę!”

Za 300 sekund miałem wyjść na scenę jednej z najświetniejszych londyńskich sal widowiskowych i stanąć przed dwoma tysiącami specjalnie zaproszonych gości. Miałem stanąć zupełnie sam w świetle reflektorów i zaprezentować nowiutki monolog humorystyczny, który, nawiasem mówiąc, telewizja BBC1 transmitowała do milionów domów w całym kraju. Widzowie już teraz byli przykuci do ekranów i śledzili wieczorną galę charytatywną z udziałem dziesiątków ich ulubionych gwiazd.

Perspektywa ta skłoniła mnie do postawienia sobie pytania, jakby to było pracować jako bibliotekarz. To musi być fajna robota, pomyślałem. Cały dzień pośród książek. Ciepło, cisza, spokój, od czasu do czasu trzeba wbić datę zwrotu do powieści Catherine Cookson, uśmiechnąć się do staruszki i oddać jej książkę.

- Zwrot do dwudziestego czwartego, Edna.

Tak, odpowiadałoby mi takie życie. Na pewno są jakieś stresy i bezsenne noce, na przykład kiedy w pudełku z karami za przetrzymanie książki wykryje się manko na pięć pensów, ale chyba nieczęsto trzeba wykonać program kabaretowy dla milionów widzów.

Usiadłem i spojrzałem w długie lustro. Miałem na sobie jasnoszary garnitur prosto spod igły, półbuty lśniły, twarz była gładko ogolona i teraz usunąłem wszystkie kawałki papieru toaletowego, które po goleniu przykleiłem na zacięciach. Zauważyłem na garniturze jakiś pyłek i delikatnie go strzepnąłem.

- Czas iść i sprawić, żeby pospadali z krzesel, Jimmy - powiedziałem do siebie, trochę mało przekonująco.

- Jimmy Conway jest proszony na scenę! - odpowiedział głośnik nieco bardziej natarczywie.

Musi być coś jeszcze do zrobienia, pomyślałem. Musi być jakiś sposób, żeby jeszcze przez kilka chwil pozostać w tym prywatnym kokonie. Mam: trzeba wypłukać usta. To dobrze robi na głos. Każdy głupi wie, że aktorzy płuczają usta przed wyjściem na scenę. Na umywalce stał plastikowy kubek. Wziąłem go do ręki i odkręciłem kurek. Strumień zimnej wody wyskoczył z kranu pod takim ciśnieniem, że odbił się rykoszetem od dna umywalki i schlapał mnie od stóp do głów.

- Cholera! - zakląłem.

Spojrzałem w dół i stwierdziłem, że jestem cały mokry w kroku: duża, wilgotna, ciemnoszara plama rozchodziła się na wszystkie strony od epicentrum rozporka.

- Cholera! Cholera! Cholera! - powtórzyłem.

Wziąłem ręcznik i usiłowałem wysuszyć spodnie.

Głównym zadaniem komika jest wprowadzić widzów w swobodny nastrój, wzbudzić w nich poczucie, że znajdują się w dobrych rękach. Ludzie muszą mieć przekonanie, że jesteś spokojny, że nie ma w tobie ani śladu nerwowości czy tremy. Pamiętałem swój numer na wrywki, miałem na sobie elegancki garnitur. Publiczność mogła jednak nabrać podejrzeń, że nie jestem do końca wyluzowany, skoro ewidentnie zsiakałem się w majtki. Kiedy ktoś szuka u kabareciarza oznak zdenerwowania, wielka mokra plama na poziomie krocza może być dla niego istotną poszlaką.

Rzuciłem ręcznik na podłogę i wybiegłem z garderoby. Może w męskiej toalecie jest suszarka do rąk? Schody prowadzące z garderoby na dół prezentowały się dość ascetycznie, były bowiem z gołego betonu, a ceglane ściany wieki temu pomalowano błyszczącą farbą w kolorze żółci tytoniowej. W świecie rozrywki czyni się wszelkie starania, żeby płacącej za bilet publiczności postawić przed oczyma pełen blasku widok, natomiast te części budynku, które pozostają przed nią w ukryciu, zawsze są odrapane i podporządkowane zasadzie utylitaryzmu. Zbiegłszy piętro niżej, wtargnąłem do męskiej toalety i zobaczyłem na ścianie dużą elektryczną suszarkę do rąk.

- Dzięki Ci, Boże! - powiedziałem do sufitu i nacisnąłem wielki metalowy guzik. Zero reakcji. Dziabnąłem go jeszcze kilka razy, ale równie bezskutecznie. Obok na ścianie był pstryczek, ale w żadnym położeniu suszarka nie działała. Usłyszałem elektryczne trzaski i przez ułamek sekundy sądziłem, że maszyna zaczęła dawać jakieś oznaki życia, ale potem z głośnika zagrzmiął głos: „Jimmy Conway jest proszony na scenę! Wchodzi pan za dwie minuty. Jimmy Conway jest proszony natychmiast na scenę!”

Nie było wyjścia. Wybiegłem na korytarz w stanie niekontrolowanej paniki. Może mają suszarki w dużych garderobach dla gwiazd tu na pierwszym piętrze. Zapukałem do drzwi

Garderoby Nr 1. Nie było odpowiedzi, więc pchnąłem drzwi i na stole zobaczyłem Świętego Graala: suszarkę do włosów. Wybawienie leżało na wyciągnięcie ręki. Wtyczka była włożona do kontaktu, więc włączyłem suszarkę na maksimum i skierowałem strumień powietrza na wielką moką plamę między nogami. Kolor ciemnoszary szybko przeszedł w jasnoszary, ale czułem, że wyściółki kieszeni dalej są wilgotne. Nie było ani chwili do stracenia, więc rozpiąłem spodnie i usiłowałem wysuszyć krok od wewnątrz, kręcąc suszarką na wszystkie strony i podskakując z lekka, kiedy gorące powietrze parzyło mnie w skórę. W tym momencie drzwi Garderoby Nr 1 otworzyły się.

Zawsze chciałem poznać damę Judi Dench. Należała do moich ulubionych aktorek wszech czasów i od dziecka marzyłem, że nasze drogi kiedyś się przetną.

- Dobry wieczór - powiedziała Judi Dench takim tonem, jakby widok mężczyzny dmuchającego sobie w spodnie suszarką w jej garderobie był dla niej chlebem powszednim.

- A, dobry wieczór - odparłem. - Czy to pani garderoba?

- Tak.

- Najmocniej panią przepraszam, ale cały zachlapałem się wodą, a za dwie minuty mam wyjść na scenę, więc trochę spanikowałem.

- Za dwie minuty? To pana dopiero co wywołał inspicjent?

- Tak, to ja, Jimmy Conway - przedstawiłem się, wyciągając do niej lewą rękę, ponieważ prawa nadal grzebała w kroku.

- Judi Dench.

- Tak, wiem. Była pani świetna w *Iris*. W *Mrs Brown* zresztą też.

- Dziękuję panu.

- Jaki jest Billy Connolly? - spytałem w nadziei, że niezobowiązujące pogaduszki na teatralne tematy odwrócą uwagę Judi Dench od kwestii, co ja robię z jej osobistą suszarką.

- Billy to wspaniały człowiek. Czy nie powinien pan się pospieszyć?

- Tak, ale nie chciałem wychodzić na scenę z wielką moką plamą w kroku.

Parsknęła śmiechem. Udało mi się rozśmieszyć Judi Dench.

- Jimmy Conway? Pan jest tym komikiem, o którym wszyscy mówią, prawda?

- No, może nie wszyscy, tylko... niektórzy - bredziłem, starając się brzmieć skromnie, ale w duchu byłem zachwycony, że królowa brytyjskiego teatru o mnie słyszała.

- Niestety, nie widziałam pana na scenie, ale słyszałam, że jest pan bardzo dobry.

- Mniej ludzi mnie widziało, niż można by sądzić...

- Oczywiście do dzisiaj.

- Rany boskie, powiedzieli „za dwie minuty” dwie minuty temu, prawda?

- Niech się pan nie martwi. Jestem pewna, że inspicjent daje parominutowy margines, zwłaszcza że to idzie na żywo w telewizji.

- Sądzi pani?

- Wie pan co, może pójdę i mu powiem, że zaraz pan będzie, a pan tymczasem doprowadzi się do porządku?

- Och, jestem pani niezmiernie wdzięczny, nie wiem, jak mam pani dziękować. Proszę mu powiedzieć, że jestem w pani garderobie i przyjdę, jak tylko zapnę spodnie.

- No, może ujmę to trochę inaczej - odparła Judi Dench z uśmiechem i poszła.

Przemiała kobieta, pomyślałem. Rzeczywiście była bardzo miła.

Judi (uważałem, że mam teraz prawo tak o niej mówić) miała oczywiście absolutną rację. Paniczne wezwanie „Jimmy Conway jest proszony na scenę za dwie minuty!” tak naprawdę oznaczało coś bardziej zbliżonego do dziesięciu minut, aczkolwiek inspicjent odegrał zawał serca, kiedy mnie zobaczył, a następnie odwołał gońca, któremu kazał mnie szukać w okolicznych pubach.

Kryzys ze spodniami pozwolił mi na krótko zapomnieć o następnym stadium wieczoru, ale nie dane mi było wykorzystać podniesionego poziomu adrenaliny i wypłynąć na tej fali prosto na scenę. Musiałem koncentrować się od zera. Przez szczelinę między kurtyną a bokiem sceny widziałem publiczność wpatrzoną przed siebie jak jeden mąż. Za kilka minut wszystkie te teleskopowe spojrzenia miały skierować się na mnie. Zaproszeni goście byli w całkiem radosnych nastrojach, aż do chwili, gdy kochany konferansjer zaczął mówić o strasznym cierpieniu, na walkę z którym miały zostać przeznaczone pieniądze za bilety. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że za chwilę miał się pojawić na scenie komik? Zaiste, nie ma lepszego sposobu na rozgrzanie publiczności, niż opowiedzieć jej o niepełnosprawnych dzieciach, które żyją w nędzy w zapuszczonych dzielnicach wielkich miast brytyjskich.

- No nie! - powiedziałem do inspicjenta. - Może jeszcze wyświetli im zdjęcia zaniedbanych dzieci, żeby obudzić w nich kompleks winy?

- Wyświetlają zdjęcia zaniedbanych dzieci, tylko że stąd nie widać telebimów.

- Aha. Super.

Obserwowałem to wszystko jeszcze przez kilka minut, sparaliżowany i samotny. W pewnym momencie wyjąłem scenariusz i rzucałem okiem na pierwsze akapity, co było absurdalne: znałem tekst tak dobrze, że groziło mi, iż zapomnę sens tego, co mówię.

- Jeszcze się pan nie nauczył? - droczył się ze mną inspicjent scenicznym, a raczej zakulisowym szeptem.

- Oczywiście, że się nauczyłem - zareplikowałem odrobinę zbyt gwałtownie. - Lepiej

nie mogłem się przygotować.

Temu chełpliwemu stwierdzeniu chwilę później zadało kłam dzwonienie komórki w kieszeni garnituru. Po namyśle postanowiłem nie odbierać. Zawsze uważałem za trochę nieuprzejme rozmawiać przez komórkę w sytuacji, gdy ktoś cię słyszy, na przykład kiedy jesteś w pociągu lub w restauracji albo właśnie wychodzisz na scenę, żeby wystąpić przed dwutysięczną publicznością w London Palladium.

- Cześć, jestem na scenie!

Publiczności trudno byłoby udawać, że nie słucha.

- Przepraszam! - szepnąłem, wyłączając telefon. Kiedy konferansjer mnie zapowiadał, poprawiłem krawat i sprawdziłem, czy włosy nie sterczą mi na wszystkie strony.

- Panie i panowie, a teraz chwila, na którą wszyscy czekaliście! - ryczał konferansjer. - Tak wiele o nim słyszeliście. Proszę, powitajcie w telewizyjnym debiucie niesamowicie dowcipnego człowieka, niepowtarzalnego... JIMMY'EGO CONWAYA!

Oklaski były głośniejsze, niż się spodziewałem, usłyszałem też pojedyncze gwizdy i okrzyki. Moje zmysły - wzrok, słuch, węch - były wyostrzone do granic i wszystko chłonęły. Konferansjer przerysowanym gestem powitał mnie na scenie i z tego pogrążonego w półmroku sanktuarium wstąpiłem na olbrzymią, jasno oświetloną i zupełnie pustą arenę, niby zastrachany królik, który zamierza przebiec przez autostradę. Konferansjer po kumpelsku poklepał mnie w plecy i zszedł za kulisy. Przemknęła mi przez głowę myśl, że musiałem na nim zrobić wrażenie chama, który nie pamięta znajomych.

Mikrofon stał z przodu niby samotne źdźbło trawy na polu bitewnym pierwszej wojny światowej. Ruszyłem w jego stronę. Co ja tu, kurwa, robię?, zadałem sobie pytanie. Oklaski zamierały i dwa tysiące osób czekało na moje pierwsze słowa. Pomyślałem o tych milionach ludzi oglądających mnie w telewizji, łącznie z prawie wszystkimi znajomymi. Kiedy aplauz ustąpił miejsca naelektryzowanej, napiętej ciszy, ogarnęła mnie wątpliwość, czy nie należało zwierzyć się komuś z mojej małej tajemnicy.

A mianowicie że nigdy wcześniej nie występowałem na scenie w roli komika.

2

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Załączam scenariusz Twojego udziału w *To jest twoje wspaniałe życie*. Oczywiście nie

musi to przebiegać dokładnie tak - to jest tylko ogólny zarys.

Postanowiłem to wszystko spisać i złożyć w bezpiecznym miejscu, żebyś mógł to znaleźć, kiedy dorośniesz, być może zapomniawszy zostać bogatym i sławnym człowiekiem sukcesu. Bo wydaje mi się, że wszystkim dorosłym jakoś wypada to z głowy. A potem nagle sobie przypominają i mówią: „Ach, tak, kiedy byłem młody, chciałem zostać popgwiadzą albo piłkarzem, albo kimś w tym rodzaju”, ale teraz wszyscy pracują w banku albo jeszcze gorzej. Ja się pytam, jak można zapomnieć o takiej ważnej rzeczy? Oczywiście wiem, że wszyscy nie mogą być sławni - nie jestem głupi. Mam prawie czternaście lat, czyli w gruncie rzeczy jestem już prawie dorosły. Na przykład wczoraj, kiedy Nicholas rozdawał karty, zaczekałem, aż położy przede mną wszystkie siedem, zanim je podniosłem i obejrzałem. Ale jak już będę stuprocentowo dorosły, z samochodem, zarostem na twarzy i tak dalej, nie zadowolę mnie nic poniżej bycia bogatym i sławnym komikiem, aktorem i gwiazdą estrady. Dlatego zadałem sobie trud, żeby wszystko z góry zaplanować.

Wszyscy inni w mojej klasie od razu zabierają się do pisania zadania, nie robiąc wcześniej planu, a potem, co za niespodzianka, dostają troję z plusem. Ja wcześniej piszę plan na osobnej kartce papieru, jak każe pan Stock, i zawsze dostaję piątkę albo piątkę z minusem (poza jedną tróję z minusem - ale to się nie liczy, bo byłem nieobecny, jak przerabialiśmy *Władcę Much*). A potem wszyscy kończą szkołę i nie planują, co będą robić dalej, tak jak nie robili planu wypracowań, więc co się dziwić, że mają życie na troję z plusem. Ja napiszę na osobnej kartce papieru plan wszystkiego, co będę robił, i myślę, że dostanę za swoje życie piątkę albo piątkę z minusem - chyba że nie z mojej winy zdarzy się coś strasznego, na przykład pogryzie mnie we Francji pies i dostanę wścieklizny.

Chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że pragnę odnieść w życiu sukces tylko po to, żeby pomóc tym, którzy nie ze swojej winy mają w życiu mniej szczęścia niż ja.

Nie chcę być gwiazdą ze względu na siebie samego. Chcę zyskać sławę dzięki temu, że zrobię coś dobrego dla innych, a nie dlatego, że zastrzelę Johna Lennona czy coś w tym guście. A gdybym był naprawdę bogaty, mógłbym dawać pieniądze fundacjom charytatywnym i uniemożliwić ludziom wylewanie ropy naftowej do morza tam, gdzie żyje dużo głuptaków. Trzeba ich zmusić, żeby oddawali tę ropę mieszkańcom Trzeciego Świata, którzy przypuszczalnie nie mają własnej ropy.

Najważniejsze jest to, Jimmy, a raczej James (ludzie mówią teraz do Ciebie James, tak jak zawsze sobie życzyłeś), jak wykorzystasz pomyślny los, chociaż pomyślny los nie wystarczy, ciężko sobie zapracowałeś na to, co osiągnąłeś. Znaczący, okej, jesteś teraz bajecznie bogaty i tak dalej, ale do każdego pensa doszedłeś własną ciężką pracą. To, że jesteś naprawdę

ważnym człowiekiem, nie znaczy, że musisz być nadęty i traktować siebie ze śmiertelną powagą. Wręcz przeciwnie, dzięki temu możesz być dorosłym człowiekiem, który na przykład nosi dzinsy. I kiedy grupa maturzystów przyjdzie na Twój wykład poświęcony Twojej pracy dla organizacji ochrony zwierząt, możesz obrócić krzesło oparciem do nich i usiąść okrakiem.

Ale znowu wdałem się w dygresje (zupełnie jak z zadaniami domowymi!), więc teraz kończę, napiszę znowu za kilka dni. Kiedy już wszystkie listy będą gotowe, włożę je do pudełka po butach i zaniosę na strych, więc jeśli za dwadzieścia minut będziesz pamiętał, gdzie jest ten list, to tam go znajdziesz.

Rok przed moim estradowym debiutem w stołecznym Palladium zarabiałem na życie występami scenicznymi, ale przed inną publicznością. Wielu showmanów przechwala się, że grali przed trudnymi widowniami. Nigdy nie występowałem w Glasgow Empire w deszczowy wtorek w lutym, nigdy nie improwowałem w Tunnel Club w Woolwich, ale żaden pracownik przemysłu rozrywkowego nie przeszedł takiej ciężkiej szkoły życia, jaką jest uczenie tępych jak but nastolatków w Centrum Językowym w Seaford. Stwierdzenie, że mieli długi czas reakcji, sugerowałyby, że w ogóle reagowali. Nauczanie angielskiego jako języka obcego w tej konkretnej grupie początkujących przypominało próbę wytłumaczenia fizyki kwantowej złotym rybkom, z jedną różnicą: złote rybki od czasu do czasu zamykają usta.

Na kurs dla początkujących w Centrum Językowym w Seaford posyłano ludzi, co do których nie było pewności, czy przebudzili się ze śpiączki. Kursanci siedzieli w ławkach zgarbieni i wpatrzeni we mnie zamglonym wzrokiem, ja zaś radośnie ostrzeliwałem ich karabinową serią pozbawionych sensu sylab. „Bla bla bla bla bla bla bla bla? Bla! Bla bla, bla bla bla, bla bla! Bla bla bla bla bla bla bla bla”. Raz rzeczywiście tak zrobiłem, żeby sprawdzić, czy wywołam jakąś reakcję, ale szybko się przekonałem, że był to z mojej strony przejaw czystego optymizmu. Oczywiście można zacząć uczyć angielskiego osoby, które znają tylko słowa „okej”, „taxi” i „Beatles”. Można nauczyć dowolnego języka każdą osobę, która chce się go nauczyć - myślę, że tu właśnie był pies pogrzebany. Ci nastolatkowie zostali wbrew swojej woli zesłani na tę ponurą prowincjonalną pustynię, zostawiając za sobą przyjaciół w Turcji, Algierii czy Brazylii. Nie mając możliwości burmuszyć się na rodziców, postanowili dasać się na najbliższego dostępnego dorosłego i akurat padło na mnie.

- *Bali!* - mówiłem wesoło, podnosząc do góry piłkę. - *Bali!* Teraz ty spróbuj.

Wskazałem palcem na młodego Rosjanina, który siedział z przodu. Po mniej więcej pięciu sekundach zatrzepotał powiekami, co stanowiło jakiś postęp - przez cały tydzień nie udało mi się w nikim wzbudzić choćby takiej reakcji.

- *Bali!* - przypomniałem mu, bo nie można oczekiwać, żeby ktoś od jednego razu

zapamiętał takie długie słowo. Patrzył na mnie, tym razem bez mrugnięcia. Nastąpił regres. Do radosnego przełomu doszło w połowie tygodnia, kiedy jeden z nich kaszlnął. Chciałem zadzwonić do rodziców i podzielić się z nimi tym fascynującym wydarzeniem.

- Wspaniała nowina! Nadim żyje! Nie uwierzycie, ale młody Nadim kaszlnął!

A oni zapłakaliby z radości, że u ich syna pojawiła się pierwsza oznaka życia od czasu, gdy wpadł w stan milczącego odrętwienia, odkąd uwięziono go w szkole językowej w jakimś ponurym mieście na wybrzeżu Anglii.

Przeniosłem się na południowe wybrzeże w wieku dwudziestu jeden lat i znalazłem tymczasową pracę w szkole językowej, gdzie byłem teraz nauczycielem o najdłuższym stażu. Przyjechałem do Seaford tylko po to, żeby móc być z moją Prawdziwą i Dozgonną Miłością, ale pół roku po tym, jak podjęliśmy odpowiedzialną decyzję o zamieszkaniu razem i znalezieniu stałego zatrudnienia, przyszło rozstanie. Rozgrzana do białości kometa naszej miłości spaliła się po wejściu w atmosferę realnego świata. Rozeszliśmy się w przyjaźni. Ja dostałem jej powieści Hermanna Hessego, a ona ciekawe życie z dala od Sussex.

Seaford nie jest tętniącą życiem stolicą zachodniej Europy. Istnieje mnóstwo fajnych piosenek o Nowym Jorku i Los Angeles, ale choć bardzo się starałem, nie natrafiłem na choćby jedną linijkę poświęconą smętnemu, sponiewieranemu przez deszcz i wiatr zbiorowisku domów, w którym zarzuciłem kotwicę. „Seaford, Seaford, mój smagany wiatrem kurort”. Nie. „Chcę obudzić się w mieście, które w 1957 zapadło w śpiączkę”. Nic takiego nie kołatało mi w głowie. Po stronie plusów należy zapisać fakt, że w mieście był sklep z wełną, więc jeśli ktoś pasjami lubił szydełkować, to zjechanie na krótko z drogi krajowej A259 znajdowało jakieś uzasadnienie. W okresie, o którym piszę, mieszkalem w Seaford od trzynastu lat, czyli wcale nie tak długo w porównaniu z czasem, jakiego większości moich sąsiadów potrzeba na odliczenie pieniędzy za bilet po wejściu do autobusu. W tej części wybrzeża wieje tak silny wiatr od morza, że rdzenna ludność rośnie na ukos. Jak te pochylone drzewa, które widuje się na nadmorskich skarpach, niektórzy staruszkowie od tak dawna chodzą wzdłuż morza zgięci ku lądowi pod kątem 75 stopni, że ich kości na stałe ustawiły się w tej pozycji. Zorganizowanie zajęć z aerobiku dla osób powyżej sześćdziesiątki jest tutaj chyba niemożliwe, bo przy każdym obrocie zderzałyby się głowami.

Nie planowałem tak długo zabawić w tych stronach. Pracę jakoś znosiłem, dzięki temu, że zjawiałem się w niej co drugi tydzień. Uzgodniłem z dyrektorką szkoły, że będę uczył co drugi tydzień i tylko do południa. Pozostały czas przeznaczałem na to, co w duchu uważałem za swoją prawdziwą pracę: pisanie scenariusza filmu komediowego. Mój pomysł na film był taki świetny, że nie miałem wątpliwości, iż znajdę mnóstwo chętnych do jego nakręcenia. Odkąd

wpadłem na ten pomysł, mój krok nabrał sprężystości, bo czułem, że stoję w życiu u progu wielkich zmian. Na myśl o tej genialnej otwierającej scenie na ekranie kina Odeon przy Leicester Square wariowałem z niecierpliwości. Rozważałem rezygnację z pracy w szkole, żeby móc całkowicie poświęcić się scenariuszowi, ale nie miałem pojęcia, ile to może potrwać, więc uznałem, że lepiej będzie mieć jakieś źródło dochodu, zanim nie sprzedam tekstu. Ale odkąd nawiedził mnie ten genialny pomysł, nuda codziennej rutyny i nieustanne kłopoty finansowe przestały wpędzać mnie w przygnębienie. Scenariusz był dla mnie przepustką do innego życia. Korciło mnie, żeby rozpowiedzieć o nim całemu światu, ale był taki cenny, że trzymałem go pod kluczem, żeby mi go ktoś nie ukradł.

Po ostatnich zajęciach w tygodniu podniecony myślałem o perspektywie całego tygodnia zmagania z następną sceną. Dla tych chwil żyłem. Musiałem przyznać, że wielotygodniowe uczenie kursantów angielskiego po to tylko, żeby móc ich odprowadzić na prom i zawołać pożegnalne „Do widzenia”, nie przynosi mi wielkiej satysfakcji zawodowej. Zaniósłem podręczniki do pokoju nauczycielskiego i pomachałem na pożegnanie Nancy, koleżance z pracy, z którą utrzymywałem też stosunki towarzyskie i która teraz toczyła poważną rozmowę telefoniczną.

- Jak można być taką idiotką! - krzyknęła do słuchawki.

Albo Nancy rozmawiała ze swoją córką, albo pani zegarynka zapomniała tego dnia zabrać do pracy zegarek. Podobnie jak ja, Nancy była zatrudniona w niepełnym wymiarze godzin, a w czasie wolnym chodziła na rozprawy sądowe swojej czternastoletniej córki. Było dla mnie jedną z wielkich zagadek istnienia, dlaczego los tak okrutnie sprzysiągł się przeciwko wyjątkowo serdecznej, wielkodusznej Nancy, obdarzając ją taką córką jak Tamsin. Raz wprawdzie przyniosła mamie kwiaty, ale nawet to skończyło się awanturą. Tamsin powiedziała, że skoro ktoś przywiązał kwiaty do słupa latarni, to ewidentnie już ich nie chciał.

Nancy trzasnęła słuchawką i ukryła twarz w dłoniach.

- Cholera! Cholera! Cholera!

- Co się stało? - spytałem, ubierając wścibstwo w szaty zatroskania.

- Zgadnij, kogo znowu zawiesili w prawach ucznia.

- Za co tym razem?

- Za uruchomienie alarmu przeciwpożarowego.

- Za uruchomienie alarmu przeciwpożarowego? Co ją opętało?

- Twierdzi, że był pożar.

- No, nie! Nie przychodzi jej do głowy lepsze usprawiedliwienie?

- Straż pożarna zgasiła i w ogóle, ale ją i tak zawiesili na dwa tygodnie.

- Czyli jednak był pożar? Czy to przypadkiem nie Tamsin podpaliła?

- Dyrektor najwyraźniej od razu doszedł do takiego wniosku. Ona mówi, że znowu się na nią uwzięli. Z tego, że była w pobliżu śmietnika z zapalkami i pudełkiem podpałek, nie wynika, że to ona zrobiła. O Boże, czemu ona ciągle wycina mi takie numery?

Telefon znowu zadzwonił. Staralem się stać z boku w postawie dyskretnie wspierającej, kiedy Nancy i jej córka się kłóciły.

- Pozwól mi zamienić z nią słowo. - Oddała mi słuchawkę. - Cześć, Tamsin, tu Jimmy. Posłuchaj, póki jesteś zawieszona, mogłabyś wyprowadzać mi psa? Zapłacę ci oczywiście.

Tamsin była zachwycona tą propozycją, ale jej matka syknęła z oburzeniem:

- Żadnego płacenia! To ma być kara!

Nancy przysłuchiwała się naszej rozmowie z rosnącym niedowierzaniem.

- Duży był ten pożar? Aha. Jakich podpałek użyłaś? Aha, Zip, bardzo dobre, nie? Dobrze sobie to wszystko zaplanowałaś, podpałki, zapalki i w ogóle. A, naprawdę? W takim razie pozdrów go ode mnie. No, to do zobaczyska.

- Co to miało być: „Aha, Zip, bardzo dobre, nie?” - zawołała Nancy. - Szkoda, że jeszcze nie zasugerowałaś, żeby następnym razem użyła benzyny.

- Myślałem, że należy okazywać zainteresowanie, kiedy dziecko ma jakieś hobby.

- Nie, kiedy tym hobby jest piromania.

- Okazuje się, że podpałki i tak dalej przyniósł Kelvin - to on ją podpuścił. Poza tym spłonęła tylko kupa suchych liści i tym podobnych. Tamsin nie zasłużyła sobie na zawieszenie.

- O Boże, co ja z nią zrobię? - Nancy wydała z siebie westchnienie osoby znużonej życiem. - W przyszłym tygodniu pracuję, a nie mogę zostawiać jej na cały dzień samej w domu. Ma dopiero czternaście lat, a poza tym nie stać mnie na rachunki za telezakupy.

- Weź sobie tydzień wolnego - powiedziałem, zaskakując siebie samego. - Ja cię zastąpię.

- Przecież to było dla ciebie strasznie ważne, żeby w przyszłym tygodniu nie pracować.

Ma rację, pomyślałem. Co ja gadam? Skorzystaj z okazji i wycofaj się, póki możesz...

- E, nie ma problemu - powiedziałem. - Spróbuję wygospodarować trochę czasu.

- O Boże, Jimmy, anioł z ciebie!

Uszczypnęła mnie w policzek i nagle bezcenne pięć dni roboczych przeznaczonych na pisanie scenariusza wyparowało.

Wiele księżyców temu miałem z Nancy przelotny romans, ale fakt posiadania przez nią dziecka z byłym chłopakiem trochę komplikował sprawy. Ludzka wytrzymałość na dziecięce kaprysy i wybuchy hysterii jest ograniczona. W końcu Nancy miała tego dosyć i rozstaliśmy się.

Sądzę, że przypuszczalnie nie byłem jeszcze gotowy do roli ojczyrna, zwłaszcza zanim prawdziwy ojciec do końca zniknął z horyzontu. Ale kiedy Nani cy powiedziała nieśmiertelne słowa: „Nie chcę cię stracić jako przyjaciela”, akurat tym razem były one prawdziwe. Nadal uważałem ją za atrakcyjną, z jej dużymi niebieskimi oczami i zaraźliwym śmiechem, ale stanowiliśmy żywy dowód na to, że można się przyjaźnić ze swoim czy swoją eks. Z upływem lat obaliliśmy teorię, która mówi, że byli partnerzy pozostają przyjaciółmi tylko w nie do końca wyartykułowanej nadziei, że kiedyś do siebie wrócą.

Ja zresztą nie byłem już sam. Żyłem teraz z piękną Betty. Betty była młoda i radosna, kochała mnie z całego serca. Gdyby nie była psem rasy border collie, być może stanowiłaby rozwiązanie wszystkich moich problemów. Wszędzie mi towarzyszyła - chodziła za mną po domu jak cień. Postawiłem szlaban na włożenie razem ze mną do ubikacji, więc kiedy ja siedziałem na muszli, ona leżała na podłodze z nosem przyciśniętym do szczeliny pod drzwiami, węsząc i wciągając głęboko powietrze w poszukiwaniu wskazówek, co ja tam robię. Przez pierwsze dwa lata obowiązywał również przepis, że Betty nie może przebywać w nocy w mojej sypialni. Rozumowałem, że żadna sprowadzona przeze mnie do domu kobieta nie byłaby skłonna porzucić zahamowań i pogрузić się w upojnej nocy szalonego seksu pod bacznyrm okiem border collie merdającego ogonem i reagującego szczekaniem na nagłe ruchy. W pewnym momencie zdałem sobie chyba sprawę, że dla kobiet, które i tak się do mnie nie wybierają, nie ma większego znaczenia, czy dyszący, wojerystyczny pies pasterski jest w mojej sypialni, czy go nie ma, toteż Betty miała teraz prawo nocować w tym samym pokoju co ja.

Nazajutrz rano wstałem koło wpół do dziesiątej i zszedłem na dół zrobić sobie herbaty. Niezbyt palpitujący czy wyjątkowy ciąg zdarzeń jak na sobotę, ale mój pies zawsze pasjonował się wszystkim, co się wokół niego działo. Dokonałem hipotetycznej rekonstrukcji procesów myślowych Betty po *la grande levee*:

O jejku - wstaje z łóżka! Nie wierzę, jakie to ekscytujące, wkłada szlafrok i schodzi na dół. Panie i panowie, schodzi na dół!!! Szybko, szybko! Za nim, prędzej, nie mogę tego przegapić, przepraszam, przepraszam - muszę go wyprzedzić, żebyrn była pierwsza na dole. Rany, o mało go nie wyrzuciłam na schodach, o la la, nie byłby tym zachwycony, ale gra była warta świeczki, mimo że mnie skrzyczał, nie darowałabym sobie, gdybym to przegapiła, a teraz, co on zamierza zrobić? Och, nie do wiary, włącza czajnik! Potraficie to sobie wyobrazić? Coś niesamowitego - pokręć się podniecona w kółko - wziął i włączył, bez cienia wahania! Trzeba skreślić wszystkie pozycje w terminarzu, odwołać intymną toaletę i maltretowanie koszyka, bo w tej chwili po prostu muszę tu siedzieć i patrzeć, co się zaraz stanie. O Boże, ja drzę z przejęcia... No i mamy, no i mamy, pochodzi do szafki i, tak, tak, otwiera szafkę i, coś

niewiarygodnego, wyjmuję z pudełka herbatę ekspresową i, ja nie mogę, wkładam ją do kubka, panie i panowie, ON WKŁADA TOREBKĘ DO KUBKA! O jejku, szczeknęłam, nie mogłam się powstrzymać, jemu się to nie spodobało, przepraszam, ale musicie przyznać, że to było po prostu pasjonujące i o Boże, przykro mi, że szczeknęłam, ale czasem nie mogę wytrzymać z podniecenia i, o rany, o nie - otwiera tylne drzwi i mówi, żebym poszła zrobić siusiu. O Boże, o Boże, o Boże, ma świętą rację, ma świętą rację, potrzebuję zrobić siusiu, jaki on jest niewiarygodnie mądry. Bardzo go za to Kocham, ale nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym nie zobaczyć, co się zaraz stanie, więc jestem teraz naprawdę rozdarta, bo nie chcę nic z tego uронić, ale naprawdę muszę się wysikać, a skoro on chce, żebym wyszła do ogrodu, to znaczy, że powinnam wyjść, on po prostu wie wszystko, naprawdę...

Czajnik się wyłączył, ale na szczęście Betty zdążyła wrócić na czas do środka i obejrzeć to wydarzenie. Przystąpiłem do parzenia herbaty. Potknąłem się na psie tylko trzy albo cztery razy, zanim usiadłem na sofie, by napić się bursztynowego płynu z pamiątkowego kubka na cześć księżnej Diany, który ukrywałem przed gośćmi z obawy, że nie zrozumieją dowcipu. Zauważyłem, że automatyczna sekretarka miga. Dziwna elektroniczna pani poinformowała mnie, że mam: „TRZY, nowe, wiadomość i...” To ostatnie słowo powiedziała z intonacją wznoszącą, jakby chciała coś dodać - ale nie dodała. Pierwszym dzwoniącym była moja matka. „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój drogi Jimmy!” „Sto lat, synu!”, zaświergotał tata i żeby jeszcze bardziej umilić mi ten szczególny dzień, dodał: „Aha, i Brian Meredith ma Parkinsona”. Wiadomość numer dwa pochodziła od moich bratanków, którzy zaśpiewali mi *Happy Birthday* w sposób tak zharmonizowany, że gdyby wystąpili na festiwalu muzyki ludowej w Salzburgu, zepchnęliby rodzinę von Trappów na drugie miejsce. Potem otrzymałem jeszcze życzenia urodzinowe od mojej bratowej Carol, która generalnie wzięła na siebie pamiętanie o rodzinnych rocznicach. „Do zobaczenia na zjeździe klanowym!”, dodała na końcu.

Skończyłem trzydzieści pięć lat. Mniej więcej połowa przeciętnej długości życia w cywilizacji zachodniej, a mimo to pierwsze tego dnia życzenia złożyli mi rodzice. Postanowiłem zaszaleć i zrobić sobie śniadanie na ciepło, a ponieważ była to szczególna okazja, jajka na bekonie zjadłem z talerza, a nie na stojąco z patelni. To zdumiewające, jakie następuje spodlenie obyczajów, kiedy ktoś żyje sam. Czy kiedy królowa samotnie zjada w łóżku tosta, wsuwa go całego do ust, mamle z otwartymi ustami, a potem beka zadowolonym z siebie barytonem? Dla mnie jedzenie najwyraźniej stało się zwykłą potrzebą fizjologiczną: czujesz głód, ergo włóż do ust jedzenie. Posilając się poza domem, starałem się pamiętać o tym, żeby usiąść i nie jeść palcami, spacerując po restauracji i wyglądając przez okno.

W ubiegłym roku rodzice dali mi na urodziny specjalną książkę kucharską, dla zakomunikowania mi, że nareszcie pogodzili się z moim starokawalerstwem. Zatytułowana *Rozkosze kuchni dla samotnych*, bazowała na goebbelsowskim kłamstwie, zgodnie z którym samotne gotowanie i jedzenie może być równie radosne jak kolacja ze starymi znajomymi. Spojrzałem na tylną okładkę, ale okazało się, że wydawca jest obłudny i nie podał numeru telefonu zaufania. Gdyby był uczciwszy, książka zawierałaby tylko jeden, mniej więcej tej treści przepis: 1) Weź jedną puszkę fasoli w sosie pomidorowym. 2) Otwórz ją i wyłóż zawartość do garnka. 3) Podgrzej na kuchence. 4) Zjedz prosto z garnka przed telewizorem. 5) Wypij kilka puszek mocnego piwa, kiedy po długich poszukiwaniach nie uda ci się znaleźć buteleczki z proszkami nasennymi na deser.

Mimo że tego dnia były moje urodziny, postanowiłem spędzić jak najwięcej czasu nad scenariuszem. Poprzedniego wieczoru przeczytałem cały rozdział książki *Jak napisać scenariusz* i włączyłem nawet komputer, żeby od nowa napisać stronę tytułową. „Największym wrogiem pisarza jest syndrom pustej kartki, czyli odkładanie pisania pod wszelkimi możliwymi pretekstami”, wyczytałem. Preczytałem cały rozdział na temat technik odkładania pracy na później, żeby nie wpaść w tę perfidną pułapkę. A potem do roboty. Podręcznik szczegółowo wyjaśniał, jak powinien wyglądać scenariusz, toteż udało mi się nadać pierwszej scenie znacznie bardziej profesjonalny charakter, kopiując wszystko, co do tej pory napisałem, do innego szablonu. Ale potem wklepywałem kolejną linijkę i tekst nagle wracał do wcześniejszego formatu, więc próbowałem od nowa edytować szablon dokumentu. Wydrukowałem jedną stronę różnymi czcionkami: najpierw Times New Roman, potem Bookman Old Style, by w końcu uznać, że najbardziej odpowiada mi Courier New, stylizowana na staroświecką maszynę do pisania.

Wydrukowałem całość pierwszej sceny, wybiłem na marginesie dwie dziurki i spiąłem kartki zielonymi kółeczkami. Wyglądało to fantastycznie. Preczytałem swoje nazwisko na stronie tytułowej: skromne i stonowane, w odpowiedniej odległości od tytułu filmu. Dumę z mojego *opus magnum* zakłócały tylko szczupłe rozmiary mego dzieła. Widać było wyraźnie, że to tylko kilka stron papieru. Tekst zupełnie nie przypominał ukończonego scenariusza. Czule odłożyłem pierwszą scenę na bok i przystąpiłem do naprawiania sytuacji, biorąc się za bary ze sceną drugą. „Scena druga”, napisałem na górze strony. Na razie wszystko szło jak z płatka. Podkreśliłem te dwa słowa i wyjrzałem przez okno. Po kilku minutach odwróciłem klawiaturę, żeby wytrząsnąć wszystkie brudy i kawałki martwej skóry, które się tam nagromadziły. Ponownie zerknąłem na wydrukowany scenariusz. Potem wyjąłem z drukarki gruby plik czystego papieru, około stu dwudziestu stron, podziurkowałem wszystkie i spiąłem ze stroną

tytułową i pierwszą sceną. No, teraz wyglądało to jak scenariusz z prawdziwego zdarzenia. Zważyłem go w dłoni. Wyobraziłem sobie, jak łąduje na biurku hollywoodzkiego producenta. Prezentował się doskonale. Teraz brakowało już tylko słów.

Zamierzałem przejść do następnego stadium, ale było już piętnaście po piątej i nagle Betty zrobiła się niespokojna, bo ktoś kręcił się przy furtce, co oznaczało, że przyjechali rodzice. Schowałem scenariusz i przygotowałem się wewnętrznie na rodzicielski atak, otwierając drzwi frontowe.

- Dzień dobry kochanie mieliśmy fatalną podróż ładny sweter nowy przegapiliśmy skręt na Newhaven i nagle znaleźliśmy się w centrum Brighton zdaje się że kaszmirowy więc pojechaliśmy drogą nadmorską ale całkiem ładny a może to angora zresztą jedno i drugie koza no i minęliśmy ten słynny pensjonat do którego została posłana Persephone Jones kiedy ten byk z Pampeluny zmasakrował jej ojca. Nie pamiętasz Jamesów kochanie bardzo smutna sprawa pisali o niej w gazetach i matka Persephone przeniosła się po jego śmierci do Londynu. Chyba nie mogła znieść widoku krów biedaczka i Persephone pojechała się uczyć w Rodean tak się nazywa wielka szkoda bo pilnowała twojego brata zanim się urodziłeś.

- Byk go zmasakrował? - spytałem nieufnie.

- No, nie całkiem tak było - stwierdził ojciec. - Byk go ubódł i on się wywrócił i uderzył głową o asfalt i zmarł dwa dni później.

- Został „zmasakrowany”, kochanie, do dzisiaj mam w sekretarzyku wycinki z gazet, jest wielki nagłówek „Zmasakrowany przez byka!”, zresztą tak jest dużo ładniej.

- Co jest dużo ładniej?

- Jak się jedzie nadmorską drogą chociaż nadkłada się dwadzieścia minut tylko pamiętaj żebyś prał ręcznie bo zniszczysz...

Nadal próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie, o czym rozmawiamy, kiedy ona przeszła obok mnie i zaczęła sprzątać.

- O, masz kominek na prawdziwe drewno, uwielbiam, mieli taki w Rosę and Crown, ale zamienili na ten gazowy udający węglowy, ze specjalnymi kamieniami, które świecą, jak są gorące, wulkaniczna lava, powiedział właściciel, to musi być niebezpieczna praca wydobywać je z wulkanu, wziął i załatwił sobie żonę z Tajlandii, nie mówi ani słowa po angielsku, ale pewnie często współżycją ze sobą seksualnie, problem oczywiście w tym, że strasznie pryskają, prawda?

- Kto, żony z Tajlandii?

- Nie, kochanie, kominki na prawdziwe drewno. Postawię osłonę, żeby dom się nie spalił, kiedy nas nie będzie. Sprawdziłam ze względu na twoją bratową, mają też dania

wegetariańskie i jedno danie rybne, zjedliśmy pyszną rybę u nowego małżeństwa, które się niedawno wprowadziło na naszą ulicę, Koreańczycy, ale bardzo sympatyczni, stale ich nie ma, więc zostawili mi klucz, piękne nowe wbudowane szafy z lampkami w środku, powiedziałam, że ich przedstawię nowej tajlandzkiej żonie w Rose and Crown bo to jest całkiem blisko Korei prawda oczywiście twój ojciec nie tknął ryby bo nie była smażona w głębokim tłuszczu w panierce gdzie to idzie?

Próba rozmowy z mamą przypominała próbę gry w tenisa z partnerem, który posyła na drugą stronę siatki siedem piłek naraz. Prędzej czy później człowiek po prostu się chował i czekał na koniec kanonady. Temat mojej pracy został poruszony wyłącznie z obowiązku i dla zaspokojenia wymogów *savoir vivre*'u.

- Jak tam twoja praca nauczycielska na część etatu? - powiedziała ze zwodniczą intonacją pytającą. - I jak twój kolega homoseksualista z Iraku?

Albo:

- Jak się rozwija handel narkotykami w przedszkolach?

- Świetnie... - zaczynałem, ona jednak uważała, że jest to dostatecznie wyczerpujące podsumowanie, aby mogła przejść do przyjemniejszych tematów, takich jak mój starszy brat.

- W ostatni weekend przyjechali Nicholas i Carol, dzieci są takie bystre, mały Jasper jest ponoć „prawie nad wiek rozwinięty”, ale trudno to ocenić, zanim pójdą do przedszkola, ty zawsze miałaś bardzo dobre świadectwa, zanim zacząłeś się zadawać z tymi chłopakami z robotniczej rodziny, Strongami, okropna rodzina znalazłam je kiedyś w pudełku na strychu wszystkie twoje i twojego brata stare papiery pocztówki albumy i wszystko. Dałam je Nicholasowi do uporządkowania pomyję nie jest tego dużo tak Betty dzień dobry kochany piesek.

- Gareth Strong zmarł naturalną śmiercią - dodał tata. - Pisali o tym w gazecie. Dwa razy przeczytałem, ale tylko tyle powiedzieli: „Naturalną śmiercią”.

Serce we mnie zamarło na myśl, że mój brat Nicholas wszedł w posiadanie moich świadectw. Nie miałem wątpliwości, że dokładnie je przestudiował i będzie mnie prowokował komplementami na ich temat. „W szkole byłeś asem?”. (W podtekście: Co się potem stało?) Postanowiłem jednak nie dać się pognębić świadomości, że sprawiłem rodzinie wielki zawód. Oczyma duszy ujrzałem świeżo wydrukowany scenariusz, schowany jak zwycięski kupon totolotka w górnej szufladzie biurka, i pomyślałem: ciekawe, jakby zareagowali o tej samej porze w przyszłym roku, gdybym zjadł tort urodzinowy między ujęciami na planie mojego pierwszego filmu.

Rodzina stawiała, co oznaczało, że ten jeden raz w roku mogę wybrać jakieś wyjątkowe

miejsce na świętowanie. Optowałem więc za lokalem, do którego chodziłem przez cały rok, a mianowicie Red Lion, pubem w centrum miasta. Można tam było przyzwoicie zjeść, napiwszy się wcześniej piwa, mogłem też spotkać się tam później ze znajomymi, a zatem całkiem niezły wybór w sytuacji, kiedy trzeba było iść coś zjeść w takiej zapadłej dziurze jak Seaford.

- Seaford nie jest zapadłą dziurą - broniłem się godzinę później, kiedy mój brat opisywał swoje bezskuteczne poszukiwania jakiejś nienadmiernie kiczowatej kartki urodzinowej.

Siedzieliśmy w sali barowej pubu i studiowaliśmy laminowany jadłospis z pozwalającymi wyrobić sobie opinię zdjęciami każdej potrawy.

- To jest zapadła dziura - na większości kartek w sklepie stało napisane „Najszczerze kondolencje”. Jak możesz mieszkać w mieście, w którym ludzie częściej umierają niż obchodzą urodziny?

- Może mieli na myśli: „Najszczerze kondolencje, że mieszkasz w Seaford”? - wtrąciła niepotrzebnie Carol.

- Dennis Johnson zmarł w swoje urodziny - powiedział tata. - Na obustronne zapalenie płuc.

Wiedziałem, że wszystko, co mówi mój brat, jest prawdą ale hołdowałem niezłomnemu przekonaniu, że tylko ja mam prawo mówić takie rzeczy. Mieszkańcy przedmieść Londynu stale narzekają na komunikację publiczną, nie znaczy to jednak, że chcą aby cudzoziemcy robili z tego refren.

- No to co robisz dziś wieczór, Jimmy? Partia gry w kulki na dywanie czy kurs inicjacji wodnej dla osób od sześćdziesięciu lat wżwyż?

- Ja ci doskonale wiadomo, również dla młodych ludzi jest tutaj mnóstwo możliwości spędzania wolnego czasu.

- Super. Czyli będziemy wystawali na przystankach autobusowych i całowali się z jęczyzkiem.

- A tuż poza miastem są przepiękne trasy spacerowe.

- Spacerowe? Jak ktoś już postanowi wyrwać się z tego miasta, to chyba biegiem.

Gdybym się nie bronił, to by mnie zmiażdżyli.

- Mnie się tu podoba - powiedziałem nadąsanym tonem. Mój brat mieszkał w Londynie i moi rodzice przeprowadzili się tam w ślad za nim, żeby być blisko swoich jedynek wnuków. Krytycznymi uwagami pod adresem Seaford czułem się osobiście urażony, ponieważ nie mogłem ich nie odczytywać jako zawołanych ataków na mnie samego. W miejsce „gdzie żyjesz” podstaw „jak żyjesz”, a ataki przestaną być zawołane.

- Nie tylko emeryci i znudzeni nastolatki tutaj mieszkają - podjąłem, po czym od

niechcenia zagrałem moim asem atutowym. - Na przykład Billy Scrivens mieszka w Seaford...

Ogólne zaskoczenie i podniecenie przerosło moje oczekiwania.

- Naprawdę? - spytał Nicholas.

- Billy Scrivens? Mieszka tutaj?! - zdumiała się moja bratowa.

- Bardzo śmieszny człowiek - orzekł tata. - Jak się nazywa ten jego program? *Mam cię!*

- Mieszka tutaj przez cały rok?

- To znaczy, nie, jestem pewien, że ma coś w Londynie, ale kupił dom między Seaford a Cuckmere Haven. Często widzę go w mieście albo jak uprawia jogging po Downs.

- Czyli naprawdę go spotkałeś?

- E, no, tak się składa, że dzisiaj rano na niego wpadłem.

*

Była to prawda, choć trochę przerysowana. Wpół do dwunastej rano istotnie zamieniłem kilka słów z najwyżej opłacaną brytyjską gwiazdą telewizyjną. Zrobiłem sobie przerwę od komputera i szedłem z Betty po klifach, kiedy nagle zobaczyłem Billy'ego Scrivensa zmierzającego w moją stronę. Pewnie biegał, bo był czerwony jak burak i zlany potem tudzież poruszał się koślawym truchtem, coraz wolniejszym w miarę zbliżania się do mnie. Najwyraźniej dopadła go obsesja zdrowego trybu życia i zaprzestanie biegania było w tym momencie najzdrowszą rzeczą, jaką mógł zrobić. Wyglądał na bardziej zaniedbanego niż zwykle. Śmigając w dół po schodach na początku swojego programu, zawsze miał na sobie mieniący się brokatem garnitur i krawat, który był jego znakiem firmowym, ale tego przedpołudnia z rozczarowaniem zobaczyłem, że biegając po South Downs ze swoim labradorem, nie przestrzega własnych standardów nieskazitelnej elegancji. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mam do czynienia z Billym Scrivensem. Jego słynna twarz wołała do mnie: „Cześć, Jimmy, to ja!”, i przez ułamek sekundy miałem poczucie, że spotkałem starego znajomego. Spróbowałem zapanować nad sobą. Powinienem go potraktować jak każdego innego człowieka, mimo że w jego kontekście nie byłem wyłącznie szarym telewidzem. Istniał pewien fakt, który łączył nas ze sobą. Bardzo chciałem go o tym poinformować. Jako student Billy Scrivens należał do Cambridge Footlights, a jakieś dziesięć lat wcześniej do Footlights zapisał się też mój nauczyciel angielskiego z liceum. Zatrzymałem się i zastanowiłem, jak poruszyć ten temat, ale Betty nie miała takich zahamowań: podbiegła i obwachała pupę jego psa.

- Trochę dziś wietrznie - powiedział Billy Scrivens.

Gruchnąłem śmiechem, ponieważ uznałem słowo „wietrznie” za żartobliwą aluzję do procesów gastrycznych znajdujących swój finał w odbycie jego psa. Mój śmiech wyraźnie go

zdeprymował i zdałem sobie sprawę, że Billy Scrivens chciał tylko powiedzieć to, co powiedział: że trochę dziś wietrznie. Szukałem jakiejś dowcipnej riposty, aby zademonstrować, że spotkanie z supergwiazdą telewizyjną nie budzi we mnie ani śladu onieśmienia.

- Tak - powiedziałem. Billy Scrivens poszedł dalej.

- Długo ze sobą rozmawialiście? - spytał mój brat.

Cała rodzina zawisła u moich ust, co było doświadczeniem równie przyjemnym, co niezwykłym.

- Nie za długo, musiałem wracać...

W rzeczywistości odwróciłem się i patrzyłem, jak Billy oddala się biegiem, a potem podchodzi do niego atrakcyjna dziewczyna i prosi o autograf. Dziwne, że go rozpoznała, bo kiedy ja przechodziłem obok jej materaca, nie podniosła nawet wzroku.

- O czym rozmawialiście? - spytała mama.

- No, wiecie, o zwykłych sprawach...

- Nie, nie wiemy! Powiedz nam! - zażądała Carol.

- No, wiecie, nie chcę, żeby to zabrzmiało pompatycznie, ale prywatne rozmowy z kimś tak sławnym jak Billy powinny zachować swój prywatny charakter. Billy to zupełnie normalny człowiek jak wszyscy...

W moich dotychczasowych słowach nikt nie zdołałby dopatrzeć się kłamstwa.

- Często się zatrzymujesz i rozmawiasz z nim?

- No, całkiem często. Teraz już zdołałby.

- On mówi na niego „Billy”, nie „Billy Scrivens” - nie mogła się nadziwić mama. - Czy „Billy” przychodzi dzisiaj opić z tobą twoje urodziny?

- Yyy, nie... ostatecznie postanowiłem go nie zapraszać. W takim małym mieście jest mu dostatecznie ciężko. Ostatnia rzecz, której potrzebuje, to żeby moi koledzy ze szkoły językowej przez cały wieczór go prosili, by powtarzał swoją słynną ripostę.

Ach, jak przyjemnie się czułem w roli przyjaciela supergwiazdy. Na pewno doceniłby fakt, że tak dbam o jego prywatność.

- A to ci dopiero! Mój syn kumpluje się z Billym Scrivensem! Co to będzie, jak powiem dziewczynkom!

- Nie, nie rozgłaszaj o tym całemu światu, mamó.

- To może zjadłby z nami teraz kolację, skoro nie przychodzi później na picie? Zadzwoń do niego i spytaj, czy nie chciałby przyjść i zjeść z nami pieczonego kurczaka. Na zdjęciu wygląda apetycznie.

- Nie, mamó, naprawdę, nie chcę mu teraz przeszkadzać. Mimo że „Billy” nie wybierał

się do pubu na kolację z nami, nastąpiła zauważalna zmiana atmosfery. Stałem się ciekawszą osobą. Rodzice byli ze mnie dumni. Moja pozycja wzrosła o kilka kresek. A wszystko dlatego, że w przerysowany sposób opisałem swoje spotkanie z gwiazdą. Wszyscy kapali się w ciepłe gwiazdowego pyłu, który osypywał się ze mnie.

- Może Billy Scrivens pomógłby ci znaleźć pracę w telewizji, kochanie - powiedziała mama.

Obiecałem sobie, że nie powiem rodzinie o moim tajnym przedsięwzięciu, ale nagle uznałem, że nadszedł odpowiedni moment. Na chwilę im zaimponowałem, a że mama poruszyła temat zmiany zawodu, z dumą oznajmiłem im sensacyjną wiadomość.

- Scenarzystą? - powiedział tata, który w pierwszej chwili zareagował optymistycznie na ten obrót spraw. - To taki, co robi dekoracje w teatrze?

- Nie, pomyliło ci się ze scenografem, tato. Scenarzysta pisze... no, teksty, według których kręci się filmy.

- O mój Boże - skomentował z gigantycznym westchnieniem.

Nie oczekiwałem, że zrozumieją. Ale tak jak się spodziewałem, mój brat przynajmniej okazał zainteresowanie, bo sam był zagorzałym kinomanem.

- O czym to będzie?

- No, dopiero zaczynam, trudno to wyjaśnić.

- Ale co to jest, film akcji, komedia romantyczna? Twardy porno?

- Nie, żaden z tych gatunków. Nie chcę jeszcze niczego zdradzać. Może dam ci do przeczytania, jak będzie gotowy.

- Rany, ty to umiesz się sprzedać! Jakbym był hollywoodzkim producentem, od ręki podpisałbym z tobą kontrakt!

Po kolacji, „buzi-buzi” i podziękowaniach rodzice pojechali do domu, a Nicholas i Carol przeszli ze mną do sali barowej na urodzinową popijawę ze stałą ekipą. Znajomi, których się dorobiłem w ciągu kilkunastu lat spędzonych w Seaford, pochodzili z niewielkiej puli podobnie myślących ludzi, których również wołami by nie zaciągnęli do ich miasta zamieszkania. W końcu znaleźliśmy genialne rozwiązanie problemu, że w Seaford nie było nic do roboty: chodziliśmy do pubu i narzekaliśmy, że w Seaford nie ma nic do roboty. Moja rodzina zdążyła poznać większość moich znajomych, ale podczas takich spotkań nadal zawstydział mnie kontrast między wielkomięską elegancją mojego brata i bratowej a burakowatą prowincjonalnością moich znajomych. Trudno jednak było mieć za złe mojej wyrafinowanej bratowej, że szarpnęła się z lekka do tyłu, kiedy smrodliwy Norman, nasz lokalny rowerzysta, przysiadł koło niej.

Są ludzie, którzy z przekonania nie jedzą mięsa; są religie, które zabraniają obcinać włosy. Credo Normana zabraniało mu się myć. Przez jakiś czas nosił przydomek „Oddech Psa”, co mnie osobiście wydawało się trochę niesprawiedliwe - oddech mojego psa nie cuchnął ani w połowie tak okropnie jak Norman. Nasz kolega uważał, że mycie włosów jest sprzeczne z naturą.

- Z początku może trochę nieładnie pachnieć - przyznał - ale z czasem włosy zaczną się same oczyszczać za pomocą naturalnych wydzielin skóry.

Znałem Normana od dziesięciu lat, ale naturalne wydzieliny skóry nadal nie zaczęły działać. Może jeszcze się nie otrząsnęły po wielkiej powodzi szamponu, którą przeżyły na początku lat dziewięćdziesiątych. Norman należał do ostatnich pozostałych przy życiu przedstawicieli licznego niegdyś gatunku określanego przez zaniepokojonych dziennikarzy z lat sześćdziesiątych mianem „rocker”. Każdego lata wielkie stada tych osobników migrowały na wybrzeże, ale ich liczba drastycznie spadła za sprawą problemu ropy na plażach. Nie starczało jej dla wszystkich. Teraz brudna skórzana kurtka Normana ocierała się o drogi kostium mojej siostry, która poderwała się i w przyływie szczodrości zaproponowała, że postawi wszystkim kolejkę. Ponieważ Norman w najmniejszym stopniu nie starał się o wygląd zewnętrzny, zrzędzeniem naturalnej sprawiedliwości jako jedyny z całej naszej ekipy przedstawicieli marginesu społecznego był w stałym związku. Z drugiego boku „Oddechu Psa” siedziała jego dziewczyna, Panda. Ona również była odziana w dżins i skórę, ale w przeciwieństwie do Normana nie kazała wszyć sobie w spodnie cuchnącej piwem szmaty. Imię „Panda” było oryginalnym zdrobnieniem od „Mirandy”. Znałem ją już od paru lat, kiedy się dowiedziałem, że ukończyła Cheltenham College, prestiżowy pensjonat dla dziewcząt z dobrych rodzin i że jej motocyklowy imaż był reakcją przeciwko burżuazyjnemu stylowi życia. Farbowała włosy na czarno, ale czasem widać było blond odrosty. Niezgodne z zasadami *savoir vivre*'u trzymanie sztucców sprawiało jej wysiłek. Carol podała jej ostatniego drinka z tacy.

- Dla ciebie miało być porto. Wzięłam ci Cockburns, może być? - spytała moja wyrafinowana bratowa.

- To się wymawia Co'burns - poprawiła ją wyflejona rockerka.

Mimo tych tarć na tle klasowym alkohol pełnił swoją integrującą powinność, toteż wkrótce wszyscy rozmawiali i śmiali się razem. Norman skarżył mi się, że rodzice Pandy go nie lubią.

- Tylko dlatego, że mam trupią czaszkę na kasku.

- No, musisz przyznać, że jest to nietypowe miejsce na tatuaż.

Mój brat pograżył się w dyskusji politycznej z jednym z moich znajomych. Dave był gburowatym i sceptycznie nastawionym do życia facetem z Yorkshire, który na długo przed innymi przestał głosować na Partię Pracy, ale nie dlatego, że zawarła kompromis ze światem finansów i zarzuciła socjalistyczny program, tylko dlatego, że przyjęła za swój symbol czerwoną różę.

- Czerwona róża zasranego Lancashire! - bluzgał z obrzydzeniem za każdym razem, gdy była mowa o polityce. - Co im się nie podoba w białej róży Yorkshire?

Dave wcale nie należał przy tym do ludzi, którzy chowają urazy. Po prostu potrzebował trochę więcej czasu, żeby wybaczyć Lancasterowi zwycięstwo w wojnie dwóch róż w 1485 roku.

Mimo że mieszkał prawie tak daleko od Yorkshire, jak to było możliwe, stale narzekał na lokalne ceny i brak piany na piwie, jak również szydził z nas, południowców, że chodzimy w płaszczach - luksus ten uważał za objaw zniewieściałości. Obsesyjny lęk przed ośmieszeniem albo okantowaniem wpędził I go w taki sceptycyzm, że był przekonany, iż staruszki zbierające pieniądze na psy przewodniki tylko udają ślepe. Ktoś pokazywał mu raport jakiejś organizacji charytatywnej z Trzeciego Świata i mówił: „Hej, Dave, słyszałeś, że ospa wietrzna została na całym świecie wyeliminowana?”, a on prychał i odpowiadał: „Typowy szwindel przemysłu farmaceutycznego, który robi sobie reklamę”. Skandaliczne uwagi Dave’a zmuszały do skontrowania go, przez co człowiek grzązł w nie prowadzącym do niczego sporze, ulubionym środkiem komunikacji międzyludzkiej Dave’a.

- Jak możesz mówić, że nie ma takiego zwierzęcia jak borsuk? - krzyknął mój zdumiony brat.

- Bo nie ma. Zmyślili je. Zmyślony gatunek - utrzymywał Dave.

- To jakiś absurd. Oczywiście, że istnieje borsuk.

- A widziałeś kiedyś jakiegoś?

- No, nie, ale dużo ludzi widziało...

- Dużo ludzi widziało latające spodki i tak dalej. To nie znaczy, że istnieją. Widziałeś kiedyś borsuka, Norman?

- Tak, w filmach przyrodniczych.

- To się nie liczy. Ja widziałem kiedyś w telewizji latający spodek.

- Ja widziałem kiedyś borsuka w latającym spodku - dorzuciłem, co nie przyczyniło się do złagodzenia atmosfery.

- A ja widziałam kiedyś borsuka - zakomunikowała Nancy. - To znaczy martwego, rozjechanego na drodze.

- Każdy jeden mistyfikator potrafi podrobić martwego borsuka. To jest tak jak z kręgami w zbożu. Podrzucili ci tego borsuka właśnie po to, żebyś myślała, że borsuki istnieją.

W końcu mój brat poczuł się zmuszony przyznać, że być może takiego gatunku zwierzęcia nie ma, i usiłował zmienić temat. Pięć minut później usłyszałem jego oburzony okrzyk:

- Jak możesz twierdzić, że w latach czterdziestych nic się nie działo?

Siedziałem obok Nancy, która oznajmiła, że zdjęcia z naszych wakacji nareszcie wróciły z wywołania. Każdego roku w sierpniu jeździliśmy tłumnie pod namioty do Normandii i dzięki aparatowi fotograficznemu Nancy mieliśmy doskonale udokumentowane, jak wygląda jej kciuk w zbliżeniu. Na mniej ostrych odbitkach przyklejone były owalne naklejki z prawdopodobną przyczyną problemu: „Problem: obiektyw zasłonięty. Rozwiązanie: Nie pozwolić Nancy robić zdjęć. Trzymać Nancy jak najdalej od wszelkich zdobyczy techniki”.

- To może być następna rewolucja w fotografii - zasugerowałem. - Najpierw wymyślili aparat jednorazowego użytku, a teraz Nancy ich przebiła i wymyśliła zdjęcia jednorazowego użytku.

Wieczór płynął bardzo miło, wszyscy się śmiali i żartowali, kiedy rozpakowywałem dowcipne kartki i humorystyczne prezenty. Zauważyłem, że naprawdę dobrze się bawię.

- Co dostałeś od brata, Jimmy? - spytała Nancy.

- A, no, my już nie dajemy sobie prezentów... Tylko dzieciom kupuję - wyjaśniłem dyplomatycznie.

- Nie licząc tego roku - wtrącił się mój brat ze złośliwą miną i wyjął spod krzesła stare pudełko po butach. - Chociaż tak właściwie to nie jest ode mnie, tylko od ciebie...

Prezent od siebie? Co on gada? Wyjął z pudełka stos starych listów związanych wypłowiałą tasiemką i podał mi. Wokół stołu zapadła cisza, gdy wpatrywałem się zaskoczony w leżące na moich kolanach listy. Wszystkie koperty były zaadresowane do mnie, ale moim własnym pismem. A w każdym razie wczesnym wcieleniem mojego pisma, pretensjonalnie dorosłym, z kunsztownymi pętelkami i zamaszystymi zawijasami. Same listy były napisane na staroświeckiej maszynie do pisania. Nagle wszystko sobie przypomniałem. To były listy ode mnie do mnie, napisane ponad dwadzieścia lat wcześniej.

Kiedy przeglądałem pierwszą epistołę, zaczęło mi świtać, że pod koniec szkoły podstawowej, podczas jakichś szczególnie nudnych wakacji letnich, nie tylko zaplanowałem swoje przyszłe życie, ale również napisałem listy do dorosłego Jimmy'ego, w których dokładnie wytyczyłem każdy etap swojej drogi życiowej. Wielu nastolatków prowadzi sekretne dzienniki, notując w nich wszystko, co zrobili. Ja spisałem wszystkie rzeczy, które dopiero

miałem zrobić. Nie byłem nad wiek rozwiniętym nastolatkiem, tylko po prostu z wyprzedzeniem napisałem swoją autobiografię. W te epickie młodzieńcze fantazje wplotłem ostrzeżenia przed pewnymi niezdolnymi nawykami, które rozwijają w sobie dorośli. Niektórych pułapek udało mi się uniknąć, na przykład nie wydałem tysięcy funtów na budowę oranżerii. Ale może powód był taki, że nie miałem ogrodu, w którym mógłbym ją zbudować. Nie zmuszałem swoich dzieci do zwiedzania kościołów na wakacjach, co jednak wynikało z faktu, że nie miałem dzieci.

- Co to takiego, co tam jest napisane? - dopytywał się Dave.

- A, to tylko jakieś stare listy... - zbyłem go, mając świadomość, że wszyscy patrzą na mnie i czekają na wyjaśnienie.

- Znalazłem je w pudle z naszymi rzeczami, które mama wyniosła na strych - oznajmił mój brat. - Wygląda na to, że nie mając w dzieciństwie prawdziwego korespondencyjnego przyjaciela, Jimmy napisał całą serię listów do siebie jako dorosłego człowieka i schował je, żeby je przeczytać, jak będzie duży.

Pomruk zainteresowania wokół stołu.

- Dobrze, że nie wysłałeś ich pocztą - stwierdził Dave - bo jeszcze by nie doszły.

- Założę się, że niektóre przeczytałeś - powiedziałem zaniepokojony do mojego brata.

- Jak śmiesz mi imputować takie rzeczy! - oburzył się Nicholas. - Wszystkie przeczytałem!

- Przeczytaj nam trochę! Przeczytaj mam trochę! - domagała się Nancy.

- Listy powróciły do prawowitego właściciela - powiedziałem, wkładając korespondencję do pudełka po butach i wymownie zamykając je pokrywką - więc jeśli sądzicie, że dobrowolnie wystawię się na wasze kpiny, to grubo się mylicie.

Rozległy się jęki i błagania, ale byłem nieugięty.

- Wiedziałem, że tak powiesz - stwierdził Nicholas, po czym wyjął z kieszeni swetra jakieś kartki papieru i oznajmił: - Dlatego też w ramach urodzinowego programu rozrywkowego przygotowałem wybór najciekawszych kawałków!

Kiedy nasunął na nos okulary i rozłożył kilka kartek, sala zgotowała mu gromki aplauz.

- Czytaj na głos! Czytaj na głos! - skandowała groźna pijacka tłuszcza.

Nicholas uciszył ich monarszym gestem.

- „Drogi Jamesie!” - rozpoczął z szerokim uśmiechem.

- Jamesie? - zarechotał Dave. - Och, jak dystyngowanie!

- „To bardzo ważne, abyś jako multimilioner nie zapomniał o tych, którym gorzej się w życiu powiodło...”

Zdanie to wywołało wybuch szyderczego śmiechu. Nicholas przeczytał je jeszcze raz, ja zaś usiłowałam, chyba bez większego powodzenia, udawać człowieka, któremu nie przeszkadza, że ludzie trochę się z niego pośmieją.

- „Mimo że jesteś taki bogaty, powinieneś oprzeć się pokusie wyrzucania pieniędzy na rolls-royce’a albo ferrari”.

- Brawo, Jimmy, okazałeś się wierny swoim zasadom! - krzyknął Dave. - Czy jest tam mowa o nissanie Sunny z wieszakiem w roli anteny?

- Nie, nie, posłuchajcie - podjął Nicholas, tłumiąc wesołość. - „Zamiast tego powinieneś sprawić sobie ładny, ale skromny samochód, może typu austin Princess wujka Kennetha, a resztę pieniędzy rozdać - to znaczy nie wszystkie, tylko trochę, powiedzmy tysiąc funtów, starannie wybranym organizacjom dobroczynnym, które nie wydają zbyt dużo pieniędzy na administrację”.

Ten ostatni wymóg z jakiegoś powodu wywołał kolejną potężną eksplozję śmiechu. Normana wzięły takie konwulsje, że spadł ze stołka, a ja uśmiechnąłem się tylko, skinąłem głową i i zachnąłem się wyrozumiale z głupoty mojego dorastającego wcielenia. Przez chwilę miałem nadzieję, że fiknięcie Normana do tyłu odwróci uwagę ode mnie, ale stado hien wybrało już sobie ofiarę i wyło żądne krwi.

- „Konieczne może się jednak okazać założenie w austinie Princess przyciemnianych szyb, żebyś nie był stale rozpoznawany na ulicy, kiedy będziesz próbował prowadzić normalne życie, nie będąc ciągle nagabywanym przez fanów”.

Śmiech wymknął się spod kontroli i trącił już zbiorową histerią.

- „Szczególnie ważne jest to, żebyś nie patrzył z góry na zwykłych, anonimowych ludzi, tylko dlatego, że ich życie wydaje się takie nudne i nieciekawe. Wielu z nich, zwłaszcza weterynarze i tym podobni, robi wiele dobrego i chociaż Tobie wydaje się to takie mało romantyczne, gdyby nie ich przeciętność, Ty nie mógłbyś być taki wyjątkowy”.

- Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Jimmy - powiedziała Nancy. - Dzisiaj już zupełnie taki nie jesteś.

- Co, że nie jest milionerem i supergwiazdą? - zdziwił się Nicholas. - Ale odkryłaś Amerykę!

To wtedy przyszła mi do głowy straszna myśl. Wstydziłem się nie za to, co napisałem. U podstaw mojego poczucia upokorzenia leżała bezdenna przepaść między moimi niegdysiejszymi marzeniami a obecną rzeczywistością. W listach znajdował się scenariusz mojego wystąpienia w *To jest twoje wspaniałe życie*, ale zważywszy, w jak małym stopniu zrealizował się ten szczegółowy plan mojej kariery w show-biznesie, bardziej akuratywny byłby

tytuł *To jest twoje główne życie*.

Nicholas czytał kolejne fragmenty, ale ja już nie słuchałem. Obserwowałem siebie siedzącego w kręgu rodziny i znajomych, którzy krzyczeli, walili pięściami w stół i zapijaczonymi głosami wołali o więcej. Udając, że nadal jest to dla mnie pyszna zabawa, podkradłem Nicholasowi ostatni list i szybko włożyłem do pudełka. Odpowiedziałem na kilka poważnych pytań, na przykład, czy pamiętam pisanie tych listów i co zamierzam z nimi zrobić. Być może Carol poznała po moim wyrazie twarzy, że jej mąż posunął się trochę za daleko przy wszystkich moich rozrehotanych znajomych, bo z pewnym opóźnieniem usiłowała przyjść mi na ratunek.

- Nigdy nic nie wiadomo, może w przyszłym roku o tej porze będzie sławny. Pisze scenariusz, prawda, Jimmy?

- Naprawdę? - zdziwiła się Nancy. - O czym?

- E, dopiero pierwsze koty za płoty. Wolałbym nie mówić.

- Daj spokój, Jimmy, możesz nam powiedzieć - naciskał Norman.

- Tylko byście sobie jaja ze mnie robili.

- Nie, nie będziemy robić sobie jaj. O czym to jest?

- E, nie, naprawdę, wolę nie ryzykować, że ktoś ukradnie mi pomysł.

- Nikomu nie powiemy, słowo honoru - szepnęła Nancy.

- Musisz poćwiczyć opowiadanie fabuły, Jimmy. Sprzedanie swojego pomysłu to jedna z podstawowych umiejętności scenarzysty - wyjaśnił Nicholas.

Nicholas miał rację, a poza tym czułem się takim nieudacznikiem, że pilnie potrzebowałem zrobić coś, co pozwoliłoby mi odzyskać poczucie własnej wartości. Szklany pantofelek był gotowy - to ja miałem śmiać się ostatni, kiedy wszyscy zobaczą, jak idealnie pasuje na moją stopę.

- Okej. Chodzi o to, że scenariusz opiera się na konkretnej intrydze. To ma być połączenie komedii z thrillerem.

- Dobra, chłopie, masz dwie minuty! - zawołał Nicholas, nieudolnie naśladowując hollywoodzkiego magnata filmowego zaciągającego się cygarem.

- Dobra, wyobraźcie sobie coś takiego: milioner postanawia zamordować swoją żonę. Kiedy idzie do domu, żeby to zrobić, dowiaduje się, że jego żona została porwana. - Wokół stołu podniósł się pomruk zainteresowania. - Wszyscy mówią: „Zapłać okup!”, ale on odmawia. Mówi: „Nie wolno ulegać żądaniom zbrodniarzy!” Tylko publiczność wie, co nim naprawdę kieruje: chce, żeby porywacze wykonali za niego brudną robotę!

Rozłożyłem ręce w oczekiwaniu na aplauz, ale mój brat wyJ powiedział pięć

druzgoczących słów: „Coś takiego jak *Bezlitośni ludzie?*”

- Yyy, nie widziałem tego. Co tam się dzieje?

- Bogaty mężczyzna wraca wcześniej niż zwykle do domu, żeby zamordować swoją żonę, i dowiaduje się, że została porwana.

- Przestań, to nie jest śmieszne.

- Wszyscy mówią: „Zapłać okup”, ale on im odpowiada: „Nie wolno ulegać żądaniom tych ludzi!”

- A, tak, przypominam sobie - wtrąciła Nancy. - Danny de Vito i Bette Midler. To był bardzo dobry film.

Podjąłem desperacką próbę ocalenia mojego pomysłu przed tą miażdżącą rewelacją.

- Tak, ale w moim scenariuszu dowcip polega na tym, że to porywacze są zdesperowani, bo mają na głowie tego absolutnie nieznośnego jeńca, więc stale obniżają sumę okupu, żeby się pozbyć tej kobiety, ale mąż nie chce zapłacić ani grosza.

- Tak, zgadza się, tak to było, teraz wszystko mi się przypomina - powiedziała Carol.

- Aha, chyba wypożyczyłem to kiedyś na wideo - dobił mnie Dave.

Nie jestem pewien, czy do końca wieczoru jeszcze się odezwałem. To znaczy nie, pamiętam dokładnie, że kiedy mniej więcej po godzinie Nancy spytała szeptem: „Wszystko w porządku, Jimmy?”, mruknąłem: „Jasne”. Od czasu do czasu wypijałem łyczek piwa, czując, że śmiechy i rozmowy coraz bardziej się ode mnie oddalają, jak zwielokrotnione echem okrzyki na krytym miejskim basenie. Nie miałem już ochoty tam siedzieć. Tuż przed porą zamknięcia lokalu na stole pojawił się wielki tort, wszyscy zaśpiewali *Happy Birthday*, a ja zdmuchnąłem samotną świeczkę. Kolejny rok bez wysiłku unicestwiony. Tak, wszystkiego najlepszego z okazji twoich zasranych urodzin, Jimmy. Zsrany Danny de Vito. Ten buc podpieprzył mi pomysł. Kiedy w końcu dowlokłem się do domu, przeczytałem jeszcze kilka ze swoich nastoletnich listów, opisujących wspaniałe życie pełne sławy, sukcesu, bogactwa i uwielbienia tłumów. Potem poszedłem do półki z książkami i sprawdziłem w leksykonie ten zbrodniczy film. Znalazłem tam intrygę, na której opierałem wszystkie moje nadzieje. *Bezlitośni ludzie*. Cztery gwiazdki. Widzicie, wiedziałem, że to był dobry pomysł.

Potem wyrzuciłem scenariusz do kosza.

Drogi Jamesie!

Wiem, że minęły dopiero dwa dni od mojego poprzedniego listu, ale właśnie usiadłem do pracy wakacyjnej o Tudorach i pomyślałem, że najpierw szybko do Ciebie skrobnę. Większość mojej klasy na pewno zostawi sobie pracę wakacyjną na początek września, ale ja uważam, że lepiej jest mieć to szybko z głowy, niż odbębnić na łapu-capu w ostatniej chwili.

Nie wiem, gdzie będziesz jeździł na wakacje letnie, ale pewnie do jakiegoś ciepłego kraju, w którym będziesz miał fantastyczny dom z wyjściem prosto na ocienioną palmami plażę, ale w deszczowe dni skorzystasz z bardzo bogatej oferty kulturalnej. Jestem pewien, że nie należysz do osób, które każą swoim dzieciom spędzić dwa tygodnie u dziadków i nazywają to wakacjami. Poza tym nie jesteś męską szowinistyczną świnią, więc w niektóre dni pozwolisz Twojej żonie zdecydować, co będziecie robili, żebyście nie musieli spędzić całych wakacji na kłótniach. Traktujesz ją w dużej mierze jak równorzędną partnerkę, ale na szczęście ona lubi robić dokładnie to samo co Ty. Twoja żona przypomina feministkę, ale jest też piękna. Oczywiście nie tandetnie piękna. Poza tym jest bardzo inteligentna i pasowałoby jej, gdyby nosiła okulary jak Felicity Kendall w tym hipisowskim serialu *The Good Life*.

Twoje dzieci są takie jak Ty kiedyś. Nie rządzą się jak Twój brat Nicholas. Jesteś dobrym rodzicem, który zdaje sobie sprawę, że jego dzieci są dojrzałsze, niż jemu się wydaje, i pozwala im oglądać programy, które mogą zaszokować niektórych widzów, zwłaszcza tych oglądających telewizję całą rodziną. Twoja żona nigdy nie zabrałaby Twojego syna do damskiego fryzjera i nie kazałaby mu się strzyć obok nauczycielki francuskiego robiącej sobie fryzurę na sąsiednim fotelu.

Kiedy ktoś jest taki znany jak Ty, wydaje się, że nie ma na świecie miejsca, gdzie ludzie by go nie rozpoznawali! Niektórzy przypuszczalnie będą Ci zazdrościli bogactwa i sławy, bo trudno im zrozumieć, że krowie zawsze najbardziej smakuje cudza koniczyna. Z ich punktu widzenia może się wydawać, że dużo przyjemniej jest być bardzo bogatym, mieć wielki dom, móc kupować sobie wszystko, co się chce, być przedmiotem powszechnego uwielbienia i mieć wszystko na zawołanie. Z ich perspektywy takie życie musi się wydawać bardzo pociągające. Oni jednak widzą tylko pozytywne aspekty, a nie dostrzegają negatywnych, takich jak konieczność rozdawania autografów. Każdy styl życia ma swoje plusy i minusy. Niedługo znowu napiszę.

Przygnębienie, które mnie ogarnęło po przyjęciu urodzinowym, bez wątpienia pogłębiała świadomość, że nastoletni Jimmy tak wiele po mnie oczekiwał. Im dłużej czytałem te pełne pychy listy, tym mocniejsze było moje poczucie, że sprawiłem sobie ogromny zawód. Jeśli ktoś próbuje przewidzieć przyszłość, raczej nie ma większego sensu prorokować rzeczy

banalnych. Nikt nie byłby szczególnie zainteresowany Nostrodamusem, gdyby ten napisał: „A w krainie Anglów spadnie deszczu co niemiara. I wielki będzie płacz i zgrzytanie zębami, gdy autobusy wieczność całą nie będą przyjeżdżały, a potem zjawią się trzy naraz”. Patrząc na maluchy bawiące się klockami lego, mówimy: „Popatrz, wyrośnie z niego wybitny architekt”, a nie: „Będzie pracował w firmie budowlanej, ale w biurze, administrując zintegrowaną siecią informatyczną”. Nie miałem zatem problemów ze zrozumieniem, dlaczego przewidziałem dla siebie takie ekscytujące życie - pisanie o tym z pewnością sprawiało mi większą frajdę. A teraz powinienem się uśmiechnąć na widok tych naiwnych rojeń i pomyśleć: „Chwała Bogu, że nic z tego się nie sprawdziło, chwała Bogu, że jestem dziś tam, gdzie jestem”. Ale ja nie uważałem, że Bogu należy się za to pochwała. Z wielką rozkoszą wystąpiłbym w *To jest twoje wspaniałe życie*, wysłuchałbym litanii swoich sukcesów i udał, że się czerwienię po ujawnieniu przez prezentera, że bez mojej niestrudzonej pomocy schronisko dla wydr nigdy by nie powstało. Nadal rozpaczliwie pragnąłem być kimś. Oto historia sukcesu Jimmy’ego Conwaya, niestety istniejąca wyłącznie na papierze.

Czy pracownicy miejskiego przedsiębiorstwa kanalizacyjnego mówią sobie czasem: „W niezły kanał się wpakowałem?” Była trzecia rano w trzecią niedzielę września w deszczowym i wietrznym nadmorskim mieście Seaford. Przez całą noc wiatr gwizdał jak ścieżka dźwiękowa do *Scooby Doo*, otwierając i zamykając drewniane furtki i ciągnąc plastikowe torby po nadmorskiej promenadzie. Betty siedziała koło łóżka, patrzyła na mnie wyczekująco i trzęsa się z podniecenia, nie wiedząc, co się zaraz stanie.

- Idź spać, Betty - wymamrotałem.

Z niechęcią powlokła się na swój worek. Lubiła przed spaniem pochodzić w kółko kilkaset razy, skrzypiąc styropianowymi kulkami w worku, co kojarzyło mi się z jakąś starożytną chińską torturą dla drażliwców cierpiących na bezsenność.

Mecze piłkarskie najczęściej zaczynają się o trzeciej po południu, a szkoła o dziewiątej rano, trzecia w nocy to uświęcona zwyczajem pora na tradycyjne rozmyślania pod hasłem „W którym miejscu spaprałem sobie życie?” Nie ma lepszej pory od tej apatycznej nadrannej samotności na wejście do najwnętrznieszej pieczary żalu nad sobą i swoim życiem. Powinni wypuścić na rynek specjalne demobilizujące czy też „odwartościowujące” kasety, które człowiek puszczałby sobie w sytuacjach, gdyby obudził się w środku nocy i nie był całkowicie przekonany o własnej bezwartościowości. Na tle dalekich fletni Pana i tajemniczego podzwaniania Kalifornijczyk o łagodnym, ale stanowczym głosie komunikowałby autorytatywnie: „Jesteś nic nie wartym śmieciem. Nic nie osiągnąłeś. Twoje życie to jedna wielka katastrofa, co masz do zawdzięczenia tylko i wyłącznie sobie samemu”. Podobno ponad

50 procent samobójstw popełnianych jest nad ranem. Jestem pewien, że gdyby udało się wylansować mój pomysł na odwartościowujące kasety, liczba ta wzrosłaby o dalsze dziesięć punktów.

Z wiekiem człowiek coraz dobitniej zdaje sobie sprawę, że przepaść między jego osiągnięciami a nadziejami nigdy nie zostanie zasypana. W codziennym życiu człowiek udaje, że odzyska stracony teren i nagle wskoczy jak z katapulty do tej czarodziejskiej krainy o nazwie „Sukces”. Po trochu jednak z jego podświadomości do świadomości przenika następująca myśl: oto twój los, oto kim jesteś, oto twoje życie. Ja stale żyłem w poczuciu, jakie nas ogarnia, kiedy zgubimy się, jadąc samochodem, ale brniemy dalej w niewłaściwym kierunku, mając nadzieję, że gdzieś z przodu będzie skrzyżowanie albo drogowskaz.

Być może to poczucie narastającego rozczarowania nikomu nie jest obce. Aleksander Wielki podbił cały znany świat przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Czy leżał o trzeciej w nocy i myślał sobie: „Kurka, zawsze myślałem, że w tym stadium życia będę już znacznie dalej ze swoją karierą...” Czy Michał Anioł miał wrażenie, że renesans przeszedł mu koło nosa? Teoria ta nie przyniosła mi pociechy, ponieważ niepodobna było zaprzeczyć, że w odróżnieniu od tych niefortunnie dobranych postaci nie podbiłem Persji ani nie pomalowałem Kaplicy Sykstyńskiej. W większość dni suma moich osiągnięć sprowadzała się do wyprowadzenia psa na spacer, do czego czasem dochodziło poodkurzanie schodów. Młodość jest jak poranek: jeśli dobrze nie zstartujesz przed lunchem, grozi ci, że zmarnujesz cały dzień. Cóż, ja okres między dwudziestką i trzydziestką najwyraźniej spędziłem na myciu naczyń po śniadaniu, czytaniu gazety i wypijaniu drugiej herbaty, a potem nagle przyszła w moim życiu pora lunchu, ja zaś wciąż jeszcze byłem ze wszystkim w lesie.

Skąd ci sławni ludzie wiedzieli, w jakiej dziedzinie powinni zrobić karierę? Czy talent do czegoś automatycznie popycha człowieka w stronę ujścia dla tego talentu? A może tylko szczęśliwy traf daje wielkim ludziom do ręki środki, które pozwalają im urzeczywistnić swoje walory? Gdyby tata Beethovena posłał go na kurs walki wręcz zamiast na lekcje gry na fortepianie, to czy młody Ludwig wyrósłby na dosyć przeciętnego zapaśnika sumo? Gdyby Kasparow dostał zamiast szachów jakąś inną grę, czy odnalazłby swój prawdziwy talent, czy też zostałby arcymistrzem gry w skoczki? Może dziedzina, w której miałem osiągnąć wielkość, jeszcze nie została odkryta. Co wybitni snajperzy piłkarscy robili ze sobą, zanim wymyślono futbol? Wydaje się trochę niesprawiedliwe, że Marii królowej Szkotów obcięto głowę za niezbyt udolne królowanie - skąd wiadomo, czy jej prawdziwy talent nie predestynował jej do roli najwybitniejszej bramkarki swego pokolenia? Gdyby przepisy UEFA sformułowano czterysta lat wcześniej, być może reprezentowałyby swój kraj na kobiecych mistrzostwach

świata w piłce nożnej i została bohaterką całej Szkocji, po obronieniu trzech rzutów karnych w meczu finałowym przeciwko Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu.

W odróżnieniu od mojego, życie Nicholasa zawsze przebiegało zgodnie z planem. Po ukończeniu studiów z dobrym wynikiem przyszła dobra praca i ładne mieszkanie, ożenił się z uroczą kobietą, miał dwójkę dzieci i teraz wiodł szczęśliwe życie w fantastycznym domu. Co za niesprawiedliwość! Dlaczego mama nie krzyczała z kuchni: „Nicholas! Teraz pora na Jimmy’ego, żeby miał dobre życie!” W dzieciństwie dręczyliśmy się, kłóciliśmy i walczyliśmy ze sobą jak dwaj więźniowie mieszkający razem w ciasnej celi i przegrywałem każde starcie. Był silniejszy, mądrzejszy, bardziej doświadczony, bardziej pewny siebie i po prostu starszy ode mnie. W pewnym okresie jego hegemonia znajdowała bardzo dobitny wyraz. Przez jakieś półtora roku chyba ani razu się nie zdarzyło, żeby Nicholas pierdnął, nie wytropiłszy mnie wcześniej, nie obaliwszy mnie na ziemię i nie usiadłszy mi na głowie, żeby wreszcie zdetonować bombę gazową z triumfującym „Tak!” Przez osiemnaście ponurych miesięcy tylko w takich okolicznościach uważał za słuszne i właściwe sobie popuścić: z tyłkiem przyciśniętym do głowy braciszka. Magazynował wiatry, szukał mnie po całym domu i ogrodzie, wywracał na ziemię, przytykał zad do mojej głowy i bryzgał falą metanu, podczas gdy ja wyrwiałem się i protestowałem. Czasem od tego bestialstwa zaczynał się mój dzień. Budził mnie nie delikatny pocałunek matki, nie melodyjny śpiew ptaków sączący się z wiejskiego ogrodu, lecz głośne pierdnięcie wystrzelone prosto w bębenek mojego ucha z najmniejszej możliwej odległości, okraszone radosnym rechotem mojego starszego brata.

Dla socjologa, który chciałby ustalić porządek hierarchiczny panujący w tym konkretnym środowisku, gazowa supremacja mojego brata stanowiłaby nieomylną wskazówkę, że Nicholas lokuje się wyżej ode mnie na drabinie społecznej. Gdyby politolodzy obserwowali posiedzenie Rady Europy i próbowali ocenić tamtejszy układ sił, stosowanie przez ministrów tego rodzaju języka ciała z pewnością skierowałyby ich na właściwy trop.

- Hm, obaj mówią po francusku, ale które kraje reprezentują?

- O, popatrz, jeden minister właśnie się zerwał, wywrócił drugiego na podłogę i pierdnął mu w głowę. To znaczy, że jest delegatem Francji, a ten drugi Luksemburga.

Mój brat bezdyskusyjnie był szefem, panem, fuhrerem. Mao powiedział kiedyś, że wszelka władza pochodzi z lufy pistoletu. U nas w domu wszelka władza pochodziła z tyłka mojego brata.

Rzecz jasna, to rytualne upokorzenie było możliwe tylko z braku *pax parentis* - prawdziwi dzierżyciele władzy w naszej rodzinie nie robili nic dla zagwarantowania podstawowych praw pozostającego pod ich nominalną opieką słabszego z rodzeństwa. Mogłem

protestować i łkać: „Mamo! Nicholas znowu pierdnął mi w głowę!”, ale w jej oczach zawsze byłem współodpowiedzialny za urągający ludzkiej godności akt, w którym brałem udział.

- Przestańcie się kłócić, wy dwaj! Coś okropnego! Jesteście siebie warci!

Wyznawałem wtedy opinię, którą do dzisiaj podtrzymuję, chociaż nikomu się z nią nie narzucam, że nie byliśmy „siebie warci”. On był pierdzącym, a ja opierdywanym. A kiedy ktoś przez półtora roku używa twojej głowy jako amortyzatora do pierdzenia, nadweręża to twoje poczucie własnej wartości. Eleanor Roosevelt powiedziała: „Nikt nie może sprawić bez twojej zgody, żebyś poczuł się gorszy”. Chętnie bym się przekonał, czy nie śpiewałaby inaczej, gdyby jej brat siedział na niej i pierdził do jej prawego ucha. Zapewniam was, że w tym układzie bardzo trudno jest zachować godną i dystygowaną postawę.

Cyfrowy zegar mrugnął i zrobiła się czwarta rano. Pomyślałem o Billym Scrivensie: bogatym i powszechnie lubianym człowieku, który odniósł w życiu sukces. Z pewnością zrealizował wszystkie swoje pragnienia. Miał swój program telewizyjny, pisał książki, założył własną fundację, jego najnowsza płyta znalazła się na pierwszym miejscu w rankingach, a na dodatek każdego zasranego ranka biegał. Jak inni ludzie - znajdują czas, żeby tyle osiągnąć? Mam teorię, że nikt inny na tym świecie nie śpi. Sprzysięgli się ze sobą i mówią mi, że bym się położył, ale jak tylko zamknę oczy, reszta znowu wstaje i ćwiczy grę na fortepianie, wkuwa uczone łacińskie zwroty albo czyta powieści. Potem idę na imprezę i wszyscy dyskutują o najnowszej powieści Martina Amisa albo rozmawiają po rosyjsku z gościem z Moskwy, a ja myślę sobie: „Yyy, gdyby ktoś chciał, żeby powtórzyć mu słowo w słowo któryś skecz Monthy Pythona, to jestem do dyspozycji”.

Teraz, kiedy dogłębnie rozważyłem tę sprawę, wydało mi się dziwne, że ktoś tak zapracowany i znany jak Billy Scrivens znajduje czas na bieganie. Żyłem w przekonaniu, że superboga, ci płacą innym za to, by robili za nich te wszystkie nudne rzeczy. Zakupy, gotowanie, sprzątanie, odpisywanie na listy... Gdybym był milionerem, pierwszą rzeczą, którą zleciłbym komu innemu, byłoby bieganie. Może istotne jest nie te pół godziny aktywności fizycznej, ale wpływ tej gimnastyki na resztę spędzanego przez nas czasu. Może powód, dla którego dzień po dniu jakoś nigdy nie udawało mi się nic osiągnąć, był taki, że nie zabierałem się od rana za życie z dostatecznym wigorem. Czy dlatego stale widzi się zdjęcia wielkich tego świata, takich jak Billy Scrivens i prezydent USA, uprawiających jogging? Gdybym ja także zaczynał od jakichś wymagających wysiłku ćwiczeń, to może reszta dnia przebiegałaby równie dynamicznie. Wracałbym do domu naładowany energią i gotowy wziąć się za bary ze wszystkimi obowiązkami, od fajkowywałbym każdy punkt na liście rzeczy do zrobienia, po czym zasiadałbym na chwilę nad tomikiem poezji przed lekcją szermierki.

Podjąłem postanowienie. Od tej pory zamiast zwykłej porannej gimnastyki (delikatnego przewracania stron gazety i popijania herbaty) będę zrywał się z łóżka o szóstej i niezależnie od pogody urządzę sobie energiczną przebieżkę wzdłuż plaży i po klifach. Start za dwie godziny. To jest to: początek nowego, dynamicznego trybu życia. Nastawiłem budzik. Pytanie, jak naprawić moje życie, nareszcie zyskało odpowiedź, dzięki czemu poczułem się na powrót pogodzony z wszechświatem...

Jechałem pociągiem parowym z moim dawnym nauczycielem matematyki, kiedy z dworcowych głośników rozległ się dźwięk łudzaco podobny do dzwonienia mojego budzika. A potem się obudziłem. Spojrzałem na zegar - była szósta. Przygnębiło mnie, że budzik przez pomyłkę uruchomił się za wcześnie, a potem wpadłem w depresję, kiedy sobie uświadomiłem, że tak nie było. Dobra, już, Jimmy, wstawaj! Idziesz teraz pobiegać! Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia, ruszaj do boju, chwytaj byka za rogi, znajdź w sobie odwagę...

Na chwileczkę zamknąłem oczy, a potem chyba zostałem porwany przez kosmitów albo wessany do zakrzywienia czasoprzestrzeni, bo chociaż natychmiast z powrotem je otworzyłem, budzik usiłował mi wmówić, że jest trzy godziny później. Cyferki „9:15” świeciły do mnie szyderczo tą denerwującą cyfrowozegarową czcionką, która wyglądała umiarkowanie futurystycznie przez jakieś pięć minut w 1973 roku. Dziesięć minut później gnałem chodnikiem w stronę plaży, ciągnięty przez sukę rasy border collie, która nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Betty wlokła mnie za sobą szybciej, niż potrafiłbym biec, ale tylko do momentu, gdy poczuła woń porzuconego jedzenia - w takiej sytuacji nagle deptała po hamulcach, o mało nie wyrywając mi ramienia ze stawu, i nie chciała się ruszyć choćby o milimetr.

Betty była całkiem wybredna kulinarnie, w tym sensie, że jadła tylko rzeczy, które w jakiejś fazie swego istnienia były żywnością. Skonsumowanie patyka albo starej japonki wyrzuconej na plażę byłoby poniżej jej psiej godności. Ale jeśli chodziło o coś jadalnego, na przykład w jakimś poprzednim wcieleniu będącego ludzką kolacją, bez uprzedzeń podchodziła do kwestii formy, w jakiej potrawa została podana. Oto jej ulubiony przepis z *Larousse gastronomiaue de Betty*: weź jedną nóżkę kurczaka z KFC, usuń większość mięsa i na kilka tygodni wrzuć do rowu, aż porządnie zgnije. Zaleca się przed podaniem posypać zepsutą kość cienką warstwą ziemi i mrówek, a następnie połknąć w całości, dławiąc się gwałtownie.

Zanim dotarliśmy do ścieżki, która prowadziła w górę na klify, nie mogłem już biec. Spuściłem Betty ze smyczy i na miękkich nogach ruszyłem wykończony pod górę. Podkoszulek i szorty miałem przepocone, a tenisówki ślizgały się na rozmokłej, wystrzyżonej przez króliki trawie. W moich dotychczasowych wyobrażeniach właśnie tutaj pędziłem ku

horyzontowi, od czasu do czasu wyprzedzając mniej energicznych sportowców. W rzeczywistości byłem zwinięty w pół z wyczerpania i miałem mdłości. Co za idiota, myślałem, wlokąc się ze świszczącym oddechem po ścieżce: tak się namęczyć, żeby ponieść kolejną porażkę.

Pod górę maszerowało stado zdeterminowanych piechurów. Wyprzedzili mnie z takimi minami, jakbym blokował im drogę na schodach ruchomych, a ich zdecydowany krok i ostentacyjny rytm ramion demonstrowały światu, że oni „idą”, podczas gdy ja powłóczę nogami bez celu. Jak to możliwe, żeby wzbudzić w kimś poczucie, iż źle wykonuje czynność tak elementarną jak chodzenie? Żyłem w przekonaniu, że przynajmniej tę umiejętność udało mi się jakiś czas temu opanować, ale najwyraźniej byłem w błędzie. Na czele sfory maszerował pewny siebie przewodnik z zawieszoną na szyi mapą topograficzną w plastikowej koszulce. Dlaczego ci tropiciele ścieżek nie mogą nam powiedzieć, w którą stronę powinniśmy się udać w naszym codziennym życiu? Kilka lat wcześniej bardzo by mi się przydały wskazówki tego gościa.

- Nie, Jimmy, zawracaj, źle skręciłeś. Powinieneś się kierować w stronę tego miasta i zgłosić się do pracy pod ten adres. Za biurkiem po twojej lewej ręce będzie siedziała niejaka Linda. Zaprosisz ją na drinka, a rok później oświadczysz się jej i będziecie mieli trójkę dzieci, Polly, Seana i Samanthę. Wszystko jasne?

Kiedy zdyszany zdobyłem pierwszy szczyt, odwróciłem się, żeby sprawdzić, jaki dystans pokonałem. Wśród wzgórz w kierunku klifów leżało niewielkie pole golfowe. Paru zawodników rozglądało się wokół ze zdezorientowanymi minami, podczas gdy Betty pędziła przez wierzchołek wzgórza z niewielkim białym przedmiotem w pysku. Na parkingu u stóp wzgórza stała furgonetka z dużą anteną satelitarną na dachu, widok dosyć niezwykły na takiej kulturalnej pustyni jak Seaford. Może transmitowali na żywo aukcję antyków w sklepie z protezami. Znowu zacząłem biec. Postanowiłem skierować się w lewo. Akurat tak się złożyło, że na tamtej ścieżce spotkałem poprzedniego dnia Billy'ego Scrivensa, ale gdy osiągnąłem szczyt wzgórza, zobaczyłem grupkę nieznajomych ludzi, którzy wydawali się dziwnie nie na miejscu. Elegancka kobieta w płaszczu, który lepiej by pasował do reprezentacyjnych ulic Londynu czy Brighton niż do wyjących wiatrów South Downs, stała przed kamerą telewizyjną z ponurą i ważną miną, a dwie trochę mniej ważne osoby rozmawiały przez telefony komórkowe, przyciskając do piersi podkładki z klipsem na papiery.

Nie imponowały mi takie rzeczy, więc nie zboczyłem z obranego kursu. Mniej więcej półtorej sekundy później odwróciłem się w nadziei, że zobaczę coś, co przybliży mnie do rozwiązania tej zagadki: co też mogło sprowadzić ekipę kręcącą film dokumentalny - bo tak to

wyglądało - na szczyt rozmokłego wzgórza w East Sussex?

- Czy to jakaś akcja charytatywna? - spytałem dziewczynę w grubym anoraku z podkładką na papiery pod pachą.

Przedwczesna śmierć znanych ludzi zawsze szokuje. Ich sława budzi w nas poczucie, że są nam bliscy, toteż tragedia ta dotyka nas osobiście. W moim przypadku było jednak inaczej. Naprawdę nie zaliczałem się do szarego tłumu zwykłych widzów Billy'ego Scrivensa. Dzień wcześniej na tym samym wzgórzu zamieniłem z nim parę słów. A dzisiaj przyszedłem tutaj pobiegać - tak, teraz się do tego przyznaję: miałem nadzieję, że znowu na niego wpadnę, nie mając pewności, co powiem, jeśli tak się stanie. Tymczasem dowiedziałem się, że parę godzin wcześniej on tutaj joggował, poczuł się źle, wrócił do domu, dostał ciężkiego zawału serca i zmarł.

- Boże, nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z nim w tym miejscu...

- Naprawdę? - podnieciła się dziewczyna z podkładką, po czym zawołała do prezenterki:

- Maggie! Ten facet znał Billy'ego Scrivensa!

Jej szefowa podeszła do nas i uścisnęła mi rękę.

- Maggie Belfitt, BBC News South. Miło pana poznać. Bardzo smutna wiadomość.

- Tak. Nie mogę w to uwierzyć. Rozmawiałem z nim tutaj nie dalej jak wczoraj.

- Miał zaledwie czterdzieści lat...

- Boże. Rozmawiałem z nim tutaj nie dalej jak wczoraj. Skinęła ze współczuciem głową, ale dostrzegłem w jej oczach to nieco wymuszone zatroskanie osoby, której przyszło rozmawiać z krewnym chorym na Alzheimera.

- Czy Billy był równie zapalonym biegaczem jak pan? Zakwalifikowanie mnie do kategorii zapalonych biegaczy tak mnie zachwyciło, że wystąpiły zakłócenia transmisji między moim mózgiem a ustami.

- Yyy, no, biegał wczoraj i dzisiaj też, więc chyba był w niezłej formie. Znaczy, poza tym że miał zawał. No i, eee, znaczy, że umarł.

Kamerzysta z oburzeniem i niedowierzaniem pokręcił głową.

- Przepraszam - powiedziałem do producentki. - To był niezamierzony żart.

- Nic nie szkodzi. Billy doceniłby humorystyczną stronę pana wypowiedzi.

- Tak, chyba doceniłby, prawda? - odparłem, już wykorzystując jego śmierć dla usprawiedliwienia swoich poczynań.

Stwierdzenie producentki jeszcze dobitniej mi uzmysłowiło rozmiary tragedii: Billy Scrivens, nasz narodowy skarb, zmarł u szczytu sławy, i to zupełnie nieoczekiwanie.

- Czy nie zechciałby pan powiedzieć paru słów do kamery?

- Ja? - osłupiałem. - Ale co miałbym powiedzieć?

- To samo, co przed chwilą - że biegał tutaj nie dalej jak wczoraj i jakim to jest dla wszystkich szokiem. I wie pan, coś od siebie o Billym Scrivensie.

Bulwersująca rzeczywistość śmierci tego gwiazdora zdawała się niemal zauważalnie przeobrażać w bezwstydną dramaturgię z dreszczykiem, w którym ja właśnie zostałem zatwierdzony do zagrania drugoplanowej roli. Naturalnie wiadomość o śmierci Billy'ego Scrivensa wzburzyła mnie, ale równocześnie wprawiła w jakieś perwersyjne podniecenie. Tragedia narodowa z moim udziałem. Kiedy cały naród na chwilę jednoczy się w bólu, wszyscy chcemy znaleźć się możliwie jak najbliżej tragicznego wydarzenia.

„Oczywiście dla mnie było to szczególnie wstrząsające. Zaledwie trzy lata wcześniej zwiedzałem jedną z Twin Towers”.

A teraz poproszono mnie, żebym wystąpił w roli tej szczególnej osoby. Moja niemalże bezpośrednia styczność z tym dramatem wzbudziła we mnie poczucie, że jestem bohaterem.

Betty wsadziła nos do króliczej jamy i wiedziałem, że jeśli jej nie zawołam, będzie tam grzebała i węszyła godzinami.

- Yyy, tak, naturalnie - wydukałem.

Chyba nie udało mi się stworzyć wrażenia, że występy przed kamerą to dla mnie chleb powszedni.

- Genialnie, dzięki. - A potem zawołała: - Mike! Ten pan powie parę słów do kamery. Joggował tutaj z Billym Scrivensem.

Nie byłem do końca pewien, co miała na myśli. Że w niektóre dni przypadkowo biegałem po Downs w tym samym czasie co Billy Scrivens czy że biegaliśmy ramię w ramię, rozmawiając o życiu, a potem mobilizując się nawzajem w stylu amerykańskich komandosów, żeby pomóc jeden drugiemu przekroczyć barierę zmęczenia?

- Mogłabyś pana trochę przypudrować, Melissa? Jak myślisz, Mike, z morzem w tle...

Nagle poczułem się ważnym i ciekawym człowiekiem. Piękna blondynka pochylała się nade mną, wycierała mi pot z czoła i nakładała mi tam puder. Było to zaskakująco intymne przeżycie.

- Będzie dubel? - spytała.

- Dlaczego ma być dubel? - obruszyłem się. Kamerzysta pokręcił głową ze zgryźliwym politowaniem i bluznął coś pod nosem na mój temat. Rozważali kwestię, czy przypiąć mi do podkoszulka mikrofon. Kamerzysta spojrzał tylko znacząco na przesiąkniętą potem bawełnę - nie miał zamiaru narażać swojego sprzętu na kontakt z moimi obrzydliwymi wydzielinami. W końcu przyczepił długi mikrofon do kamery, sprawnie go mocując niby piankowy bagnet.

Mogliśmy zaczynać.

- Dobra, Jimmy. Niech mi pan powie, co pan jadł na śniadanie - powiedział kamerzysta.

Nie byłem pewien, czy transmitowany na cały kraj materiał Jutrafi we właściwy ton, jeśli będzie zawierał następującą wypowiedź sąsiada zmarłego: „Niech się zastanowię, zjadłem miskę mleka z płatkami kukurydzianymi, bo skończyły mi się kulki czekoladowe, aha, no i połówkę batonika miisli, który znalazłem w schowku na chleb”.

Maggie zorientowała się, że jestem zaskoczony, i wyjaśniła:

- Chodzi o ustalenie poziomu dźwięku.

- A, rozumiem. - Mam szansę błysnąć dowcipem, pomyślałem, pokazać im, że mam nie tylko nogi, ale też głowę na karku. - Yyy, zjadłem płatki z mlekiem - wydukałem.

To się tylko tak łatwo mówi - błysnąć dowcipem.

- Dobra, Jimmy, zadam panu pytanie, ale to się wytnie, więc pana odpowiedzi muszą tworzyć zamkniętą całość, okej?

Nie całkiem załapałem, ale skinałem głową.

- Jimmy, kiedy po raz ostatni widział pan Billy’ego Scrivensa?

- Wczoraj!

Poznałem po ich minach, że nie dostanę zbyt wielu punktów za poprawną odpowiedź na zadane pytanie.

- Hm, przepraszam, Jimmy, jeszcze raz panu wyjaśnię: mojego pytania nie będzie w wyemitowanym materiale, więc pana „wczoraj” nie będzie miało żadnego sensu. Mógłby pan trochę rozwinąć temat? Czy Billy wyglądał normalnie? Rozmawialiście o zwykłych sprawach?

Naprawdę sądziła, że go znałem. Przyszedł czas, żeby zejść z anteny i przedstawić prawdziwy stan rzeczy. Maggie czekała na moją odpowiedź. Zerknąłem na ładną asystentkę, która patrzyła na mnie ze smutkiem i współczuciem, bo byłem dla niej człowiekiem, który właśnie stracił starego znajomego. Widziałem cały sprzęt: monitor, kable, kamerę wycelowaną prosto we mnie.

- Rozmawiałem z Billym nie dalej jak wczoraj - powiedziałem smętnym głosem. - Był w świetnej formie, to dla nas wszystkich absolutny szok...

- Czy w życiu był tak samo zabawny jak na ekranie? - spytała skwapliwie Maggie.

Teraz było już za późno na sprostowania. Każda godzina pracy ekipy kosztowała zapewne tysiące funtów. Musiałem przyjąć reguły gry i dać im to, czego chcieli. Co z tego, że trochę podrasuję nasze wczorajsze krótkie spotkanie na Downs? Powiem o Billym wyłącznie pozytywne rzeczy. Nie planuję nikomu zaszkodzić ani zarobić pieniędzy na tym małym kłamstwie. Postanowiłem odrzucić precz skrupuły i postarać się jak najlepiej. Z maksymalnym

skupieniem zacząłem mówić powoli, najpoczątkowo najpoczątkowo, na jaki było mnie stać:

- Billy był świetnym facetem. Prawdziwym profesjonalistą i jednym z tych rzadkich komików, którzy prywatnie umieli ludzi rozśmieszyć nie gorzej niż w telewizji...

Coś niewiarygodnego. Słowa te wychodziły mi z ust automatycznie, jakbym od nieustannego oglądania telewizji podświadomie nauczył się jakiejś typowej mowy pogrzebowej. „Świetny facet” - normalnie nie używałem słowa „facet”. Skąd mi się to wzięło? Paul McCartney tak określił innego eksBeatlesa? Tony Blair tak żegnał zmarłego kolegę z rządu?

- I chociaż na zawsze pozostanie w pamięci jako ten, który niósł radość i śmiech milionom widzów, nie zapomnimy też o niestrudzonej pracy charytatywnej Billy’ego. Będzie go nam wszystkim bardzo brakowało.

A potem potrząsnąłem ze smutkiem głową, patrząc w ziemię z nieznacznie rozchyłonymi ustami, jakbym wciąż nie mógł uwierzyć w tę tragedię.

Spisałem się doskonale, tego byłem pewien. Zaskoczony swoim genialnym występem, zdałem sobie sprawę, że moja wypowiedź tak naprawdę w znikomym stopniu oddawała autentyczny szok i smutek, jaki wzbudziła we mnie wiadomość o śmierci „sąsiada”. W końcu Billy Scrivens przez tyle lat mówił do mnie z ekranu telewizora w moim salonie w każdy sobotni wieczór, toteż naprawdę czułem się tak, jakbym stracił kogoś bliskiego.

- Znakomicie pan wypadł, Jimmy, bardzo panu dziękuję! - powiedziała producentka, dotykając mnie ze współczuciem w ramię. - Na pewno jest pan bardzo zasmucony.

- Yyy, tak, no, wie pani, rozmawiałem z nim nie dalej jak wczoraj.

- Mhm.

W jej głosie pobrzmiwała delikatna sugestia, że kiedyś już o tym wspomniałem. A potem:

- Jimmy, czy moglibyśmy pana sfilmować, jak pan biegnie na dół? - zaproponowała takim tonem, jakby to był najlepszy hołd, który mógłby sobie wymarzyć Billy.

- Słucham?

- Damy przebitkę, pod którą podłożymy wyjaśnienie, kim pan jest. Gdyby pan mógł podbiec do nas od tamtej ławki.

- A, rozumiem. Em, dobra. Czy już wiem, że Billy nie żyje?

- Yyy, Mike, jak myślisz, powinien być smutny czy ma wyglądać normalnie?

- Hm, chyba neutralnie, znaczy nie za wesoły, ale bez szlochów.

Po swojej perfekcyjnie wygłoszonej przemowie „Jimmy-Jedno-Ujęcie-Conway” czuł

się na siłach wykonać takie proste zadanie jak zbiegnięcie ze wzgórza. Przyglądałem włosy, podciągnąłem skarpetki i próbowałem biec z wdziękiem i w sportowym stylu. Wyobrażałem sobie muzykę z *Rydwanów ognia* jako podkład dźwiękowy mojego biegu na tle horyzontu.

- Hm, było w porządku, Jimmy, ale z jakiegoś powodu biegł pan w zwolnionym tempie. Mógłby pan to powtórzyć, tylko tym razem gdyby pan spróbował biec ociupinkę bardziej naturalnie, dobrze? Niech pan spróbuje zapomnieć o kamerze, okej?

Poczułem, że się czerwienię. Miałem nadzieję, że przypiszą to wysiłkowi, chociaż moja leniwa przebieżka specjalnego wysiłku nie wymagała. Dobra, zapomnij o temacie z *Rydwanów ognia*, mówiłem sobie, wracając do ławki. Kiedy dali mi znak, że są gotowi, pobiegłem ku nim znacznie szybciej, nie chcąc powtarzać swojego błędu. Śmignąłem obok kamery jak Jesse Owens na spidzie.

- Hola, hola! - krzyknęła Maggie. - Wyszedł pan z domu, żeby się trochę przebiec, to nie jest sprint na igrzyskach olimpijskich!

- Przepraszam, przepraszam, przesadziłem w drugą stronę!

- Nie szkodzi, niech się pan nie przejmuj. Niech pan chwilę odpocznie, a jak pan będzie gotowy, proszę przybiec do nas od ławki swoim normalnym tempem.

- Przepraszam, jestem trochę stremowany...

- Niech się pan nie przejmuj - powtórzyła.

Zauważyłem, że zerknęła na zegarek, natomiast pogarda kamerzysty do mnie sięgnęła zenitu. Splunął na ziemię, jakby żadne słowa nie mogły jej wyrazić.

- Normalny jogging - powiedziała Maggie.

Trudno uwierzyć, że zwykłe bieganie może okazać się takie trudne, ale jakoś nie miałem już tego we krwi. Każdy krok był sztuczny i wysiłony. Nagle nie mogłem sobie przypomnieć, jaki dystans powinienem pokonać każdym krokiem, jak wysoko podnieść kolana, jak daleko machać ramionami. Paraliżował mnie krępujący obraz siebie podskakującego na ekranach telewizorów niby drewniana marionetka z jakiegoś programu telewizyjnego dla dzieci emitowanego w latach pięćdziesiątych. Trudno było skoncentrować się na zagadnieniu, którą kończyną należy w danym momencie poruszyć, przy jednoczesnej konieczności odpowiedniego dobrania wyrazu twarzy. Zdecydowałem się na pełną determinacji sylwetkę z gatunku „samotność długodystansowca” i ruszyłem w stronę kamery z melancholijną miną joggera, który właśnie stracił kogoś bliskiego. Doskonale!, pomyślałem. Kamerzysta odwrócił się do producentki i powiedział, nie zniżając głosu:

- No nie, zasrany idiota spojrzął do kamery.

- Przepraszam, Jimmy, należało panu powiedzieć. Niech pan nie patrzy do kamery,

tylko prosto przed siebie i biegnie też prosto przed siebie.

- Aha, dobra, czyli mam oczy utkwione w wyimaginowanym przedmiocie na lewo od optyki.

- Świetny pomysł!

Zwróćcie uwagę, że powiedziałem „na lewo od optyki”, a nie „na lewo od kamery” - już po paru minutach w show-biznesie odruchowo podchwyciłem branżowy żargon. Powtórzyłem swój sprint, zgodnie z poleceniem biegnąc prosto przed siebie. Potem jednak pomyślałem, że może kamerzysta obrócił kamerę i filmuje moje znikanie w sieni dali, więc uznałem, że nie powinienem się zatrzymywać.

Ja o tym nie wiedziałem, ale ekipa przestała filmować i zebrała się wokół monitora, żeby sprawdzić nakręcony materiał. Dlatego też nie zauważyli, że pędzę w dół wzgórza, nie mając odwagi zwolnić, żeby nie zepsuć kolejnego ujęcia albo nie zostać pokazanym w telewizji publicznej jako dosyć ślamazarny jogger. Jakąś minutę później producentka oderwała wzrok od monitora, żeby zapytać mnie o opinię, zorientowała się jednak, że nie ma mnie koło niej, bo nadal biegnę co sił w nogach w stronę klifu i rozpaczliwie czekam, aż ktoś krzyknie: „Cięcie!” Zdążyli przywołać mnie z powrotem, zanim dotarłem do oddalonego o siedem mil Beachy Head.

- Czy są jeszcze jacyś inni joggerzy, którzy mogli widzieć wczoraj Billy’ego?

W tym momencie zobaczyłem, że ze wzgórza zbiega dziewczyna, która zatrzymała dzień wcześniej Billy’ego i poprosiła go o autograf. Wziął od niej długopis i rozśmieszył ją, podpisując się na jej prawym ramieniu.

- Na przykład ona? - spytała mnie Maggie. Dziewczyna przybliżyła się i ujrzałem, że nie zmyła autografu. Ależ to byłby świetny materiał!

- Nie, nie było jej tu wczoraj - odparłem. - Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Przeszedł mnie lekki dreszcz. Widać było zimniej, niż sądziłem.

Oto jaki sławny był Billy Scrivens - plakat na sklepie z gazetami mówił: „Billy nie żyje”. Nie: „Zmarł telewizyjny komik”, a potem kupujesz gazetę i dowiadujesz się, że chodzi o aktora, który grał w jakimś dawno zapomnianym amerykańskim sitcomie. Nie: „Zmarł wybitny komik”, po czym kupujesz gazetę, żeby sprawdzić który. Nawet nie: „Zmarł gwiazdor telewizyjny Billy Scrivens”, wystarczyło samo imię. Wiedzieli, że to przykuje uwagę każdego. „Billy nie żyje”. Taka jest prawdziwa definicja sławy: wystarczy podać imię, kiedy umrzesz. Cóż za triumfalna chwila!

Naturalnie było to pierwsze doniesienie w wiadomościach z trzynastej godziny. Dość było posłuchać, jak prezenter wypowiedział słowa „Billy Scrivens” - z wyraźną intonacją

opadającą na ostatniej sylabie - żeby natychmiast się zorientować: tej supergwiazdy nie ma już wśród żyjących. Było to wszystko bardzo smutne, bardzo szokujące, i upewniłem się, czy mój magnetowid nagrywa właściwy kanał. Za prezenterem widniało zdjęcie Billy'ego opatrzone datami z jego życiorysu, a potem pokazali miejsce, w którym miał atak serca: „Dom urlopowy tuż pod nadmorskim miasteczkiem Seaford w Sussex”. Nazwę miasta wymówili nie do końca poprawnie, jakby chodziło o poprzednika forda T, ale nie było czasu się tym denerwować, bo oto do kamery zaczęła mówić Maggie Belfitt, zrelacjonowała, że Billy Scrivens zmarł na zawał serca po powrocie z joggingu. I nagle pojawiłem się - biegnę w dół wzgórza, wyglądam całkiem luzacko, jeśli wolno mi to powiedzieć, a ona mówi - niezgodnie z rzeczywistością - że po tych klifach lubią biegać miejscowi joggerzy, i dodaje - także niezgodnie z rzeczywistością - że często robił to również sam Billy Scrivens. Potem cały ekran wypełniła moja gadająca głowa.

- Billy był świetnym facetem. Prawdziwym profesjonalistą i jednym z tych rzadkich komików, którzy prywatnie umieli ludzi rozśmieszyć nie gorzej niż w telewizji...

Brzmiałem bardzo przekonująco. U dołu ekranu wyskoczył podpis: „Jimmy Conway. Partner Billy'ego Scrivensa od biegania”.

- I chociaż na zawsze pozostanie w pamięci jako ten, który niósł radość i śmiech milionom widzów, nie zapomnimy też o niestrudzonej pracy charytatywnej Billy'ego. Będzie go nam wszystkim bardzo brakowało.

Wycięli jednak moje smutne potrząśnięcie głową. Nie mogłem uwierzyć, że wycięli moje smutne potrząśnięcie głową. To był najlepszy numer! Czy ci ludzie na niczym się nie znają?

Natychmiast zadzwonił telefon. Nadal mówili o nagłej śmierci Billy'ego i wspominali wczesne stadia jego kariery, ale wszyscy moi znajomi przeżyli jeszcze większą sensację: właśnie wystąpiłem w telewizji. Teraz dzwonili do mnie, żeby usłyszeć mój komentarz do wydarzenia dnia: w serwisie z godziny trzynastej pojawił się Jimmy Conway.

- Jimmy, nie mogę uwierzyć - właśnie widziałem cię w telewizji.

- A, cześć, Dave. Tak, nakręcili to dzisiaj rano. Straszne, co?

- Nie, byłeś naprawdę świetny, stary. Jak zawodowiec.

- Nie, mi chodzi o to, że Billy Scrivens nie żyje.

- A, tak. Co to za pieprzenie, że byłeś jego partnerem od biegania? Ale oni bzdury gadają, co? Przecież ty w ogóle nie znałeś Billy'ego Scrivensa, prawda?

Nie mogłem nie poczuć się odrobinę urażony, ponieważ próbował mi odebrać moje pięć minut sławy.

- Skoro już pytasz, to nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy na Downs...

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę go znałeś?

- No wiesz, nie chciałem, żeby wyszło, że się przechwalam...

- O, przepraszam, stary, nie wiedziałem. - Potem skrucha i współczucie w jego głosie ustąpiły miejsca młodzieńczemu entuzjazmowi. - Czyli wybierasz się na pogrzeb? Bo będzie tam kupa gwiazdorów!

- Daj spokój, Dave, przecież nie to jest w tym momencie najważniejsze.

- Eee, no, chyba rzeczywiście nie, ale chciałem tylko powiedzieć...

Przeprosił, a ja mu powiedziałem, żeby się nie przejmował, i wyjaśniłem, że nadal jestem trochę w szoku po tym, co się stało.

Ale Dave miał rację, na pogrzebie można się było spodziewać wielu sławnych ludzi: gwiazd telenowel, piłkarzy, legend rocka, gospodarzy teleturniejów i może paru polityków trzymających się niepewnie z boku. Wyobraźcie sobie: zostać zaproszonym na taką imprezę, znajdować się w tym samym pomieszczeniu z wszystkimi tymi ludźmi. Ale to był oczywiście inny świat, do którego nie miałem wstępu. Nie było szans na to, żeby mnie zaproszono, mimo że BBC nazwało mnie partnerem Billy'ego Scrivensa od biegania. Naiwnością byłoby oczekiwać, że osoba sporządzająca listę uczestników uroczystości powie: „Aha, i trzeba zaprosić tego gościa, co był w telewizji, wiesz, tego z Sussex, co joggował z Billym”. Ci ludzie nigdy nie widzieli mnie na oczy i nic o mnie nie wiedzieli. Mieliby mnie zaprosić tylko dlatego, że zobaczyli mnie w serwisie z godziny trzynastej? Nie wiedzieli nawet, gdzie mieszkam.

Mniej więcej w tym momencie zadałem sobie pytanie, czy miłość bliźniego nie nakazuje wysłać listu kondolencyjnego żonie Billy'ego Scrivensa. Tylko kilka słów, które by mówiły, że jestem z nią myślami w tym trudnym czasie, plus może uwaga na marginesie, że Billy robił wrażenie człowieka, który jest w doskonałej formie, kiedy rozmawialiśmy na dzień przed jego śmiercią. Poza tym uznałem, iż należałoby wyjaśnić, że chociaż nigdy nie widziała mnie na oczy, to właśnie ja jestem osobą nonszalancko ochrzczoną przez dziennikarzy telewizyjnych mianem „Partnera Billy'ego Scrivensa od biegania”! Potem dogłębnie przeanalizowałem sprawę, doszedłem do wniosku, że to jest niesmaczne i usunąłem wykrzyknik. Zanim zdążyłem całkiem się rozmyślić, osobiście wrzuciłem list przez drzwi wielkiego domu w Cuckmere Haven, który był wakacyjną siedzibą Scrivensów, po czym wróciłem do siebie, aby posłuchać tych wszystkich zaferowanych wiadomości na automatycznej sekretarce.

Cztery dni później otrzymałem obwiedzione na czarno zaproszenie na pogrzeb Billy'ego Scrivensa.

- Tak! Jadę na ten pogrzeb! - zawołałem do mojego zachwyconego psa. - Co za osiągnięcie, super się spisałeś, Jimmy! Co za szczęśliwy dzień!

Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek tak się z czegoś ucieszył.

4

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Sława jest bronią obosieczną. Ale nie obie strony miecza są dobre, jedna jest zła. Kiedy ktoś jest bardzo znany, robi się taki problem, że jest na świecie mnóstwo świrów, którzy nie cofną się przed niczym, żeby znaleźć się blisko niego. Większość z nich przypuszczalnie będzie chciała tylko przez chwilę zakosztować Twojego pasjonującego świata, ale inni mogą mieć bardziej złowrogie zamiary. Nie chcę Ci psuć zabawy, ale uważam, że powinienem Cię przestrzec: w związku z tym, że jesteś bogaty i sławny, istnieje prawdopodobieństwo, że zostaniesz zastrzelony na ulicy przez obłąkanego psychopata.

Minęło osiem miesięcy, odkąd John Lennon dotarł do końca swojej „długiej i krętej drogi”, poza tym że nie była taka długa, jak powinna, lepiej pasowałoby „krótka i kręta droga”, znaczy miał czterdzieści lat, więc chyba można powiedzieć, że średniej długości, w każdym razie nie taka długa i kręta droga, jak powinna być, bo fan psychopata tragicznie położył kres jego życiu. Tak naprawdę nie nazywam takich ludzi fanami, to nie są fani, tylko mordercy. Nie ma na nich innego określenia. Kwestia jest taka: gdyby John Lennon nie był sławny, to przypuszczalnie jeszcze by żył. Jego muzyka dawała radość milionom ludzi, w tym emerytom, ale jeden tak zwany „fan” wziął i go zabił. Jak zwykle nieliczna mniejszość musi zepsuć zabawę wszystkim innym.

A zatem, Jamesie, piszę do Ciebie po to, abyś wziął sobie do serca, że powinieneś powziąć pewne środki zapobiegawcze. Nie dawaj autografów ludziom, którzy mierzą do Ciebie z pistoletu. Wróć: dawaj im autografy. Chyba najrozsądniej będzie zrobić wszystko, o co Cię poproszą. Ale jeśli, powiedzmy, groźnie wyglądający człowiek uzbrojony w pistolety i granaty i ze sztyltem w zębach wespnie się po ścianie Twojego domu i będzie chciał wejść przez okno sypialni, nie wpuszczaj go. Może być niebezpieczny.

Oczywiście kiedy ktoś jest sławny, należy się liczyć z konstruktywną krytyką. Stał się osobą publiczną, więc musi być gotowy na parę sztychów. Ale jeśli ludzie próbują go zastrzelić, to moim zdaniem już jest przesada. Ronald Reagan, papież, J.R. - do wszystkich teraz strzelają.

Mów, co chcesz, ale ja uważam, że agresorów należy potępić.

A zatem, Jimmy, miej oko na obłąkanych zamachowców, a jak takiego zobaczysz, schowaj się za słupem ogłoszeniowym albo autobusem. Bo uwierz mi, po świecie kręci się mnóstwo wariatów.

To jest fakt, po świecie naprawdę kręci się mnóstwo wariatów, pomyślałem podczas ostatnich przygotowań do wyjazdu na pogrzeb gwiazdy show-biznesu, której nie znałem, ale udało mi się zamydląć ludziom oczy. Nie byłem jednak obsesjonatem, nie byłem typem paparazzi amatora. Byłem turystą-snobem. Niektórzy lubią włóczyć się po Rzymie i robić zdjęcia bóstwom minionej epoki. Ja chciałem tylko zobaczyć dzisiejsze ikony, podziwiać bóstwa współczesności ustawione w jednym rzędzie.

W Seaford sam naturalnie osiągnąłem niemalże sakralny status. Po moim genialnym występie w wiadomościach BBC, który, jak z dumą informuję, znalazł się również w rozszerzonym materiale wieczornym, wszyscy ludzie, których kiedykolwiek w życiu znałem, usłyszeli dobrą nowinę: że Jimmy skromnie ukrywał swoją przyjaźń z największą gwiazdą telewizyjną Wielkiej Brytanii. Wszyscy chcieli ze mną porozmawiać, żeby mnie pocieszyć, żeby kupić kilka udziałów w śmierci Billy'ego ScriJ vensa, żeby wciągnąć się w orbitę tej ogólnonarodowej tragedii.

- Tak, mój znajomy jedzie na pogrzeb - mówili do kolegów w pracy, kiedy pojawiał się ten temat. - Staram się go wspomóc, ale jest mu strasznie trudno, telewizja i gazety co pięć minut przypominają mu o tym, co się stało.

Nagle odkryli, że jest dla nich miejsce w tym układzie słonecznym. W jego centrum znajdowała się supernowa - Billy Scrivens. Wokół tej gwiazdy wirowały rozmaite planety, w tym także, jak się okazało, ich znajomy Jimmy Conway, którego byli księżycami. I nagle zauważyłem, że te wszystkie moje satelity jednocześnie osiągnęły największe zbliżenie do macierzystej planety, stoją mi przed oczyma i rozjaśniają moje życie. Po moim pojawieniu się w serwisie z godziny trzynastej telefon dzwonił bez przerwy aż do dnia pogrzebu.

Drugim znajomym, który zatelefonował, był Chris. Bardzo miły człowiek, ale odkąd przysnął na plaży w Rio de Janeiro, zmienił się nie do poznania. Padł ofiarą gangu lekarzy sprzedających na czarnym rynku ludzkie narządy. Musieli mu wyciąć mózg, kiedy spał. Nie było na to innego wyjaśnienia. Jako jedyna znana mi osoba uzyskał ujemny wynik w teście na inteligencję.

- Cześć, Jimmy! Właśnie byłeś w telewizji!

- Tak!

- Niesamowite!

- No, kompletne wariactwo.
- Musiałeś strasznie szybko biec do domu.
- Co?
- Myślałem, że włączy się sekretarka, ale ty już wróciłeś. Niesamowite!
- To nie było na żywo...

W rozmowie nastąpiła przerwa, bo Chris przetrwał tę informację.

- Aha. Czyli oni znają wiadomości z góry.
- Co?
- Myślałem, że wiadomości są na żywo.

- Większość jest, Chris. Ale to niesamowite, co oni potrafią zrobić z pomocą tej całej nowoczesnej techniki.

- Aha, kapuję. Twój domowy telefon przekierowuje rozmowy na komórkę, tak?

Z identyfikacją następnego rozmówcy miałem trochę większe kłopoty.

- To ty, Jimmy? - spytał głos starszej pani.
- Tak.

- Dzień dobry, tu Audrey Lacy.

- Przepraszam, ale...

- Audrey Lacy. Brian i Audrey, znajomi twoich rodziców. Nie poznałam twojego głosu, brzmisz jakoś smutno.

- A niech mnie! Dzień dobry pani.

- Brian i ja chcieliśmy ci tylko powiedzieć, jak bardzo nam przykro, że twój przyjaciel tak nagle zmarł.

- A. No. Tak.

- Twoja mama dopiero wczoraj o jedenastej wieczór zdradziła nam przez telefon, że przyjaźnisz się z Billym Scrivensem. Więc kiedy dzisiaj usłyszeliśmy w radio tę smutną wiadomość, to, rozumiesz, musieliśmy zadzwonić i powiedzieć, jak bardzo nam przykro...

- A, no, hm, dziękuję pani. Bardzo miło, że pani zadzwoniła. Tak, jeszcze to do mnie nie całkiem dociera.

- O rany.

Nastąpiła krótka przerwa, w trakcie której chyba oczekiwałem, że Audrey zakończy rozmowę.

- Czy w prawdziwym życiu też taki był?
- Hm?
- Ciągle żartował, robił ludziom kawały i tak dalej?

- A, tak, był taki sam - potwierdziłem, co najwyraźniej podziałało jak balsam na skołataną duszę Audrey.

Wszyscy chcieli usłyszeć ode mnie to zapewnienie: że przyjaciel, który uśmiechał się do nich promiennie z ekranu, nie oszukiwał ich, że słusznie przyjęli go do swoich serc. Podczas i licznych rozmów o „mnie i Billym” ciągle musiałem ubarwiać moją fantasmagorię drobnymi szczegółami na temat tego, o czym rozmawialiśmy i co razem robiliśmy.

- Nie, nigdy nie rozmawialiśmy o pomysłach na jego program. Kiedy był tutaj, chciał uciec jak najdalej od tego wszystkiego.

Więcej niż jedna osoba zaofiarowała się, że pojedzie ze mną na pogrzeb.

- Wiesz, na wypadek gdybyś potrzebował wsparcia psychicznego czy coś.

Jezu, ci pomyleni groupies, to jest czyste podglądactwo. Chora sprawa. W końcu ja załatwiłem sobie bilet, to znaczy zaproszenie, a oni nie. Nie ma o czym dyskutować.

Chociaż wstałem odpowiednio wcześniej i miałem spory zapas czasu, godziny szybko mi uciekały. Skoczyłem do sklepu Mr One Pound, bo przypomniałem sobie mgliście, że mają tam tanie plastikowe paski, ale szybko zostałem zmuszony do udzielenia pomocy Ednie Moore, która mieszkała obok szkoły językowej i dla której każdy aspekt współczesnego świata był nieustannym źródłem zamętu.

- A, dzień dobry, Jimmy, mógłbyś mi pomóc, mój drogi, znowu zapomniałam okularów i nie mogę przeczytać cen.

Rzecz jasna, sprawiło mi wielką radość, że mogę poświęcić trochę czasu i pomóc tej emerytowanej wdowie, nie wyobrażałem sobie niczego przyjemniejszego niż wytłumaczenie Ednie skomplikowanego systemu cen w sklepie, w którym każdy artykuł kosztował funta.

- Ile to kosztuje, Jimmy?

- Funta, Edna. Wszystko jest tutaj po funcie. Dlatego sklep nazywa się Mr One Pound - bo wszystko kosztuje funta.

- Aha. A to jest po ile?

- Też po funcie. Wszystko kosztuje tutaj funta.

Z głośników puszczano kasetę, która informowała bez końca: „W Mr One Pound cena każdego artykułu wynosi jeden funt”.

- A jeśli wezmę dwa te?

- No, to wychodzi, hm, za dwa to będzie dwa funty. Tak, zgadza się: dwa funty.

- Ja chcę tylko jedno.

- To panią wyniesie jeden funt.

- Funt za jedno? Nie mają niczego tańszego? Skończyło się na tym, że zaniósłem Ednie

torby do domu, przez co miałem mniej czasu, niż planowałem na wyprowadzenie psa. Skutek był taki, że leniwa przejażdżka do Londynu zamieniła się w gorączkowy wyścig z czasem. Są imprezy towarzyskie, na które nie wypada przybyć o godzinie podanej na zaproszeniu. Jeśli ktoś chce zadać szyku, to wręcz musi się trochę spóźnić. Do kategorii tej nie zaliczają się jednak pogrzeby. W *Przewodniku etykiety żałobnej* Debrett delikatnie sugeruje, że nie jest przejawem dobrego wychowania przyjść pod koniec uroczystości i przebijać się w stronę ołtarza, trącając łokciami osoby wynoszące z kaplicy trumnę.

Na szczęście zdążyłem, ale czasu zostało mi tak dramatycznie mało, że powolne, dystyngowane wejście do kościoła wykonałem w dość żwawym tempie. Za prowizorycznymi barierkami ochronnymi dziesiątki fotografów i operatorów telewizyjnych gapiły się na zaproszonych gości. Przede mną szła gwiazda serialu telewizyjnego. Wołali jej ekranowe imię, a flesze eksplodowały jak petardy w sylwestra, ona się jednak nie zatrzymała. W końcu to nie była oscarowa gala, tylko pogrzeb kolegi. Aktorka spojrzała jednak w lewo i w prawo, w stronę obu tłumów fotografów, miarowym krokiem wchodząc do środka. Skoro ktoś już zainwestował fortunę w fikuśny czarny kapelusz, to chce, żeby ludzie go zobaczyli. Przyszło mi do głowy, że gwiazda serialu telewizyjnego nieczęsto robi zakupy w Mr One Pound. Przyszła moja kolej. Spojrzeli na mnie przez obiektywy, po czym opuścili kamery.

„Czy to jest gwiazdor?” - mówił ten pierwszy gest.

„Eee, nie...” - odpowiadał ten drugi.

Tuż za wejściem do kościoła dwie dziewczyny brały zaproszenia i sprawdzały je z listą gości. Ogarnęła mnie chwilowa panika, bo pomyślałem, że może robią każdemu egzamin, aby się upewnić, czy naprawdę znał Billy'ego Scrivensa. Na przykład: „Jaki był jego ulubiony alkohol?” albo „Jaką miał pierwszą pracę w telewizji?” Tak się składało, że znałem odpowiedź na oba te pytania. Podobnie jak tysiące innych obywateli kupiłem i pochłoniłem jednym tchem jego biografię, która ponownie wspinała się na szczyt listy bestsellerów. Zauważyłem, że dziewczyny mają na plakietkach z nazwiskiem logo czasopisma „Hello!”, co wydało mi się osobliwe. Potem zobaczyłem, że w różnych strategicznych miejscach w kościele stoją lampy, z kablami, drabinkami, statywami i całym sprzętem potrzebnym do nakręcenia wielkiego pokazu mody. Ci ludzie za barierkami to byli nieoficjalni fotografowie. Trudno, żeby podczas nabożeństwa religijnego błyskały flesze. Naruszałoby to powagę świętego miejsca. Oślepiając jasne lampy łukowe świeciły przez cały czas trwania ceremonii, żeby akredytowani fotografowie mogli czynić swoją powinność.

Kościół był wielki i okazały, piękny przykład architektury z epoki zwanej „dawnymi dobrymi czasami”. Ludzie ledwo mieścili się w ławkach. Z nielicznych wolnych miejsc z tyłu

nic nie było widać. To znaczy można było zobaczyć kapłana, organistę i tak dalej, ale nie było widać wiernych. Tył głowy sławnego człowieka niewiele się różni od tyłu głowy innego sławnego człowieka, może z wyjątkiem pana Blobby'ego i Tinky Winky z Teletubisiów, lecz na ile udało mi się to ustalić z mojej pozycji obserwacyjnej, żadne z nich nie zostało zaproszone. Dopiero kiedy usiadłem, zauważyłem porządkowego, który zaczynał kierować ludzi do dwóch rzędów ławek z boku kościoła. Stamtąd na pewno wszystko widać, pomyślałem. Po chwili wahania precyzyjnie przesunąłem się obok innych żałobników i zmierzałem w stronę miejsca z najlepszym widokiem w całym kościele, to znaczy nie licząc skrzypiącej metalowej drabinki, na którą właśnie wszedł fotograf. Niektórzy współżalobnicy sprawiali wrażenie nieco zdeprymowanych moim rozpychaniem się łokciami, ale tak smutno kręciłem głowę i tak mężnie zagryzałem dolną wargę, że nikt nie śmiał kwestionować moich pobudek. De facto wszyscy przybrali ten sam dzielny wyraz twarzy: ściśnięty, smutny uśmiech, który przekazywał towarzyszącej żalobie: „Wiem, tak, rozumiem, miło cię widzieć, ale jakie to straszne, że musimy się spotykać w takich okolicznościach”. Na sławnych twarzach widniał szczery smutek. Fotografowie z „Hello!” mieli nie lada gratkę.

Kiedy nareszcie rozpostarł się przede mną widok na cały kościół, ze zdumieniem i przejęciem zobaczyłem, ile sław zebrało się pod tym jednym dachem. Czy byłoby niestosowne poprosić tę szlochającą Spice Girl o autograf? Może powinienem zaczekać, aż zacznie się śpiewanie hymnów, zanim zapytam gościa z *Coronation Street*, czy zostanie skazany w tym procesie sądowym. Wytropiłem także tego Jak-Mu-Tam z Manchesteru United, za nim siedział dziennikarz, który zadawał pytanie (kulinarne?) prezenterowi *Mastercook*, a jeszcze dalej z tyłu Norma Major, żona byłego premiera, która w okularach prezentowała się trochę inaczej. Nawet ludzie nieznanymi sprawiali wrażenie, że powinni być znani. Garnitury i kostiumy mieli eleganckie i modne, a miny ważne, co skłoniło mnie do wniosku, że ludzie, których nie rozpoznaję, przypuszczalnie wypisują czeki ludziom, których rozpoznaję. Oprócz większości wykonawców, którzy w tym momencie okupowali pierwszą dwudziestkę listy przebojów, było też paru dinozaurów, którzy znajdowali się na topie dziesięć czy dwadzieścia lat temu. O istnieniu niektórych z nich zupełnie nie pamiętałem. Był na przykład aktor, który grał w *Schodami do góry, schodami w dół*, chociaż wyraźnie próbował bagatelizować ten fakt, bo przyszedł współcześnie ubrany. A potem moje wędrujące oko powróciło do czasów obecnych: jako ostatnie przyszły naprawdę wielkie gwiazdy, Kylie Minogue, księżę Edward, dwoje spośród sześciu *Przyjaciół* i Dalajlama. Dziewczyna z listą gości spojrzała na zaproszenie, odfajkowała nazwisko i powiedziała:

- Pan będzie łaskaw usiąść po lewej, panie Lama.

Chyba obowiązuje reguła, że im bardziej jesteś sławny, tym krócej możesz być widziany, jak czekasz w przejściu. A może po prostu tak wyszło. Nie mogę uwierzyć, żeby do ostatniej chwili siedzieli za rogiem w swoich samochodach. Po tysiącach godzin spędzonych przed telewizorem każda twarz budziła we mnie inny odruch Pawłowa. Kiedy zobaczyłem reprezentantów Anglii w piłce nożnej, natychmiast pomyślałem: „Gol! Zwycięstwo jest nasze!” Na widok czarnego charakteru z *EastEnders* miałem ochotę krzyknąć: „Ty draniu, złamałeś serce swojej biednej mamie!” „Och, niech pan zaczeka, wiem, mam odpowiedź na końcu języka!” - takie słowa cisnęły mi się na usta, kiedy ujrzałem znanego gospodarza teleturnieju. Niektóre gwiazdy miały nieco obrażone miny, jakby w głębi duszy nie pogodziły się z faktem, że w tym dramacie otrzymały drugoplanowe role. „Czemu Billy Scrivens ma być w centrum uwagi?”, zdawały się myśleć, kiedy jego trumnę okładano kwiatami. „To ja powinienem leżeć na jego miejscu”.

Przecisnąwszy się obok akredytowanego fotografa i przestąpiwszy nad kablami, najbardziej stremowany kapłan świata niepewnie stanął przed kongregacją sław niby aktor amator, który nagle znalazł się na hollywoodzkim castingu. Wygłaszając kazania, z reguły miał zapewne przekonanie, że jest najlepszym mówcą w pomieszczeniu, że potrafi odczytać Ewangelię głośniejszym, wyraźniejszym i z większą retoryczną swadą niż kilkanaścioro emerytów porzucanych po całym kościele. Tymczasem spośród wiernych, którzy tego dnia zjawili się przed ołtarzem, wyłowiłem laureatów trzech Oscarów, czterech nagród BAFTA i jednej nagrody dla najlepszego telewizyjnego prezentera pogody. Kapłan tak mocno się trząsł, że z trudem wydobywał z siebie słowa. Desperacko pragnąc dociągnąć do pierwszego hymnu, pierwsze czytanie odbębnił w rekordowym czasie, po czym zrobił jeszcze bardziej zdeprimowaną minę, ponieważ kongregacja zaśpiewała pieśń z taką sprawnością wokalną, klarownością i zaangażowaniem emocjonalnym, że poczuł się zapewne tak, jakby go posadzono w pierwszym rzędzie na *Upiorze z opery*.

Wydało mi się osobliwe, żeby czcić jakiegoś niewyobrażalnego, zmyślonego Boga na sali pełnej bóstw z krwi i kości. Jakie to dziwne, że zebraliśmy się akurat w kościele - religia gwiazdorstwa zawłaszczyła świątynię obowiązującej do tego czasu wiary. Billy Scrivens odwiedzał i dotykał w szpitalach ludzi chorych, w tym także nieuleczalnie. Czy to nie jemu przyszliśmy oddać dzisiaj cześć? W dwudziestym wieku wielbimy nie otoczonych aureolą świętych na witrażach, ale postacie jaśniejące z ekranów telewizyjnych. Kogo jest więcej: wiernych zasiadających w sobotę wieczór przed ołtarzem telewizji czy wiernych idących następnego ranka do kościoła? W każdym domu przy każdej ulicy zbieramy się przed świętym odbiornikiem, aby wysłuchać słów Ewangelii według św. Oprah, albowiem zaprawdę

powiadam wam, program telewizyjny w najlepszym czasie antenowym jest drogą, prawdą i życiem.

Organista pomylił się kilka razy, kazanie było za długie i nie na temat, a cały spektakl trącił amatorszczyzną. Dopiero pod koniec nabożeństwa, kiedy z głośników rozległ się muzyczny motyw programu Billy'ego Scrivensa, atmosfera się ożywiła i publiczność zaczęła reagować. Kiedy żwawa melodia wybrzmiała, ludzie spontanicznie zaczęli klaskać. Było to niezwykle wzruszające. Przyszliśmy do kościoła na pogrzeb, ale show-biznes rządzi się swoimi prawami i kurtyna uniosła się po raz ostatni, żeby Billy Scrivens mógł wyjść do publiczności. Ukłoń się, sprezentowałeś nam genialne widowisko, niewiarygodnie nas ubawiłeś, dziękujemy ci.

Kiedy oklaski ucichły, sześć osób ustawiło się po obu stronach trumny. Nie sześciu zwykłych ludzi, grabarzy czy bliskich Billy'ego. Nie. Gotowych do dźwignięcia trumny stało sześć największych sław w kraju, każda z innej branży rozrywkowej: najdroższy piłkarz w pierwszej lidze, wokalista najlepiej sprzedającego się boysbandu w Wielkiej Brytanii, kapitan drużyny humorystów z najlepszej telegry, najbardziej wzięty aktor brytyjski w Hollywood, blisko związany z premierem członek rządu i tuż przed nim zwycięzca *Big Brothera*.

Gdyby ktoś chciał zaaranżować idealną fotografię do kolorowego czasopisma plotkarskiego, nie znalazłby lepszego motywu niż te sześć sław z powagą i pokorą wynoszących z kościoła trumnę z Billym, pomyślałem, kiedy akredytowani fotografowie strzelali zdjęcie za zdjęciem. Trumna powędrowała na zewnątrz, została umieszczona w karawanie i wywieziona na prywatny obrzęd kremacji, zamknięty dla publiczności. Program nabożeństwa nie zawierał żadnych informacji na temat tej części pogrzebu, ale wiedziałem, że ponieważ chodzi o Billy'ego Scrivensa, to nie odstawią rutynowego „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Nie, Billy Scrivens będzie miał kremację dla VIP-ów, coś w rodzaju usługi de luxe, ze wszystkimi dodatkami służącymi wygodzie i spokojowi ducha klienta. Nietrudno było o zazdrość, ale musiałem się z tym pogodzić: tak umierają wielcy tego świata.

W tym czasie wszyscy żałobnicy powoli wylewali się z kościoła, prezentując hordzie fotografów swój smutek i lepszy profil. Ślimaczym tempem przemieścili się do pobliskiego hotelu, zarezerwowanego na potrzeby stypy. Lokal był frustrująco mało romantyczny - nowoczesny, zbudowany po wojnie hotel, w którym normalnie odbywały się konferencje handlowe dla menedżerów średniego szczebla. Tego dnia jednak delegaci nie potrzebowali plakietek z nazwiskami, bo ich twarze doskonale spełniały tę funkcję.

Podniecenie, którym napawał mnie fakt, że znajduję się w tym towarzystwie, zaczynało przygasać, a że nie miałem z kim porozmawiać, czułem się coraz bardziej zakłopotany i

stremowany.

Przez jakiś czas kręciłem się koło rośliny doniczkowej, która nie zapewniała jednak dostatecznego kamuflażu, więc w końcu zacząłem się uśmiechać - blado i półgębkiem - do różnych ludzi, którzy mnie mijali. Ich wewnętrzne komputery szybko skanowały moją twarz, wyliczały moje możliwości wpłynięcia na ich karierę, wyświetlały wynik „zero” i natychmiast kierowały ich wzrok na następną osobę.

Kiedy spacerowałem koło rozmaitych grupkach macherów show-biznesu, wpadały mi w ucho urywki rozmów typowych - jak mniemałem - dla branży telewizyjnej:

- No, robię dla Channel Four nowy serial pod tytułem *Ikony odsłonięte* - wiecie, taka desakralizacja współczesnego idola. Na przykład rozbijamy mit Annę Frank - są pewne poszlaki, że czysty pamiętnik dostała nie ona, tylko jej siostra, Annę go pożyczyła i nie oddała. To będzie prawdziwe trzęsienie ziemi...

Za moimi plecami ktoś reklamował inne przedsięwzięcie.

- Próbujemy uratować oglądalność programów publicystycznych. Wciągnąłem w to producentów *Pop Idola* i *Soap Stars*, robimy casting dla ludzi, którzy chcą zostać politykami. Zwycięzca wystartuje jako kandydat niezależny w następnych wyborach uzupełniających i myślimy, że dzięki telewizyjnej reklamie powinien wygrać w cuglach.

Na pobliskim stoliku zauważyłem porzucony kieliszek szampana, który bąbelkowa! od dziesięciu minut. Umierałem z pragnienia, więc przeszedłem obok stolika, dyskretnie porwałem kieliszek i stanowczym krokiem maszerowałem dalej, jakbym właśnie zobaczył kogoś, z kim chciałem porozmawiać. Chlapnąłem sobie i moje zdenerwowanie zaczęło ustępować. Technika „szukam kolegi z pracy” okazała się całkiem skutecznym sposobem na przezwycięzenie tremy. Chodziłem z jednego końca sali na drugi, teatralnie wyciągając szyję w poszukiwaniu tego wyimaginowanego znajomego, który jakoś nie chciał się zmaterializować.

Chociaż poszedłbym o zakład, że na jadło i napoje wydano tysiące funtów, trudno było mówić o posiłku jako takim. Krasnalowate kelnerki krążyły pośród gości, proponując im różne drogie z wyglądu substytuty. Trudno mi było wzbudzić w sobie zachwyty dla tej uczy.

- Jeszcze jeden talarek marchewki! Naprawdę nie powinienem, już jeden zjadłem, pękne, jeśli zjem drugi! Nie, nie, błagam, dla mnie proszę połowę przepiórczego jaja - jestem na I diecie.

Przygotowanie tych pięknie się prezentujących przekąsek, artystycznie zaaranżowanych na srebrnych tacach, z pewnością kosztowało mnóstwo wysiłku i pieniędzy, ale nie dawały one poczucia sytości. Wykwintne kaski przyprawionych krewetek czy rzeźbione rzodkiewki kusząco skapane w egzotycznych sosach tylko człowiekowi przypominały, że

umiera z głodu i tak naprawdę miałyby ochotę na dwa styropianowe opakowania chińszczyzny na wynos. Nawet na froncie kulinarnym forma zatriumfowała nad treścią. Trzeba być wybitnym fachowcem, żeby stworzyć potrawy, po których goście czują się bardziej głodni, niż gdyby nic nie zjedli. Tylko kulinarny sztukmistrz umie sprawić, żeby oddech cuchnął czosnkiem, a jednocześnie w pustym żołądku burczało, żeby pikantne bekanie przypominało opuszczającym przyjęcie gościom, iż są głodni jak wilki. Oczywiście każdy prawdziwy smakosz wie, że te rarytasy są pomyślane tylko jako *misę en bouche*. Jeśli nie chcesz zbudzić się nazajutrz rano z potwornym bólem głowy, po powrocie do domu z takiej wyrafinowanej uczy zaleca się zjeść dużą porcję mleka z płatkami. Dopiero wtedy możesz rozsiąść się wygodnie w fotelu z sytym żołądkiem, uważając, żeby nie ukłuć się w nogę brudnymi wykałaczkami, które dyskretnie wkładałeś do kieszeni, bo nie było co z nimi zrobić.

Kelnerki roznoszące te przysmaki były takie niskie i chude, jakby same żywiły się wyłącznie potrawami o ujemnej kaloryczności. Pojawiały się jak hologramy na obrzeżach grupki gości, którzy zauważali tace z jedzeniem, ale nie kelnerki, jakby przekąski unosiły się przed nimi w powietrzu. Zaskoczyło mnie, że nikt nie rozmawia o Billym ani nie sprawia wrażenia zbyt głęboko pogrążonego w żalobie. Nawet picie szampana nie bardzo mi pasowało do okoliczności. Sądziłem, że szampana pije się tylko dla uczczenia czegoś. A potem podszedł do mnie kelner i podsunął mi tacę z kieliszkami.

- Ile to kosztuje? - spytałem.

Wywołało to wybuch śmiechu ze strony kilku stojących opodal gości.

- No, nie zdziwiłbym się, gdyby ten stary drań wyciął taki numer. To byłoby w jego stylu - kazać płacić za szampana na własnym pogrzebie!

- Mm, tak, ha ha! - zaśmiałem się, biorąc z tacy kieliszek. Czyli szampan jest za darmo. Oczywiście, że jest za darmo.

Jak mogłem być takim idiotą?

- Można wiedzieć, jakimi drogami pan się tu znalazł? - dociekano.

Do odpowiedzi na tego rodzaju pytanie przygotowywałem się podczas jazdy do Londynu. Wiedziałem, że ktoś mnie zapyta: „Skąd pan znał Billy’ego?”, a ja odpowiem: „Można powiedzieć, że byliśmy sąsiadami...”, a jeśli zajdzie potrzeba, to dorzucę, że od czasu do czasu razem biegaliśmy...

Niestety, autorką pytania była nadzwyczaj urodziwa młoda kobieta, która dołożyła nieśmiertelne pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary:

- Pan też pracuje w rozrywce?

- Tak - odrzekłem cierpliwym tonem, natychmiast sobie uświadamiając, że oczekuje się

ode mnie bardziej wyczerpującej odpowiedzi.

Potem pomyślałem o swoich listach z czasów szkolnych i przypomniałem sobie, kim zawsze chciałem być i do czego według innych miałem talent.

- Jestem komikiem.

- O. - Ton jej głosu wskazywał, że jej to zaimponowało. - Zawsze sobie myślę, że to musi być najtrudniejsza praca na świecie.

- Raz jest gorzej, raz lepiej - powiedziałem swobodnie.

- Jest pan teraz w trasie?

- Tak, w Trasie i w paru innych kabaretach.

Znowu nagrodzili mnie śmiechem i pomyślałem, że może istotnie mam wrodzony talent komiczny.

- Jak się pan nazywa?

- Jimmy Conway?

Sformułowałem to jako pytanie, na które była tylko jedna odpowiedź: „Pierwsze słyszę!”

- A, tak - odparła z wahaniem - spotkałam się z tym nazwiskiem...

- Nie przypominam sobie, że bym widział pana w telewizji - stwierdził pewien dystyngowany mężczyzna zniechęcającym tonem.

Opróżnił kieliszek i strzelił z palców, żeby mu przynieśli więcej szampana. Chciałem rzucić rękawicę temu show-biznesowemu snobowi.

- W telewizji moja noga nie postanie - powiedziałem butnie. - Telewizja zabija prawdziwy kabaret. - Przeczytałem kiedyś to zdanie w wywiadzie z komikiem, który mimo długotrwałych starań nie miał swojego programu w telewizji. - Prawdziwy kabaret to jest komik, mikrofon i publiczność, nic więcej, na żywo, w takiej sali jak ta - zakomunikowałem, ośmielony darmowym szampanem. - Jasne, że telewizja więcej płaci. Ale co jest lepsze - trochę rozerwać miliony ludzi przez pięć minut czy owinąć sobie wokół palca sto osób, które przez godzinę będą płakały ze śmiechu? Telewizja to jest wyprzedaż prawdziwych wartości.

Był to mój najlepszy występ od czasów hołdu złożonego Billy'emu w wiadomościach. Wszyscy słuchacze lekko osłupieli.

- Nareszcie jakieś świeże spojrzenie - powiedziała kobieta, która przedstawiła się jako Arabella z „Sunday Times”.

Chwilę porozmawialiśmy o moich doświadczeniach z występami w różnych klubach kabaretowych.

- To musi pan znać Mike'a Mellora - stwierdziła nagle i zanim zdążyłem ją zatrzymać,

pomachała niskiemu, przysadzistemu gościowi z wygoloną głową.

- Mikę, znasz Jimmy'ego Conwaya?

- Hm, nie, nie kojarzę twarzy.

Wzruszył ramionami. Mikę Mellor pił szampana tak jak wszyscy, tyle że prosto z butelki.

- Niedawno pan debiutował, tak? - spytał.

- Nie, Jimmy robi objazdy, jest prawdziwym kabareciarzem.

Wysiliłem się na uśmiech, który nie został jednak odwzajemniony.

- To gdzie mogłem pana ostatnio widzieć? - spytał, pociągnąwszy kolejny łyk.

Wymieniłem nazwę jedyne klubu kabaretowego, w którym kiedykolwiek byłem, licząc na to, że Mikę nie wypuszczał się tak daleko poza Londyn.

- Chuckle Cabin w Brighton?

- Aha, tam gdzie szefuje Chris.

- Chris, jasne, fajny gość.

- To kobieta.

- A, ta Chris! Przepraszam. Pomieszało mi się z innym klubem prowadzonym przez gościa, który nazywa się Chris.

- Którym?

- Słucham?

- Co to za inny klub kabaretowy prowadzony przez gościa, który nazywa się Chris?

- A, taki malutki na wybrzeżu, nad pubem w Seaford, no, Funny... Funny Place.

- Nie słyszałem.

- No fakt, Chris musi chyba trochę popracować nad reklamą... Ale to dla niego typowe - dodałem, kręcąc z rozpaczą głową.

- Jimmy nie występuje w telewizji, zupełnie jak ty, Mikę - powiedziała Arabella.

- Ja występuję w telewizji - zaprotestował. - Mam swój program! - Poczul się jednak zobligowany dodać: - BBC Four produkuje pilota.

- Jimmy z zasady nie pracuje w telewizji - podjęła Arabella. - Występuje tylko na żywo.

- Grałem w większości klubów kabaretowych i nie mogę powiedzieć, że bym pana kiedykolwiek widział - stwierdził Mikę Mellor.

Pociągnął kolejny duży łyk z butelki szampana i wytarł usta i rękawem jak twardziel w westernie.

- Przez ostatnie parę lat grałem głównie poza krajem - odparłem, coraz bardziej rozzuchwalony od alkoholu. - Dużo jeździłem po Stanach, żeby być ścisłym. Podobałem im się,

no ale oni mają tyle tych klubów, że to żadna sztuka się załapać.

- Hejku, brytyjski komik, który przebił się w Stanach, zanim wyrobił sobie nazwisko w Anglii! - zawołała Arabella.

- Znaczy, nie powiedziałbym, że zrobiłem w Stanach furorę. Jakoś sobie radziłem.

- Musi pan być naprawdę dobry, skoro pan tu jest. Billy prędzej by umarł, niż pokazałby się z niedowcipnym komikiem.

- Niefortunny dobór frazeologii - orzekł Mikę Mellor.

Wkrótce po tej reprimendzie Arabella zauważyła jakąś osobę, z którą pilnie potrzebowała porozmawiać, i zostawiła mnie samego z tym nastroszonym skinheadem. Przez jakiś czas panowało między nami niezręczne milczenie.

- Skąd pan znał Billy'ego? - spytałem.

- Nie znałem. Jestem tutaj z moją dziewczyną. Znała go przez pracę.

- To był świetny gość - powiedziałem. - Świetny gość... Będzie mi go bardzo brakowało.

W ciągu następnej godziny pogadałem z jeszcze paroma osobami, czując się coraz pewniej w roli artysty kabaretowego, który wrócił do ojczyzny, powaliwszy na kolana publiczność w niepoliczonych klubach od Nowego Jorku po Los Angeles. Byłem trochę zaszokowany faktem, że tkam taką misterną sieć mistyfikacji, i w końcu ogarnęła mnie potrzeba ukrycia się gdzieś na chwilę. Wyszedłem do foyer, a potem snułem się korytarzami. Na wózku pod jakimiś drzwiami stała porzucona taca z jedzeniem. Potoczywszy w krąg ukradkowym spojrzeniem, wziąłem papierową serwetkę i nałożyłem na nią pół tuzina paluszków z kurczaka, garść krewetek czosnkowych i kilka szparagów, po czym rozglądałem się za miejscem, w którym mógłbym w spokoju napchać żołądek.

Znalazłem niewielki pokoik służbowy, wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Pomieszczenie było bardzo małe, ale dopiero po mniej więcej dwudziestu sekundach zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam. Mój głód tak mnie zaabsorbował, że nie zauważyłem kobiety, która siedziała na krześle w kącie. O ile mogłem się domyślić, była gościem na stypie, a nie kelnerką, ale nie widziałem jej twarzy, ona zaś nie spojrzała na mnie, chociaż z pewnością zarejestrowała moją obecność. Siedziała bez ruchu z twarzą ukrytą w dłoniach, chociaż jej postawa wyrażała nie tyle rozpacz, ile znużenie światem. Podobnie jak ja, ewidentnie schroniła się tutaj przed resztą towarzystwa.

- Och, najmocniej przepraszam - wybąkałem z ustami pełnymi zmasakrowanych krewetek po syczańsku. - Nie zauważyłem pani. Już panią zostawiam.

- Nie, w porządku, niech się pan nie przejmuje - powiedział głos zza rąk.

Jej smętna sylwetka przypominała mi, że jestem na pogrzebie. Ta kobieta potrzebowała uciec od rozplotkowanej kakofonii sali bankietowej.

- Chciałem się tylko na chwilę wyrwać z tłumu - wyjaśniłem, postanawiając odłożyć przeschumowany prowiant na bok do późniejszego spożycia.

- Doskonale pana rozumiem - odparła i opuściła dłonie.

Natychmiast ją poznałem. Stella Scrivens wróciła z kremacji i teraz ukrywała się przed hordami pijanych gwiazd. Wkręciłem się na fałszywych papierach na pogrzeb sławnego człowieka, a teraz znalazłem się w maleńkim pomieszczeniu razem z wdową i musiałem jakoś zagaić rozmowę.

- Pani Stella Scrivens, prawda?

- Zgadza się. Przepraszam, ale nie przypominam sobie pana...

Nie powiedziała tego podejrzliwym ani oskarżycielskim tonem, ale i tak poczułem, że się czerwienię.

- Nie, nigdy się nie spotkaliśmy. Jimmy Conway. Na pewno nie chce pani zostać sama?

- Nie, nie ma problemu. Właściwie to bardzo przyjemnie jest kogoś nie rozpoznawać.

Nie znam tutaj połowy ludzi. Cały czas tylko mi się wydaje, że ich znam, bo widziałam ich w telewizji.

- A, czyli nie jestem w tym osamotniony - powiedziałem i uśmiechnęliśmy się do siebie, znalazłszy ten wspólny grunt.

- Nie, wszyscy to mają. Nawet Billy to ma. - Westchnęła i poprawiła się: - Miał.

- Tak mi przykro - powiedziałem bezradnie.

- Dziękuję panu.

Pomijając fakt, że czułem się zawstydzony, iż rozmawiam z wdową na pogrzebie, na którym nie mam prawa być, zapierająca dech uroda Stelli paraliżowała mnie. Miałem poczucie, że patrzeć na nią jest równie nietaktowne jak gapienie się na osobę niepełnosprawną. Co mogła poradzić? To nie była jej wina, że urodziła się taka zachwycająca. Już dawno żadna kobieta nie wzbudziła we mnie takiego pożądania, ale coś kazało mi poniechać myśli o sprawdzeniu, czy jest w tym momencie do wzięcia. „Niech mi pani powie, widuje się pani z kimś teraz?” To mogłoby się spotkać z niezbyt przychylnym przyjęciem. „Nie ma się co mazać, moja piękna. To nie jest takie straszne, kiedy ktoś zostanie sam”. Nie, to zdecydowanie nie brzmiało dobrze, zawsze miałem doskonale wyczucie w takich sprawach.

Starając się zanadto nie afiszować z tym, jaki jestem zafascynowany wszystkimi przybyłymi sławami, wypytałem ją jeszcze trochę o listę gości.

- Niektórzy z tych gwiazdorów nawet nie znali Billy'ego - ujawniła. - Ani razu nie

spotkali go osobiście, ani razu.

Wzdrygnąłem się wewnątrznie, kręcąc jednocześnie głową ze zdziwienia, że ludzie potrafią być tacy cyniczni.

- Naprawdę? - rzuciłem zbulwersowany. - To straszne. Z drugiej strony, wie pani, wszyscy w kraju mieli poczucie, że go znają. Taki sławny człowiek jak Billy jest jak stary przyjaciel dla ludzi, o których istnieniu nawet nie wie.

- Nie, to nie to. - Uśmiechnęła się. - Oni są tutaj po to, żeby dostać się na czołówki gazet. Żeby ich widziano na salonach. Nie ze względu na Billy'ego ani na mnie. Są tutaj, bo dzisiaj to jest najlepsze miejsce, żeby zaistnieć.

Szukałem jakiegoś głębokiego, filozoficznego komentarza. W końcu wybąkałem:

- Paranoja.

- Smutek przychodzi później - dodała - kiedy kupią „Hello!” i zobaczą, że fotograf ich nie uwiecznił.

- A, tak, zauważyłem, że „Hello!” pomagało w organizacji nabożeństwa w kościele. Tutaj też są?

- Zaproponowali fortunę za wyłączne prawa do fotografowania wszystkich gości w kościele i na przyjęciu. Powiedzieli, że mogą przekazać te pieniądze na cele charytatywne. Ale odmówiłam.

- Brawo! Co za bezwstydnny pomysł! W końcu to jest prywatna uroczystość, prawda?

- Nie, powiedziałam, że nie oddam tej forsy na cele charytatywne. Czemu miałabym to robić, skoro muszę zapłacić za pogrzeb?

- Hm, no tak, rozumiem panią. Ma pani absolutną rację!

Czyli „Hello!” sfinansowało cały pogrzeb! Słyszałem o ślubach sławnych ludzi opłacanych przez kolorowe czasopisma, ale to był znaczący postęp.

- Muszą być zadowoleni z frekwencji - powiedziałem. - Te wszystkie gwiazdy niosące trumnę to będzie jedna z najbardziej hitowych okładek wszech czasów, co?

- Jezu, co to był za koszmar, żeby to zorganizować! - zaśmiała się Stella i przewróciła oczami. - Najpierw „Hello!” powiedziało, że ludzie do niesienia trumny są za mało sławni, więc musieliśmy ich wymienić na większe gwiazdy, mimo że Billy ich nie znał.

- Mój Boże! Nie sprzeciwiła się pani?

- Kto płaci za spektakl, ten dobiera obsadę - powiedziała ze wzruszeniem ramion. - Ale to był dopiero początek. Wyobraża pan sobie sześciu różnych agentów i rzeczników prasowych kłócących się o to, kto ma być z przodu trumny?

- Urocze. I jak to pani rozwiązała?

- Rzecz sprowadzała się do tego, czyj rzecznik prasowy ma największą siłę przekonywania. Dlatego wicepremier szedł z tyłu - zarechotała, jakby delectowała się tym bezwstydnym cynizmem.

Chciałem ją jakoś pocieszyć, pomóc odzyskać poczucie, że to jest pogrzeb jej męża.

- W każdym razie to było piękne pożegnanie.

- Dziękuję.

- I nabożeństwo wypadło wspaniale.

- Mhm.

A potem wysnęło mi się tych oto pięć słów:

- Billy tego by sobie życzył.

Podniosła wzrok i bardzo udatnie odegrała wdowę, która jest wdzięczna za te ochłapy otuchy. Oprócz smutku i gniewu, które śmierć przynosi najbliższym, jest też inna, dosyć zaskakująca forma cierpienia, które dotyka głównych żałobników: nieustanne salwy banałów, którymi się ich bombarduje.

- Billy tego by sobie życzył - powiedziałem, a ona uśmiechnęła się i podziękowała mi za dobre słowo.

„Nie, nie tego by sobie życzył” - powinna była zaprotestować. „Wielki pogrzeb z pompą sfinansowany przez »Hello!« to wcale nie jest to, czego by sobie życzył. Jeszcze czterdzieści lat życia i spokojna śmierć we śnie pośród gromady wnuków - oto, czego by sobie życzył”.

Oczywiście żadnej pogrążonej w żałobie żonie nie wolno tego powiedzieć. Dobre obyczaje nakazują jej zareagować tak, jakby ten frazes był najstosowniejszym, najbardziej wzruszającym i najdelikatniejszym komentarzem, który może wygłosić gość na pogrzebie.

Pomyślałem, że chyba przyszedł czas zostawić ją w spokoju, więc powiedziałem, że miło było ją poznać, i z niechęcią wróciłem na salę, by zanurzyć się w rozplotkowanym gwarze. Pokręciłem się jeszcze chwilę po sali, ale uzmysłowiłem sobie, że nie sprawia mi to przyjemności, a ponieważ przyjechałem na pogrzeb dla ciekawych przeżyć, dla frajdy, powiedziałem sobie, że czas ruszać w drogę do domu.

- A, Jimmy! Wszędzie pana szukałam - powiedziała Arabella z „Sunday Times”.

- A, witam ponownie.

- Ma pan może wizytówkę?

- Hm, nie, akurat dzisiaj nie zabrałem ze sobą.

- Chodzi o to, że od jakiegoś czasu planuję napisać duży artykuł na temat aktualnej sytuacji brytyjskiego kabaretu i pomyślałam, że mogłabym pana włączyć jako „komika, który

nie chce występować w telewizji”. Rozmawiałam z Mikiem Mellorem, ale doszłam do wniosku, że wolę zrobić wywiad z panem. Byłoby to możliwe?

Wiem, że należało długo i dogłębnie przeanalizować tę propozycję, ale ja nie analizowałam jej długo i dogłębnie, tylko krótko i powierzchownie.

- E, no, chyba tak. - Wzruszyłem od niechcienia ramionami, choć serce waliło mi jak młotem. - Muszę to jakoś zmieścić w harmonogramie występów - rzuciłem, ale potem się wystraszyłem, że Arabella uzna, iż nie chce mi robić kłopotu. - To znaczy mógłbym coś odwołać, gdyby się okazało, że nie mamy wspólnych wolnych terminów - paplałem.

Wymieniliśmy numery telefonów komórkowych. Chwilę później jakiś człowiek z „Hello!” poprosił nas o odsunięcie się trochę na bok, bo staliśmy przed parą gwiazd posłusznie pozujących do zdjęcia i nasze anonimowe twarze nie zwiększały prestiżowych walorów fotografii. Sala roiała się od pustych w środku sław, które przyszły na stypę tylko dla popchnięcia swojej kariery. Czy naprawdę można być takim megalomanem, żeby zatracić wszelkie poczucie stosowności i przyzwoitości?

- Świetnie, Annabel, z góry się cieszę na pani telefon! - powiedziałem na odchodnym.

Duży artykuł o scenie kabaretowej ze mną w jednej z głównych ról, pomyślałem. Moje nazwisko w „Sunday Times”. Co za osiągnięcie! Najlepszy pogrzeb w mojej karierze!

5

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Lady Diana Spencer wyszła dzisiaj za księcia Karola. Nie licząc tej całej pompy, była to normalna rodzinna uroczystość, poza tym to jest korzystne z punktu widzenia turystyki. Jakiś czas po zaręczynach Diana wybuchła płaczem, bo miała dosyć bycia fotografowaną, gdzie się tylko ruszyła, ale myślę, że człowiek szybko się do tego przyzwyczaja. Jest takie powiedzenie, że nieważne, co o tobie mówią, byle mówili, ale muszą być wyjątki, na przykład Rozpruwacz z Yorkshire, chyba nie dostawał zbyt wielu ofert pracy jako kierowca, po tym jak jego nazwisko pojawiło się we wszystkich gazetach. Ale teraz, kiedy jesteś sławny, Jamesie, musisz pogodzić się z tym, że prasa będzie ciągle wtykała nos w Twoje sprawy. Wiem, że to uciążliwe, ale obawiam się, że taka jest cena sławy.

Wszyscy są bezgranicznie zafascynowani każdym aspektem Twojego życia. Dlatego w tej chwili mi nie przeszkadza, że nikt się mną w najmniejszym stopniu nie interesuje. W gruncie

rzeczy cieszę się z tego, bo kiedyś z nostalgią i zazdrością przypomnę sobie spokój, który teraz jest mi dany. Totalny, absolutny spokój, ludzie za mną nie wydzwanają, nie piszą do mnie listów, nie chcą cały czas się ze mną spotykać, a ściśle rzecz biorąc, w ogóle nie chcą się ze mną spotykać. To jest dla mnie bardzo cenny okres i stale sobie mówię, jak wielkie mam szczęście.

W stosunkach z prasą szczególnie ważne jest to, żebyś nie zamykał oczu, kiedy Cię fotografują. „East Grinstead Observer” to naturalnie tylko lokalny dziennik i żaden profesjonalista z Fleet Street nie użyłby tego zdjęcia ze szkolnego pikniku, ale nawet jeśli zdarzy Ci się pojawić na zdjęciu grupowym w gazecie z zamkniętymi oczami, pamiętaj, że nikt nie zwraca na to tak wielkiej uwagi jak Ty sam. Chociaż w tym konkretnym przypadku cała szkoła czuła się zobowiązana wytykać Ci to kilka razy dziennie na długo po tym, jak przestało to być śmieszne, jeśli w ogóle było śmieszne, bo moim zdaniem wcale nie było. Zachowywali się nad wyraz niedojrzale.

Musisz pamiętać o następującej podstawowej zasadzie: gazety potrzebują sławnych ludzi, ale sławni ludzie także potrzebują gazet. Jest to szczególna relacja, zwana „obustronną”, w której obie strony nawzajem się potrzebują.

Dobra, muszę lecieć, bo mam bardzo dużo spraw do załatwienia. Zamierzałem zabrać się dzisiaj do pisania pracy o Tudorach, ale postanowiłem obejrzeć w telewizji królewskie zaślubiny w ramach zbierania materiału. Niedługo znowu do Ciebie napiszę.

- Wywiad z Jimmym Conwayem dla działu kultury „Sunday Times”, kasetą jeden.

Dziennikarka powiedziała te słowa do nowiutkiego chromowanego dyktafonu, po czym postawiła urządzenie pionowo na stole między nami. Malutka lampka migłała przez cały czas trwania rozmowy. Wskazywało to, jak sądziłem, że dyktafon nagrywa, ale dręczyło mnie podejrzenie, że jest wyposażony w wykrywacz kłamstw, który włącza czerwone światelko po każdym moim zmyśleniu.

- Dobra, Jimmy, pytanie pierwsze: od jak dawna jest pan zawodowym humorystą?

- Znaczący, nie jestem zawodowym humorystą, zmyśliłem to wszystko, bo zawsze chciałem być kimś. Niestety wyrosłem na człowieka zupełnie nieciekawego i anonimowego, więc pomyślałem, że spróbuję skłamać, udawać, że jestem ciekawym i ważnym człowiekiem, i zobaczyć, dokąd mnie to zaprowadzi.

Odpowiedź ta przemknęła mi przez głowę, ale postanowiłem jej nie udzielać, obawiałem się bowiem, że mogłoby to źle ustawić cały wywiad i popsuć atmosferę.

- Odkąd pamiętam, zawsze umiałem rozśmieszać ludzi, ale pierwszy profesjonalny angaż, jeśli można tak powiedzieć, otrzymałem w wieku ośmiu lat. Mój starszy brat opowiedział mi świński dowcip, którego nie zrozumiałem, i obiecał mi pięćdziesiąt pensów za

powtórzenie go przy całej rodzinie w Boże Narodzenie. Skonfiskowano mi dwa prezenty, a honorarium do tej pory nie dostałem.

Ta historia była akurat prawdziwa. Arabella jeden jedyny raz sprawiała wrażenie, że mi nie wierzy.

- Czy był to dla pana dobry sposób na szkolnych chuliganów? Zamiast się z nimi bić, rozbierał pan ich agresję, rozśmieszając ich, czyli humor stał się dla pana metodą na przetrwanie w dżungli szkolnego podwórka?

- E, chyba nie.

- To interesujące, fascynujące.

Zanotowała to, jakby chodziło o informację kluczową dla zrozumienia problemów pacjenta psychiatrycznego. Takie wnikliwe przesłuchanie - poczułem się bardzo ważny. Kiedy zamówiłem guinnessa, spytała:

- Nie jest pan przypadkowo Irlandczykiem, Jimmy?

- Nie, ale nie sprzedają ciemnego piwa z beczki, więc pomyślałem, że napiję się guinnessa.

- Rozumiem, rozumiem - odparła i skinęła głową z taką powagą, jakbym właśnie opowiedział jej o jakimś traumatycznym przeżyciu z dzieciństwa, na przykład, że widziałem matkę uprawiającą seks z moim drużynowym.

Siedzieliśmy w londyńskim klubie z olbrzymimi fotelami i maleńkimi kelnerkami. Arabella była „członkiem założycielem”, cokolwiek to miało znaczyć, a ja przejętym nowicjuszem, który musiał się powstrzymywać przed chodzeniem od stołu do stołu i zbieraniem zrobionych na zamówienie darmowych pudełek zapalek, które leżały w każdej popielniczce. Arabella zadzwoniła do mnie kilka dni po pogrzebie i powiedziała, że chciałyby poświęcić cały reportaż mnie, z „powrotem ze Stanów” jako głównym wątkiem. W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby Beatlesi się reaktywowali.

- Kiedy jest pan wolny?

- Już sprawdzam...

Wpatrywałem się w arktyczną tundrę bezkresnych dziewiczych stron mojego kalendarza.

- Ja mogę tylko w przyszły czwartek - wtrąciła. - Jak pan stoi z czwartkiem?

Tak się akurat składało, że w moim kalendarzu przyszły czwartek był zaznaczony. Mianowicie w Nowej Zelandii wypadało wtedy Święto Waitangi. Niefortunny zbieg okoliczności, ale byłem pewien, że uda mi się jakoś to pogodzić.

- Czwartek może być.

- Czy Soho House panu odpowiada? Ludzie z reguły wolą się spotykać w centrum miasta.

W centrum miasta? Ale którego? Na pewno nie słyszałem o żadnym Soho House w centrum Seaford. Royal British Legion to tak, ale od jakiegoś czasu przestałem tam bywać. Za dużo kokainistów i pozerów. Domyśliłem się, że Arabella ma na myśli miasto „Londyn”, o którym ludzie tyle gadają. Uzgodniliśmy godzinę i w czwartek pojechałem do stolicy. Postanowiłem kierować się w stronę Soho i tam poszukać jakiegoś House.

- Czy komicy w głębi duszy są ludźmi bardzo smutnymi? - spytała, znacząco gryząc koniec długopisu. - Mam taką swoją małą teorię - dodała.

- Hm, ciekawe. Tak jak w tej piosence Phila Collinsa *The Tears of a Clown*.

- Tak, właśnie. *Tears of a Clown*, moglibyśmy dać taki tytuł - powiedziała, pochylając się w stronę dyktafonu. - Uważam, że ten tekst jest bardzo prawdziwy, a pan? Człowiek opowiada dowcip za dowcipem, ale w środku odczuwa głęboką melancholię.

- To jest z *The Tracks of my Tears* Smokeya Robinsona.

- Skoro już mówimy o muzyce - nie uważa pan, że kabaret stał się czymś w rodzaju nowego rock and rolla?

Byłem prawie pewien, że gdzieś już czytałem to zdanie, ale tak bardzo chciałem być uprzejmy i konstruktywny, że chyba trochę nadmiernie zachwyciłem się trafnością i oryginalnością tej tezy. Sądzę, że Arabelli mocno to pochwaliło. Powiedziała, że jeszcze nigdy nie spotkała tak skromnego artysty scenicznego.

- Dobra, a teraz pytanie za sześćdziesiąt cztery miliony dolarów. - Zmobilizowałem wszystkie swoje zasoby intelektualne, gdy ona uśmiechnęła się szeroko przed zagranieniem swojego asa atutowego. - Skąd pan bierze swoje pomysły?

Miałem wątpliwości, czy rzeczywiście jest to pytanie za sześćdziesiąt cztery miliony dolarów. Raczej za sześćdziesiąt cztery pensy.

Oznajmiła, że pora na kawę, a ja z wdzięcznością się do niej przyłączyłem.

- Przepraszam! - zawołała do kelnerki. - Czy moglibyśmy poprosić o dwa cappuccini?

Powiedziała „dwa cappuccini”. Nie „dwa cappuccino”, tylko „dwa cappuccini”. Pewnie taka jest poprawna liczba mnoga po włosku, pomyślałem. I pomyśleć, że przez tyle lat mówiłem źle.

Zgadając się na ten wywiad, przekroczyłem Rubikon oszustwa z premedytacją. Do tej pory moja nieuczciwość była spontaniczna i zaimprovizowana, często tylko potwierdzałem to, w co ludzie chcieli wierzyć. Ale kiedy zadzwoniła do mnie Arabella i powiedziała, że chce poświęcić mi cały reportaż, tak mi to pochwaliło i tak mnie zachwyciło, że zgodziłem się

przynieść trochę recenzji z Ameryki. Pomyślałem o ślepej uliczce, w którą się wmanewrowałem, i uznałem, że sytuacja niebezpiecznie mnie przerosła. Byłem nikim, który w innym życiu chciałby być sławny. I należało pozostać nikim, który w innym życiu chciałby być sławny. Ale następnego wieczoru siedziałem sam w swoim domu w Seaford, oglądałem stary czarno-biały film zatytułowany *Wszystko o Ewie* i przeżyłem olśnienie. Siedzimy karierę wielkiej gwiazdy i przekonujemy się, że wypłynęła na szerokie wody dzięki oszustwu. Film o sławie, nakręcony w Hollywood, wyjaśniający, co trzeba zrobić. Jeśli chcesz być sławny, musisz oszukiwać. Nagle wydało mi się to najzupełniej oczywiste.

Jaki byłem naiwny przez te wszystkie lata! Sądziłem, że towar tak cenny jak sława przydziela się według zasług. Nic podobnego. Bez skrupułów się go defrauduje, kradnie, rabuje - a w moim przypadku podrabia, czemużby nie? „Falszyfikat sławy” - czy coś takiego istnieje? Może oni wszyscy udają. Może wszyscy wkręcili się na imprezę dla sław drogą oszustwa i kłamstwa, a potem szybko wtopili się w tłum gości. Bo jak już jesteś w środku, to sprawa załatwiona. Automatycznie stajesz się oryginalnym produktem. Tak samo jak milionerzy, którzy ukradli swoje pierwsze dziesięć tysięcy, potrzebowałeś tylko przewagi na starcie nad innymi.

Kilka dni później przystąpiłem do drukowania wybranych recenzji z różnych amerykańskich gazet. Ich napisanie zajęło mi cały weekend. Nie udało mi się wymyślić żadnych dowcipów, które mógłbym zaprezentować czytelnikom, ale w każdym artykule wzmiankowano o moim słynnym monologu o rybach. Wydawało się, że w dziedzinie czystej kreatywności, o której zawsze marzyłem, nareszcie znalazłem swoje *metier*. Jeszcze nigdy nie byłem taki twórczy jak teraz, kiedy wymyśliłem całą rozbudowaną historię swojego sukcesu. Wklejenie mojego tekstu w artykuł ściągnięty ze strony internetowej „New York Times” było dziecinnie prostą operacją, ale zdobycie zdjęć, o które Arabella później mnie poprosiła, zajęło mi całą noc. Oto Billy Crystal obejmuje mnie ramieniem, a Steve Martin przygląda się z boku i ryczy ze śmiechu na widok mojej zabawnej miny, która zawsze niezawodnie działała na Jankesów. Wymagało niemałych umiejętności, a przede wszystkim cierpliwości, żeby skrócić o głowę anonimowego amerykańskiego producenta, który pierwotnie zajmował centralne miejsce na tym znalezionym przeze mnie w internecie zdjęciu. Korzystając z Podrabiarki Zdjęć dla Łobuzów Windows XP, zaimportowałem swoją głupkowatą głowę z osobistej kolekcji zdjęć i po długotrwałych retuszach i przewymiarowaniach wyglądało to idealnie. Billy Crystal i ja znamy się jak łyse konie - obiektyw nigdy nie kłamie, prawda? Przed spotkaniem z Arabella zdążyłem zbudować dla siebie całą karierę w Ameryce (po namyśle dołożyłem jeszcze Kanadę, bo uznałem, że ten nieistotny szczegół doda mojemu życiorysowi artystycznemu

wiarygodności). Ludzie narzekają, że w dzisiejszych czasach osoby publiczne bardziej dbają o pozory niż o rzeczywistość. Ja w ogóle zrezygnowałem z treści - wybrałem sto procent pozorów i zero procent rzeczywistości.

Arabella była pod wrażeniem dostarczonych przeze mnie materiałów. Zarzuciła mi, że chowałem się pod korcem.

- Nie chowałem się pod korcem, bo nigdy nie udało mi się spod niego wyjść - zaprotestowałem skromnie.

Rozwinałem temat pobudek, dla których postanowiłem nie występować w telewizji, bo czułem, że będzie to główny wątek artykułu. Wyłuszczając swoją antykomercyjną filozofię „powrotu do korzeni kabaretu”, opowiedziałem, w jaki sposób wyrobiłem sobie nazwisko w Stanach: zjawiałem się bez zapowiedzi w różnych lokalach i dawałem zaimprovizowane występy, nigdy się wcześniej nie ogłaszałem i nigdy nie schlebiałem swojej próżności, godząc się na one-man-show w jakiejś prestiżowej sali. Moje pojawienie się zawsze było niespodzianką dodatkową premią. Dzięki temu nie groziło mi, że stanę się przedmiotem cynicznego marketingu albo zakładnikiem agentów czy ludzi trzęsących przemysłem rozrywkowym. Arabelli strasznie to zaimponowało. Potem wyjaśniłem, że to samo robię w kraju. Nie ma mnie na afiszach żadnego klubu kabaretowego ani w programie kulturalnym żadnej gazety, ale - przyznałem skromnie - moja renoma rośnie tam, gdzie to jest naprawdę ważne - wśród fanów. Podałem jej inną swoją fotografię, tym razem na scenie Comedy Store w Londynie. Wskroś gęstego dymu papierosowego widać było zachwyty na twarzach skulonej ze śmiechu publiczności, jak zaś stałem przy mikrofonie z kamienną miną.

Czułem, że im dłużej Arabella przegląda materiały, tym bardziej rozrasta się artykuł. W tym cynicznym świecie ludzi, którzy rozpaczliwie pragną zaistnieć w mediach, trafił się ktoś, kto świadomie rezygnuje z gwiazdorstwa. W duchu sądziłem, że może mi to przysporzyć ogromnej sławy. Szczególnie zadowolony byłem z tego, jak wytłumaczyłem, czemu nie ma żadnych nagrań z moimi występami - po prostu nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawię w Jongleurs, Comedy Store czy Buzz w Manchesterze. Dzięki temu chwile te były dla mojej publiczności jeszcze cenniejsze. Uznałem, że nie ma szans, abym został zdemaskowany.

- To kiedy mogę przyjść pana zobaczyć? - spytała Arabella. No, chyba jednak jakieś szanse są. - Dobrze się pan czuje? Jest pan trochę błądy.

- Nie, nie, nic mi nie jest - wyjąkałem. - Jak mówię, nigdy nie zapowiadam się z góry. To byłaby wyłącznie kwestia przypadku, gdyby pani przyszła do tego samego klubu co ja.

- Tak, ale ja za dwa tygodnie muszę oddać artykuł. Nie mogę go napisać bez zobaczenia pana występu. Jeśli mi pan powie, gdzie pan planuje następne niespodziewane pojawienie się,

to przyjdę.

- A, nie, to tak nie działa.

- Chyba nie oczekuje pan ode mnie, że napiszę o panu duży tekst, nie widziawszy pana w akcji, co?

- Hm, no, nie, oczywiście, że nie - wymamrotałem. - Zadzwońię do pani, jak tylko będę wiedział, gdzie występuję w przyszłym tygodniu.

Wyglądając z okna pociągu przy wyjeździe z metropolii, zastanawiałem się, co też wpadło mi do głowy. Zapadał zmierzch, a ja mknąłem obok setek zwyczajnych domów. Przez okna sączył się elektryczny poblask telewizorów, wszystkie rodziny siedziały wokół tego niebieskiego ogniska domowego, oglądając te same programy i osobistości. Czy moje miejsce zawsze będzie po tej stronie ekranu? Nazajutrz miałem stanąć w szkole językowej przed nową partią francuskich nastolatków, którzy regularnie do nas przyjeżdżali w ramach wymiany międzynarodowej z naszymi kieszonkowcami. Moim zadaniem było nauczyć ich użytecznych angielskich zwrotów w rodzaju: „Musiałem to przez pomyłkę włożyć do kieszeni” albo: „O rany, zapomniałem zapłacić?” Perspektywa rozpoczęcia zajęć z nową klasą przygnębiała mnie, gdy w ekspresowym tempie oddalałem się od jasnych świateł Londynu. I wtedy zdałem sobie sprawę, że pozostała mi jedna radykalna opcja. Bez oszukiwania. To było wariactwo, wiem, ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym więcej zalet dostrzegałem w tym niekonwencjonalnym planie. Zagram w otwarte karty. Dziennikarka z ogólnokrajowej gazety chce o mnie napisać duży tekst. Żeby było jeszcze piękniej, chce zobaczyć mój program. Ilu walczących o przetrwanie komików dostaje taką szansę? To prawda, że nie mam żadnego programu do pokazania, ale to jest czepianie się szczegółów. Za dwa tygodnie mija termin oddania artykułu. Co mi przeszkadza napisać dwudziestominutowy zestaw skeczy i wykonać go w klubie kabaretowym? Ludzie zawsze mi mówili, że jestem dowcipny. Jeśli wypadnę dobrze, ukaże się pochlebna recenzja w dzienniku ogólnokrajowym. Jeśli się skompromituję, to przynajmniej będę mógł sobie powiedzieć, że próbowałem. Wycofam się z podniesionym czołem i znajdę inny nieszkodliwy sposób skupienia na sobie uwagi, na przykład podając się za poszukiwanego przez policję głośnego seryjnego mordercę.

Byłem kiedyś w klubie kabaretowym w Brighton, toteż wiedziałem, jak to się odbywa, kiedy ktoś chce zadebiutować w roli komika: zaraz po przerwie jest sesja otwartego mikrofonu. Publiczność po krótkim czasie decyduje, czy uznaje danego amatora za zabawnego, czy nie. Czas ten wynosi od dwóch do dwudziestu sekund, a potem debiutantów wygwizduje się, zakrzykuje, obrzuca wyzwiskami i bombarduje do połowy opróżnionymi plastikowymi kufkami piwa. Na co ja czekam? Nadeszła pora, aby uczynić mój słynny monolog o rybach

rzeczywistością.

Najpierw musiałem zarezerwować termin. Nie chcąc ryzykować, że zobaczy mnie Nancy, Dave albo któryś z innych moich seafordzkich znajomych, rozpytałem się o wieczory otwartego mikrofonu w niektórych pomniejszych klubach londyńskich. Wreszcie zapisałem się na środę w klubie w północnym Londynie - co dawało mi dziesięć dni na stworzenie i przećwiczenie monologu, Arabelli zaś dwa dni na napisanie z niego recenzji.

- Nie - powiedziała, kiedy do niej zadzwoniłem, żeby podać jej tajne szczegóły mojego występu. - Nie, nie, nie, nie, nie. Środa mi nie pasuje. Samantha ma urodziny - zakomunikowała tonem sugerującym, że powinienem mieć tę ważną datę zanotowaną w kalendarzu pomiędzy urodzinami Martina Luthera Kinga i św. Patryka. - Idziemy do niej z ekipą znajomych na kolację.

- Ale to jest późno wieczorem - przekonywałem. - Niech pani przyjdzie po imprezie. I przyprowadzi ich ze sobą, jeśli pani chce.

- Nie mógłby pan tego przelożyć na wtorek? Zaraz - nie, we wtorek jest promocja książki, czwartek znowu odpada, w piątek za późno...

Szybko się okazało, że wszystkie inne terminy ma zajęte, więc z ciężkim sercem zgodziła się wyjść wcześniej z kolacji u Samantha.

- Ale przyjdzie pani, tak? - spytałem, czując się znacznie mniej ważny niż podczas poprzedniej rozmowy.

- Jasne, że przyjdę. Szefowa działu kultury bardzo się zainteresowała tym artykułem. „Kabaret to jest nowy rock and roli, ale tutaj mamy do czynienia z kabaretowym punkiem”, powiedziała.

Nie byłem do końca pewien, o co jej chodziło - ale miałem poczucie, że stawka jeszcze wzrosła. Następnego ranka wreszcie zasiadłem do pisania skeczy. Zajęcia w szkole językowej zaczynały się dopiero o drugiej po południu, więc położyłem przed sobą kilka pustych kartek papieru i usiłowałem wymyślić coś śmiesznego. Humor sytuacyjny, to jest to. „Zauważyliście, jak ciężko się otwiera kartony z mlekiem?” Hm. Czuję, że to spostrzeżenie mogło nawet poprzedzić debiut mleka w kartonach. Coś bardziej współczesnego. Może SMS-y. Albo telewizja cyfrowa. „Teraz o wszystkim jest osobny kanał. Niedługo zrobią specjalny kanał o... specjalny kanał o...” Nie przychodziła mi jednak do głowy żadna dziedzina życia, o której nie byłoby specjalnego kanału. Może satyra polityczna? „Nowa Partia Pracy, co? Nie są tacy lewicowi jak stara Partia Pracy, nie?” Efekt satyryczny nie był zbyt mocny, więc zmiąłem kartkę i zobaczyłem pod nią inną, już wykorzystaną, czystą jak łąka, jeśli nie liczyć słów „Scena druga” na górze.

Pół godziny później w mojej głowie zaczął się wykluwać pewien pomysł, kiedy zadzwonił dzwonek i zobaczyłem charakterystyczną sylwetkę Doreen Cutbush, zasłaniającą światło, które mogłoby wpadać przez szybkę w moich drzwiach wejściowych. Przy spotkaniu z Doreen człowiek miał tylko jedną myśl: oto kobieta, która kocha miniaturowe sznaucery. Po części brało się to z faktu, że nosiła przypiętą do ubrania jasnożółtą plakietkę wielkości spodeczka z jednoznaczną deklaracją: „Kocham miniaturowe sznaucery”. Była wszakże jeszcze inna, trudna do przegapienia poszlaka: Doreen trzymała pod pachami dwa zdyszane miniaturowe sznaucery - ich wąsate psie głowy prawie zawsze sterczały po obu stronach jej gigantycznych, sięgających do talii piersi. Doreen była postacią rodem z mitologii greckiej - ludzka głowa i ciało, ale spod pach wyrastają dwa psie łby. Na wypadek gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości w kwestii jej stosunku do miniaturowych sznaucerów, wielką plakietkę otaczała bogata kolekcja innych sznaucerskich insygniów. Do zielonej kamizelki miała przypięte trzydzieści do czterdziestu metalowych plakietek w kształcie jej ulubionej rasy psa albo zaświadczających o członkostwie w Brytyjskim Klubie Miłośników Miniaturowych Sznaucerów.

Kiedy otworzyłem jej drzwi, wydała z siebie swoje firmowe westchnienie kobiety, która ledwo trzyma się na nogach.

- Mój drogi Jimmy, wyprowadzasz dzisiaj Betty na spacer?

Była to pierwsza część dwupytaniowej pułapki, w którą nieodmiennie wpadałem. Odpowiedź twierdząca dawała Doreen możliwość pytania, czy nie mógłbym przy okazji zabrać jej pupilków. Laufer zbija wieżę i szach-mat. W istocie planowałem przejść się z Betty krótko po klifach, ale wyprowadzanie na spacer psów Doreen było bardziej skomplikowaną operacją - rzecz oczywista w świetle faktu, że chodzenie należało do rzadko wykonywanych przez nie czynności. Ich się nie wyprowadzało na spacer, je się nosiło na spacer.

Doreen była dyrektorką szkoły językowej. Kiedy zaczynałem tam pracować, znalazła mi ten dom do wynajęcia kilka kroków od swojego. Od tego czasu nieustannie spłacałem zaciągnięty dług. Ponieważ pracowałem na część etatu, ludzie często prosili mnie o pomoc w różnych sprawach albo zachodzili do mnie, kiedy mieli ochotę pogadać, a przecież uprzejmość nakazuje zamienić z ludźmi parę słów. Sławne osoby zatrudniają do tego innych. „Jej Wysokość poprosiła mnie, abym panu podziękował za pański list”, odpowiadano mi nieodmiennie z Buckingham Pałace w czasach, kiedy pisywałem do królowej na temat smoking beagles. Sławni ludzie nie gawędzą z jednym sąsiadem, lecz z całym krajem, a nawet z całą planetą - na tym polega bycie gwiazdą. Człowiek jest miły nie dla sąsiada, lecz dla milionów. Kiedy ja spełniałem swój obowiązek wobec ludzkości, karmiąc kota Edny Moore,

Bob Geldof też nie próżnował, organizując koncert na rzecz głodujących czy coś w tym rodzaju. Każdy ma swoje miejsce w porządku rzeczywistości. Kto ma prawo powiedzieć, że jeden człowiek jest ważniejszy od drugiego?

Dużo czytałem na temat determinacji i zawziętości gwiazd pnących się po szczeblach kariery. Nie wspominało tam ani słowa o poświęcaniu części czasu innym ludziom, ale widać taka jest cena sławy - musisz zawsze stawiać na pierwszym miejscu siebie i myśleć wyłącznie o sobie. Właśnie dotarłem do tego punktu. Miałem za mało czasu, żeby wyprowadzić na spacer miniaturowe sznaucery Doreen. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia - musiałem napisać monolog humorystyczny. Cóż, spojrzę jej prosto w oczy i wyjaśnię, że jestem taki zajęty, iż muszę ją poprosić o wyprowadzenie na spacer Betty. Zebrałem się na odwagę i zacząłem.

- Sprawa jest taka, Doreen...

- Bo muszę jechać odwiedzić mojego brata w szpitalu w Brighton. Tego, co ma raka, mówiłam ci o nim.

Pomagając jednemu z miniaturowych sznaucerów sforsować wyjątkowo wysoką kępę trawy, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek osiągnę cel, który sobie wytyczyłem. Podczas swojej epickiej wędrówki Odyseusz musiał pokonać cyklopa, przepłynąć między Scyllą i Charybdą tudzież oprzeć się uwodzicielskiemu śpiewowi syren. Trudniej jest okryć się chwałą, bohatercko pokonując przyziemne przeszkody, które stają nam na drodze w codziennej życiowej wędrówce.

- Przebóg, spójrzcie, jak nasz heros opiera się pokusie sprawdzenia e-maili, albowiem wola jego jest ze stali!

- Zaiste, i podziwiałcie jego niezmierną odwagę, z jaką rzuca rękawicę straży miejskiej i walczy z nimi o mandat za parkowanie, który niesłusznie włożono za wycieraczkę jego nissana Sunny!

- Ale cóż to, patrzcie, teraz przyszło mu stawić czoło najgroźniejszemu wrogowi - olbrzymce z dwoma psimi głowami pod pachami! Czy naszemu bohaterowi starczy siły, by odmówić jej prośbie o wyprowadzenie na spacer miniaturowych sznaucerów?

- Nie, snadź nie starczy.

Powrót do domu zajął Odyseuszowi dwadzieścia lat. Wydawało się, że napisanie zestawu skeczy potrwa mniej więcej tyle samo. A jednak w weekend miałem już gotowy początek monologu, który ćwiczyłem, przemierzając maniakalnie pokój od frontu. Szło to następująco:

- Dodo. Co to były za bezsensowne ptaki! - Na marginesie napisałem zaniepokojoną

uwagę do siebie: „Dostatecznie aktualne?” - No i dodo wymarły. Cóż, bardzo mi przykro, ale znaczy, czyja to jest wina? No bo, normalnie, dodo, ja nie mogę! Bardzo mi przykro, ale same się o to dopraszałyście. - W tym miejscu może trzeba dyskretnie się roześmiać. - Kurczę, musiał być taki moment, że na całym świecie została tylko jedna para dodo i żeglarze pomyśleli sobie: To jak będzie? Na zawsze stracić ten gatunek czy nie zjeść na kolację dodo a 1'orange? Znaczy, bardzo przepraszam, ale co to jest, kurwa, za wybór? - Wypróbowałem to ostatnie zdanie bez przekleństwa, ale nie brzmiało śmiesznie. - Słuchajcie, dodo, nie umiecie latać i jesteście przepyszne. Fatalnie to sobie wykombinowałyście, to teraz macie. Jesteście wymarłym gatunkiem. Przestańcie się mazgać! Życie idzie dalej! - A potem potrząsnąłbym głową, jakbym dalej nie mógł uwierzyć w kretynstwo tych stworzeń, i być może powtórzyłbym: „Dodo. Co to były za bezsensowne ptaki!”, tak do siebie, może udając, że tłumię w sobie parsknięcie śmiechu. Przećwiczyłem ten tekst parę razy i stwierdziłem, że z jakiegoś powodu głos mi zmutował do jakiegoś świrniętego oburzonego londyńskiego plebejusza, coś pomiędzy Bobem Hoskinsem i Dickiem van Dykiem w *Mary Poppins*. Uznałem też, że regularnie wtrącając różne „kurczę” i „normalnie”, nadaję skeczowi walor autentyczności, spontaniczności.

Podniosło mnie na duchu, że coś wreszcie napisałem, ale pozostawał problem długości tekstu. Zmierzyłem czas jego wygłaszania i do zamierzonych dwudziestu minut zabrakło mi dziewiętnastu minut i dwunastu sekund. Może gdyby się dużo śmiali, to by się przeciągnęło. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak publiczność by zareagowała. Czy skecz nie jest za bardzo dodoistyczny?

W poniedziałek cały dzień spędziłem w pracy. Podczas przedpołudniowej przerwy na kawę Nancy powiedziała mi, że jej córka wróciła do szkoły.

- O, tak się cieszę - odparłem, po czym dodałem: - Coś ci powiem, dodo to były bezsensowne ptaki, prawda?

- Słucham?

- No i dodo wymarły. Kurczę, bardzo mi przykro, ale znaczy, czyja to jest wina? No bo, normalnie, dodo, ja nie mogę! Bardzo mi przykro, ale same się o to dopraszałyście. Słuchajcie, dodo, nie umiecie latać i jesteście pyszne. Fatalnie to sobie wykombinowałyście, to teraz macie. Jesteście wymarłym gatunkiem. Przestańcie się mazgać! Świat idzie dalej!

Wytrzeszczyła na mnie oczy bez śladu uśmiechu.

- Przepraszam, ale o czym ty mówisz?

- No, wydawało mi się, że to jest zabawna myśl.

- Poza tym, że dodo był pierwszym istotnym gatunkiem, który został wybity przez

człowieka, a teraz co roku tracimy setki gatunków.

- Mhm, masz rację - powiedziałem ze skinieniem głowy. Wypróbowałem ten sam tekst na Chrisie, który spytał z zatroskaną miną:

- Dodo wymarły? Kiedy?

Nie powiedziałem Nancy ani żadnemu innemu znajomemu, w jakiej jestem sytuacji. Może wstydziłem się przyznać, jak bardzo się zaplątałem we własną sieć kłamstw, a może miałem zabobonne obawy, że mówienie przed faktem o moim występie przyniesie mi pecha - w każdym razie uznałem, że na razie nikomu ani słowa. Oczywiście nie miałbym żadnych trudności z przekonaniem Nancy, że to wszystko prawda. Moja koleżanka z pracy wierzyła prawie we wszystko, co się jej powiedziało. Wynikało to z optymistycznego poglądu na ludzką naturę, ale miało tę wadę, że Nancy ciągle dawała sobie wmawiać różne bzdury. Dałoby się ją przekonać, że Narnia to jest dawna republika radziecka albo że księżna Michael of Kent posługuje się męskim imieniem, bo nie pozwolono jej go zmienić po operacji zmiany płci. Kiedyś zauważyłem, że wkłada do pieczeni torebkę herbaty ekspresowej „dla aromatu”. Kilka godzin później udało mi się ją przekonać, że nie jest to normalna praktyka kulinarna, a to, co przed laty wkładała jej matka do pieczeni, to było *bouquet garni*. Jej mama z pewnością zażartowała sobie kiedyś i powiedziała, że używa herbaty ekspresowej, ale Nancy od tej pory przyrządzała *coq au Lipton*.

Chwilowo odłożyłem skecz z dodo na bok i wieczorem przez parę godzin usiłowałem wymyślić coś nowego. Co z moim słynnym monologiem o rybach, który nowojorski „Village Voice” określił mianem „*JJey Jude* brytyjskiej humorystyki scenicznej?” Ryby są zabawne, co mógłbym powiedzieć o rybach?

- Zauważyliście, znaczy, że ryby, kurczę, mają całą masę różnych płetw? Jest płetwa grzbietowa, jest płetwa piersiowa, jest płetwa miedniczna, jest płetwa ogonowa...

Nie, zbyt kostyczne. Większość ryb ma płetwę analną. Może i by to kogoś rozśmieszyło, ale to tani dowcip. Dobra, do ryb wrócę później. Usiłowałem sobie przypomnieć śmieszne rzeczy, które powiedziałem w pubie, ale poza kontekstem to nie było to samo.

- No i jest taka gruba Niemka w szkole językowej, w której uczę, no i byliśmy kiedyś dużą ekipą w pubie, no i wypła całe piwo jednym haustem, i beknęła potężnie, i ja powiedziałem: „Ta szkoła oglądy to były wyrzucone pieniądze!”

Trzeba przy tym być, żeby się roześmiać.

Potem podarłem górną kartkę, zmiąłem z kulką i bez końca siedziałem ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Kilka razy byłem bliski zadzwonienia do Arabelli i powiedzenia jej, żeby nie przychodziła i zapomniała o artykule. Potem jednak pomyślałem o możliwości, jaka

się przede mną zarysowała: zostać kimś, jakie to musi być fantastyczne uczucie, być kimś naprawdę ważnym, przypomniałem sobie, jaka mnie ogarnęła absurdalna duma, kiedy czytałem te fikcyjne amerykańskie recenzje. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak bliski osiągnięcia czegoś. I właśnie dlatego tak potwornie się bałem. Bo musiałem spojrzeć w oczy całkiem realnej możliwości, że poniosę klęskę.

Był oczywiście jeszcze jeden powód, dla którego chciałem być sławny. Z mojej perspektywy wydawało się to kluczem do wszystkiego. Od lat nie byłem w prawdziwym związku uczuciowym. Dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby się zainteresować trzydziestokilkuletnim nauczycielem angielskiego, który pracuje na część etatu i nie dorobił się niczego oprócz neurotycznego psa i kolekcji kluczy do wkrętów z sześciokątnym gniazdkiem, które mu zostały z samodzielnego montażu mebli? Wszyscy wiedzą, że sława czyni mężczyznę seksownym. Wystarczyło spojrzeć na brzydkiego jak noc Billy'ego Scrivensa i jego powalającą żonę, żeby zrozumieć, jaki jest sławny. Sława to najbardziej ostentacyjny pawi ogon, który współczesny mężczyzna rozpościera w tańcu godowym. Sława oznaczałaby dla mnie nie tylko prestiż, szacunek, pieniądze i sukces. Przede wszystkim oznaczałaby koniec z tą zasraną samotnością.

Następnego dnia postanowiłem, że będę wobec siebie nieubłagany i naprawdę ciężko popracuję nad monologiem. Zapłaciłem Tamsin, córce Nancy, za wyprowadzenie Betty na spacer. Tamsin miała czternaście lat, ale jej twarzy brakowało niewinnej świeżości typowej dla dziewczynek w tym wieku. To znaczy tym częściom twarzy, które wciąż było widać pomiędzy sterczącym żelastwem. Zaczęło się od identycznych kolczyków w nosie i pępku. Może Tamsin dostała je w prezencie i umieściła gdzie popadło, nie przeczytawszy uważnie instrukcji obsługi. Potem, mimo usilnych perswazji matki, dała sobie przebić pistoletem na gwoździe wargę, przegrodę nosową, język i brwi. Dochodziły do tego tatuaże i malinki, toteż zostało niewiele widocznych obszarów skóry, które nie byłyby w ten czy inny sposób okaleczone. Dzięki twarzy Tamsin brytyjscy hutnicy jeszcze na kilka lat mieli zapewnione miejsca pracy.

Mój pies należał do nielicznych w Seaford stworzeń, które nie wzdrygały się na widok Tamsin. Wkrótce chodzili razem po plaży, a ja zyskałem cenną godzinę na pisanie. Wpatrywałem się bez końca w pustką kartkę, skrobałem jakieś niedowarzone pomysły, po czym je wykreślałem. I nagle - eureka! Ku własnemu zdziwieniu wymyśliłem dowcip o rybach! Szybko! Połknęła haczyk, wyciągnij ją z wody, teraz ostrożnie, wrzuc ją do wiadra... A potem zadzwonił dzwonek i pomysł pierzchnął.

Tamsin wróciła i chciała pogadać o swoich problemach. Nie wiem dlaczego, ale zawsze, kiedy była u mnie w domu, zbierało się jej na zwierzenia. Nancy zasugerowała, że jej córka

traktuje mnie trochę jak zastępczego tatę, ale z tego, co wiedziałem o czternastoletnich dziewczynkach, nie rozmawiają one ze swoimi ojcami, no i raczej nie miałem ochoty, żeby Tamsin krzyknęła: „Nienawidzę cię!”, pobiegła na górę i trzasnęła za sobą drzwiami mojej łazienki. Poza tym nie mówiła bezpośrednio do mnie. Jako sposób na swoje onieśmielenie udawała, że zwierza się Betty, a że ja akurat jestem w tym samym pokoju, to czysty przypadek.

- Och, Betty, co ja mam zrobić? - spytała, łaskocząc moją sukę po brzuchu. - Myślę, że Kelvin mnie rzuci.

- Posłuchaj, Tamsin, dzięki za wyprowadzenie psa i w ogóle, ale mam robotę i niestety nie mogę z tobą pogadać.

- Nie szkodzi, nie będę ci przeszkadzała, prawda, Betty? Dobry pies!

Musiałem być stanowczy. Tym razem nie mogłem się ugiąć.

- Przepraszam cię, ale naprawdę muszę być teraz sam. Tamsin zaczęła płakać.

- Betty, Kelvin mnie rzuci! - wyszlochała.

Łzy spływały jej po twarzy, po metalowych kolczykach i kółkach. Nie mogłem jej tak zostawić, bo by zardzewiała.

- O rany - skłamałem.

Kelvin nie uczynił życia Tamsin radośniejszym. Niby był jej chłopakiem, ale według Nancy tylko w jednej sytuacji spędzali ze sobą cały wieczór: jak metalowe akcesoria na twarzy im się szepiły.

- Czy Kelvin to zapowiedział?

Poinformowała Betty, że nie, ale ona widzi po nim, że ma zamiar ją rzucić. Betty skwitowała tę wiadomość merdaniem ogona.

- Może po prostu nie bardzo umie wyrażać uczucia... - zasugerowałem dziewczynie, która komunikowała się ze mną za pośrednictwem border collie.

Wydałem z siebie jeszcze kilka współczujących pomruków i zrobiłem Tamsin herbaty, ale w końcu powtórzyłem, że mam pilną robotę. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, jakby coś ukrywała. Spytała mnie, czy nie mogłaby zostać i pobawić się z Betty.

- Bardzo cię przepraszam, Tamsin, ale nie mogę pracować, kiedy ty tu jesteś i mówisz do psa.

- Kiedy tylko ona mnie rozumie, a to jest dla mnie ważne...

- Tamsin, obawiam się, że nie ma takiej pilnej sprawy, która nie pozwoliłaby mi zabrać się natychmiast do pracy.

Zapadła długa cisza.

- Jak myślisz, Betty, czy Kelvin by się rozmyślił i nie rzucił mnie, gdybym zaszła w

ciążę?

Jakąś godzinę później skończyłem wymieniać powody, dla których ten plan nie wydawał mi się szczególnie dobry. Znalazłem w nim wiele usterek. Chociaż szczerę się tym, że z reguły umiem zachować obiektywizm, nie umiałem znaleźć ani jednej dobrej strony pomysłu młodej Tamsin.

- Skąd ci przyszedł do głowy taki głupi pomysł?

- Wcale nie jest głupi. Mówili o tym w *Oстрым dyżurze*. Dałem świadectwo dużej naiwności, bulwersując się faktem, że czternastoletnia dziewczyna w ogóle bierze pod uwagę rozpoczęcie życia seksualnego. W jej wieku to jest złe i niemoralne. A co istotniejsze, skoro ja musiałem czekać do dziewiętnastego roku życia, to dlaczego dzisiejsza młodzież szkolna nie może okazać trochę więcej cierpliwości? W końcu nabrałem przekonania, że odwołłem Tamsin od tego kierunku działań.

- Tamsin, nie potrzebujesz Kelvina, żeby ci powiedział, że jesteś wyjątkowa. Jesteś wyjątkowa. Ludzie już teraz cię zauważają.

Nie minąłem się z prawdą. Miała na twarzy tyle różnego żelastwa, że busole na morskich statkach mijających Seaford wariowały.

- Dziecko nie doda ci wyjątkowości. Wręcz przeciwnie, w tym mieście dorównasz do przeciętnej. Już jesteś wyjątkowa, Tamsin. Jeśli Kelvin tego nie widzi, to na ciebie nie zasługuje - podsumowałem, czując się jak pani z kącika porad w czasopiśmie dla nastolatków.

Tamsin poczuła się lepiej i podziękowała Betty, że zechciała z nią porozmawiać. Potem uświadomiłem sobie, że będę musiał zawiadomić o tej rozmowie jej matkę. Kiedy o tym wspomniałem, Tamsin znowu wpadła w roztrzęsienie, błagała mnie, żebym tego nie robił, i rozmawialiśmy jeszcze przez pół godziny. Powiedziała, że jeśli jej mama się dowie, to ona ucieknie z Kelvinem, zajdzie z nim w ciążę i będą mieszkali w Londynie, żyjąc z grania na ulicach, zonglowania i tak dalej. Dorzucając słowa „i tak dalej”, wzbudziła we mnie podejrzenia, że jest to kolejny nie do końca przemyślany plan.

- Twoja mama jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Nie mogę przed nią ukrywać takich rzeczy.

- Masz zamiar znowu się zacząć z nią umawiać? - spytała mnie prosto z mostu.

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie zmieniam tematu, bo gdyby mnie nie było, to może znalazłaby sobie chłopaka.

Więc jak bym uciekła z Kelvinem...

- Tamsin, czy mogłabyś już skończyć z tymi idiotycznymi pomysłami!

Chociaż wiedziałem, że to nierozsądne, obiecałem Tamsin, że nic nie powiem jej

mamie, dzięki czemu wreszcie sobie poszła i mogłem trochę popracować. Otworzyłem więc piwo i padłem wyczerpany na sofę.

Dziesięć dni wcześniej, kiedy wyjście na scenę było kompletnie niewyobrażalne, wydawało się rozwiązaniem wszystkich moich problemów. Teraz jednak, kiedy godzina zero zbliżała się wielkimi krokami, uznałem, że jest to koncepcja z gruntu obłąkana. Pierwsi chrześcijanie nie przychodzili do Koloseum z nadzieją, że lwy dadzą im szansę na wyłansowanie się.

- Mówisz, że jeszcze nigdy nie widziałeś tego spektaklu?

- Nie, ale słyszałem, że jest bardzo popularny i na pewno na bieżąco się wdrożę.

- O, tak, nie przejmuj się, z reguły lwy dyktują każdy kolejny krok i jestem pewien, że automatycznie wskoczysz w rolę.

Mimo to chciałem dobrowolnie złożyć się w ofierze gwoli dostarczenia współczesnemu plebsowi rozrywki. Odsuwałem od siebie tę myśl, ale przez cały dzień nie chciała się ode mnie odzepić.

Potrzebne mi było doświadczenie, ale natychmiast. Chciałem doświadczenia instant: wystarczy zalać wodą i podgrzać w mikrofalówce. Już teraz odkrywałem złe strony sławy. Podobało mi się, że wszyscy będą mnie podziwiali, dawali mi darmowe bilety, zapraszali mnie na imprezy, płacili mi mnóstwo pieniędzy i sprawiali, że wszędzie będą się czuć kimś wyjątkowym. Nie podobał mi się tylko jeden nieubłagany punkt umowy: „Musisz pracować w pocie czoła, chociaż niewielka jest nadzieja na to, że okażesz się lepszy od konkurencji”.

Arabella zadzwoniła do mnie dzień wcześniej na komórkę, żeby sprawdzić kilka „faktów” do artykułu, i dorzuciła: „Do jutra”, choć ja miałem nadzieję usłyszeć, że raczej nie uda jej się wymknąć z imprezy u znajomej. Przy tych wszystkich ubocznych zajęciach zdołałem napisać tekstu góra na dziesięć minut - zdecydowanie za mało na normalny monolog, ale być może wystarczy dla kogoś, kto udaje scenicznego debiutanta. Ale skecze są super, powtarzałem sobie. Będzie fantastycznie. Przycmię wszystkich innych komików. Jestem taki dowcipny, jestem taki zabawny, że muszę wygrać - typowa technika mobilizowania się przed walką na śmierć i życie. Mikę Tyson nie wychodzi na ring, myśląc sobie: „Ale ze mnie lalusz. Przypuszczalnie przegram, ale liczy się to, żeby stanąć w szranki”.

Klub kabaretowy mieścił się nad pubem w Camden, a sesja otwartego mikrofonu zaczynała się po antrakcie około godziny dziesiątej. Za piętnaście dziesiąta spojrzałem na zegarek i zabrałem się do drugiego piwa. Trzech młodych konsumentów jasnego piwa stało przy maszynie żużlowej i bez końca wrzucało monety jednofuntowe dla wątpliwej satysfakcji płynącej z tego, że potrafili odpowiedzieć na żałośnie łatwe pytania z wiedzy ogólnej. „Jaki jest

twój poziom inteligencji?”, migał napis na górze. „Niezbyt wysoki”, brzmiała odpowiedź, jeśli ktoś dał się nabrać na taki tani chwyt. Pub, w którym siedziałem, wyróżniał się tym, że był głośny i zadymiony mimo niewielkiej frekwencji. Aha, i znajdował się jakieś sto trzydzieści kilometrów od Camden.

Nie umiem dokładnie określić chwili, w której decyzja o rezygnacji z mojego planu przeszła z podświadomości do świadomości. Tego dnia rano sprawdziłem rozkład odjazdów pociągów z Brighton do Londynu, nadal udając przed sobą chojraka, który nie wystraszy się tego niebezpiecznego wyzwania. Mimo że spędziłem dziesiątki godzin na pisaniu dowcipów, ćwiczeniu ich deklamacji i nakręcaniu w sobie sztucznej wiary w sukces, w głębi duszy chyba nigdy nie wierzyłem, że zrealizuję swój pomysł. Teraz było to fizycznie niemożliwe. Siedziałem w seafordzkim Red Lion i piłem piwo ze stałą ekipą. Usiłowałem wyobrazić sobie Arabelle, która w londyńskim klubie kabaretowym zajmuje miejsce z dobrym widokiem na scenę i rozkłada na kolanach notes, mając przyjemną świadomość, że jako jedyna zna wspaniałą tajemnicę: tego wieczoru pojawi się na scenie wykonawca spoza afisza. I to nie jakiś skrofuliczny obiecujący artysta, ale prawdziwy mistrz swego rzemiosła, wielki humorysta wciąż jeszcze nieodkryty przez brytyjską publiczność. Czy przyprowadziła ze sobą znajomych, obiecawszy im, że nie będą żalowali? Czy rozgląda się w tej chwili po sali, mając nadzieję, że mrugnie do mnie porozumiewawczo, zanim wejdę na scenę?

- Oczywiście, że piłka do futbolu jest okrągła! Dave, jak możesz twierdzić, że piłka do futbolu nie jest okrągła? - zawołał oburzony Norman.

Miałem pecha siedzieć po zawietrznej Normana. Tego wieczoru nie było z nim Pandy, bo się pokłócili. Powiedziała, że na motocykl zawsze wsiada się od lewej.

- To może ty se go dzisiaj weź? Możesz se pojechać na zasrane polowanie na lisy!

Teraz Dave wciągnął go w jeszcze bardziej bezsensowny spór.

- Jasne, dla nas piłka jest okrągła. Tak ją postrzegamy. To jednak nie znaczy, że z obiektywnego punktu widzenia piłka jest okrągła. Dla Marsjanina może jest kwadratowa.

- Nie, piłki zawsze są okrągłe - zareplikował Chris, który nie czuł się zbyt pewnie, dyskutując na oderwane od życia tematy filozoficzne. - Przecież widać, jak się toczą.

Chris nie był naczelnym intelektualistą w naszej ekipie. Pewnego razu poproszono go, by wymienił swoją ulubioną operę. Po dłuższym namyśle odpowiedział: „Oprah Winfrey”.

- Tak, dla nas są okrągłe - powtórzył Dave - ale może dla Marsjanina są okrągłe.

- Widzisz, powiedziałeś okrągłe. Czyli dowiedzione. Powiedziałeś, że dla Marsjanina może są okrągłe.

- Powiedziałem kwadratowe.

- Nie, nie za drugim razem. Powiedziałeś okrągłe, powiedziałeś: „dla Marsjanina może są okrągłe”. Jimmy, prawda, że powiedział, że piłki są okrągłe?

- Piłki? - upewniłem się, myślami będąc gdzie indziej. - Jasne. Są absolutnie okrągłe.

Chris zatkał sobie uszy, żeby udaremnić replikę Dave'a. W końcu inicjator dyskusji uznał, że na razie koniec z robieniem sobie kwadratowych jaj.

- Jakiś jesteś dzisiaj milczący, Jimmy - zagała Nancy, przywracając mnie do rzeczywistości.

- Hm? A, tak, trochę jestem zmęczony. Źle spałem.

- Masz jakieś zmartwienie?

- Ja zmartwienie? Co ty! To znaczy wiesz, tylko takie zwykłe, banalne sprawy: czy wirus AIDS zmutuje się i zacznie przenosić przez powietrze...

- Naprawdę? - zaniepokoiła się.

- Nie, przepraszam, zmyśliłem to sobie.

- O, to coś nowego. Odkryłam jeszcze jedną rzecz, którą zmyśliłeś.

- Co? - spytałem spanikowany.

- Niedawno coś mi powiedziałeś, a ja pofatygowałam się to sprawdzić, Jimmy Conway. Nie usunęli ze słownika słowa „łatwowierny”. Robiłeś mnie w balona, prawda?

- Nie, nie, dalej jest w Collinsie i innych, ale usunęli go z nowego wydania Oksfordu.

- Niemożliwe! - zdumiała się ponownie.

Moi znajomi często się uskarżali, że stale spoglądam na zegarek, jakbym chciał być gdzie indziej, więc teraz rzuciłem ukradkowe spojrzenie na zegar za barem: dziesięć po dziesiątej. Oznaczało to, że Arabella z pewnością zaczęła się już niepokoić. Może usiłowała jakoś sobie wytłumaczyć moją nieobecność i powiedziała znajomym, że kierownik kabaretu był zachwycony, iż ma mnie u siebie, toteż przesunął mnie na najważniejszą część wieczoru, czyli na koniec.

Dopiero po powrocie do domu włączyłem komórkę, żeby sprawdzić, czy są jakieś wiadomości. Nie było. I żadnych nieodebranych połączeń. Arabella tak się na mnie obraziła, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Nie dość, że spałam jej artykuł, przypuszczalnie zmuszając ją do pracy w sobotę nad zastępczym tekstem, to jeszcze nakłoniłem ją do przedwczesnego wyjścia z imprezy u przyjaciół i zapewne ośmieszyłem ją w oczach tychże. Zastanawiałem się, czyby nie zadzwonić na numer redakcji i nie nagrać na pocztę głosowej jakiegoś wiarygodnego wytłumaczenia, ale uznałem, że najprzyzwoiciej będzie pozwolić o sobie zapomnieć. Nie podałem jej żadnego kontaktu do siebie poza numerem komórki, więc postanowiłem wyłączyć ją do czasu, gdy ukaże się gazeta.

W sobotę koło północy pojechałem do Brighton, gdzie o tej porze można już dostać niedzielne wydania gazet. Kupiłem „Sunday Times” i poszedłem do kawiarni, żeby sprawdzić, czy Arabella zapchała dziurę. Wpadł mi dział kulturalny i na pierwszej stronie zobaczyłem swoją twarz. Poczulem, że zaczynam się trząść. Stałem z Billym Crystalem i Steve’em Martinem pod nagłówkiem: „Śmiechu warte”.

To jest egzekucja, uzmysłowiłem sobie - Arabella zdemaskowała mój przekręt, reporterka śledcza, której nie doceniłem, obnażyła moje oszustwo przed całym krajem. „Śmiechu warte” - nagle przestało to być takie zabawne. Przewróciłem stronę i zacząłem przebiegać wzrokiem artykuł, który zajmował całą rozkładówkę:

Siedzę w nieco obskurnym kabarecie w północnym Londynie. Na razie najlepszym dowcipem wieczoru jest suma, którą liczą sobie za kieliszek ciepłego białego wina. Patrzyłam na kolejnych komików, którzy usiłowali wycisnąć trochę humoru z ogranych tematów, i kiedy teraz rozglądam się po sali, widzę, że ludzi bolą mięśnie twarzy od prób śmiania się z tych nader przeciętnych dokonań. Ale za chwilę widownię czeka wielka niespodzianka. Bo najśmieszniejszy jest komik, którego nie było na afiszu. Na scenę wchodzi Jimmy Conway i przedstawia jeden z najlepszych monologów, jakie w ostatnich latach słyszano na londyńskiej scenie kabaretowej!

Zdezorientowany przeczytałem to zdanie jeszcze raz. „Na scenę wchodzi Jimmy Conway”. O czym ona mówi? Zwariowała? Nic z tego nie rozumiałem. Czytałem dalej i dowiedziałem się, że mój występ był o wiele zabawniejszy niż w moich najśmielszych marzeniach. Słynny monolog o rybach zaczynał przechodzić do kabaretowej legendy. Choć na pierwszy rzut oka nic z tego nie miała, Arabella była gotowa okłamać miliony ludzi i napisać, że wystąpiłem w Camden. I byłem fantastyczny! Podbiłem publiczność! Widać tak mnie polubiła, że kiedy nie przyszedłem, przyjęła zasadę „wątpliwości interpretujemy na korzyść oskarżonego” i uznała, że jestem co najmniej tak śmieszny, jak to wynikało z moich amerykańskich recenzji. Dlaczego jednak nie zadzwoniła, żeby zapytać, czemu wystawiłem ją do wiatru? Dlaczego nie zezłościła się na mnie, że musiała z mojego powodu wyjść z przyjęcia urodzinowego i tłuc się przez cały Londyn w deszczowy wieczór, żeby obejrzeć program kabaretowy? A potem mnie olśniło: bo Arabella też się nie zjawiała! Dlatego nie zostawiła mi wiadomości po moim rzekomym występie. W środę wieczór przyjechała do znajomej na urodziny, zrzuciła buty i wypila na sofie kilka kieliszków wina. Kolację podano zapewne później, niż się spodziewała. Pod koniec drugiego dania spojrzała na zegarek i pomyślała: „Co mam robić - okłamać miliony czytelników czy wyjść teraz i nie załapać się na torcik czekoladowy z *creme anglaise*! A, pieprzyć to - napiszę, że Jimmy był dobry”.

- Mogę prosić jeszcze wina, Samantha? I chyba zjem trochę deseru pavlova.

Rozejrzałem się po kawiarni, żeby sprawdzić, czy jeszcze ktoś czyta „Sunday Times”, a jeśli tak, to czy mnie rozpoznał. Uśmiechnąłem się półgębkiem do sprzątaczkę, ale nie sprawiała ona wrażenia osoby, której moja twarz jest znajoma. Czytałem dalej, niemal przerażony swoim nieprawdopodobnym sukcesem.

Po dwóch latach pobytu w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, gdzie dorobił się rangi artysty kultowego, Jimmy Conway znowu zachwyca publiczność brytyjską niespodziewanymi pojawieniami się w zwykłych klubach kabaretowych na terenie całego kraju. Conway nie uznaje sztucznego rozgłosu, agentów, kampanii promocyjnych, reklam piwa czy sznurowatych seriali w Sky One. Mimo to szybko zyskuje sobie renomę dzięki najlepszej maszynie marketingowej w tej branży: recenzjom przekazywanym z ust do ust.

„Po prostu tak mi najbardziej odpowiada”, mówi, kiedy spotykam się z nim w jednym z modnych londyńskich klubów dla ludzi mediów. Większość gwiazdorów jest mniejsza, niż się wydaje, ale Conway jest wysoki i przystojny, ma frapujące niebieskie oczy i cechuje go to nonszalanckie niechlujstwo, które często znamionuje wielkiego artystę.

Jestem przystojny! Napisali tak w gazecie! Co się tyczy niechlujstwa, to skłaniałem się raczej do przekonania, że najczęściej jest to znamię niechlujstwa.

„Zwykle kabarety to bijące serce brytyjskiej rozrywki”, wyjaśnia, „ale są pomijane przez telewizję i wielkie sale widowiskowe, które przechwytyją nieliczne wybitne nazwiska i pozwalają korzeniom zgnić”. Teraz jednak ludzie mają świadomość, że jeśli odwiedzą wystarczającą liczbę klubów, w końcu trafią na niezapowiedziany występ jednego z najdowcipniejszych kabareciarzy w kraju. Wyobraźcie sobie, że idziecie na mecz trzecioligowego Doncaster Rovers, a tu się okazuje, że David Beckham postanowił zagrać z nimi w tym tygodniu. Conway nie żąda przy tym wyższej gaży od innych wykonawców. Właściciele klubów kabaretowych po raz pierwszy śmieją się równie głośno jak ich publiczność.

Te niezasłużone pochwały wprawiły mnie w stan zachwyty i szoku, ale mimo to byłem w stanie zdziwić się niektórym elementom tego niemal idealnego portretu. Przyznałem jakoby, że pod maską komika kryje się człowiek głęboko melancholijny oraz że piję guinnessa, aby nie utracić więzi ze swymi irlandzkimi korzeniami. Ale po co czepiać się o drobiazgi? Artykuł zapowiedziano na pierwszej stronie działu kulturalnego, zdjęcia i śródtytuły były ogromne, a portret artysty znacznie bardziej pochlebny, niż byłby w przypadku, gdybyśmy oboje przyjechali do Camden. Stałem się kimś. Osiągnąłem sukces. Przeczytałem artykuł jeszcze raz, wolniej, delektując się bałwochwalczą kodą:

„Los Angeles Times” określił najstłynniejszy skecz Jimmy’ego Conwaya mianem kabaretowej *tour de farce*. Nie oddaje to jednak sprawiedliwości najlepszej części tego dopracowanego do ostatniego szczegółu monologu. Mówią, że kabaret jest nowym rock and roilem. Oto nadchodzi kabaretowy punk. Zajrzałam w przyszłość - i uwierzcie mi, jest śmieszna.

- Sakramencka kłamczyni - zaśmiałem się zachwycony i zdumiony, że dziennikarka z ogólnokrajowego dziennika może być tak nonszalancko i bezwstydnie nierzetelna. Dopiero teraz zauważyłem, że Arabella dobrze się zabezpieczyła: ani razu nie wymieniła nazwy klubu, w którym rzekomo mnie widziała, ani też nazwisk innych artystów. Trudno było zaszufladkować rozmaite emocje, które przeze mnie przebiegały, kiedy czytałem ten pean na swoją cześć. Jak przy każdym dramatycznym przeżyciu pojawiło się kilka stadiów. Najpierw był szok, potem niedowierzanie, potem entuzjazm, wreszcie ogromna wdzięczność, która przeszła w ostatnie stadium: dumę. Tak, byłem bardzo dumny z faktu, że taki ze mnie dowcipny człowiek. Miałem to czarno na białym. „Tak, zasłużyłeś sobie na to, Jimmy”, zażartowałem do siebie. „Spójrzmy prawdzie w oczy, naharowałeś się, grałeś w tych wszystkich klubach, poświęciłeś temu mnóstwo czasu - nikt inny nie zasłużył sobie na takie wyróżnienie”.

Kilka dni później Arabella odesłała mi zdjęcia wraz z krótką, ręcznie napisaną notką.

Mam nadzieję, że artykuł się Panu podobał. Przepraszam, że w środę nie zostałam pogadać, musiałam wracać na przyjęcie urodzinowe. Ale uważam, że był Pan świetny itd., itp. Załączam zdjęcia. Dzwonili z Comedy Store i pytali, czy mogliby dostać kopię tego zdjęcia z Panem występującym u nich do złotej księgi. Będę w kontakcie.

Pozdrawiam

Arabella

PS: Kilku osobom w redakcji wydaje się, że Pana widzieli przed Pana wyjazdem do Ameryki. Według nich już wtedy był Pan genialny!

Mowa! Jasne, że byłem genialny!

6

27 Elms Crescent

East Grinstead

West Sussex

Anglia

Drogi Jamesie!

W swojej piosence na temat sławy, pod tytułem *Sława*, David Bowie spytał sławę, jak

ma na imię. Dzisiaj długo i poważnie się nad tym zastanawiałem. W końcu doszedłem do wniosku, że nie mam zielonego pojęcia, o czym on mówi. Ale dzieci z serialu Fame powiedziały: „Sława - chcę się nauczyć latać” i to się na pewno zgadza. Jak ktoś jest sławny, to ma znacznie łatwiejszy dostęp do takich rzeczy.

Ale gwiazdą nie zostaje się tylko po to, żeby móc iść na lekcje pilotażu i tak dalej. Człowiek ma również możliwość zrobić coś naprawdę dobrego dla świata. Na przykład jeśli jakaś fundacja walcząca o szlachetne sprawy miałaby kłopoty z zebraniem pieniędzy na jakiś cel, można do nich pójść i powiedzieć: „Dzień dobry, pozwólcie sobie pomóc!

Jestem sławny i możecie mnie wykorzystać do rozreklamowania swojej działalności”. Wszystkie dziewczyny pracujące dla tej organizacji byłyby naprawdę wdzięczne i szczęśliwe, że ich wsparłeś i gazety zrobiłyby Ci zdjęcie, jak potrząsasz puszką z pieniędzmi dla niepełnosprawnych czy coś w tym guście i może nawet byś stanął obok niepełnosprawnej osoby, żeby pokazać, że Ci to nie przeszkadza. A potem gazety by napisały, że zbierasz pieniądze na dobroczynne cele i wszyscy by sobie pomyśleli: „Super”, to znaczy oczywiście: „Ta akcja charytatywna jest super”, a nie „Super, że kochany Jimmy Conway wspomaga dobroczynność”. Ale nie ma sensu robić tego anonimowo, bo wtedy niczym byś się nie różnił od zwykłego człowieka potrząsającego puszką na ulicy, a takim zebranie choćby paru funtów zajmuje całe wieki.

Jestem stanowczo przekonany, że im więcej w coś się włoży, tym więcej się z tego ma. Oczywiście nie licząc tych oszukańczych piramid finansowych. Im mniej w nie zainwestujesz, tym lepiej, a najlepiej w ogóle, jeśli wiesz, że to szwindel, a wiele z nich to jest szwindel, czasem z premedytacją. Chodzi mi jednak o to, że w dzisiejszych czasach stanowczo za dużo ludzi więcej bierze, niż daje. Biorą wszystkie swoje pieniądze i inne rzeczy... nie, nie pieniądze, bo pieniądze trzeba najpierw zarobić. Biorą wszystkie wspaniałe rzeczy, które kupują, poza tym że tak naprawdę to chyba ich nie biorą, tylko legalnie nabywają. W każdym razie cokolwiek biorą, oddają znacznie mniej, a tak być nie powinno. Jako sławna osobistość będziesz miał obowiązek służyć innym za przykład i pokazać wszystkim, jakim jesteś dobrym człowiekiem. Bo kiedy Bogini Sławy nareszcie zapuka do Twoich drzwi, ogarnie Cię pokusa, żeby rozbijać się szpanerskim samochodem, kupować sobie drogie rzeczy i chodzić na imprezy, na których wszyscy będą Ci pochlebiali, ale uwaga: nie powinieneś ograniczać się tylko do tego, powinieneś zarezerwować parę godzin w tygodniu na pochylenie się nad tymi, którym gorzej się w życiu powiodło. Czyli, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nad prawie wszystkimi mieszkańcami świata.

- Nie wiedziałam, że znęcali się nad tobą w szkole, kochanie - powiedziała moja matka

przez telefon tego niewiarygodnego niedzielnego poranka.

- Nie znęcali się nade mną.

- Ale tu stoi napisane w „Sunday Times”: „Jimmy Conway przez ściśnięte gardło wypił łyżeczek piwa, jakby to wspomnienie było dla niego zbyt bolesne. »Rzemiosła kabaretowego zacząłem się uczyć w szkole średniej. Stwierdziłem, że szybkim dowcipem potrafię rozbroić agresję szkolnych chuliganów, a zatem humor stał się dla mnie metodą na przetrwanie w szkolnej dżungli«„. Z tą dżunglą masz rację - kontynuowała mama na jednym oddechu. - Ileż to razy wyjmowałam szpilki z twojego szkolnego blezera i nigdy nie przycinali powojów i nie sprząтали szkolnego podwórka, ale czego innego można się spodziewać po publicznym szkolnictwie, przychodzą i ziarna, i plewy, a jak to oddzielić, chciałam cię posłać do prywatnej, w Charterhouse mają dużo ładniejszy park, ale twój ojciec nie chciał o tym słyszeć po tym, jak wydaliśmy kupę forsy na edukację Nicholasa, który dzwonił dzisiaj rano wrócili z Dordogne mają kłopoty z pozwoleniem na budowę tego domu na wsi, ale to cali Francuzi, z natury muszą wszystkim utrudniać życie jak de Gaulle z EWG...

Stare nawyki niełatwo jest wykorzenić, więc mimo nagłego wzrostu mojej pozycji społecznej mama odruchowo przeszła do tematu mojego starszego brata. Z biegiem lat zdążyłem się do tego przyzwycząić. Kiedy motylkowaty umysł mojej matki przypadkiem przysiadł na chwilę na roślince jej młodszego syna, natychmiast odfrubał, by wylądować na bogatszym w nektar i wykształconym w prywatnych szkołach kwiecie odmiany Nicholas. Ale tego dnia stała się rzecz niewiarygodna: mama ponownie zatrzepotała skrzydełkami i usiadła na mnie!

- Nicholas też czytał ten artykuł, wszyscy są bardzo przejęci tą twoją podziemną karierą, kochanie, tak się cieszę, że porozmawiałeś z Billym Scrivensem, jak już mówiłam. Do Nicholasa zadzwonił znajomy i spytał, czy jest spokrewniony z Jimmym Conwayem, dasz wiarę? Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni, kochanie!

Rzeczywiście, trudno dać wiarę! Od lat byłem młodszym bratem Nicholasa Conwaya: „Ma pan coś wspólnego z Nicholasem?”, zawsze mnie pytano. „A, tak, pan jest młodszym bratem Nicka Conwaya, prawda?” Teraz to Nicholasa pytano, czy jest ze mną spokrewniony. Tak! Tak! Tak! Nareszcie to ja usiadłem mu na głowie i puściłem sążnistego baka! Tata zamienił ze mną parę słów. Sukces młodszego syna na chwilę poprawił mu humor, ale szybko pojawił się jego ulubiony temat rozmów:

- Czy mama ci mówiła, że George Howe znowu miał wylew? Myślę, że już długo nie pociągnie.

- Dobra, tato, miło cię usłyszeć...

- A Arthurowi Lloydowi muszą założyć potrójny bypass. Niewiele osób wychodzi z tego z życiem...

Zakłuło mnie sumienie, że pozwalam, aby to oszustwo objęło także moją rodzinę, ale nie na tyle boleśnie, żebym poczuł się zobligowany wyprowadzić ich z błędu. Rzecz jasna, niektórych ludzi okłamywało mi się łatwiej niż innych. Doszedłem do wniosku, że jest to wprost proporcjonalne do poziomu zawiści i urazy: im bardziej mnie ktoś wkurza, tym łatwiej mi go oszukiwać, ale w każdym przypadku jakaś doza złości była niezbędna.

Jedną z pierwszych osób, które okłamałem podczas tej jazdy, był mój starszy brat. Oczywiście miałem do niego wiele pretensji, ale sądzę, że moje zachowanie nie odbiegało od normy: czy nie od tego jest rodzeństwo? Bezgraniczna miłość, którą rodzice darzyli mojego brata, kazała mi rozciągnąć moje pretensje na nich, co pozwoliło mi ich również oszukiwać. *Wybór Zofii* byłby bardzo krótkim filmem, gdyby naziści złapali naszą rodzinę.

- Pani Conway, tylko jedno z pani dzieci może przeżyć i pani musi zdecydować które.

- Dobrze. Nicholas, jeśli można prosić. Napisy końcowe.

Nicholas dominował nade mną przez całe dzieciństwo i dwadzieścia pięć lat później wciąż metaforycznie pierdział mi w głowę, prześcigając mnie w każdej dziedzinie. Cały jego życiorys był nieprzerwanym pasmem sukcesów zawodowych, finansowych i osobistych - no chyba że ktoś przeczytał hasło o nim w witrynie internetowej *Friends Reunited*, które było katalogiem życiowych klęsk, bankructw i wyroków więzienia. Nicholas do tej pory się nie dowiedział, co napisałem w jego imieniu. Nawiasem mówiąc, *Friends Reunited* dostarczyło mi całego zapasu nowych ludzi, do których mogłem pielęgnować w sobie urazę. Już zapomniałem o wielu moich szkolnych kolegach, ale dzięki tej witrynie mogłem ich wszystkich wyszukać i na nowo znieubić. „Jamie Kerslake - administrator bazy danych w firmie komputerowej w Reading. Żona Denise, dwie córki, lat 2 i 4”. Kurde, no, nie musisz być taki chwalipięta. W dzieciństwie wielu moich kolegów budziło we mnie poczucie niższości - nawet mój wyimaginowany przyjaciel dostawał lepsze oceny ode mnie. Powinni stworzyć analogiczną witrynę poświęconą wyimaginowanym przyjaciołom - fajnie byłoby sprawdzić, co mój porabia. Pewnie też pracuje w branży komputerowej. Cały świat pracuje w branży komputerowej, oprócz mnie. Jakaś epidemia czy co?

Arabella z „Sunday Times” w gruncie rzeczy zmusiła mnie, żebym ją oszukał - wzbudziła we mnie zawiść na większej ilości frontów, niż mogłem zliczyć. Osiągnęła sukces jako dziennikarka ogólnokrajowej gazety, co samo w sobie było jawną prowokacją, ale dodatkowo pogarszała sprawę fakt, że ona ani trochę się z tym nie obnosiła, jakby to było zupełnie normalne. Nie miałem wątpliwości, że chodziła do prywatnych szkół - kolejny

oczywisty powód do urazy, bo wystarczyłoby, żeby powiedziała kilka zdań z tym swoim arystokratycznym akcentem, aby natychmiast ją mianowali szefową BBC. Powiedziała „dwa cappuccini”, nie „dwa cappuccino”, i na domiar wszystkiego mieszkała w Londynie. Zdałem sobie sprawę, że zawiść i urazę budzą we mnie wszyscy mieszkańcy aglomeracji londyńskiej, w przybliżeniu dziesięć milionów osób, bo żyją w mieście, w którym piwo jest za drogie i wszyscy z góry zakładają, że ty też mieszkasz w tym zasranym centrum wszechświata. Tym nieprzyjaznym uogólnieniem objąłem nawet żebraków nocujących na trotuarach Londynu. „Och, nie, na ulicach Seaford byś nie żebrał, co? Jasne, to byłoby poniżej twojej godności”.

Gdybym chciał przedstawić moje zawiści w formie diagramu Venna, musiałbym otoczyć kołem następujące kategorie ludności: ludzi ważnych, ludzi znających ludzi ważnych, ludzi z wyższych sfer, ludzi bogatych, ludzi sławnych, ludzi ze spersonalizowanymi tablicami rejestracyjnymi, ludzi mówiących o sobie, że mieszkają w Londynie i Gloucestershire, ludzi ze sztuczną opalenizną, ludzi z prawdziwą opalenizną, ludzi z basenem, ludzi wyjmujących w pociągu laptopa, ludzi z literkami przed nazwiskiem, ludzi z tytułami przed nazwiskiem, ludzi chodzących w garniturze, ludzi chodzących w mundurze, ludzi dysponujących jakąś władzą, czy to policjantów, strażników miejskich czy bibliotekarzy wlepiających karę za przetrzymanie książek, ochroniarzy, biskupów, urzędników bankowych, sędziów sportowych, prezydentów albo premierów ważnych państw świata (z wyjątkiem Borysa Jelcyna, który cały czas był ubzdrygolony, więc można mu było wybaczyć). Jeśli kategorie zachodziły na siebie, moja zawiść wobec danej osoby podwajała się lub potrajała. Na przykład książkę Edward pasował do tytułu zbiorów, że potrzebowałbym trójwymiarowego diagramu Venna. Kto jeszcze rozniecał we mnie oburzenie i pogardę? Właściciele taksówek, golfiarze, ludzie, którzy noszą krzykliwe krawaty, ludzie, którzy nadają swoim dzieciom głupie imiona, ludzie, którzy umieszczają pierwszą literę drugiego imienia między pierwszym imieniem i nazwiskiem, ludzie, którzy udają, że lubią sushi (czyli wszyscy, którzy jedzą sushi), ludzie, którzy należą do jakiegokolwiek klubu (zwłaszcza fitness), ludzie, którzy chodzą na imprezy techno, ludzie, którzy noszą okulary przeciwsłoneczne pod dachem, ludzie, którzy mają wycudaczony zarost (baczki w szpic, kozie bródki itd.), ludzie, którzy ogłaszają w prasie, radiu lub telewizji swoje osobiste poglądy, biznesmeni, którzy występują w reklamach własnych firm, rodziny załączające do kartek świątecznych skserowaną kartkę z listą osiągnięć w tym niewiarygodnie udanym roku, a przede wszystkim ludzie, którzy publikują bestsellery na temat swoich zasranych domów wakacyjnych w południowej Europie.

Jednakże wyjąwszy powyższe kategorie, darzyłem całą ludzkość miłością i życzliwością. Aha, zapomniałem o wszystkich Amerykanach, którym się wydaje, że ich kraj

jest najważniejszy na świecie, tylko dlatego, że naprawdę jest najważniejszy na świecie. I o wszystkich Kanadyjczykach, którzy się obrażają, jeśli ktoś weźmie ich za Amerykanów.

Nie jest wszakże tak, że chciałem żywić do wszystkich zawiść i urazę. Zdecydowanie bym wolał, żeby mnóstwo ludzi zazdrościło mnie. Cudowną rzeczą w artykule z „Sunday Times” było to, że przy jego ponownej lekturze czułem, jak spływa na I mnie wyrozumiałość i serdeczność wobec całego świata. „Znasz Arabelle z »Sunday Times«? Urocza kobieta, bardzo rzetelna dziennikarka”. „Och, musisz przeczytać *Skorpiony w basenie*, facet doskonale opisuje komiczne problemy właścicieli willi w Toskanii”. Nareszcie mogłem spojrzeć każdemu w oczy jak równy równemu, bo zdobyłem szacunek i podziw całego świata. Byłem Jimmym Conwayem, sławnym kabareciarzem.

Przed południem tego dnia, kiedy ukazał się artykuł, szedłem wzdłuż nabrzeża Seaford z fałszywie skromną miną typu „tak-to-ja”, przyjąwszy założenie, że całe miasto kupiło już „Sunday Times” i otworzyło od razu na dziale kulturalnym. Tymczasem ludzie mijali mnie zupełnie obojętnie, jakby nic się nie stało. Czy nie widzą, że cały świat się zmienił? Zamierzają mimo to żyć jak do tej pory? Mocno mnie to zdeprymowało. Słuchajcie no, pomyślałem, jestem gotów zachowywać się jak zwykły obywatel, to jednak nie znaczy, że wy macie mnie uważać za zwykłego obywatela.

W kostiumie gwiazdora, w który pozwoliłem się odziać, czułem się tak pysznie, że nie chciałem, aby cokolwiek mi przypominało o mniej radosnych aspektach mojej sytuacji. Puściłem w świat gigantyczne kłamstwo o sobie, które wydrukowano w ogólnokrajowej gazecie - tylko czekać, kiedy znajomi poproszą mnie o wyjaśnienie. Wydawało mi się to niezwykle ryzykowne, ale uznałem, że nie mam innego wyjścia, jak tylko powiedzieć im prawdę. Powiem, że to miał być kawał wymierzony przeciwko tym przemądrzalcom z londyńskich mediów - prowokacja w wykonaniu członka szarego tłumu. Już sobie wyobrażałem śmiech moich znajomych z łatwowiejnej dziennikarki: jak można być tak naiwnym i uwierzyć w moją absurdalną historię, jakoby był kimś? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej żałowałem, że artykuł mija się z prawdą.

Szybko wszystkich obdzwoniłem i zaproponowałem wspólny lunch. Ponieważ Nancy próbowała rzucić palenie, zasugerowałem restaurację zamiast pubu. Wiedziałem, że żadne z nich nie kupuje i nie czyta „Sunday Times”, więc nie zdradziłem im przez telefon, o co chodzi. Spotkaliśmy się w Mario’s przy High Street, jedynym lokalu w mieście, który był brudniejszy od włosów Normana. Często tam razem jedliśmy, bo nigdzie indziej nie dawali tak wyśmienitego angielskiego śniadania po rozsądnej cenie. Co prawda zdarzało się, że nie zamówiłeś angielskiego śniadania, tylko *shepherds pie*, ale Mario był tak niezłomnie

przekonany o wielkiej pojemności swojej pamięci, że nigdy nie zapisywał zamówień.

- Poproszę dwa jajka sadzone, parówkę, bekon, pomidory i tosta - powiedziałem optymistycznie, on zaś skinął głową z uśmiechem człowieka, który przebywa myślami tysiąc mil dalej.

- Jajko, parówka, fasola i pomidory. Nie ma problemu.

- Nie fasola, tylko bekon.

- A, chce pan do tego jeszcze bekon. Nie ma problemu. Wyrażenie „Nie ma problemu” było u Maria podświadomym tikiem werbalnym, dokładał je do każdego zdania, którym właśnie stworzył problem.

- Bekon zamiast parówki, nie ma problemu.

- Nie zamiast, tylko oprócz. Dwa jajka sadzone, parówkę, bekon, pomidory i tost.

Skecz ten został przerobiony w różnych wariantach, a potem czekaliśmy, co się pojawi na stole.

- Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że Mario minął się z powołaniem - stwierdziła Nancy.

- Jakbyś zgadła - odparłem. - Jego żona mi mówiła, że poprosiła go, żeby kupił nieduży zakład szewski, ale on był myślami gdzie indziej.

- Naprawdę? - spytała Nancy.

Wszyscy się roześmiali, a ona dotknęła mnie delikatnie w ramię i powiedziała, że jestem dowcipny. Doskonała okazja, żeby powiedzieć im o artykule. Nie mam pojęcia, dlaczego z niej nie skorzystałem. Nagle zmienił się temat rozmowy. Norman opowiadał nam o jakichś swoich niezwykłych przeżyciach. W każdym, drzemie jakiś talent i Norman miał szczęście odkryć swój: dosko} nale grał na wyimaginowanej gitarze. Jeśli czyjaś pasją było imitowanie gry na instrumencie muzycznym, to widział w Normanie jednego ze swoich mistrzów. Po latach uprawiania swego hobby w zaciszu domowym zakomunikował, że dotarł do finału mistrzostw Wielkiej Brytanii w grze na nieistniejącej gitarze.

- To fantastyczna wiadomość! Czy zwycięzca udaje, że podnosi wyimaginowany puchar?

Nie mogłem oprzeć się uczuciu, że gra na wyimaginowanej gitarze daje trochę mniej satysfakcji niż gra na prawdziwym instrumencie, że genialne solówki, niesamowite riffy i nieprawdopodobnie szybkie zmiany akordów nie dają takiego spełnienia jak przy rzeczywistej grze. Moi rodzice byli za bardzo burżuazyjni, żeby pozwolić mi grać na wyimaginowanej gitarze. Musiałem grać na wyimaginowanej wiolonczeli.

- Możemy przyjechać i popatrzeć, jak grasz?

- Nie ma mowy. Tylko byście mnie zdekoncentrowali i jeszcze bym zafalszował albo coś.

Często prosiliśmy Normana, żeby nam zagrał jakiś kawałek na wymagowanej gitarze, ale on zawsze odmawiał.

- To nie moglibyśmy przynajmniej posłuchać z kasety?

- Nie, z kasety się nie da - zwrócił nam uwagę Chris, jak zawsze czujny.

Rozmowa zeszła na inne tory i wkrótce wyskoczyła kolejna okazja do podzielenia się sensacyjną wiadomością, ale teraz nie mogłem z niej skorzystać, bo wyszłoby tak, jakbym chciał przyćmić Normana. Potem Nancy zaczęła opowiadać o Tamsin i poczułem się trochę winny, że zachowałem przed nią w tajemnicy rozmowę z jej córką. Uspokoilem się myślą, że wybrana przeze mnie strategia dawała największe szanse na uniknięcie przez Tamsin ciąży, a zatem na dłuższą metę Nancy powinna być mi wdzięczna.

- Trochę źle się poczuła - powiedziała Nancy.

- Co, rano? - spytałem spanikowany.

- Nie, wczoraj wieczór. To tylko bóle menstruacyjne.

- Och, chwała Bogu. Znaczący, chwała Bogu, że to nic poważniejszego... znaczy, ciągle są z nią jakieś zmartwienia, prawda?

Moi przyjaciele spojrzeli na mnie z niejakim zatroskaniem. Pomyślałem, że skoro już ich uwaga skupiła się na mnie, to mogę im powiedzieć o artykule.

- No więc tak, nie zwołałem tego spotkania bez powodu - oznajmiłem. - Mam wam coś do zakomunikowania.

Mój oficjalny ton sprawił, że wszyscy usiedli wyprostowani.

- Jimmy Conway! - wrzasnęła Panda, otworzywszy z rozmachem drzwi restauracji. - Ty to jesteś, kurczę, cicha woda! Pokazał wam wszystkim dzisiejszy „Sunday Times”? Cemu żeś nam nie powiedział, Jimmy?

- Co? O czym? - dociekał Dave.

- Od kiedy to czytasz „Sunday Times”? - spytał Norman swoją dziewczynę.

- E, no, w dziale motoryzacyjnym jest rubryka o motocyklach, nie denerwuj się - odparła, dbając o to, żeby wymówić „się” jako „sie”. - Nic takiego, Jimmy tylko wyjeżdżał potajemnie i występował w klubach kabaretowych w Londynie i innych dziurach. Jest sławny. Jimmy jest sławny!

- O czym ty gadasz, Panda?

- Nie musicie mi wierzyć na słowo. Tutaj jest wszystko napisane. I to w nie byle jakiej gazecie. Akurat kiedy pierwszy raz w życiu kupiłam!

Cmoknęła, żeby wyrazić swoje zdumienie, i rzuciła gazetę na stół. Gapiłem się na nich wszystkich z łamów „Sunday Times”, a Steve Martin i Billy Crystal z pewnością zwiększali wymowę zdjęcia. Z kuchni dobiegł jakiś hałas, a może był to odgłos opadających szczęk, nie jestem pewien. To było jak chwila, kiedy Clark Kent po raz pierwszy podnosi ciężarówkę albo pęczniejące mięśnie rozdierają koszulę Niesamowitego Hulka.

- O mój Boże, Jimmy! - zawołała Nancy.

- To dlatego kumplowałeś się z Billym Scrivensem - powiedział Dave. - Bo jakoś nie bardzo chciało mi się w to wierzyć.

- Kurde balans, Jimmy! - zdumiał się Norman. - No nie, jesteś gwiazdą.

- Patrzcie - podjęła Panda - jest jego zdjęcie w Comedy Store.

Nancy z dumą pogłaskała mnie po ramieniu.

- Bravo! Bardzo się cieszę. Wiedziałam, że prędzej czy później osiągniesz sukces. - Sprawiała wrażenie autentycznie ucieszonej, jakby wiedziała, że zawsze o tym marzyłem. - Może wystąpisz w *To jest twoje wspaniałe życie* - dodała.

- Czemu o tym mówisz?

- Napisałeś o tym w swoich listach z dzieciństwa, pamiętasz? I przyznaj się, dalej miałbyś na to ochotę, co? O tym zamierzałeś nam powiedzieć, zanim weszła Panda?

- E, no - powiedziałem odruchowo. - Tak, to było... Usiłowałem z obojętną miną łyknąć parującej herbaty, ale sparzyłem się w język i skrzywiłem się.

- No i co, dobry jesteś? - spytał Chris.

- No, nie wiem, nie widziałem się.

- Tu piszą, że jest genialny - powiedział Dave, przebiegając tekst wzrokiem.

Poczułem, że się czerwienię.

- Znaczący, muszą być wyraziści, wiecie - albo „Super”, albo „Kompletne dno”.

- Kurde balans, Jimmy - powtórzył Norman, nadal w szoku.

- Niesamowite, bravo! - powiedziała Nancy.

- Nie mogę uwierzyć! - zawołał Dave. - Jesteś kimś! Starłem się nie okazywać po sobie, jak wielką przyjemność sprawia mi bycie w centrum uwagi, a potem pomyślałem, że może byłoby miłym gestem zmienić temat i spytać, co porabiają, ale zostałyby to odebrane jako zbyt grubymi nićmi szyta fałszywa skromność - coś jakby Neil Armstrong powiedział do swojej żony: „Starczy już tego gadania o moich eskapadach, powiedz mi lepiej, jak było na zakupach”.

Panda zamówiła sobie ociekające tłuszczem angielskie śniadanie, które popiła dużym kubkiem Earl Greya, podczas gdy reszta tłoczyła się nad „Sunday Times”, walcząc o pozycję umożliwiającą szybkie przeczytanie tekstu.

Nie podjąłem żadnych kroków przeciwko rozprzestrzenianiu się tego kłamstwa i teraz wymagałoby to ogromnego wysiłku. W trakcie powtórnej lektury artykułu moi przyjaciele zaczęli wypytywać mnie o szczegóły.

- Zaraz, zaraz, niby kiedy byłeś w Ameryce przez dwa lata?

- Ach, ci dziennikarze! Wszystko poplątała, powiedziałem jej, że byłem w Ameryce dwa lata temu.

Nancy wyglądała na odrobinę zaskoczona faktem, że takie zdarzenie mogło umknąć jej uwagi.

- Przecież cały artykuł opiera się na tym, że właśnie wróciłeś do kraju, podbiwszy Stany Zjednoczone. To nie ma sensu!

- Słuchajcie, dwa lata temu pojechałem na dwa tygodnie do Ameryki, pewnie nawet tego nie pamiętacie. Nie rozповідаłem o tym, na wypadek gdyby to się skończyło totalną klapą. Spróbowałem swoich sił na scenie i poszło całkiem nieźle.

- Ale tu piszą, że odniosłeś wielki sukces w ciągu ostatnich dwóch lat! Jak można się pomylić w takiej podstawowej sprawie? - spytał zdumiony Norman.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zrobił to za mnie Mario:

- Jajka, fasola, parówka i frytki - oznajmił, stawiając przede mną wyjątkowo poplątany zestaw smażonych potraw.

- Zastanawiał się pan kiedyś nad pracą w dziennikarstwie, Mario? - spytałem, kiedy on stawał przed innymi pomyłone metodą losową zamówienia.

Przepraszająco napomknęliśmy, że przyniesione potrawy nie do końca pokrywają się z zamówionymi, na co Mario wywinął oczami do nieba, nie mogąc uwierzyć w taką niekompetencję personelu kuchennego. Porwał talerze z miną człowieka darzącego miłością cały świat, ale kiedy otworzone kopniakiem wahadłowe drzwi do kuchni zamknęły się za nim, usłyszeliśmy, jak krzyczy:

- Mówiłem, kurwa, bez fasoli! Mówiłem wam, chuj, dwa jebane jajka, bekon, parówka i frytki, chuj, jebane!

Wszystko to okraszone odgłosami tłuczenia naczyń.

- No nie, kazał im dać frytki zamiast pomidorów - załamałem się. - Czy to jest odpowiedni moment, żeby wsunąć głowę przez drzwi i zwrócić im na to uwagę?

- Raczej nie - ocenił Dave.

Kiedy moi przyjaciele oswoili się z faktem, że mają w swoim gronie ważnego i uznanego artystę, posypały się rozmaite pytania na temat tej najbardziej nowoczesnej dziedziny sztuki.

„Ile kasujesz za występ?” „Jaki masz rekord za jeden wieczór?” „Ile to wychodzi rocznie?”

Staralem się odpowiadać możliwie najbardziej wymijająco i zauważyłem, że Chris śmieje się z moich dowcipów odrobinę głośniej niż przedtem. Podzielili się sensacyjną wiadomością z Mariem, który pokazał czołówkę działu kulturalnego innym swoim klientom i wycelował we mnie palcem. Potem przyniósł białą kawę dla Nancy, która prosiła o herbatę bez mleka, i kawę z ekspresu dla Normana, który prosił o cappuccino. Jednakże mój deser i kawa co do joty zgadzały się z zamówieniem. Szarlotka z bitą śmietaną, nie z budyniem, i cappuccino bez czekolady. Super, dziękuję panu, Mario.

- Aha, Mario, mój kolega też chciał cappuccino.

- Och, strasznie przepraszam, sir, już przynoszę, sir. Zaczęło mnie to bawić, coraz lepiej wczuwałem się w swoją rolę.

- Tak, miały być dwa cappuccini.

To mi się wysnęło. Dałem sobie na zbyt duży luz i trochę przeholowałem.

- Dwa cappuccini? - zakpił Dave.

- Odkąd to liczba mnoga od „cappuccino” jest „cappuccini”?

- Nie wiem odkąd, ale jest.

- Może w zaszranej Toskanii, chłopie, ale u nas mówimy „dwa cappuccino”.

- Albo „kapuczyno”, jeśli ktoś jest moją matką - dodała Nancy.

Zapłaciliśmy za to, co zjedliśmy, poza tym że Mario nie chciał wziąć żadnych pieniędzy ode mnie. „Na koszt zakładu”, powiedział. Norman i Dave zrobili zniesmaczone miny.

- Przychodzisz wieczorem na browca? - spytał Chris.

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę - występuję w Comedy Store.

- W Comedy Store?

- No. Muszę się sypnąć do miasta.

- Do jakiegoż to miasta musisz się sypnąć?

- No, do Londynu, a gdzie? Przepraszam, tak, muszę się sypnąć do Londynu. Więc dziś wieczór nie dam rady.

- Możemy przyjechać cię zobaczyć? - spytała Nancy.

- E, może nie dzisiaj. Wypróbuję nowy materiał.

- O. Materiał na ubranie czy na program?

- Na program. A, rozumiem, żartowałeś. Jasne. Ty, kradniesz mi robotę!

Nie rozśmieszyło ich to jednak.

- Nie zapomnij wypić dwóch cappuccini, jak będziesz w mieście.

Już się zaczęło. Już powstał między nami rozdźwięk. Ja traktowałem moich najlepszych przyjaciół trochę inaczej, a ich stosunek do mnie uległ wyraźnej zmianie. Kurczę, ile w tym kraju jest małostkowości i zawiści. Dlaczego nie możemy po prostu podziwiać ludzi, którzy odnieśli w życiu sukces? Kurczę, wystarczy, że odrobinę wysuniesz głowę nad parapet, żeby wszyscy malkontenci i frustraci zaczęli ci wszystkiego zazdrościć. Żenada, naprawdę. Tak, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Chociaż ja pretendowałem raczej do roli szefa sekty biorącej halucynogeny. Wystawałem ponad tłum, ponieważ udało mi się wszystkich przekonać, że moja halucynacja jest rzeczywistością.

W poniedziałek rano miałem pierwszy telefon od agenta, który chciał się ze mną spotkać i porozmawiać o ewentualnym reprezentowaniu mnie. Nazywał się Viv Busby i brzmiał jak kiepski aktor grający drugoplanową rolę gangstera z przedmieścia w serialu policyjnym *The Bill*.

- Ja cię kręcę, Jimmy, ty tu rządzisz i szanuję wszystko, co mówisz, że nie chcesz agenta i tak dalej, ale spotkajmy się i pogadajmy, może uda nam się tak to załatwić, żebyś nie musiał zawracać sobie głowy organizowaniem występów i mógł się skupić na rozśmieszaniu ludzi, bo w tym jesteś najlepszy, chłopie.

- Och, dziękuję panu bardzo. Czyli widział pan mój występ?

- Żeby być z tobą całkowicie szczerym, Jimmy, będzie już sporo czasu, odkąd ostatni raz cię widziałem, chłopie. Ale zawsze podziwiałem to, co robisz. Ten monolog o rybach - śmieszne jak nie wiem, chłopie! Klasyka humoru!

Agent ten przeczytał w gazecie, że nie chcę mieć agenta, i jego pierwszą reakcją była propozycja, żebym go zatrudnił jako agenta. Tego pokroju ludzi lepiej jest mieć po swojej stronie. Bardzo przekonująco mówił o konieczności spotkania się. Odniosłem wrażenie, że promotorzy i prezenterzy telewizyjni z reguły spełniają wszelkie jego pragnienia, nie chcąc skończyć wewnątrz jednego z betonowych słupów w tunelu kolejowym pod kanałem La Manche. Swoją połowę rozmowy, czy raczej swoje siedem ósmych rozmowy prowadził z takim misjonarskim zapalem, że nie pozostawało mi nic innego, jak grzecznie potakiwać. Podanie w wątpliwość choćby jednego z przyjętych przez niego założeń wymagałoby następującej interwencji: „Hola, hola! Nie tak szybko, pan w ogóle nie dopuszcza mnie do głosu. Może by pan tak zamknął na chwilę gębę, do jasnej cholery, i posłuchał, co mam panu do powiedzenia! NIE CHCĘ SIĘ Z PANEM SPOTKAĆ, ZROZUMIANO?” Nieuprzejme traktowanie obcych ludzi przez telefon nie należało jednak do elementów mojej kindersztuby, toteż ustaliliśmy termin spotkania w jego biurze. Stacjonował nie „w mieście”, tylko „na zachodzie”. Miałem już teraz dostatecznie dużo obycia, aby wiedzieć, że „na zachodzie” nie

oznacza Lewes ani Peacehaven na zachód od Seaford. Wieczorem zostawiłem na jego poczcie głosowej wiadomość, że nie mogę się z nim spotkać w tym terminie, bo mam chałturę „poza miastem”. Trzem pozostałym agentom, którzy zadzwonili do mnie tego dnia, nagrałem podobne wiadomości.

Artykuł w „Sunday Times” wpędził w panikę tysiące osób, które sądziły, że wiedzą, co jest na topie. Byłem nowym przebojem, którego nikt nie przewidział, coś jak masaż stóp albo pryszczycza. Artykuł stwierdzał: „Hej, wy tam, jest jeden sławny człowiek, o którym dawno powinniście wiedzieć! Myślicie sobie, że jesteście na bieżąco, ale jeśli nie macie tej nowej gwiazdy na swojej liście, to właśnie zostaliście zdegradowani do ligi niezorientowanych”. Na tej samej zasadzie, na jakiej wszyscy widzieli nowe szaty cesarza, zaskakująco duża liczba osób twierdziła, że widziała występ Jimmy’ego Conwaya. Pewna kobieta napisała do mnie anonimowo, za pośrednictwem „Sunday Times”, że bardzo jej się podobał mój program. O co takiej babce chodzi? Gdyby podała adres zwrotny, to może udałoby mi się wymyślić jakiś prawdopodobny motyw, ale dlaczego ktoś przysyła mi anonimowe podziękowania za występ, którego nie widział? Jakaś paranoja. Ale nikt nie zachowywał się racjonalnie. W Seaford pewne małżeństwo adwokackie, które parę razy minąłem wcześniej na ulicy, zaprosiło mnie na kolację. Gdyby mój kalendarz nie był wypełniony po brzegi fikcyjnymi występami, może bym się zgodził.

Nie chcąc stwarzać wrażenia, że nie są w kursie, parę innych gazet i czasopism opublikowało notki albo artykuły na mój temat. Niektóre były oparte na krótkich wywiadach telefonicznych, niektóre na cytatach z innych publikacji, ale bez podania źródła, jakbym powiedział to w rozmowie z ich dziennikarzem. Numer mojej komórki błyskawicznie stał się własnością publiczną jakby istniał centralny rejestr użytecznych informacji dla redaktorów i dziennikarzy, z moimi danymi w rubryce „najnowsze nabytki”.

Nawet bez pomocy - przypuszczalnie katastrofalnej - agenta Viva Busby’ego, otrzymałem cały szereg próśb o występ w klubie kabaretowym lub na jakiejś uczelni. Pewne stowarzyszenie studenckie napisało: „Mamy świadomość, że należy pan do najlepszych artystów kabaretowych w kraju, ale niestety nie możemy panu zaoferować więcej niż 1000 funtów za 30 minut”! Bańka za pół godziny pracy! Ile by to było forsy za kilka wieczorów w tygodniu! Kariera komika leżała przede mną na tacy, gdybym tylko umiał to robić. Coś takiego, jakbyś od dzieciństwa chciał być pilotem i nagle linie lotnicze by powiedziały: „Żaden problem! Tutaj ma pan kluczyki, a tam stoi jumbo jet”. Choćbyś od małego o tym marzył, świadomość, że wbijesz samolot w zbocze najbliższej góry” podziała na ciebie demotywująco.

W ciągu następnych kilku tygodni dostałem kolejne listy od fanów via różne redakcje.

Mój ulubiony przyszedł od mężczyzny młodszego ode mnie o kilka lat, który miał poczucie, że od dawna stoi w miejscu ze swoim życiem, w związku z czym chciał się dowiedzieć, jak dotrzeć tam, gdzie ja dotarłem. „Obawiam się, że nie ma drogi na skróty, nic nie zastąpi ciężkiej pracy i doświadczenia”, odpisałem. Oprócz przewidywalnych zaproszeń od różnych fundacji i studentów otrzymałem też garść listów zaadresowanych zielonym atramentem. Były to dosyć niepokojące apele od ludzi, którzy chcieli, abym wykorzystał swój „dostęp do mediów” i poinformował świat, że brukselscy biurokraci założyli w ich domu podsłuch albo że Cecil B. Mille ukradł im pomysł na film oparty na motywach biblijnych. Jeden z moich korespondentów uważał, iż nasi czołowi politycy nie dość, że są gadami w przebraniu, to jeszcze gadami żydowskimi. W swojej odpowiedzi nakłaniałem tego człowieka, żeby nie wyciągał pochopnych wniosków. „Okej, z samego faktu, że wszyscy premierzy, amerykański prezydent i wszyscy inni przywódcy światowi są żydowskimi gadami w przebraniu, nie wynika, że nie powinniśmy oceniać ich merytorycznie. Nie oznacza to automatycznie, że istnieje jakiś wielki spisek. Oceniajmy te jaszczurki według tego, jak rządzą...”

Wydawało się jednak, że wszyscy na jakiś czas zwariowali. Jeśli ktoś chciał wylansować horoskop dla kotów, zapraszano mnie do radia, żebym wypowiedział się na ten temat. „Pomyśleliśmy, że może powie pan coś zabawnego”, przekonywał głupkowaty redaktor takim tonem, jakby moją jedyną szansą na wypromowanie swojego nazwiska była rozmowa o kocim zodiaku na antenie Radio 5 Life. Z drugiej strony, po przesłuchaniu nagrania doszedłem do wniosku, że moje komentarze nie były do końca pozbawione dowcipu: „Strzelcy oszczędnie gospodarują pieniędzmi, są uparte i stale liżą się w pupę”. Zdaje się, że mianowano mnie pierwszą osobą, która przychodzi do głowy producentom i redaktorom, kiedy potrzebują jakiejś dowcipnej odzywy na temat czegoś mniej lub bardziej zwichrowanego. „Ten nowy komik - Jimmy Coś Tam: weź od niego komentarz, zaproś go do panelu/do redakcji/do radia dla kierowców”.

Każdy wywiad i każde zobowiązanie owocowało innymi i te krótkie występy w mediach stały się racją mojego istnienia. Nie chodziło o wypromowanie mojej książki czy singla, bo nie było towaru do wypromowania. Nie chodziło o zbiórkę pieniędzy na jakiś szczytny cel albo zwrócenie uwagi ludzi na jakąś rażącą niesprawiedliwość. Chodziło wyłącznie o autoreklamę. Co więcej, dzięki temu, że nie traciłem ani minuty na zajęcie, które przyniosło mi sławę, miałem znacznie więcej czasu na jego reklamowanie. Tak jak David Beckham reklamował Nike, ja reklamowałem markę „Jimmy Conway”. Żaden z nas nie produkował zachwalanego towaru.

Mózg bardzo szybko nabywa umiejętność wyłowienia nazwiska swego właściciela

spośród całej strony druku. Sądzę, że Hugh Grant nie miałby problemu ze zlokalizowaniem swojego nazwiska na pierwszej stronie bulwarówki z zajawką „HUGH GRANT PRZYŁAPANY NA KORZYSTANIU Z USŁUG PROSTYTUTKI”, ale mnie zdarzało się, że przeglądałem gazetę czy pismo kolorowe (nie, żebym szczególnie szukał wzmianek o sobie, „Hello!” kupowałem ze względu na przepisy kulinarne), przewracałem stronę, zauważałem swoje nazwisko i cofałem się o kilka linijek, żeby zobaczyć, co o mnie piszą. Coś takiego zdarzyło mi się podczas lektury wywiadu w „Guardianie” z jednym z dyrektorów telewizji BBC. „Agen, ci zabijają talenty”, oznajmił brawurowo. „Na przykład za każdy dym razem, kiedy na horyzoncie pojawi się jakiś nowy komik, ten nowy gatunek agresywnych promotorów od razu kładzie na nim łapę i obniża konkurencyjność młodego artysty, windując honoraria na niebotyczny poziom. Dlatego Jimmy Conway jest takim powiewem świeżego powietrza. Prawdziwy talent nie potrzebuje agresywnych agentów, którzy krzyczą przez telefon, jacy świetni są ich klienci. Zważcie moje słowa - Jimmy Conway zajdzie dalej od nich wszystkich”.

Kolorowy dodatek do jednego z dzienników zrobił ze mną wywiad do rubryki „Co jest w mojej lodówce”. Pomniejsze sławy mówiły tam o swoich poglądach, karierze i stylu życia przez pryzmat zawartości swojej lodówki. Jimmy Conway miał w swojej mleko, jajka i jogurt jeżynowy. Takie produkty tam się przypadkiem znajdowały. Oczywiście, gdybym nie był człowiekiem wyluzowanym i przejmował się tym, jak wypadnę, to spędziłbym całe godziny w supermarketach, usiłując dobrać odpowiednio zrównoważony zestaw artykułów spożywczych, który najlepiej pasowałby do wizerunku kreatywnego, lecz zapracowanego mężczyzny w stanie wolnym, na tyle nowoczesnego, że gotującego ciekawe potrawy tylko dla siebie, ale tak rozchwytywanego towarzysko, że zmuszonego z dużym wyprzedzeniem zaplanować kwestie aprowizacyjne. Może jakieś egzotyczne sosy do makaronu; kilka nietypowych składników do sałatki, domowej roboty aliche z łososia, trochę szynki parmeńskiej i pół angielskiego Summer Pudding z dużym kubkiem świeżej śmietany. Nic z tego nie pojawiło się jednak w lodówce Jimmy’ego Conwaya. Schowałem te artykuły w szafce pod zlewem, kiedy tuż przed telefonem od fotografa straciłem zaufanie do imażu smakosza. Myślę jednak, że jogurt jeżynowy coś o mnie mówił. Jestem facetem, który lubi jogurt.

Dziennikarka, która przeprowadziła ze mną wywiad do „Co jest w mojej lodówce”, nazwała mój mały dom w Seaford wakacyjnym. Ściśle rzecz biorąc, odpowiadało to prawdzie. Spędzałem tam wakacje, ponieważ z reguły byłem za bardzo splukany, żeby gdzieś wyjechać. „Jimmy Conway wyraźnie ceni sobie spokój, który znajduje z dala od tego całego zgiełku w swoim wakacyjnym domu na South Downs. Słabość do tych okolic podzielał ze swoim bliskim przyjacielem Billym Scrivensem”. Moja przyjaźń z Billym po jego śmierci coraz bardziej się

zacieśniała. Próżnia, jaka po nim powstała, zmuszała dziennikarzy do wymyślania nowych sposobów mówienia o nim, toteż często wymieniali tego nowego komika Jimmy'ego Conwaya jako ucznia Billy'ego Scrivensa.

Wyprowadzając Betty na spacer, odruchowo chodziłem tam, gdzie spotkałem kiedyś Billy'ego, jak przestępca wracający na miejsce zbrodni. Widziałem w oddali jego stary dom wakacyjny i zastanawiałem się, czy jego żona Stella zdaje sobie sprawę ze skali mojego oszustwa. Od naszej krótkiej rozmowy na pogrzebie często o niej myślałem i zadawałem sobie pytanie, czy nasze drogi jeszcze się przetną. Dziwne, ale w tych czasach chodziłem z psem na spacer tylko po tej stronie miasteczka.

Najpierw zobaczyłem jej psa. Max również stał się postacią medialną. Kiedy do nas podbiegł, ogarnęła mnie obawa, że to nie Stella go wyprowadza. Głaskałem go, a on trzepał mnie ogonem po nogach. Potem usiłował pobiec dalej, ale ja mocno trzymałem go za obrożę i dalej głaskałem, dopóki zza wierzchołka wzgórza nie wyłonił się właściciel. Była to Stella we własnej osobie. Jej niezwykła uroda opalizowała niby anielski pył. Kiedy Billy Scrivens postanowił znaleźć sobie reprezentacyjną żonę, musiała to być żona z Ligi Mistrzów, podczas gdy ja występowałem w rezerwach Rotherham United i nie miałem szans na grę choćby w eliminacjach. Ale mimo powalającej urody i zaraźliwego uśmiechu miała w sobie jakiś smutek. Może po prostu mam intuicję do takich spraw, ale wyraźnie wyczułem jakiś niewytłumaczalny, głęboki smutek w kobiecie, która niedawno straciła męża, człowieka w kwiecie wieku.

- Witam. Jimmy Conway - poznaliśmy się na pogrzebie Billy'ego.

Nie był to najlepszy sposób na nawiązanie rozmowy z osobą, która potrzebowała, żeby ją rozweselić. Psy dały mi jednak pretekst do tego, żeby pomaszerować chwilę u jej boku. Stella powiedziała, że jestem ostatnio człowiekiem często obecnym w mediach.

- Widzę, że zrobił pan „Co jest w mojej lodówce” - stwierdziła, rzucając patyk, który złapały oba psy. - Billy też się raz zgodził. Kiedy fotograf otworzył lodówkę, zobaczył karła przebranego za Eskimosa, który siedział tam i czytał gazetę. Krzyknął: „Wynocha z mojego domu!”. Fotograf przeprosił i zamknął lodówkę. Potem zdał sobie sprawę, że padł ofiarą gagu z *Mam cię!* Eskimos wyszedł, zwrócił się do ukrytej kamery i powiedział oglądającym program dzieciom, żeby nigdy nie chowały się w lodówce.

- Tak, pamiętam, to było świetne - skomentowałem, podziwiając ją za to, że wciąż potrafi z uśmiechem mówić o karierze swego męża.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Zastanawiałem się, czy wypada podjąć temat programu Billy'ego, który ona sama poruszyła.

- Czy martwiła się pani, że niektóre *Mam cię!* idą za daleko?

- O tak, nieustannie. Na przykład ten słynny program ze staruszką w publicznym klozecie. Z początku była wściekła.

Numer ten przeszedł do telewizyjnej legendy. Niczego nie podejrzewająca starsza pani weszła do przenośnej toalety na środku Trafalgar Square. Kiedy usiadła na muszli, dźwig budowlany podniósł do góry całą kabinę, z wyjątkiem podłogi, dzięki czemu wszyscy mogli zobaczyć staruszkę z majtkami i pończochami ściągniętymi do kostek.

Okazało się, że był to przełomowy moment w dziejach brytyjskiej telewizji. Rozpętała się debata o telewizyjnym „zglupieniu”. W trakcie dyskusji ten skandaliczny kawał został skrytykowany przez ministra kultury z trybuny Izby Gmin. Jednakże oburzona i zszokowana mina starszej pani, a potem bezradne sięgnięcie po papier toaletowy, który pojechał razem z kabiną do góry, uczyniły z tej sceny niezwykle popularny motyw telewizyjny, ogólnonarodowy dowcip rodzinny, który znalazł się na czołówkach wszystkich bulwarówek. Downing Street było podobno wściekłe, że minister kultury skrytykował ten numer, nie uzgodniwszy wcześniej stanowiska z premierem. Minister musiał wykonać wolę i powiedział, że gag ze starszą panią stanowi przykład pionierskiego poszerzania horyzontów twórczości telewizyjnej.

- Nikt nie jest zmuszany do podpisania zgody na emisję, więc zawsze zależy to od danej osoby - powiedziała Stella na obronę programu Billy’ego. - Ale zawsze się kogoś urazi, kiedy próbuje się na nowo zdefiniować granice. A o to właśnie chodziło Billy’emu - zawsze dążył do stworzenia czegoś bezprecedensowego.

Potem umilkła i usiłowała nie dać nic poznać po sobie. Miałem ochotę wziąć ją pocieszająco w ramiona, ale powstrzymałem się, bo wiedziałem, że troska i współczucie mieszają się u mnie z cielesnym pożądaniem. Betty przyniosła z powrotem patyk, więc jeszcze raz rzuciłem go w trawę.

Przyjemnie było porozmawiać o sławie i show-biznesie z kimś, kto wiedział na te tematy znacznie więcej niż ja. Miałem poczucie, że sława łączy Stellę i mnie ze sobą. Moi znajomi nie reagowali zgodnie z moimi oczekiwaniami na informację, że znowu udzieliłem wywiadu do radia albo gazety, ale dla Stelli było to zupełnie normalne, nie dostrzegła w tym popisywania się. Mówiła o dziwnych obyczajach panujących na planecie Fama, a ja przytakiwałem, starannie odnotowując wszystko, co powiedziała. Czasami zadawałem sobie pytanie, czy nie jestem zafrapowany Stellą z tego powodu, że pasowała do mojego nowego autowizerunku: modny humorysta, który robi przebojową karierę i powinien chodzić pod ramię z piękną modelką. Wielu sławnych mężczyzn rzuciło swoje dziewczyny, z którymi byli od lat, jak tylko zaczęli być znani. Nie chodzi o to, że byli pozbawieni uczuć. Po prostu czuli się nieswojo, mknąc swoim nowym czerwonym bolidem, mając obok siebie kobietę zatrudnioną w

sektorze publicznym. Nie miałem wątpliwości, że ja nie potrafiłbym być taki bezduszny, próżny i wyrachowany. I proszę mi nie wyjeżdżać z faktem, że nie miałem dziewczyny do puszczania w trąbę. Była oczywiście Betty, mój border collie. Może się bała, że spróbuję ją zamienić na brylującego w mediach labradora Scrivensów.

- Czytałem kiedyś wywiad z tą staruszką z Trafalgar Square - podjąłem. - W rubryce „Co się z nimi stało?” w jakimś dodatku telewizyjnym. Nazwali ją „ubikacyjną panią”. Doskonale na tym wyszła. Odkąd ten gag wmontowano we wstęp do programu Billy’ego, sama stała się gwiazdą, może nie pierwszej wielkości, ale zawsze. Przez jakiś czas żyła z przecinania wstęp i reklamowania papieru toaletowego.

Stella orzekła, że pojawienie się w programie Billy’ego przypuszczalnie było najciekawszą chwilą w życiu tej pani. Że życie większości ludzi jest banalne i pozbawione sensu, każdy wieczór spędzają wgapieni w telewizor. Dla przeciętnej osoby znalezienie się w magicznym świecie po drugiej stronie ekranu oznacza prestiż i chwałę, o jakiej wcześniej mogli tylko pomarzyć.

- W artykule napisano, że miała wcześniej całkiem interesujące życie. W latach pięćdziesiątych pracowała w Indiach jako położna i walczyła o prawa niskokastowych kobiet w ciąży czy coś w tym rodzaju.

- Kto, Ubikacyjna Pani?

- Tak. Jak ona się naprawdę nazywała? Coś na „U”.

- Ubikacyjna Pani - potwierdziła Stella.

Max warknął agresywnie na Betty i wyrwał jej patyk. Stella bez większego przekonania usiłowała skarcić psa. Wiedziałem, że w słowach Stelli jest sporo prawdy. Choćbyś odkrył lekarstwo na raka albo zaprowadził pokój na Bliskim Wschodzie, jesteś nikim, dopóki nie pokażą cię w telewizji. Taka jest współczesna definicja prestiżu.

- Ale czy to jest słuszne? Czy tego chcemy? - spytałem.

- Mówi człowiek, który jeszcze nie był w telewizji - odparła z uśmiechem.

Czy mój niepokój wywołała troska o wartości wyznawane przez nasze społeczeństwo czy też oburzenie, że z dotychczasowego rozgłosu tak niewiele miałem?

- Tak, ale co z innymi mediami? - spytałem. - Po tym artykule w „Sunday Times” moje życie wyraźnie się zmieniło.

- Oczywiście wszystkie mają swój wkład - przyznała. - Nie chcę deprecjonować pańskiej pozycji, Jimmy, ale nikt jeszcze nie został obłożony przez fanów z powodu szczególnie interesującej debaty w Radio Four. Pańskie nazwisko jest znane w pewnych kręgach, ale to nie czyni pana sławnym. Nie ma pana w telewizji. Ludzie nie myślą sobie na

pana widok: „Ale numer, tam idzie Jimmy Conway!”

Nie ukrywam, że mnie to bolało. Nie zajechałem zbyt daleko na tym, że byłem prawdopodobnie jedynym wykonawcą, który nie chce występować w telewizji. To był mój jedyny znak rozpoznawczy, jedyna rzecz, która odróżniała mnie od anonimowego tłumu. Aby przejść na wyższy szczebel sławy, musiałbym wystąpić w telewizji z tekstem „Nie występuję w telewizji”, co mogłoby się wydać obłudne paru purystom z nadmiernym zacięciem logicznym. Idąc wraz z Betty w stronę Seaford, zastanawiałem się nad tym, co powiedziała Stella. W miasteczku, które rozpościerało się w dole, na każdym kominie była antena albo talerz satelitarny. Każdy dom bez końca konsumował TV, bezmyślnie ją wdychał i natychmiast wydychał. Moje jedyne pojawienie się w wiadomościach telewizyjnych poszło już w zapomnienie. Tu nie chodziło o jednorazowe przemknięcie przez ekrany. Żeby się liczyć, trzeba było ciągle występować. W głębi duszy wiedziałem, że Stella ma stuprocentową rację co do mojej pozycji. Przed naszą rozmową sądziłem, że muszę się wydawać strasznie ważną osobistością, że wszyscy wiedzą równie doskonale jak ja o pojawieniu się na horyzoncie tego nowego kabareciarza. Po namyśle doszedłem do przekonania, że nie popełnię błędu, jeśli przyjmę, że reszta ludności Wielkiej Brytanii nie czyta po kilkadziesiąt razy każdego artykułu na mój temat i nie słucha każdej mojej wypowiedzi radiowej. Billy Scrivens był supernową, a mnie z trudem dało się dostrzec przez teleskop. A gdybym nie znalazł możliwości, które pozwoliłyby mojej gwiazdzie błyszczeć jasno i bez przerwy, nigdy bym się za bardzo nie liczył. Krótki sztuczny rozbłysk trzydziestokilkulatka i koniec. Miałbym swoje piętnaście minut sławy, jak powiedział ten typ... jak on się nazywał? Nie pamiętam. Dzisiaj już się o nim nie mówi.

7

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

No, kto by pomyślał! Liczyłeś wprawdzie na MBE, ale tytuł rycerski dostałeś! Serdeczne gratulacje - i pozwól sobie powiedzieć, że moim zdaniem, czyli w opinii w miarę neutralnego obserwatora, najzupełniej sobie na to zasłużyłeś. Oczywiście te drobne zaszczyty niewiele dla Ciebie znaczą, jest to raczej kłopotliwe, ale odmówić byłoby nieuprzejmie, a poza tym gdybyś to zrobił, może już nigdy by Ci niczego nie zaproponowali. John Lennon oddał swój MBE, ale nie musisz się tym przejmować, bo wojna w Wietnamie już się skończyła i nie

musisz mieć poczucie, że przyjmując order, zaprzędajesz się systemowi. Poza tym Jimmy Savile daje literki OBE po swoim nazwisku na końcu swojego programu i wygląda to bardzo imponująco. Nie sądzę, żeby oskarżono Cię o małpowanie, gdybyś zrobił to samo.

Oczywiście te honory nie są wyłącznie Twoje. Należą się również wszystkim zwykłym ludziom za kulisami, którzy wkładają ogromnie wiele wysiłku w Twój sukces, otrzymując za to znacznie mniej pieniędzy. To musi być dla nich bardzo przyjemne, że ich ciężka praca została nagrodzona tytułem rycerskim dla Ciebie. Może byłoby z Twojej strony miłym gestem, gdybyś dał niektórym z nich prezent w ramach podziękowania. Bez ekstrawagancji, ale też nie jakąś tanioczę. Może pudełko After Eight albo Merci.

W tym momencie jest bardzo ważne, aby Twoje osiągnięcia nie wpędziły Nicholasa w kompleks niższości. Trudno sobie wyobrazić, że to on był kiedyś w tej rodzinie człowiekiem sukcesu! Powinieneś bardzo uważać na to, w jaki sposób przekażesz tę radosną nowinę Twojemu dosyć sfrustrowanemu i zazdrosnemu starszemu bratu. Może byłoby lepiej, gdyby usłyszał to od kogo innego i żeby ta osoba wspomniała o tym jakby mimochodem - na przykład Twoja sekretarka by do niego zadzwoniła i powiedziała: „Proszę się nie rozłączać. Pański młodszy brat, sir James Conway MBE, zaraz podejdzie do telefonu”. Chociaż gdybyś chciał poznać jego reakcję, musiałbyś podsłuchiwać z innego aparatu. Mam nadzieję, że spotkanie z królową było przyjemne. Niektórzy krytykują rodzinę królewską, co jest nieuczciwe, ponieważ oni nie mogą się odszczekać. Poza tym dużo robią dla dobroczynności i to jest znacznie lepsze, niż mieć takiego dyktatora jak Adolf Hitler. Jesteś drugą osobą z rodziny, która spotkała się z królową. Kilka lat przed Twoim urodzeniem mama dała jej zza ogrodzenia bukiet kwiatów, kiedy królowa robiła rundkę po Royal Tunbridge Wells. Uważam jednak, że dobrze zrobiłeś, nie wspominając o tym. Jej Wysokość spotyka mnóstwo ludzi w takich okolicznościach i przypuszczalnie nie przypominałaby sobie mamy, nawet gdybyś pokazał jej zdjęcie, które stoi na telewizorze. Jeszcze raz serdeczne gratulacje, mamy ostateczny dowód, że jeśli ktoś wytrwale dąży do celu, to zrealizuje swoje pragnienia.

Kiedy byłem dzieckiem, MBE musiał jeszcze coś znaczyć. Chyba uważałem te tytuły za najwyższe wyróżnienia, bo przyznawała je królowa. Nie bardzo umiałem sobie wyobrazić, jakie korzyści płyną z bycia Member of the British Empire, „Członkiem Imperium Brytyjskiego”, skoro klub ten został już jakiś czas temu zlikwidowany.

Powodem, dla którego nagrody te straciły na atrakcyjności, jest kiepski marketing. Nadal przyznaje się podczas sztywnej prywatnej uroczystości w Buckingham Palace, może z krótką sesją zdjęciową dla „Daily Telegraph” po zakończeniu. Nic dziwnego, że społeczeństwo straciło zainteresowanie. Kogo podnieci zdjęcie anonimowego urzędnika służby cywilnej z

medalem w garści, całkowicie przyćmionego przez gigantyczny kapelusz żony? Jak powiedziała Stella, jeśli coś nie zostało pokazane w telewizji, to się nie wydarzyło. Gdyby establish, ment brytyjski chciał, żeby ludzie zainteresowali się królewskimi wyróżnieniami, powinni urządzić spektakularną galę transmitowaną w ITV po *Coronation Street*. Pięciominutowy monolog humorystyczny w wykonaniu królowej, a potem Jej Wysokość zapowiada pierwszego gościa, który odczyta nominacje do otwierającej wieczór nagrody: „Wielkie oklaski dla Jego Królewskiej Wysokości księcia Edynburga!” Orkiestra zagrałaby kilka jazzujących taktów hymnu narodowego, podczas gdy księżę Filip sprężystym krokiem zbiegłby po schodach ze złotą kopertą w garści. Chwila zapisanej w scenariuszu niezobowiązującej pogawędki między królową i jej małżonkiem:

- Podobają mi się twoje medale, Phil...

- Dzięki. Ten dostałem za wybitną odwagę w obliczu wroga.

- Tak, ale bądźmy szczerzy, nie tak wiele bażantów odpowiedziało ogniem!

Śmiech studyjnej publiczności pozwoliłby trochę się rozluźnić telewidzom w napięciu czekającym na informację, kto wygrał telefoniczne głosowanie o powszechnie pożądany tytuł Komandora Orderu Łąźni.

W ciągu dwudziestu lat, które upłynęły od czasów, kiedy za największy zaszczyt uważałem medal od królowej, pojawiła się nowa rodzina królewska z własnym systemem wyróżnień. Kilka literek po nazwisku liczyło się za nic w porównaniu ze sławą i prestiżem związanym z nagrodami regularnie rozdawanymi na antenie telewizji przez nowych monarchów brytyjskiego gwiazdorstwa: władców z dynastii „Hello!”

Nigdy nie umiałem się oprzeć dramaturgii i blichtrowi transmitowanych w telewizji ceremonii przyznania nagród. Mój stosunek do nich wpisywał się w stały schemat. Z początku udawałem cynicznego i oświeconego. „Nagrody za telenowe!” wołałem z pełnym zgrozy niedowierzaniem. „Czego oni jeszcze nie wymyślą! Nie oglądam tego. To jest tylko przedłużony zwiastun, pretekst do pokazania kupy fragmentów starych telenowel!” Godzinę później nadal się oburzałem: „Jak możecie przyznać tytuł telenoweli roku *Emmerdale*. No kurde, przecież wiadomo, że to się musi rozegrać pomiędzy *Corrie* a *EastEnders*!”

Zawsze się w końcu angażowałem, bo nie umiałem nie utożsamić się z jednym serialem albo aktorem przeciwko innemu. Chyba tak funkcjonuje system gwiazd. Jest to proces, w którym człowiek utożsamia się z różnymi sławnymi ludźmi, a potem żyje ich sukcesami i przygodami.

Do wszystkich tych przemyśleń skłonił mnie mały tekturowy prostokąt, który wylądował na mojej wycieracze i został wkrótce zmaltretowany przez Berty.

Najwykwintniejszym i najbardziej zamaszystym pismem poinformowano mnie, że jestem zaproszony na uroczystość przyznania nagród brytyjskiego przemysłu rozrywkowego BAFTA. U dołu obwiedzionej złotym szlaczkiem kartki, tuż nad śladami psich zębów i śliny, widniało słowo wyjaśniające przyczyny, dla których znalazłem się na liście zaproszonych:

NOMINOWANY

Kiedy nareszcie zdołałem wyrwać załączony list z paszczy Betty, dowiedziałem się, że nominowano mnie w kategorii „Najlepszy młody humorysta sceniczny”. Moje triumfalne „Tak!” sprawiło, że Betty dosłownie podskoczyła do góry z uciechy. Sądziła zapewne, że uszczęśliwiła mnie jej pomoc w otwarciu koperty. Przeczytałem list ponownie i zadzwoniłem do Nancy, żeby jej przekazać tę niesamowitą nowinę.

- Nie mogę w to uwierzyć - ja nominowany w kategorii najlepszy humorysta sceniczny. To jakiś absurd!

- Dlaczego?

- No, bo nie jestem najlepszy. Znaczy, tak mi się wydaje. Chciałem, żeby się ucieszyła, ona jednak była dziwnie powściągliwa.

- To kiedy wyprowadzasz się do Hollywood?

- Już kupiłem tam dom.

- Naprawdę? - spytała zdumiona.

- Nancy! Jak możesz dać się nabrać na własny dowcip?

Jest takie zdanie, które zawsze wygłaszają sławni ludzie, kiedy udzielają w telewizji wywiadu. „Szczęście mi sprzyjało”, przyznają skromnie, zmuszając dziennikarza do wyrażenia sprzeciwu i zawyrokovania, że do ich ogromnego sukcesu z całą pewnością w znacznie większym stopniu przyczynił się ich wybitny talent i ciężka praca. Zawsze uważałem mantrę „Szczęście mi sprzyjało” za przykład bardzo kiepsko zawoalowanej fałszywej skromności, ale teraz zacząłem sobie uświadamiać, że szczęście istotnie odgrywa ogromną rolę. Bogini ekranu nie potrafi zagwarantować, że jej następny film nie okaże się klapą. Genialny zespół nie wypłynie, jeśli grany przez niego rodzaj muzyki nie będzie w danym okresie modny. Ludzie, którzy odnoszą sukces, często nie przewyższają talentem konkurentów. Tak samo jak ja, przypadkiem znajdują się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Wszyscy obywatele wirują jak kulki w bębnie losującym i szczęśliwy traf decyduje, kto wytoczy się na zewnątrz i zostanie kimś wyjątkowym. Teraz wyglądało na to, że los czy inna nieogarniona dla mnie siła miała wypchnąć moją fikcyjną karierę o jeszcze jeden szczebel do góry.

W tym mniej więcej okresie przeczytałem w gazecie historię zdemaskowania fałszywego lekarza. Leczył pacjentów i wypisywał recepty w publicznym szpitalu, chociaż nie

miał żadnych urzędowo potwierdzonych kwalifikacji. Domniemywam, że musiał posiadać jakąś wiedzę medyczną. Ludzie z pewnością coś by zauważyli, gdyby próbował na bezczelnego przeprowadzić operację na otwartym sercu.

- No, dobra, to ciachnijmy ten oślizły kawał miecha.

- Ale to jest serce, panie doktorze.

- Serce? Boże święty, na kartkach walentynkowych wygląda to zupełnie inaczej, prawda?

Przeczytałem w życiu wiele historii udawanych fachowców, fałszywych arystokratów, uchodźców podających się za rosyjskie księżniczki, przestępców podszywających się pod policjantów. Przyszło mi do głowy, że stałem się ich odpowiednikiem z branży rozrywkowej - sfingowaną gwiazdą. Moja sława była podrobiona, wbiłem się na firmament, nie zostawiwszy po sobie śladu, byłem kimś, kto nie był nikim, plastikowym VIP-em. Ale sława ma to do siebie, że albo jesteś znany, albo nie, i po jakimś czasie tylko to się liczy. „Jest pan sławny?” to pytanie retoryczne. Nikt nie zapyta Madonny: „Jest pani sławna?” Skoro trzeba zapytać, to odpowiedź brzmi: „Nie”. Chyba że ktoś jest moim tatą. Wtedy na pewno zapyta Madonnę, czy jest sławna, a następnie przez godzinę będzie ją zanudzał narzekaniami, jaka szmira się dzisiaj panoszy na listach przebojów.

Na zaproszeniu napisano: „Smoking obowiązkowy”, co jest swego rodzaju eufemistycznym skrótem, ponieważ brakuje miejsca, żeby napisać: „Masz wyglądać jak skończony idiota”. Ponieważ nigdy nie wystąpiłem jako pan Hudson w *Schodami w górę, schodami w dół*, nie miałem własnego smokingu, więc musiałem wypożyczyć odpowiedni strój w zakładzie krawieckim w Brighton, gdzie cokolwiek zniewieściał mężczyzna spytał mnie, czy życzę sobie *cummerbund**. „Hm, *cummerbund*¹.

* *Cummerbund* - szarfa do smokingu. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). zastanawiałem się głośno, licząc na to, że człowiek ten wyratuje mnie z opresji. „Czy życzę sobie *cummerbund*...” W duchu zaś myślałem: „Czy to jest a) gatunek chleba z bakaliami, b) artykuł odzieżowy, c) perwersyjna pedalska praktyka seksualna?” Ponieważ krawiec klęczał przede mną z wiązką szpilek w ustach, uznałem, że bezpieczniej będzie odmówić.

Niestety, spodnie klauna, które w pośpiechu uznałem za odpowiednie, nie miały szlufek, a że nie byłem posiadaczem szelek, szedłem do hotelu Grosvenor House ze spodniami przypiętymi do koszuli rzędem agrafek, które zasłaniała jednak góra od smokingu. Podałem zaproszenie jednej z dziewczyn z listą nazwisk.

- Jimmy Conway - przedstawiłem się.

- A, jest pan nominowany, prawda?

Wszyscy przybyli w tym momencie goście spojrzeli w moją stronę.

- Tak, najlepszy młody humorysta sceniczny...

- Życzę powodzenia! - rzuciła z uśmiechem. Wysoki mężczyzna w falbaniastej koszuli powiedział:

- Czołem, Jimmy, Matt Margerison, Total TV. Robię program humorystyczny dla Sky One pod tytułem *Kiedy operacja plastyczna się nie uda* - z rozkoszą zjadłbym z panem kiedyś lunch. - I dał mi wizytówkę.

- O, bardzo panu dziękuję, w środę jestem zajęty, a w poniedziałek odwiedzam rodziców, ale mógłbym to przenieść na wtorek...

- Niech pan zadzwoni! - zawołał, wtopiwszy się w tłum, w którym przy filował już kogoś innego.

Wszedłem do sali barowej i kelner podsunął mi tacę, dając mi do wyboru między szampanem i sokiem pomarańczowym. Tym razem nie zamierzałem kompromitować się i pytać, po ile są napoje. Pomyślałem, że oleję szampana i zamówię piwo w dziwnie świecącym pustkami barze. Z kuflem w garści odwróciłem się, żeby obadać sytuację, kiedy barman zawołał:

- Ej, to będzie trzy piętnaście.

Czy ja kiedyś wreszcie rozgryzę ten system? Drogi alkohol był za darmo, ale jak ktoś miał ochotę na codzienny napitek, to musiał się na niego niecodziennie wykosztować. Z tymi piętnastoma pensjami to był genialny pomysł. Sądzę, że kombinowali w ten sposób: „Jak krzykniemy sobie trzy funty, to będzie oczywiste, że robimy sobie jaja, a jak damy cenę trzy piętnaście, to pomyślą, że tak nam wyszło z kalkulacji”.

Stałem sam i małymi łykami piłem piwo, żałując, że nie ma ze mną Nancy albo innego znajomego. Nancy byłaby zachwycona całym tym blichтром. Nie, po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie zniosłaby tego. Byłoby jej źle w swojej skórze i czułaby się jak słoń tylko z tego powodu, że nosiła rozmiar 42 i nie miała figury dziewięcioletniej dziewczynki. Nancy określała się jako „czterdzieści dwa łamane przez czterdzieści”, przy czym ta druga liczba oznaczała cel, który sobie postawiła. Wszedłem do hotelu po czerwonym dywanie. Nancy by powiedziała: „Zejdźmy na bok, bo zabrudzimy”. Po posiłku ustawiłaby naczynia w stertę, żeby ułatwić pracę kelnerowi. Nie wiem, czy zdołałbym ją powstrzymać przed zaoferowaniem się z pomocą w zmywaniu.

- Witam! Strasznie jesteś ostatnio nieuchwytny - powiedział kobiecy głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem Stellę, która wyglądała odlatowo w miniaturowej

sukienice powstałej metodą naszycia pewnej liczby cekinów na chusteczkę do nosa.

- Wielkie nieba, dzień dobry!

Po raz pierwszy pocałowałem ją w policzek, co poszło trochę nie tak, ponieważ Stella nadstawiła drugi policzek, w czym za późno się zorientowałem, zostawiając ją z wyciągniętą szyją.

- Nie mówiłaś, że się zjawisz - wyjąkałem.

- Zdecydowałam w ostatniej chwili - szepnęła. - Ale powiedziałam im, żeby posadzili mnie przy tym samym stoliku co ciebie. Chodź.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do jadalni. Wszyscy przerwali rozmowy i gapili się na nas z rozdziawionymi ustami. Co to za facet ze Stellą Scrivens?, myśleli sobie. Szedłem obok niej, uśmiechając się do wpatrzonych gości. Mężczyźni musieli się pilnować, żeby nie zgruchotać z zazdrości kieliszków szampana. Ona się mną interesuje, pomyślałem. Tak nagle załatwiła sobie miejsce obok mnie - to musi znaczyć, że nareszcie nadchodzi moja chwila, nie ma innego wytłumaczenia...

Jadalnia wydawała się zbliżona rozmiarami do stadionu olimpijskiego i była wypełniona po brzegi dużymi, okrągłymi białymi stołami osypującymi się od kwiatów, butelek wina i lśniących sztućców. Zaprosili na kolację około tysiąca osób, i chyba słusznie. Dziwnie by to wyglądało, gdyby do takiej sali zaprosić paru znajomych na talerz spaghetti bolognaise. Na każdym krześle leżała duża reklamówka z upominkami. Był tam podkoszulek promujący nowy kanał kablowy, przedpremierowa komedia na wideo, pudełko cygar, płyn po goleniu, perfumy, jednorazowy aparat fotograficzny - najróżniejsze artykuły luksusowe i niespodzianki, które wszyscy dostawali za darmo. Kiedy przybyłem na wyznaczone dla mnie miejsce, wszyscy uprzywilejowani i przepłacani przedstawiciele przemysłu rozrywkowego łączywie grzebali w swoich torbach z upominkami jak rozpieszczone dzieci w Boże Narodzenie. Szampan był za darmo, żarcie było za darmo, więc człowiek naturalnie oczekiwał również skarpetki z prezentami dla dorosłych, którą będzie mógł zabrać do domu limuzyną oddaną do jego dyspozycji przez organizatorów. Wychodziło na to, że im ktoś jest bogatszy, tym rzadziej musi za siebie płacić. Wzięli zasadę „każdemu według potrzeb” i postawili ją na głowie.

Pogryzając przekąskę na zimno, usiłowałem prowadzić rozmowę z mężczyzną siedzącym po mojej drugiej stronie, nieco pijanym liverpoolczykiem, który dokonał nieskomplikowanej, ale za to wygłaszanej ze sporą emfazą, analizy wydarzeń wieczoru:

- To rozdanie nagród to jest kant. To wszystko jest jedno wielkie kanciarstwo. Ci ludzie: kanciarze; cały przemysł rozrywkowy: totalne kanciarstwo; te nagrody: bezsensowne kanciarstwo; wszystkie te upominki: marketingowe kanciarstwo; to żarcie: czyste kanciarstwo.

W tym momencie odsunąłem od siebie talerzyk ze zjedzonym do połowy pasztetem i wyjąłem spomiędzy zębów kawałek chrząstki na papierową serwetkę. Wydawało się szczytem perwersji, że ludzi obecnych na uroczystości znacznie mniej ona interesuje niż widzów oglądających ją w domu. Przejrzeliśmy listę nominacji. Okazało się, że Stella sporo wie na ten temat.

- Kto dostanie nagrodę za całokształt twórczości? - spytałem.

- Benny „Bzyk-Bzyk” Bullivant.

- Za całokształt? - zdziwił się liverpoolczyk. - Przecież on jest ledwo po czterdziestce.

- Tak, ale ma AIDS. Nie wiedział pan o tym?

- A, w takim razie w porządku - odparł ze wzruszeniem ramion.

Okazuje się, że nagroda za całokształt twórczości pełni w przemyśle rozrywkowym rolę ostatniego namaszczenia.

Na drugie danie była nóżka kurczaka z młodymi ziemniakami. Każdy dostał nóżkę. Nikt nie załapał się na pierś. Tysiąc nóżek, ale zero filetów - zamówienie, które mocno by zdenerwowało mojego masarza w Seaford. Zjadłem swoją nóżkę trochę za szybko i zauważyłem, że podobnie jak z przystawką, Stella nawet nie wzięła do ręki noża i widelca. Nie udawała, że rearanżuje jedzenie na talerzu. Niektórzy nie jedzą pszenicy, niektórzy nie jedzą nabiału - Stella nie jadła jedzenia. Tęsknym wzrokiem zerkałem na nietkniętego pieczonego kurczaka na jej talerzu, ale doszedłem do wniosku, że show-biznesowy savoir vivre nie pozwala poczęstować się czyimiś resztkami.

Było mnóstwo ludzi, z którymi Stella chciała się przywitać, i obserwowałem, jak z pewną siebie miną krąży od stolika do stolika. Cała sala na nią patrzyła. Wszyscy ją znali i byłem dumny, że siedziała obok mnie. Wreszcie bezceremonialnie przysiadła na pustym krześle obok starej znajomej, a kiedy wrócił pierwotny posiadacz tego miejsca, cierpliwie czekał, aż Stella skończy rozmowę. Siedziałem przy swoim stole, czując się trochę skępowany i coraz bardziej stremowany, bo zaraz miała się rozpocząć właściwa uroczystość. Postanowiłem wyjść do toalety, żeby się trochę przewietrzyć. Oni jednak tak to zorganizowali, że nawet opróżnienie pęcherza było pięciogwiazdkowym przeżyciem. Przy umywalkach stał na baczność niski starszy pan w idiotycznym brązowym uniformie boya hotelowego, który to uniform miał za zadanie maksymalnie go upokorzyć. Rolą staruszka było podawanie wszystkim ręczniczka, kiedy umyjają już ręce. I dzięki Bogu - inaczej musieliby sami go wziąć ze sterty. Jak by to wyglądało? Na wypadek gdyby starszy pan nie czuł się jeszcze zupełnie bezwartościowy, ręczniczki kazano mu podawać metalowymi szczypcami.

- Więc tak, Stanley, w sobotę wieczorem jest duża ceremonia rozdania nagród w hotelu

Grosvenor House przy Park Lane. Pięciodaniowy posiłek, darmowy szampan, zabawne przemówienia, total maks. Ty tam będziesz...

- W sali bankietowej?

- Nie. Twoja robota to będzie stać przez cały wieczór w kłopotach i podawać wszystkim ręczniczki do rąk. Aha, i używaj tych dezynfekowanych szczypteczek, bo nie chcemy, żeby goście dostali gęziej skórki na myśl, że złapią od ciebie jakiegoś syfa, ty obrzydliwy trędowaty konusie.

Pchnąłem drzwi kabiny i z ulgą skonstatowałem, że nie ma tam nikogo zatrudnionego do odrywania papieru toaletowego i podawania go szczyptkami w stosownej chwili. Zamknąłem za sobą drzwi. Nie potrzebowałem się załatwić. Z zapiętymi spodniami usiadłem na kłopotach, żeby chwilę odetchnąć. Potrzebowałem ukryć się gdzieś na kilka minut, aby odpocząć od męczącego udawania, że jestem wyluzowany. Co ja tu robię? Przecież to śmieszne. Chyba zwariowałem, pozwalając, żeby to zaszło tak daleko. Konferansjer zaraz ogłosi krótką listę, a potem ujawni, że próbowali znaleźć kogokolwiek, kto widział Jimmy'ego Conwaya w akcji, i odkryli, że nigdy w życiu nie występował na scenie. Ja na to rzucę się do drzwi, ale dwaj goryle ze stażem w komandosach złapią mnie, zaprowadzą do kasy i każą zapłacić setki funtów za trzy kieliszki szampana plus nóżkę kurczaka z młodymi ziemniakami i pomidorami malinówkami.

Starałem się uspokoić nerwy. Wszystko gra. Ten wieczór to tylko perypetia o posmaku przygody. Mike Mellor, mój stary kumpel z show-biznesu, dostanie nagrodę dla najlepszego młodego humorysty scenicznego. Ja będę mu bił brawo, usiłując nie okazać po sobie rozczarowania i zazdrości. A potem skończę z tą idiotyczną maskaradą i zniknę z pola widzenia po mojej godzinie na wyżynach sławy. Potraktuję dzisiejszy wieczór jak towarzyską przejażdżkę kolejką w wesołym miasteczku.

Usłyszałem, że drzwi wahadłowe otwierają się i czyjeś głosy odbijają się echem od flizowanych ścian.

- Przy którym stoliku siedzisz?

- A, z Penny Webster, reżyserką *Z czego się śmiejesz*. No wiesz, ten program komediowy na E4. Startuje w kategorii najlepszy teleturniej komediowy.

- A, tak, mam to nagrane, ale jeszcze nie oglądałem. Ja tu jestem z Mikiem Mellorem. On jest nominowany na najlepszego młodego humorystę scenicznego.

- Ma spore szanse, co?

- Uważa się, że powinien iść łeb w łeb z Jimmym Conwayem. Ten Conway świetnie to rozegrał. Nie występuje w telewizji i starannie dobiera miejsca, w których gra. Przez to od

początku wydaje się wyjątkowy.

- No, gazety go uwielbiają. Widziałeś tę rozkładówkę w „Sunday Times”?

- No, chociaż nie jestem pewien, czy ta dziennikarka naprawdę zrozumiała, o co jemu biega.

- Czyli widziałeś jego występ?

- Znaczący, nie ostatnio. Widziałem go całe wieki temu. Dopiero zaczynał, ale już wtedy było widać, że zrobi wielką karierę. Ten monolog o rybach... po prostu nie da się wytrzymać ze śmiechu.

- To było podczas kabaretonu Banana Christmas dwa lata temu.

- Całkiem możliwe.

- Boże, niesamowite - też byłem na tym spektaklu. Tak mi się właśnie wydawało, że go poznaję. No, był naprawdę dobry, nie?

- Fakt, chociaż... widziałem go w lepszym wydaniu.

- Gdzie?

- W Catch a Falling Star w Nowym Jorku. Sala trzęsła się ze śmiechu.

Gem, set i mecz dla największego kłamcy. To znaczy drugiego największego kłamcy po tym facecie, co siedzi na kłapie muszli klozetowej i panicznie podnosi nogi do góry, żeby go przypadkiem nie rozpoznali po butach i spodniach, mimo że były to takie same czarne buty i czarne spodnie, jakie mieli na sobie wszyscy inni zaproszeni płci męskiej. Skoro tych dwóch pozerów umie sobie wmówić, że widzieli mnie na scenie, to czy inni też łążą po hotelu i pieją peany na moją cześć? Czy to możliwe, iż jurorzy nie przyznają się sobie nawzajem, że nigdy mnie nie widzieli? Czy wszyscy zblefują i wsiądą do tramwaju linii „Jimmy Conway”, aby uniknąć wrażenia, że totalnie wypadli z kursu? Kilka lat wcześniej ktoś podszedł do mnie w księgarni i poprosił o wzięcie udziału w ankiecie literackiej. Spytany o powieść stulecia, zrobiłem okrutnie zamyśloną minę, żeby ukryć panikę, po czym powiedziałem z powagą: „*Ulisses* Jamesa Joyce’a”. Nie przebrnąłem przez pierwszą stronę tego zakalca, ale wydawało mi się, że takiej należy udzielić odpowiedzi tej intelektualistce w okularach. Kto wygrał ankietę? *Ulisses*. Czy wszyscy, którzy udzielili takiej odpowiedzi, blefowali identycznie jak ja?

Posiedziałem w kabinie jeszcze kilka minut, ale wizyta w toalecie nie była udana. Nie zdołałem spuścić swoich zmartwień do kanału. Miałem lękowe zatwardzenie. W panikę wprawiła mnie nie tylko nominacja. Chodziło też o swobodną pewność siebie tych wszystkich wspaniałych ludzi wokół mnie. Jestem jak ryba bez wody, pomyślałem. Nie, gorzej: jak ryba, którą wyjęto z wody i kazano zagrać na środku ataku w Manchesterze United przed sześćdziesięcioletnią publicznością. Hm... czy takie były początki legendarnego numeru z

rybą? Chyba nie.

Dopiero po otwarciu drzwi kabiny uzmysłowiłem sobie, że dla zachowania pozorów należy spuścić wodę. A skoro już udałem, że skorzystałem z toalety, to poczułem się zobowiązany umyć ręce. Po wykonaniu tej czynności otrzymałem ręczniczek od człowieka wykonującego najniewdzięczniejszą pracę na świecie.

- Em, dziękuję, serdecznie dziękuję.

- Proszę bardzo - odparł z wyćwiczoną kurtuazją i odstąpił do tyłu, by zająć pozycję obok sterty czystych, poskładanych ręczników. Wycierałem ręce trochę dłużej niż zwykle, demonstracyjnie wykorzystując każdy centymetr kwadratowy ręczniczka, w nadziei, że starszy pan poczuje się trochę bardziej dowartościowany.

- Wiesz co, moja droga? - powie do żony po powrocie do domu. - Jeden człowiek szczerze się ucieszył z ręcznika, który mu dałem. Wytarł dłonie do ostatniej kropli wody. Takie chwile nadają mojej pracy sens.

Zastanawiałem się, czy by nie rozpiąć koszuli i nie wytrzeć się na szybkiego pod pachami, ale uznałem, że byłaby to przesada, więc jeszcze raz przejechałem po wierzchach dłoni i nadgarstkach.

Kiedy byłem tym zajęty, moje spojrzenie padło na miskę z monetami obok mydła. Przez ułamek sekundy sądziłem, że w tym luksusowym hotelu zamiast talerzyków z darmowymi cukierkami kładą wszędzie miski z darmowymi pieniędzmi, drobnymi, którymi można się poczęstować, jeśli ktoś potrzebuje parę monet jednofuntowych. Potem zrozumiałem, że oczekuje się ode mnie napiwku dla ręcznikowca. W misce były głównie jednofuntówki, nieliczne pięćdziesięciopensówki leżały ukryte na dnie, żeby zniechęcić wszystkich do zostawiania tak mizernej sumy. Napiwek za podanie ręcznika?, pomyślałem zdumiony.

Nigdy nie uważałem się za skąpca, ale nie mogłem oprzeć się poczuciu, że funt za podanie kawałka frotte to kupa szmalu. W sklepie Mr One Pound w Seaford można było za te pieniądze dostać trzy śrubokręty. Albo plastikową futbolówkę. Albo oprawione w ramki zdjęcie dziewczynki z kociakiem na rękach. Tutaj nie dostawało się nawet ręczniczka na własność. I nie dano mi wyboru - znaczy, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby samemu wziąć sobie ręcznik, zamiast płacić komuś funta za tę usługę.

Jeśli moje dłonie były teraz wilgotne, to tylko od potu, bo stanąłem przed trudnym dylematem i wpadłem w panikę. Szybko zdałem sobie sprawę, że nie mam wyboru: muszę jeszcze bardziej napchać sakiewkę ręcznikowego milionera, który ściąga haracz z tych wszystkich imbecyli. Nie, nie, nie, stop! Musisz zwalczyć w sobie to małoduszne sknerstwo! Bez tych napiwków staruszek przypuszczalnie nie miałyby środków na utrzymanie żony i

kalekiej szwagierki. Co mi się stało w głowę jak mogłem być tak skąpy, żeby zastanawiać się nad sumą równoważną cenie małego piwa? Oddałem staruszkowi ręcznik i z pewnym siebie uśmiechem sięgnąłem do kieszeni po jedyną monetę, jaką tam miałem. Cholera. Dwufuntówka. Dwa funty. Istna fortuna. W Mr One Pound w Seaford można za to kupić no, dwie sztuki czegokolwiek.

- E, yhm, przepraszam, ale nie mam drobnych.

- Słucham pana, sir?

A niech to szlag, każe mi powtórzyć.

- Nie mam drobnych... wie pan, żeby zapłacić za ręcznik. Przepraszam.

- Nie ma opłaty za ręcznik, sir, napiwki są najzupełniej dobrowolne.

- Właśnie o to mi chodziło... przepraszam, ale nie mam drobnych na napiwek. Mam tylko monetę dwufuntową.

- Nic nie szkodzi, sir.

Aaaa! Po co ja to powiedziałem? „Mam tylko monetę dwufuntową” - jakby chodziło o banknot pięćdziesiętofuntowy albo kartę American Express Gold. W trakcie tej rozmowy inny usatysfakcjonowany klient wziął ręczniczek, szybko wytarł dłonie i nonszalancko wrzucił do miski funta z maestrią Michaela Jordana trafiającego piłką do kosza.

- Em, a może bym włożył do miski dwa funty i wydał sobie funta reszty?

- Słucham pana, sir?

- Tak sobie myślałem, ponieważ dwa funty to jest trochę dużo, to czy mógłbym dać tę dwufuntówkę i wziąć jednofuntówkę? Zostałby panu jeden funt, co w końcu też jest niemałą sumą.

- Dziękuję panu, sir. Jestem panu wielce zobowiązany, sir.

Rany, ale pokazałem klasę! Przesuń się, James Bond, w mieście pojawiło się nowe ucieleśnienie prawdziwego dżentelmena. Ta finezja, ta dyskretna hojność, to nieuchwytnie *je ne sais quoi* - niektórzy po prostu się z tym rodzą. Jakiś mężczyzna oddający mocz do pisuaru przysłuchiwał się naszej rozmowie. Przerzucał wzrok między Jimmym Conwayem biorącym z miski funta i akcesorium spoczywającym w jego dłoni, jakby nie dostrzegał między tymi zjawiskami znaczącej różnicy. Podchodząc do drzwi, powiedziałem sobie w duchu, że sprawę z napiwkami mogłem rozwiązać z trochę większą godnością i zimną krwią. Za późno się zorientowałem, że drzwi otwierają się do wewnątrz i przyładowałem głową w dechę, tak bardzo chciałem stamtąd uciec. Ponowiłem próbę, tym razem ciągnąc za klamkę, z cierpliwym uśmiechem skierowanym do starszego pana, który natychmiast odwrócił wzrok. Zaczęło się od tego, że chciałem poprawić mu samopoczucie i rzeczywiście - po spotkaniu z takim idiotą z

pewnością musiał być wdzięczny Bogu, że stworzył go takim, jakim go stworzył.

Zaplanowałem wcześniej, że w drodze powrotnej z toalety kupię sobie w barze jeszcze jedno piwo, ale teraz postanowiłem przerzucić się na darmowe wino, żeby obniżyć objętość przyswajanych płynów. Co za szwindel: nie dość, że trzeba wyskoczyć z trzech funtów piętnaście za piwo, to jeszcze każą dołożyć funta za wydalenie go z organizmu. Przed przybyciem na ceremonię sądziłem, że zaproszono mnie po to, aby na sali był komplet i nie mam żadnych szans na nagrodę. Nie wymyśliłem sobie mowy dziękczynnej ani nie zastanawiałem się nad tym, ile alkoholu wolno mi spożyć. Nadal sobie wmawiałem, że nagroda jest mrzonką, wbrew podsłuchanej w ubikacji rozmowie. Ale kiedy poszedłem dolać sobie wina, stało się coś dziwnego. Odstawiłem butelkę i zdecydowałem, że od tej pory będę pił wodę. Tak na wszelki wypadek, pomyślałem, tak na wszelki wypadek.

Obsługa sprzątała ze stołów i zaraz miała się zacząć właściwa ceremonia. Kurczak był chyba niezbyt świeży, bo coraz bardziej bolał mnie żołądek. Stella wróciła i rozmawialiśmy o tych, wszystkich razach, kiedy Billy uzyskał nominację. Uwielbiał odj bierać nagrody. Stella powiedziała, że często zgłaszał się do odbioru nagród za kolegów z show-biznesu, którzy nie mogli być obecni, a potem po prostu nie oddawał trofeów. Na kominku u Stelli do tej pory stała jedna z nagród BAFTA dla Hugh Granta.

- Czy zdarza się, żeby z góry kogoś informowali, czy wygrał?

- Billy'ego musieli informować, bo przychodził tylko po odbiór nagrody. Jego agent postawił warunek, że muszą wiedzieć wcześniej. Ale późniejsze gwiazdy zazwyczaj dowiadują się równocześnie z resztą świata.

- Któregoś razu - wtrącił się sąsiad Stelli - byłem nominowany, tak samo jak producent, który siedział koło mnie. Tuż zanim otworzyli kopertę, kamerzysta odsunął mnie na bok, żeby uzyskać dobre ujęcie siedzącego obok kandydata. Była to dla mnie istotna poszlaka.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale przy stanie moich nerwów z pewnością wypadło to dosyć sztucznie.

- Normalnie człowiek wie, że nie wygra - podjął sąsiad Stelli - bo wygra John Smith. Człowiek jest przekonany, że to niemożliwe, żeby wygrał, bo to jest rok Johna Smitha, ale kiedy otwierają kopertę, przez ułamek sekundy człowiek myśli sobie: może jednak, może ta dziewczyna odczyta moje nazwisko.

- I odczytuje?

- Nie, odczytuje nazwisko Johna Smitha. A potem człowiek jest zawiedziony i głupio mu, że robił sobie nadzieje.

- Jimmy jest nominowany do drugiej w kolejności nagrody - powiedziała Stella,

ściskając mnie za ramię.

- O, w takim razie powodzenia - odparł z taką miną, jakby zrobiło to na nim pewne wrażenie.

Wszyscy usiedliśmy wygodnie, żeby obserwować początek ceremonii.

Jako pierwszą przyznano nagrodę w kategorii radiowej osobowości roku, o której rozstrzygały głosy czytelników „Radio Times”. Z reguły otrzymywał ją prezenter, który najwięcej udzielał się w telewizji. Jakiś czas temu trzy razy z rzędu wygrał były didżej, który w tym okresie ani razu nie wystąpił na antenie. Kamery przebiegały salę, filmując kandydatów, których twarze pojawiały się na telebimach nad sceną w chwili wyczytywania ich nazwisk. Ogłoszono zwycięzcę, który zrobił trochę przesadnie zszokowaną minę, ucałował partnerkę, wyskoczył na estradę po statuetkę i bezbłędnie wyrecytował zaimprovizowaną mowę dziękczynną.

Potem przyszła moja kategoria. Poczulem, że zaczynam drzeć od stóp do głów. Konferansjer zażartował, że pod względem liczby komików zgromadzonych pod jednym dachem ta sala ustępuje tylko Izbie Gmin. Nieszczerólnie rozśmieszyło to publiczność, która biła mu jednak brawo dla pokazania, że podziela jego odczucia. Jakiś operator uklęknął tuż obok mnie i prawie przytknął mi do twarzy wielki obiektyw. Od czasu do czasu spotykamy w życiu ludzi, którzy naszym zdaniem naruszają granice naszej osobistej przestrzeni, ale ten facet po prostu wyważył drzwi i wtargnął do środka z filmującą na żywo kamerą. W dobrym tonie jest zachowywać się tak, jakby człowiek nie miał świadomości, że spoczywa na nim oko kamery, ale grubo się przeliczyli, jeśli myśleli, że wydłubię sobie kożę z nosa i wytrę palec o krzesło. Przyoblekłem się w łagodny uśmiech, w zamierzeniu informujący, że jestem rozluźniony, ale pewny siebie, zainteresowany, ale również rozbawiony. Nonszalancko sięgnąłem po wodę i trochę poniewczasie zauważyłem, że trzymam w ręku niewielki flakonik z kwiatami.

Konferansjer patrzył do kamery, ale z miejsca, w którym siedziałem, widać było, że na teleprompterze przewija się tekst scenariusza.

- Poprzedni laureaci tej nagrody stworzyli później wybitne reklamy piwa - zażartował.

Do odczytania nazwisk kandydatów zaproszono kandydata opozycji na ministra finansów, który wywiązał się ze swojej roli tak płynnie, że miliony wyborców przed telewizorami z pewnością pomyślały sobie: „Kurczę, przeczytał te nazwiska z kartki całkiem nieźle, na pewno fantastycznie by pokierował naszą gospodarką”.

Kiedy wyczytał moje nazwisko, nad obiektywem zapaliło się czerwone światełko - a potem zgąsło, bo telebim na chwilę wypełniły twarze innych kandydatów. Jednakże na ten

ułamek sekundy obraz z mojej kamery poszedł w świat. Moja twarz wyświetliła się w milionach domów w całym kraju. Przy prawie każdej ulicy, w prawie każdym bloku mieszkalnym w każdym mieście ktoś mnie oglądał. Klienci pubu w Seaford, koledzy ze szkoły w East Grinstead poderwali się i krzyknęli: „Kurde balans, to Jimmy!”

Parlamentarzysta otworzył wielką złotą kopertę i najpierw sam zapoznał się z wypisanym na karcie nazwiskiem, zanim zakomunikował je nie mogącym się doczekać widzom. I w rym ułamku sekundy zauważyłem, że czerwone światelko nad obiektywem wycelowanej we mnie kamery znowu się zapaliło. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak się stało, a potem parlamentarzysta pochylił się do mikrofonu i ogłosił:

- Nagrodę otrzymuje... Jimmy Conway!

Przez parę chwil nie poruszyłem się ani w żaden inny sposób nie zareagowałem. Stella pocałowała mnie w policzek i powiedziała:

- Idź, Jimmy.

Tysiąc par oczu patrzyło prosto na mnie, kiedy wstałem lękliwie, osłupiały, przerażony i wniebowzięty. Byłem najlepszym młodym humorystą scenicznym w Wielkiej Brytanii, chociaż nogi się pode mną uginały, więc humor był, ale wejście na scenę mogło się okazać utrudnione. Zygzakowałem między stołami, mgliście uświadamiając sobie, że muzyka, która z trudem przebija się przez aplauz, to instrumentalna wersja *Make 'Em Laugh*. Przez te kilka sekund byłem Robbiem Williamsem wywoływanym na bis, byłem Adolfem Hitlerem podchodzącym do mikrofonu na wiecu w Norymberdze, byłem Ronaldem idącym na podium odebrać Puchar Świata. Krzesła magicznie się rozstępowały, a brawa i wiwaty narastały. Przemknęło mi przez głowę, że mój przemarsz oglądają miliony widzów. Byłem absolutnym centrum uwagi, wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Rola trzeciego osiołka w szkolnych jasełkach nie wytrzymywała konkurencji.

Wstąpiłem na estradę. Cóż ja mam powiedzieć? Przypomniałem sobie mowę Gwyneth Paltrow przy odbieraniu Oscara. Powiedziała, że chciałaby podziękować wszystkim osobom, które w życiu spotkała. Może powinienem zrobić to samo, a potem ją przebić i wyliczyć te osoby? Żałowałem, że nie przygotowałem się na tę chwilę i nie miałem w zanadru choćby kawałka dowcipu, który mógłbym rzucić wpatrzonym we mnie masom.

- Bravo - powiedział opozycyjny kandydat na ministra finansów, któremu udało się nadać temu krótkiemu słowu protekcjonalny wydźwięk.

- Dziękuję - odparłem, ściskając wyciągniętą ku mnie dłoń.

Konferansjer pokazał na mikrofon i poczułem, że moje ukryte za mównicą nogi

dygoczą. Z rozkoszą dosiadłbym fali ogólnego entuzjazmu i zasypał ich wszystkich przezabawnymi środowiskowymi żartami, machając do znajomych twarzy i dziękując wszystkim przyjaciółom z przemysłu rozrywkowego. Jaka szkoda, że nie umiem spełnić pokładanych we mnie nadziei. Tak bardzo chcieli się pośmiać, ale ja nie miałem nic zabawnego do powiedzenia ani nawet wystarczającego zapasu powietrza w płucach, żeby cokolwiek powiedzieć. Wszystkie te myśli przebiegały mi przez głowę, kiedy patrzyłem na falujący się przede mną ocean uśmiechniętych twarzy. Milczałem przez kilka sekund i moje zdenerwowanie stało się widoczne. Gdybym się przygotował, to może zdołałbym podtrzymać tę maskaradę, ale ponieważ rozpadałem się w oczach pod presją sytuacji, pozostało mi tylko jedno wyjście: przyznać się do wszystkiego.

- Słuchajcie, zaszła jakaś straszna pomyłka - wypaliłem łamiącym się głosem przyłapanego na gorącym uczynku chłopca. - Nigdy w życiu nie występowałem na scenie!

Spodziewane zbiorowe sapnięcie osłupienia nie nastąpiło.

Przez salę przewaliła się potężna fala śmiechu, która następnie i przeszła w burzę oklasków. Ludzie kiwali głowami, gratulując i sobie nawzajem, że dokonali trafnego wyboru i namaścili prawdziwego geniusza komizmu.

- Nigdy wcześniej nie wypowiadałem się publicznie - podjąłem. - Uczę angielskiego jako języka obcego w małym miasteczku w Sussex.

Śmiech narastał, a konferansjer poklepał mnie w plecy, ocierając łzy.

- Super, Jimmy - szepnął. - Coś panu powiem, niedługo naprawdę tak będzie!

Dał mi znak, żebym wrócił do swojego stolika. Śmiech i brawa nie ustawały. Parę osób próbowało nawet zainicjować owację na stojąco.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - mówiłem do różnych dostojnych producentów telewizyjnych, którzy ściskali mi po drodze rękę.

- Brawo, Jimmy! - krzyknął ktoś, kto udawał, że mnie zna.

Osoby zasiadające przy moim stoliku, które wcześniej zawyrokowały, że te nagrody nie mają żadnego znaczenia i wartości, teraz ponownie wyraziły tę opinię, entuzjastycznie machając do znajomych przy innych stołach, którym zaimponowało, że tamci siedzą z laureatem. Dwóch moich stolikowych sąsiadów wyjęło nawet jednorazowe aparaty fotograficzne i zrobiło sobie zdjęcia z moją statuetką.

Reszta wieczoru była dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Z konieczności chodziłem po sali, ściskając w dłoni nagrodę. Nagle byłem najlepszym przyjacielem wszystkich zaproszonych. No, prawie wszystkich. Pod koniec wieczoru podszedł do mnie Mikę Mellor, aby powiedzieć, że nie żywi do mnie urazy. Szybko jednak zadał kłam tym

słowom. Ogarnęły mnie podejrzenia, że trochę za dużo wypił, bo nie takie znowu ekwilibrystyczne zadanie oparcia się o ścianę sprawiło mu wiele kłopotu.

- No to wygrałeś, co? - wybełkotał.

- Tak, dziękuję bardzo.

Nie wiem, dlaczego mu podziękowałem. Pewnie się spodziewałem, że mi pogratuluje.

- Całkiem imponujące, jeśli zważyć, że nie znam ani jednego kabareciarza, który widział, jak grasz.

Próbował zabić mnie wzrokiem, ale raz po raz pudłował.

- No cóż, może powinniście częściej ruszać się z Londynu - odparłem.

- Wiesz, dlaczego dali ci tę nagrodę?

- No, bo uznali, że jestem najlepszym młodym humorystą scenicznym.

- Nie, najlepszym młodym humorystą scenicznym jestem ja - powiedział takim tonem, jakby to był ogólnie znany fakt. - Tu chodzi o wewnętrzne rozgrywki w przemyśle rozrywkowym. To ma być strzał ostrzegawczy dla agentów - nie windujcie cen za występy swoich artystów, bo jest stały napływ nowych talentów.

Istotnie, przewodniczącym jury był szef BBC, który pochwalił mnie na łamach „Guardiana”. Dalszego ciągu słuchałem z wysiłonym uśmiechem.

- Zwłaszcza ludzi, którzy uważają że nie potrzebują agentów, jak Jimmy Skurwysyn Conway.

- Skąd znasz moje drugie imię?

- W ogóle dużo o tobie wiem - odparł z naciskiem. Chociaż jego agresja była stymulowana alkoholem, i tak wystraszyłem się, że mnie zdemaskował. Co dokładnie wie? Co ludzie mówią? Z zadowolonym z siebie uśmiechem zagrał swojego asa atutowego:

- Jak jesteś takim genialnym komikiem, to chodź zamknąć sklep, teraz.

- Słucham?

- Chodź i zakończ wieczór w Comedy Store. Przekonamy się, czy naprawdę jesteś taki dobry.

- A, nie, niestety to niemożliwe. Muszę zostać na sesję zajęciową dla laureatów. Może innym razem?

- No, pewnie!

Oddalił się zygzakami zachwycony, że nie miałem odwagi podjąć rękawicy.

Gdybym był całkiem trzeźwy, przypuszczalnie stawiłbym czoło Mike'owi Mellorowi, ale pod koniec wieczoru byłem tylko trochę mniej pijany niż on. Po mojej nagrodzie przyznano jeszcze kilkanaście innych, a ja z przejęciem piłem wino i z przesadnym entuzjazmem

klaskałem każdemu kolejnemu laureatowi, aby pokazać, jakie ważne są w moim odczuciu te wyróżnienia. Wypaliłem cygaro z mojego pakietu upominkowego, a za każdym razem, gdy opróżniłem butelkę Chardonnay, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stawała przede mną nowa. Pod koniec zacząłem odnosić wrażenie, że ustawili podłogę pod kątem, ponieważ jakoś nigdy nie była w tym miejscu, w którym człowiek jej się spodziewał. Najwyraźniej zgubiłem Stellę, ale przynajmniej nadal patrzyłem, gdzie idę, w odróżnieniu od tego wielkiego słupa z doniczką na wierzchu, który wyrósł mi przed nosem. Jeszcze raz poszedłem usiąść na muszli klozetowej, ale tym razem na chwilę zamknąłem oczy. Po wyjściu na korytarz byłem trochę zdezorientowany, bo wszyscy gdzieś przepadli. Ekipa sprzątajaca zmiatała potłuczone szkło w ogromnej pustej sali. Mgliście sobie przypominam, że spytałem niemłodą panią pochodzenia azjatyckiego, czy nie widziała torby z upominkami wiszącej na krześle przy stoliku numer 97, ale słabo mówiła po angielsku i nagle poczułem się zawstydzony, że opisuję jej wszystkie luksusowe artykuły otrzymane przez uprzywilejowanych gości.

Pamiętam, że potem wędrowałem po centrum Londynu w poszukiwaniu nocnego autobusu do domu rodziców, trzymając się metalowej figurynki, jakby to był mój pijany kumpel. Nocny autobus stał na przystanku, ale kierowca nie chciał jeszcze otworzyć drzwi. „Nie wiesz, kim jestem?”, przemknęło mi przez głowę. Dopiero tuż przed porą odjazdu nacisnął magiczny guzik. Wsiadłem i z pewną siebie miną człowieka sukcesu powiedziałem, dokąd jadę.

- Funt dziewięćdziesiąt - burknął.

Sięgnąłem do kieszeni po dwufuntową monetę, ale przypominałem sobie, że dosyć niemądrze zainwestowałem połowę tej sumy w napiwek dla rękownikowca. Ludzie za mną czekali, a ja odprawiłem rytuał przeszukiwania kieszeni, doskonale wiedząc, że nie mam przy sobie żadnych pieniędzy. Zadałem w moim odczuciu konstruktywne pytanie, ale kierowca obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem i warknął:

- Nie, nie przyjmujemy MasterCard, do cholery. Należałoby oczekiwać, że na widok mojej nagrody będzie zachwycony możliwością przewiezienia tak szacownego pasażera i pozwoli mi pojechać za darmo, oznajmiwszy wszystkim innym pasażerom, jaki spotkał ich tej nocy zaszczyt. Tymczasem nic takiego się nie stało. W dzisiejszej Wielkiej Brytanii jeśli ktoś nie ma pieniędzy na bilet, nie zostanie wpuszczony do autobusu. No nie! Człowiek stara się rozjaśnić ludziom życie, przynieść strapiionemu światu trochę radości, i takie spotyka go podziękowanie.

Otrzeźwiający deszczyk zraszał mi twarz, kiedy rozpocząłem pięciokilometrową pieszą wędrówkę do domu rodziców. Być może mój anioł stróż chciał mnie w ten sposób ustrzec

przed tym, żebym nie zostawił nagrody w autobusie albo nie zasnął i nie obudził się w siódmej strefie, ale było mi wszystko jedno, bo w głowie wciąż mi wirowało od niezwykłych przeżyć, które miałem za sobą. Bez wątpienia był to najwspanialszy wieczór w moim życiu. Spłynęło na mnie zupełnie mi nie znane, upajające uczucie, że jestem kimś wyjątkowym i ciekawym, człowiekiem, którego ludzie chcą poznać i z którym chcą porozmawiać. Znajdowałem się jakieś półtora kilometra od celu, kiedy zrównał się ze mną radiowóz. Podjechał niebezpiecznie blisko i funkcjonariusze spojierali na tę dziwną samotną postać maszerującą pośród nocy.

- Przepraszam - zawołał jeden z nich przez okno samochodu - czy mógłby pan iść chodnikiem zamiast środkiem ulicy?

- O, przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy - powiedziałem, mając nadzieję, że spytają o niesiony przeze mnie niezwykły przedmiot.

- Można wiedzieć, gdzie pan był dziś wieczór?

- W Grosvenor House przy Park Lane na rozdaniu nagród przemysłu rozrywkowego - wyjaśniłem przekonany, że wzbudzi to lawinę zaciekawionych pytań.

- Wszystko jasne, sir, ale niech pan będzie trochę ostrożniej szy.

Co? Tak to zostawiają? Zbulwersowany faktem, że tak leniwie i nieudolnie wykonali detektywistyczną robotę, poczułem się zobowiązany udzielić odpowiedzi na pytania, które w moim rozumieniu powinni byli mi zadać.

- Tak, więc jeśli się zastanawiacie, co to jest ta rzecz, którą trzymam w ręce, to powiem wam, że to jest nagroda. Moja nagroda, którą dostałem. Na ceremonii wręczenia nagród.

Kierowca pochylił się w stronę okna pasażera.

- Chodzi o to, co szło dziś wieczór w telewizji?

- Właśnie. W BBC 1.

- Zdażyłem obejrzeć prawie całe przed pójściem do pracy. W której kategorii pan wygrał?

- Najlepszy młody humorysta sceniczny.

- A, tak, teraz pana poznaję - powiedział tonem, w którym pobrzmiwał podziw. - Wskakuj pan do tyłu, podwieziemy pana.

- VIP w wozie - włączmy koguta! - zaproponował ten drugi.

Tak też zrobili i na pełnym gazie pomknęliśmy pustymi ulicami.

- Niech pan mi powie - spytał kierowca, kiedy zajechaliśmy pod dom moich rodziców - skąd pan bierze pomysły?

- A, jest taki sklepik w Północnym Londynie, nazywa się Dobre Pomysły z Hampstead. Tam je kupuję.

Serdecznie się z tego uśmieali. W ogóle śmieszyło ich wszystko, co mówiłem. Kiedy pomachałem im na pożegnanie i radiowóz odjechał, wyobraziłem sobie rozmowę w policyjnej stołówce następnego dnia.

- Podwieźliśmy do domu Jimmy'ego Conwaya. Wiesz, tego komika, co dostał wczoraj wieczór nagrodę, pokazywali w telewizorze. No, bardzo dowcipny gość. Bardzo dowcipny gość.

8

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Nie wolno Ci zapominać, że bycie gwiazdą to nie tylko zabawa i chodzenie na imprezy. To także całkiem ciężka praca. Między innymi dlatego jestem spokojny, że mi się uda. Nigdy nie bałem się ciężkiej pracy. Byle praca nie była zbyt trudna i sprawiała mi przyjemność, jestem gotów zrobić wszystko, co trzeba. Żeby nie była za bardzo fizyczna, żeby mi było ciepło i sucho i żeby to nie miało nic wspólnego z algebrą albo rozbiorem zdań, to zakasam rękawy i nie spocznę, dopóki robota nie będzie skończona. Na przykład kiedy już zabiorę się do wakacyjnego wypracowania o Tudorach, to jak się wnerwie, o samej Elżbiecie napiszę całą stronę!

Ale chociaż ciężko pracujesz, to w czasie wolnym też się nie oszczędzasz. Znaczy, nie wyglądałoby to zbyt dobrze w *To jest twoje wspaniałe życie*, gdyby wszyscy mówili: „Prawie go nie widywaliśmy - ciągle siedział w domu i pracował”. Powinieneś więc pracować ciężko, ale nie na tyle ciężko, żebyś potem musiał iść spać. Powinieneś zostawić sobie trochę energii, żebyś mógł później zaszaleć. Nie jestem do końca pewien, co to znaczy „zaszaleć”, ale Ty na pewno będziesz wiedział, jak będziesz to czytał. Myślę, że to polega na chodzeniu na imprezy i tak dalej, i czasem idzie się spać dopiero o pierwszej w nocy. Jeśli to polega na ostrym picciu, to pamiętaj, że tak naprawdę nie jest zbyt mądre ani dorosłe, żeby się upić i stracić samokontrolę. Szczerze mówiąc, jest to dosyć żalodne (vide tata na pastercie). A jeśli na tych imprezach jacyś ludzie będą brali narkotyki, to powiesz po prostu: „Przykro mi, ale tu są narkotyki, wychodzę”. I wyjdiesz. Ale poza tym zapewne wyrobisz sobie renomę niezłego balangowicza! Na przykład o północy możesz nagle zaproponować, żeby wszyscy wybiegli z domu i wskoczyli na główkę do basenu! Oczywiście najpierw sprawdzisz, czy basen jest dobrze oświetlony i czy każdy ma kartę pływacką.

Jeśli wystąpisz w *To jest twoje wspaniałe życie*, oczywiście będzie to dla Ciebie zupełnie nieoczekiwane, to jednak nie oznacza, że nie możesz wcześniej poćwiczyć zaskoczonyj miny. Może warto byłoby również wymyślić, co dokładnie powiesz, kiedy ekipa na Ciebie wyskoczy, bo jeśli zaczniesz od „0 k...a!” albo czegoś równie niecenzuralnego, mogą z Ciebie zrezygnować i zrobić program o jakiejś sportsmence, a to byłaby absolutna katastrofa. Znaczący, byłoby to bardzo smutne dla Twoich fanów, którzy tak bardzo chcieliby się dowiedzieć o Twoim wcześniejszym życiu i usłyszeć, jak ciężko trzeba pracować, żeby wspiąć się na sam szczyt.

Myślę, że nie powinienem zaczynać wypracowania o Tudorach, dopóki nie zrobię szczegółowego konspektu. Odkryłem, że Henryk VIII kazał ściąć głowę tylko dwóm swoim żonom, chociaż to i tak jest za dużo. Szczerze mówiąc, to jest „seksistowskie”, ale dawniej w ten sposób się nie myślało.

Niedługo znowu napiszę Jimmy

„Nagrodzony komik Jimmy Conway i Stella Scrivens dowcipkują z homoseksualnym satyrykiem Grahamem Nortonem i jego tajemniczym towarzyszem”. Tak brzmiał podpis pod zdjęciem, które ukazało się w następnym tygodniu w czasopiśmie „You”. Ja trzymałem nagrodę do kamery, podczas gdy Graham Norton patrzył na nią dosyć sugestywnie. Byłem dostatecznie ciekawą i znaną osobistością, żeby znaleźć się w kronice towarzyskiej „You”. Osiągnąłem sukces: zostałem oficjalnie zarejestrowany jako członek śmietanki towarzyskiej. Czego nie da się powiedzieć o opozycyjnym kandydacie na ministra finansów. W sumie było mi go żal: dwadzieścia lat pracy parlamentarnej, piął się po szczeblach partyjnej kariery, był jedną z czołowych postaci głównej partii opozycyjnej i miał szansę po wyborach objąć pieczę nad gospodarką brytyjską. Niby całkiem spore osiągnięcie i chociaż nie był tak znany jak niektórzy inni politycy, to redaktorzy „You” mogli się trochę wysilić i sprawdzić, kto zaczął, zanim nazwali go tajemniczym towarzyszem homoseksualnego satyryka Grahama Nortona.

Nancy nie ucieszyła się z mojego sukcesu tak bardzo, jak na to liczyłem.

- W telewizji wyglądało, jakbyś dobrze się bawił - powiedziała zdawkowym tonem.
- Yyy, no, to był fascynujący wieczór.
- Czy Stella Scrivens całowała wszystkich laureatów czy tylko ciebie?
- Po prostu się ucieszyła, że wygrałem. To była impreza show-biznesowa, tam wszyscy całują się ze wszystkimi.
- Tak, i przez cały wieczór ścisła cię za ramię i śmiała się z twoich dowcipów.
- Nancy, ty i ja rozstaliśmy się ze sobą naście lat temu. Dlaczego miałoby cię obchodzić, że Stella Scrivens czy jakaś inna dziewczyna mnie pocałowała?

- Tak, ale nadal jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz? I jako twoja przyjaciółka po prostu uważam, że nie powinieneś flirtować z tą zakichaną chodzącą lalką Barbie. Minęło dopiero pół roku, odkąd umarł jej mąż.

- Nie flirtowałem z nią, tylko ją „pocieszałem w żałobie”. Tak stoi czarno na białym w „Sun”.

- Po prostu uważam, że stać cię na kogoś znacznie lepszego od niej. Mówię ci to jako przyjaciółka.

Chciałem postawić wszystkim moim starym znajomym drinka, żeby uczcić nagrodę, ale cały wieczór wypadł dosyć blado. Kiedy Dave powiedział: „Statystycznie rzecz biorąc, w Chinach nie mieszka zbyt wielu ludzi”, wszyscy pokiwali tylko głowami. Godzinę później Norman powiedział do mnie:

- Jakbyś chciał wiedzieć, to przegrałem w finale gitarowym.

- Och, tak mi przykro, Norman. Boże, zupełnie wypadło mi to z głowy.

- Nie szkodzi - mruknął, chociaż widać było gołym okiem, że szkodzi.

- Założę się, że byłeś najlepszy.

- Nie, sam sobie zawałem. Spaliła mnie trema. Musiałem wypaść idiotycznie.

Panda uznała ponoć, że Norman zasłużył sobie na jeszcze jedną szansę, i poprosiła o „viva voce”. Chris parsknął śmiechem i powiedział:

- Viva? Kto dzisiaj chciałby jeździć taką beznadziejną bryką? Po nagrodzie w moim życiu zaczęły się dziać fascynujące rzeczy, ale w coraz mniejszym stopniu czułem się na siłach powiedzieć o tym moim znajomym. Przyszły kolejne wywiady, kolejne sesje zdjęciowe i kolejne artykuły na mój temat. Gazet nie zadowalały już informacje o tym, co mam w lodówce. Chciały również wiedzieć, gdzie jadam, jak mieszkam i jak wygląda mój typowy dzień. Wszyscy producenci telewizyjni jednocześnie wpadli na ten sam oryginalny pomysł: umieścić Jimmy’ego Conwaya na liście z proponowaną obsadą pilota serialu z humorystycznymi skeczami. Rozmaici kierownicy artystyczni zaprosili mnie na lunch. Nawet jeśli nie przyniosło mi to żadnych innych korzyści, zaoszczędziłem fortunę na zakupach żywnościowych i w dwa tygodnie przytyłem jakieś osiem kilo. Żaden z producentów nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie mogę zrobić wyjątku tylko dla niego i ujawnić, gdzie będę następnym razem grał. Ja jednak byłem w tej kwestii pryncypialny i nigdy nikogo nie informowałem. Musiałem walczyć o czystość zasad partyzanckiego kabaretu. Efekt był taki, że cała rzesza telewizyjnych menedżerów zaczęła regularnie chodzić do klubów kabaretowych w nadziei, że nareszcie usłyszą mój słynny monolog. Niestety, jakoś nigdy nie trafiali na właściwy lokal. Po stronie plusów trzeba zapisać, że kilku obiecujących młodych komików zostało dzięki temu

zauważonych i dostali swoją pierwszą telewizyjną szansę.

Paru producentów ostrożnie podjęło temat mojego ideowo umotywowanego niewystępowania w telewizji. Wyjaśniłem, że dotyczy to wyłącznie mojej pracy scenicznej. Jeśli chcą żebym się pojawił w programie o ogrodnictwie albo wsparł jakąś zbożną sprawę, to jestem do usług. Zrobiono ze mną wywiad do nostalgicznego programu zatytułowanego *Czy dawne czasy to nie był totalny obciach?* David Soul zaśpiewał *Don't Give Up On Us Baby*, po czym ja opowiedziałem anegdotę o złotych czasach punka. Tak się składa, że byłem za młody, aby pamiętać punk rock, ale i tak mnie wzięli, bo okazało się, że ludzie, którzy pamiętają, są za starzy, aby przyciągnąć docelową widownię. Usiadłem przed kamerą i wyrecytowałem przygotowaną wcześniej kwestię, która wydawała mi się całkiem zabawna.

- Ten dzisiejszy pop... - westchnąłem. - To już nie jest to. Znaczy, w dzisiejszych czasach, kurczę, człowiek słyszy słowa. I te kawałki normalnie mają jakąś melodię.

Producentka, która odpytywała mnie zza kamery, w ogóle nie zareagowała na ten żart, tylko zerknęła do swoich notatek i spytała:

- Yyy, tak, Jimmy, kiedy wspomina pan tamte czasy, czy nie powiedziałby pan, że właściwie nie było już bohaterów?

- Eee, no, chyba można tak powiedzieć - odparłem nieco rozczarowany, że moje przygotowania poszły na marne.

- Proszę pamiętać, że moje pytania zostaną wycięte.

WK

- A, tak, przepraszam. - Wzięłem głęboki wdech. - Kiedy wspominam tamte czasy, mam wrażenie, że nie było już żadnych wzorów do naśladowania, że nie było w co wierzyć, można powiedzieć, że nie było już bohaterów.

W wyemitowanej wersji po mojej wypowiedzi Stranglersi zaśpiewali *No More Heroes* i do tego ograniczył się mój występ. Producentka usiłowała nakłonić mnie do rozważań, z których by wynikało, że nie mieliśmy przyszłości (tu wchodzi *No Future*), że uważaliśmy, iż coś się musi zmienić (tu wchodzi *Something Better Change*) i że znudzona młodzież łaknęła silnych wrażeń (tu wchodzi *Teenage Kicks*), ale nabrała podejrzeń, że ją przejrzałem, kiedy opowiedziałem jej anegdotę zakończoną słowami: „I mówię mu: *Yes, Sir, I Can Boogie*”.

Oglądałem swój występ i doszedłem do wniosku, że przynajmniej nie byłem takim zerem jak inne „gwiazdy”, które się, tam pojawiły. „Skąd się ci ludzie wzięli?”, myślałem sobie, przewijając do przodu kasetę wideo, którą mi przysłali. O połowie z nich nigdy nie słyszałem. Uznałem, że aby uniknąć losu anonimowego komentatora do wynajęcia, należy wciskać się do możliwie jak największej liczby programów i zyskać rangę znanego niektórym telewidzom

komentatora do wynajęcia.

Wzięłem udział w telewizyjnej dyskusji na żywo w paśmie przedpołudniowym. Spadek zarybienia Morza Północnego dorszem skłonił kilka bulwarówek do podjęcia tematu groźby śmierci tradycyjnej brytyjskiej fish'n'chips i autorzy programu doszli do wniosku, że moja wiedza fachowa bardzo się tutaj przyda. Redaktor wyjaśnił mi przez telefon, że mają trzech poważnych ekspertów i wymyślili, że Jimmy Conway, twórca słynnego monologu o rybach, wniesie trochę swobodniejszą nutę. Zasiadłem więc w zielonej sali z konserwatystą z Izby Lordów, zdesperowanym kapitanem kutra rybackiego z Hull oraz Zielonym posłem do parlamentu europejskiego z Holandii. Byli tam również wszyscy zaproszeni goście od innych tematów, przeglądali gazety i wypijali hektolitry kawy. Ambasadora Etiopii spytano, czy jeździ na deskorolce, ale inny redaktor powiedział:

- Nie, ten jest od klęski głodu, deskorolkarz jest w charakterystorni.

- Pan jest od terapii hormonalnej? - To do holenderskiego europarlamentarzysty. - A, nie, przepraszam, wy tu wszyscy jesteście ryby, tak?

Przypięto nam mikrofony, podczas skrótu wiadomości i pogody szybko posadzono nas na kanapach i prezenterka powiedziała:

- Czy frytki na zawsze rozstaną się z dorszami? Witam czterech ekspertów, z którymi porozmawiam o schyłku wielkiej brytyjskiej tradycji.

Dwaj politycy bez przerwy gadali, a ja siedziałem i czekałem, aż prowadząca zada mi pytanie. W końcu powiedziała:

- Jimmy Conway, co pan o tym wszystkim sądzi? Wywinąłem oczami do nieba.

- Dorsz! Kurczę, co za bezsensowna ryba! Normalnie same się pchają do sieci rybackich i są przepyszne. Tyle milionów lat ewolucji, można by sądzić, że starczy im rozumu, żeby nie były takie smaczne, co? Kurczę, dorsze, będziecie wymarłym gatunkiem. Same sobie na to zapracowałyście! Przestańcie się mazgać! Życie idzie dalej!

Prezenterka sprawiała wrażenie lekko zbulwersowanej. Kiedy sobie uświadomiła, że skończyłem, udała trochę przesadnie ubawioną i powiedziała:

- Bardzo panom dziękuję, a teraz Kelly przedstawi nam najświeższe informacje gospodarcze.

Niewykluczone, że przez pomyłkę powiedziałem „dodo” zamiast „dorsz”, ale tak czy inaczej zaświtało mi, że ekologowi i rybakowi nie zabrzmiało to zbyt zabawnie. Kapitan kutra włókł się kawał drogi aż z północnego wybrzeża Szkocji i ani razu nie otworzył ust. Prezenterka zadała mu dwa pytania, ale na jedno i drugie odpowiedzieli politycy i kolejnej szansy już nie otrzymał.

- Tak, miałam obawy, że cztery osoby to będzie za dużo do tego tematu - odparła nonszalancko redaktorka, kiedy rybak poskarżył się, że jego kuter nie wyszedł w morze, bo cała załoga chciała popatrzeć, jak on broni brytyjskiego rybołówstwa na małym ekranie. - Proszę się nie przejmować, następnym razem dostanie pan więcej czasu antenowego - uspokajała go, chociaż doskonale wiedziała, że nie będzie żadnego następnego razu.

Nikt zatem nie stanął w obronie biednego brytyjskiego rybołówstwa, ale przynajmniej Jimmy Conway skonstatował, że nadal nie dysponuje monologiem o rybach.

Ponieważ bardzo niewiele stacji telewizyjnych i radiowych, dzienników ogólnokrajowych, agencji prasowych i innych firm medialnych miało swoje siedziby w Seaford, zmuszony byłem regularnie zatrzymywać się na kilka dni w Londynie. Moi rodzice sprawiali wrażenie zachwyconych, że mogą gościć mnie u siebie, a Betty nie zgłaszała zastrzeżeń do organicznej karmy. Mama jak zawsze była męcząca, ale dostrzegłem wyraźną zmianę w stosunku rodziców do mnie. Dawniej, kiedy mama rozpoczynała swój monolog, nigdy nie było wiadomo, dokąd pojedzie rozpedzony pociąg jej myśli, ale teraz, kiedy podsłuchiwałem jej rozmowy ze znajomymi, miałem gwarancję, że sukces jej młodszego syna zostanie wpleciony w fabułę.

- A, dzień dobry, Marjorie, tu Val, spędziliśmy cudowny dzień w Eden Project, Brian Lacy był bardzo dzielny i zrobił całą rundę na nogach co nie jest takie łatwe jak ktoś ma jeden but pięć centymetrów wyższy od drugiego, ludzie oczywiście się na niego gapią jak na dziwoląga nie było tak źle kiedy w modzie były platformy, nawet jak Brian chodził tylko w jednej, chociaż powiem ci, że zawsze to uważałam za niebezpieczną modę, dziwię się, że Ben Elton nie miał permanentnie skrzyżowanej kostki, znaczy, nie Ben Elton, tylko ten drugi, co śpiewał *Crocodile Song*, wiesz, ten, co wykonał tę piosenkę na pogrzebie Diany, moim zdaniem to świetnie, że królowa nareszcie zaakceptowała Camillę, biedny Karol ma prawo iść dalej ze swoim życiem, to takie trudne być osobą publiczną ale Jimmy radzi sobie z tym doskonale, widziałas go w poranku, bardzo ciekawa dyskusja o rybach, duży mercedes zabrał go spod domu z prawdziwym szoferem i w ogóle chociaż nie miał czapki, o szóstej rano zadzwonił do drzwi, muszę zrobić dorsza w sosie Mornay według mojego przepisu, zanim wyginą, John Elton, tak jest, nie Ben Elton, tylko John Elton, wiedziałam, że w końcu mi się przypomni, ciekawe, czy są braćmi.

W strumieniu świadomości mojej mamy zawsze pojawiał się mój ostatni wywiad albo występ telewizyjny. A raczej nie strumieniu, tylko siklawie świadomości, Niagarze świadomości.

Mama poświęciła miniony rok na zaplanowanie złotego wesela. Uroczystość ta swego

czasu napelniała mnie zgrozą, bo przewidywałem, że będę musiał nieustannie się tłumaczyć ze swoich życiowych porażek. „Wciąż pracujesz na część etatu w tej szkole językowej, Jimmy?” „Nadal nie planujesz się ustatkować i założyć rodziny, Jimmy?” Tymczasem w zaistniałych okolicznościach to mój brat Nicholas zmuszony był przejść do defensywy.

- I co, Nicholas, jak to jest mieć sławnego brata? - spytano go, kiedy stał tuż obok mnie.

- Tak, rzeczywiście nieźle mu idzie z tym całym kabaretem - odparł przez zaciśnięte zęby. - Szkoda, że nie pozwala nikomu z nas przyjść i go obejrzeć.

Impreza była całkiem udana, a ja zdołałem nie pomieszać wszystkich śmiertelnych chorób, na które cierpieli rozmaici starsi członkowie rodziny. Brian Meredith przywitał się ze mną, a ja powiedziałem:

- Bardzo mi przykro słyszeć, że masz... yyy, Parkinsona, tak?

- Zgadza się.

„Uff!”, odetchnąłem, gratulując sobie doskonałej pamięci. Trafnie przyporządkowywałem choroby do poszczególnych emerytów, ale pod koniec wieczoru wyraziłem Rayowi Dowiemu współczucie z powodu jego zespołu Huntingdona, wyszło jednak na jaw, że on właśnie przeprowadził się wraz z żoną do Huntingdon, a cierpi tylko na przepuklinę. Skucha!

Ponieważ wszyscy widzieli mnie w telewizji, byli przekonani, że jestem milionerem.

- Dobrze ci płacą w tej telewizji?

- Nie mam powodów do narzekań - odparłem wymijająco.

- Jakim samochodem dzisiaj jeździsz?

- Szczerze mówiąc, sam prawie nie jeżdżę - z reguły przysyłają po mnie kierowcę - wyjaśniłem, nie zamierzając zdradzać, że wciąż jestem właścicielem zardzewiałego nissana z basenem pod dywanikiem.

- Dalej wynajmujesz ten dom w Sussex czy myślisz o zakupie czegoś większego?

Czasem mi się wydaje, że byłoby prościej, gdybyśmy wszyscy mieli dochody wytatuowane na czole, bo ludzie nie musieliby bawić się w dwadzieścia pytań, żeby nas usytuować na liście płac. Ale za wystąpienia w telewizji rzeczywiście mi płacono, czasem więcej, niż zarabiałem przez tydzień w szkole językowej.

Mój rozkład zajęć w szkole zawsze był elastyczny, ale teraz tak często załatwiałem sobie zastępstwa, że cierpliwość Doreen była mocno nadwerężona. Któregoś dnia pani dyrektor wezwała mnie do swojego gabinetu. W odróżnieniu od większości ludzi piastujących tak wysokie stanowiska nie miała biurka zasłanego setkami papierów. Stała na nim tylko lampa, telefon i duży wiklinowy koszyk z dwoma dyszącymi miniaturowymi sznaucerami.

- Przegryzłbyś coś, Jimmy? - spytała, wyjmując dwie czekoladki z orzechami włoskimi.

- O, bardzo chętnie.

Uwielbiam czekoladki z orzechami włoskimi. Potem usunęła z wierzchu orzechy włoskie i podała mi, a czekoladę i piankowe nadzienie pożarły psy.

- Nie lubią orzechów - wyjaśniła. - Dziwnie się ten świat plecie, co? Zanim zaczęła się ta historia z twoim kabaretem, brałam pod uwagę wysłanie cię do nowej szkoły językowej, którą zakładamy w Kuwejcie.

- W Kuwejcie? Czy nie zaanektował go Irak?

- Nie, mój drogi, może sobie nie przypominasz, ale była wielka wojna o to, żeby nie zaanektował. Mój bratanek znalazł dla mnie lokal, a pensja byłaby dwukrotnie wyższa od tej, którą teraz dostajesz. Ale jako robiący zawrotną karierę młody humorysta pewnie nie jesteś zainteresowany.

- Eee, no, bardzo mi pochlebiasz, Doreen, ale... będę z tobą szczery, Kuwejt... gdyby chodziło o Zjednoczone Emiraty Arabskie, to co innego.

- Naprawdę?

- Nie, żartowałem.

- A, racja, to jest teraz twoje główne zajęcie. Zamierzasz dalej u nas pracować na część etatu czy masz na oku coś lepszego?

Psy wpatrywały się we mnie, oczekując jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Ale nie martw się, jakby co, to dam ci znać z dużym wyprzedzeniem.

Moje zarobki w szkole językowej zależały od liczby przepracowanych godzin, ale przeciętnie starczało tego na karmę dla psa, nawet jeśli zaproszeni na kolację goście spodziewali się czegoś bardziej wyszukanego. Oczywiście poczyniłem rozmaite inne inwestycje kapitałowe. Moje rezerwy walutowe miałyby niebagatelną wartość, gdyby te wszystkie drachmy czy liry wciąż były oficjalnym środkiem płatniczym w swoich krajach. Rentowność pozostałych inwestycji zależała od tego, czy w sobotę wieczór z bębna losującego wypadnie odpowiednie sześć kul. Zatem kiedy zadano mi pytanie, czy byłbym zainteresowany spotkaniem z przedstawicielem agencji reklamowej, która wymyśliła, że zagram skecz kabaretowy do reklamy telewizyjnej, i kiedy usłyszałem, jakie pieniądze wchodziłyby w grę, gdybym użyczył kampanii swojej twarzy, musiałem się poważnie zastanowić nad tą propozycją. Nagranie reklamówki potrwałoby dwa dni. Aby zarobić tyle samo w szkole językowej, musiałbym tam przepracować sześćdziesiąt dwa lata i trzy miesiące.

„Pół miliona funtów” - taką sumę usłyszałem przez telefon. Padały różne inne słowa i

sformułowania, takie jak „tantiemy”, „zależnie od liczby emisji” i „w przypadku przedłużenia umowy”, ale żadne nie zapadło mi w pamięć tak głęboko jak wyrażenie „pół miliona funtów”. Usiłowałem sobie wyobrazić, co mógłbym kupić za takie pieniądze. Puściłem wodze fantazji: za taką sumę mógłbym nabyć pół miliona dowolnych artykułów w Mr One Pound. Mógłbym nawet wykupić cały sklep, ale jako długoterminowa inwestycja nie był to raczej dobry pomysł, bo za kilka lat przyszłoby zmienić nazwę na Mr One Euro, co brzmi trochę gorzej, już pomijając fakt, że oznaczałoby to obcięcie cen o czterdzieści procent.

Pół miliona funtów to było znacznie więcej pieniędzy, niż potrafiłbym wydać sam. Pomyślałem zatem, że znaczną część po prostu bym rozdał. Wszystkim moim znajomym nieustannie brakowało kasy i byłoby cudownie podzielić się z nimi honorarium, co rozwiązałyby wszystkie nasze problemy finansowe. Usiłowałem wyobrazić sobie miny Normana, Chrisa, Dave’a, a przede wszystkim Nancy. Jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie musiała zaharowywać się na śmierć celem zaspokojenia wszystkich zachcianek Tamsin. Mnie nie było wiele potrzeba. Zadowolilibym się ładnym domem i porządnym samochodem. Dom, samochód i trochę nowych ubrań. No i laptop, może odtwarzacz plików MP3, ale nie jakiś drogi. I nagrywarka CD - byłoby super móc zrobić sobie kompilację wszystkich ulubionych piosenek. Ale po zaspokojeniu tych podstawowych potrzeb resztę pieniędzy bym rozdał. Na pewno nie marnowałbym kasy na coś pozbawionego smaku czy ekstrawaganckiego. Znaczący, wiem, że skuter wodny uchodzi za zabawkę dla bogaczy i jasne, że zawsze szydziło się z japiszonów, którzy paradowali na tych machinach wzdłuż wybrzeża, ale praktycznie rzecz biorąc, rzeczywiście dawałyby możliwość naprawdę szybkiego dostania się do Brighton, więc pod wieloma względami skuter wodny byłby swego rodzaju inwestycją.

Nie, nie, musiałem sobie powiedzieć, że nie chcę tych wszystkich kłopotów. Jeśli mam wystąpić w tej reklamie, to tylko ze względu na moich przyjaciół. Nancy urodziła Tamsin w wieku dziewiętnastu lat i od tego czasu nie wydała ani pensa na siebie. Co to dla mnie są dwa dni pracy? Dłużej zajęła mi próba zamontowania karnisza w domu Nancy. No i tej reklamy nie miałem jeszcze w kieszeni. Dałem się ponieść wyobraźni. Producent z agencji reklamowej chciał się ze mną spotkać i omówić sprawę. „Zna pan Savoy Grill?” Jak można się domyślić, nie znałem Savoy Grill, ale nazwa sugerowała bardzo drogi lokal. Mam nadzieję, że nie odpiszą mi tego lunchu od honorarium, pomyślałem. Okazało się, że człowiek z agencji nie miał na myśli wspólnego lunchu, tylko „robocze śniadanie”. Niczym się ono nie różni od zwykłego śniadania, poza tym że zamiast czuć się winny, bo przed pójściem do biura siedzisz w restauracji, mówisz sobie z poczuciem moralnej wyższości, że masz bardzo długie godziny pracy. Szczerze mówiąc, na wtorek o ósmej rano miałem coś zaplanowanego: planowałem

mianowicie, że będę spał w swoim łóżku, obawiałem się jednak, że nie uznają tego zobowiązania za wystarczający powód do zmiany terminu.

Zjawiłem się zenująco wcześnie i nie pozostało mi nic innego, jak siedzieć samemu przy stole i czekać na przybycie typu z agencji. Omiotłem spojrzeniem innych gości i zdałem sobie sprawę, że w Savoy Grill nie obowiązują tak surowe obyczaje dotyczące stroju, jak sobie wyobrażałem, więc zasłoniłem się jadłospisem i zdjąłem krawat.

- Jimmy, czołem. Wyprzedził mnie pan - powiedział wysoki mężczyzna w dżinsach i T-shircie, podając mi rękę na powitanie. - Pierś - przedstawił się.

Włożyłem krawat do kieszeni marynarki i podałem dłoń do mocnego uścisku.

Sześcioro albo siedmioro pracowników agencji przedstawiło mi się, a następnie zamówiło kawę i croissanty.

- Kawa i croissant, Jimmy?

- Yyy, przepraszam, ale byłem trochę wcześniej i już zamówiłem - odparłem, kiedy kelner postawił przede mną dwa jajka sadzone, bekon, parówkę, kaszanke, pieczarki, pomidory, fasolę w sosie pomidorowym i dwie grzanki po francusku. - Postanowiłem nie brać croissantów, bo próbuję ograniczyć spożycie pszenicy. Przepraszam, czy te tosty są z żytniego chleba?

- Nie, sir - powiedział kelner przepraszającym tonem. - Możemy panu usmażyć z żytniego, jeśli pan woli.

- E, nie, proszę sobie nie robić kłopotu - odrzekłem wielkodusznie.

Ponieważ nikt inny nie jadł i uwaga była skupiona na mnie, starannie dobierałem chwile wkładania do ust jedzenia. Pech chciał, że strategia ta ani razu nie wypaliła. Kiedy Pierś zapytał: „Co pan sądzi o demo, które panu posłaliśmy?”, uniosłem brwi i mimicznie odegrałem pełne entuzjazmu „całkiem niezłe”, jednocześnie przeżuając wielkie kawały parówki i bekonu. Sześć twarzy wpatrywało się we mnie przez stół, czekając w napięciu, jak dostoyny gość oceni ich wybór najlepszych spotów reklamowych. Na pewno wyglądam tak, jakbym grał na czas, bo demo mi się nie podobało, pomyślałem. Próbowałem odegrać bardziej szczegółową reakcję, łącząc minę typu jestem pod wielkim wrażeniem” z energicznymi skinieniami głowy, ale wkrótce wyczerpał mi się repertuar i nie miałem innego wyjścia, jak tylko pokazać przepraszająco na swoje wypelnione po brzegi usta. Wywołało to nieco sztuczny uśmiech na twarzy kobiety, która przyniosła ze sobą własną herbatę ziołową w torebce.

Wreszcie zdołałem powiedzieć, że moim zdaniem demo jest bardzo dobre. Liczyłem na to, że temat jest zamknięty, a oni mieli uspokojone miny, kiedy wrzucali słodzik do czarnej kawy.

- Nie wydawało się panu, że są trochę na jedno kopyto? - spytała Lucy.

Świnie! Drugi raz mnie dopadli! Właśnie pracowałem nad dużym kawałkiem tosta po francusku, owiniętym wokół ćwiartki jajka. Zdołałem wydać z siebie chrząknięcie, które wyrażało oburzenie i zaskoczenie sugestią, że ich filmiki reklamowe są trochę na jedno kopyto, potem pokręciłem energicznie głową i zmarszczyłem brwi z emfazą i powagą. Porozumiewałem się jak Godzilla, chociaż moje zachowanie przy stole było nieco gorsze.

Okazało się, że wysłali mi demo, bo chcieli mi zaimponować. Ja żyłem w przekonaniu, że muszę ich namówić do umieszczenia mnie na krótkiej liście, ale wyszło na jaw, że agencja chce mnie zawojować. Rozpaczliwie usiłowali mnie przekonać, że naprawdę powinienem wziąć udział w tej kampanii reklamowej i dostać setki tysięcy funtów za dwa dni pracy. Boże, jak można kogoś stawiać pod taką presją!

- Pomysł jest taki, Jimmy. Na początku reklamówki widać pana na scenie w klubie kabaretowym i publiczność śmieje się z pana dowcipu, a potem robimy zbliżenie i okazuje się, że jednocześnie pisze pan SMS-a. Slogan brzmi następująco: „Odwiedź bank podczas pracy. Bankowość SMS-owa w C&P”.

Kawałek jajka sadzonego wisiał na widelcu, aby się przekonać, czy Pierś zada mi pytanie czy też rozpocznie kolejny monolog.

- Wiem, co pan sobie myśli - powiedziała jego asystentka, co było raczej mało prawdopodobne, bo myślałem sobie ni mniej, ni więcej: „Uff, zdążyłem przełknąć na czas jajko!”

- ...Myśli pan sobie, który skecz chcieliby, żebym wykorzystał.

- Hm, no, tak, to pytanie się narzuca - przyznałem.

- Czy jakiś konkretny numer przychodzi panu do głowy? - spytała Lucy.

Chwyciłem się za podbródek i zrobiłem „bardzo zamyślona” minę, ze wzrokiem utkwionym w dali.

- Hm... no... niech się zastanowię.

- A może rybki? - zasugerował Pierś.

- E, nie wiem, nie byłbym w stanie jeszcze raz zrobić tego w klubie.

- Co to są rybki? - spytała Lucy.

- Jeden z najsłynniejszych skeczy Jimmy’ego.

- O, uwielbiam dowcipy o zwierzętach, proszę niech pan opowie.

Wokół stołu rozległ się potakujący pomruk.

- Nie możecie od niego oczekiwać, żeby o ósmej rano przy śniadaniu wygłosił cały monolog - przyszedł mi na ratunek Pierś. Wydałem z siebie potężne westchnienie ulgi. - Niech pan im da próbkę, Jimmy - dodał.

Wszystkie głowy pochyliły się do przodu w oczekiwaniu na ten przezabawny skecz, o którym wszyscy mówili. Mieli na twarzach uśmiech pod tytułem „ale będzie śmiesznie”. Nie widziałem innego wyjścia, jak tylko spełnić ich pragnienie. Przełknąłem ślinę.

- Z rybami jest taka sprawa... - zacząłem w nadziei, że wyrafinowany, ale surrealistyczny, doskonale dopracowany monolog na temat ryb nagle wskoczy mi znikąd do głowy. Z drugiej strony stołu dobiegł mnie wyczekujący rechot.

- Z rybami jest taka sprawa...

W tym miejscu, jak można się było spodziewać, utknąłem. Na moment zapadła krępująca cisza.

- Czy ktoś życzy sobie jeszcze herbaty albo kawy? - spytał kelner i wszyscy stołownicy jęknęli.

Historia stara jak świat: opowiadasz dowcip, zbliżasz się do puenty, a tu nagle kelner ci przerywa i napięcie pryska.

- O, nie, teraz już nie dam rady, nie ma klimatu - powiedziałem, po czym skierowałem ich uwagę na inne tory, pytając, dlaczego ich zdaniem jestem właściwą osobą do tej roboty.

- Bo nie stać nas na Elle MacPherson! - odparł jakiś żarto wniś na końcu stołu, którego nie było na żadnym z późniejszych spotkań.

- Najbardziej cenimy sobie w panu to - wyjaśnił Pierś, rzuciwszy koledze karcące spojrzenie - że jest pan dobrze znany publiczności docelowej w całym kraju, ale bez pośrednictwa ekranu telewizyjnego.

Pomyślałem w duchu, że powinni zwolnić swoich ludzi od badania rynku, ale pokiwałem skromnie głową, że niby pochlebiło mi to, ale byłoby z mojej strony obłudą zaprzeczyć jego słowom.

- Każdy, kto był na pana koncercie w jednym z tych małych klubów na prowincji, nagle usłyszy, że każe mu pan się przerzucić na bankowość SMS-ową, a ponieważ podświadomie już panu ufają, przekaz będzie znacznie skuteczniejszy.

W tym momencie zadałem sobie pytanie, czy nie angażuję się w coś, co można by zinterpretować jako oszustwo handlowe. Agencja była gotowa zapłacić mnóstwo pieniędzy, ponieważ reputacja, którą zbudowałem w prowincjonalnych klubach kabaretowych, była dla nich wiele warta. Płaciliby mi za jakąś niemożliwą do zmierzenia aurę, której w istocie nie miałem. Byli gotowi wyłożyć forszę za sławę, którą zmyśliłem. To równałoby się zawarciu przeze mnie umowy handlowej w złej wierze. Za oszustwo można wylądować w więzieniu. No chyba że ktoś jest sławny. Wtedy z reguły się wykręci. Gdyby uznano mnie za winnego, oznaczałoby to, że ława przysięgłych oceniła, iż moja sława nie jest dostateczna. Wyobraziłem

sobie, jak sędzia wydaje wyrok przy pękającej w szwach sali. „James Elliot Conway, jest pan dwulicowym hochsztaplerem, który dokonał perfidnego piętrowego oszustwa celem wyłudzenia od tej biednej, bezbronnej agencji reklamowej setek tysięcy funtów. Dodatkowo miliony widzów, w tym wielu emerytów i rencistów, również uwierzyły w pańskie patologiczne kłamstwa i mogły stracić dorobek całego życia, omyłkowo przesyłając wszystkie swoje oszczędności na cudze konto, usiłując opanować tajniki bankowości SMS-owej. Nie ma zatem innego wyboru, jak tylko wyznaczyć maksymalną karę, którą obciążone jest to przestępstwo. Zostanie pan wyprowadzony z tej sali i zabrany bezpośrednio na miejsce egzekucji, gdzie będzie pan wisiał za szyję, dopóki nie nastąpi zgon. Niech Bóg zmiłuje się nad pana duszą”.

Podczas tej przemowy mój nieużyty obrońca kręciłby z rozczarowaniem głową, bo właśnie źle pokolorował zwierzątko w swoim „Szaradziście”.

Odsunąłem od siebie resztki mojego angielskiego śniadania i postanowiłem odwieść zebrane przy stole towarzystwo od tego szalonego pomysłu.

- Niech pan posłucha, Pierś, nie wiem, co wam mówią respondenci z grupy fokusowej, ale nie sądzę, żebym był taki znany, jak wam się wydaje, poza wąskim światkiem mediów. Znaczący, w niektórych z tych prowincjonalnych klubów mieści się ledwo setka osób, a nie występuję na scenie aż tak bardzo długo.

- Jimmy, nie wszystko sprowadza się do grup fokusowych i badań rynku - uspokajaj mnie Pierś. - Chcę pana do tej reklamy, bo uważam, że jest pan najlepszą osobą do tej kampanii. Nie wiem, jak pan to robi, ale ma pan w sobie coś ze „zwykłego faceta zza rogu”. Stale się pan uśmiecha. Budzi pan sympatię.

- I jest pan bardzo przystojny! - wypaliła Lucy i natychmiast zrobiła się czerwona jak piwonია.

- Byłem na przyznaniu nagród show-biznesu - podjął Pierś - i kiedy pan wykonał ten gag na scenie, od razu sobie pomyślałem: „To jest to, znaleźliśmy właściwą osobę”. Fakt, że jest pan popularnym humorystą i właśnie dostał pan nagrodę, zwiększa zaufanie klienta, ale oczywiście ta kampania będzie musiała powalczyć również o tych widzów, którzy o panu nie słyszeli. Jeszcze.

Słowo „jeszcze” znacząco zawisło w powietrzu. Przynęta większej sławy, którą miała mi przynieść ta dodatkowa obecność w mediach, dyndała przede mną kusząco.

Pierś chciał do tej reklamy Jimmy’ego Conwaya i nikogo innego. Miał wielki dar perswazji i był taki pewny siebie, że kiedy poprosił o rachunek, nawet nie udawał, że pisze coś na wymyślanym blozku kartek. Usiłował uzyskać ode mnie deklarację, że w zasadzie się

zgadzam. Powiedziałem, że prześpię się z tym, ale w ogóle nie spałem. Oszukiwać ludzi to jedna sprawa, ale oszukiwać ludzi i kasować za to ogromną forszę - nagle wydało mi się, że jest to znacznie bardziej niebezpieczna zabawa. Zdałem sobie sprawę, że to nie zasady nie pozwalają mi spać, tylko cena. Gdyby agencja reklamowa wcisnęła mi w łapę trzy dwudziestki, pomyślałbym: „Super, co za sukces!” W ich ofercie przeszkadzało mi to, że była wygórowana. Czy te pieniądze dlatego tak mnie rozstrajały, że nadal bardzo nisko się cenilem? Pół miliona funtów może wydawać się fortuną osobie pracującej na część etatu w centrum językowym w Seaford, ale najlepszemu młodemu humoryście scenicznemu w kraju ledwo tego starczy na skuter wodny. Pomyślałem o tym, jak zmieniliby się życie Nancy, gdyby od czasu do czasu mogła sobie kupić coś dla siebie, gdyby miała samochód i może wyprowadziła się z tej klitki, w której mieszkała ze swoją zwichrowaną córką. Te pieniądze były jej potrzebne bardziej niż agencji. Wstałem z łóżka i zszedłem na dół, żeby do nich zadzwonić. Zostawiłem na automatycznej sekretarce wiadomość, że z przyjemnością użyję swojej twarzy bankowości SMS-owej.

- Z rybami jest taka sprawa... - dumałem przed lustrem nad kominkiem. - Z rybami jest taka sprawa... że oddychają pod wodą - westchnąłem.

Tekst wymagał dopracowania.

Moją umowę napisał chyba James Joyce, uznawszy, że *Finnegans Wake* jest nie dość hermetyczny. Joyce należy do autorów stosujących technikę strumienia świadomości. Jak człowiek przeczyta kilka zdań, jego myśli toną w osobistym strumieniu świadomości, człowiek przypomina sobie, że miał zawieźć nissana do przeglądu, i zastanawia się, czy mogą nie przedłużyć mu rejestracji z powodu mchu, którym obrosły uszczelki okien. Umowa, którą miałem przeczytać, poddała moją umiejętność koncentracji jeszcze surowszemu egzaminowi. Być może czyniąc zawołaną aluzję do artysty do tej pory zwanego Prince, kazali mi występować jako „Jimmy Conway, w dalszym ciągu zwany Artystą”, ale poza tym pierwszym zdaniem pamiętam tylko kilka pojedynczych słów i zwrotów, takich jak „pod tytułem obciążliwym” (nie zauważyłem, żeby tytuł był cięższy od reszty umowy), oraz *sine qua non* - tutaj jestem już całkowicie przekonany, że chodziło o tytuł hiszpańskiej piosenki w konkursie Eurowizji w 1987 roku.

Zadzwoniłem do agencji. Jedna z kobiet, które uczestniczyły w roboczym śniadaniu, zapewniła mnie, że to „standardowa umowa”. Usiłowała wydobyć ode mnie informację, który punkt budzi moje wątpliwości. Przypomniało mi się, jak mój nauczyciel niemieckiego spytał, którego fragmentu tekstu do przetłumaczenia nie rozumiem.

- No, hm, tak ogólnie. Nie jestem na sto procent pewien, o co tam chodzi.

- Który konkretnie punkt?

Spojrzałem na umowę, którą miałem przed sobą.

- Hm, no, pamięta pani, jest taki fragment „Niniejszą umowę zawierają...”

- Tak.

- ...a na końcu jest napisane: „Podpis Artysty”.

- Tak. No więc trzynaście stron pomiędzy tymi fragmentami - tej części nie rozumiem.

Zdażyłem już sobie uświadomić, że suma pół miliona funtów jest optymistyczną prognozą opartą na założeniu, że reklama będzie emitowana bardzo długo i nakręcone zostaną kolejne spoty. W dalszym ciągu było to jednak więcej pieniędzy, niż kilka miesięcy wcześniej umiałbym sobie wyobrazić, że mógłbym zarobić. A najdziwniejsze było to, że miałem dostać furę pieniędzy za nakręcenie spotu, a potem ze dwa razy więcej za zobowiązanie, że nie wystąpię w reklamie żadnego innego zleceniodawcy. Ktoś powiedział, że gwiazdy są współczesnymi odpowiednikami dworu królewskiego. Teraz, kiedy płacono mi fortunę za powstrzymanie się od pracy, zaczynałem rozumieć, co to znaczy. Po raz ostatni przebiegłem umowę wzrokiem i upewniwszy się, że nie chodzi o zakup na współwłasność mieszkania w Lanzarote, podpisałem się nad kropkowaną linią.

W pierwszy dzień zdjęciowy przysłany przez agencję samochód zabrał mnie wcześniej rano spod domu rodziców. Rozumiałem, skąd ten pośpiech: gdybym przyjechał do studia trochę później, to nakręcilibyśmy reklamówkę sto dwadzieścia siedem, a nie sto dwadzieścia dziewięć razy. Wprowadzono mnie do pełnego zgiełku studia w dzielnicy przemysłowej w północno-zachodnim Londynie. Poczułem się jak w olbrzymim hangarze lotniczym. Ludzie zbijali gwoździami scenografię, ustawiali reflektory, na wysięgnikach wisiały kamery. Ludzie byli zapracowani i wiedzieli, co mają zrobić. Cała ta krzątanina była skupiona wokół mnie: Jimmy'ego Conwaya, oka cyklonu.

Kiedy wszyscy nagle zachowują się tak, jakbyś był kimś naprawdę ważnym, wkrada się dosyć przewidywalna pokusa, żeby przyznać im rację. Jak każdy człowiek, przez całe życie oglądałem świat ze swojego punktu widzenia, ale teraz można było odnieść wrażenie, że wszyscy ci ludzie docenili zalety tej perspektywy. „Pewnie zjadłby pan śniadanie, Jimmy?” „Niech się pan nie przejmuj hałasem wiertarek, załatwimy to”. „Pańska drużyna piłkarska świetnie wczoraj grała, Jimmy!” Zdażyłem już przyzwyczaić się do tego, że w swoim domu jestem pepkiem świata, ale to, że suka rasy border collie cały czas śledzi każdy twój ruch, mimo wszystko daje mniejszą satysfakcję. Kiedy wszyscy mają za zadanie sprawić, żebyś poczuł się kimś wyjątkowym, byłoby chamstwem z nimi nie współpracować. Kiedy praktykant pyta, czy może ci przynieść jeszcze jedną kawę, zwykła uprzejmość nakazuje udzielić odpowiedzi

twierdzącej. Mógłbyś zerwać się na nogi i powiedzieć: „Och, nie, pozwoli pan, że ja panu przyniosę!”, ale to tylko wprowadziłoby obie strony w zakłopotanie. Musisz grać przypisaną ci rolę najważniejszej osoby, tak jak panna młoda w dniu ślubu albo kapitan statku wycieczkowego.

Praktykant, który przyniósł mi kawę, powiedział:

- Tak się przypadkiem składa, że coś nas ze sobą łączy.

- Naprawdę?

Zadałem sobie pytanie, czy powinienem udać, że go sobie przypominam.

- Tak, moja była dziewczyna chodziła do tej samej szkoły co pan, chociaż była z innego rocznika.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy ja desperacko szukałem jakiejś stosownej odpowiedzi.

- O. Hm, co za zbieg okoliczności.

- Angela Mullery - nie sądzę, żeby pan ją znał...

- Yyy, nie. Nic mi to nie mówi.

- W sumie nic dziwnego, uczyła się tam jakieś dziesięć lat po panu.

- No tak, ja powtarzałem klasę tylko dziewięć razy z rzędu, więc minęliśmy się o rok.

Wiem, że polecono mi spełniać wszelkie moje zachcianki, ale nie musiał aż tak bardzo się śmiać.

Co za kompletnie bezużyteczna informacja, pomyślałem, kiedy zostawił mnie sam na sam z cappuccino. A przecież przekazał mi ją z takim przejęciem - coś nas ze sobą łączyło, bo chodził kiedyś z dziewczyną, która dziesięć lat przede mną uczyła się w tej samej szkole.

- Jimmy Conway - a, tak, pracowaliśmy razem i chodził do szkoły z moją byłą dziewczyną...

Wszyscy jednak znajdowali pretekst, żeby podejść do mnie i porozmawiać. Asystentka producenta zapukała do drzwi mojej przebieralni, żeby zapytać, czy duży kosz owoców może być. Powiedziałem, że tak, ale ona naciskała dalej.

- Jest pan pewien, bo możemy go zamienić, jeśli panu nie odpowiada.

Usiłowałem dać jej do zrozumienia, że jestem całkiem zwyczajną osobą i nie powinni tak wokół mnie skakać.

- Jeśli mam być całkiem szczerzy, te wszystkie owoce są trochę za bardzo egzotyczne jak na mój gust, wie pani, kiwi, kumkwaty i tak dalej. Nie mógłbym dostać zwykłego jabłka?

- Oczywiście, Jimmy, żaden problem. Zaraz przyniosę panu jabłko.

- Tylko jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

- Ależ skąd.

Kiedy drzwi przebieralni zamknęły się za nią, usłyszałem, jak się wścieka:

- Co za kretyn dał do przebieralni Jimmy'ego Conwaya koszyk z owocami bez jednego zasranego jabłka?

Filmik reklamowy miał się rozgrywać w scenerii małego, obskurnego klubu kabaretowego, więc zamiast pójść do małego, obskurnego klubu kabaretowego, agencja ogromnym kosztem stworzyła taki lokal w studio. Stojąc na scenie, miałem trzymać w lewej ręce mikrofon, a prawą dyskretnie wystukiwać SMS-a. Poza tym że w zbliżeniu miała wystąpić prawa ręka Simona, modela od dłoni. Przedstawiono nas sobie i chwilę rozmawialiśmy. Usiłowałem nie gapić się zbyt ostentacyjnie na jego prawą dłoń. Zgoda, to była niezła dłoń. Zupełnie przyzwoita dłoń, ale też nic takiego, z czym należałoby pchać się na afisz. Kurczę, czy moja prawa dłoń ma siedem palców i jest cała pokryta kurzajkami? Widziałem kiedyś film grozy, w którym zombi wypatroszył księdza i powrywał mu narządy wewnętrzne. Ciekawe, czy użyli trzustki samego aktora czy też zatrudnili do zbliżenia zawodowego modela od trzustki. Simon nie za bardzo przypadł mi do gustu. Jadł lunch w rękawiczkach i bardzo się zezłościł, że dostał tylko jedną porcję deseru. Usłyszałem, jak mówi do cateringowców: „Wiecie, kto ja jestem?” Kurczę, jak mieli go rozpoznać, skoro był w rękawiczkach?

Po dojrzałym namyśle nareszcie poinformowałem Piersa, że w moim repertuarze kabaretowym nie znalazłem nic, co nadawałoby się do wykorzystania w telewizji, więc zaczęli się zastanawiać nad wynajęciem autorów gagów, którzy napisaliby dla mnie dowcipy do użycia w reklamówce. Zostało już jednak niewiele czasu, więc postanowili, że powiem tylko wyrwaną z kontekstu puentę, ale publiczność będzie ryczała ze śmiechu i telewidzom przyjdzie uwierzyć nam na słowo, że dowcip jest genialny. Bez końca powtarzałem więc takie surrealistyczne teksty jak: „Jezu, te poduszki powietrzne!” (gigantyczny śmiech) albo „To dlatego pan Spock ma takie spiczaste uszy!” (potężny śmiech i brawa).

Rano był to jeden z najbardziej pasjonujących dni w moim życiu. Po kilku godzinach mógł już pretendować do tytułu najbardziej męczącego. Tak jakby ktoś powiedział: „Dobra, Jimmy, chcemy, żebyś się kochał z Marilyn Monroe w tej motorówce płynącej po grzbiecie piętnastometrowej fali koło wybrzeża Hawajów”, a potem spytał: „Dobra, a teraz czy mógłbyś to powtórzyć sto dwadzieścia razy?”

Widzisz ludzi, którzy mówią coś w telewizji i wydaje ci się, że nie ma nic prostszego, każdy mógłby to zrobić. Tymczasem miałem zaznaczone miejsca na podłodze, na których musiałem stanąć, wypowiadając konkretne słowo, ale przy tym ujęciu należało powiedzieć to słowo trochę inaczej i pamiętać, żeby nie patrzeć do kamery i za pierwszym razem wygłoszenie całego tekstu zajęło mi piętnaście sekund, a za drugim szesnaście, i Piers spytał, czy mógłbym

się zmieścić gdzieś pośrodku.

Usiłowałem zatem wypowiedzieć swoją kwestię w dokładnie piętnaście i pół sekundy. Po trzech kolejnych próbach dziewczyna ze stoperem powiedziała, że wyszło idealnie i przez krótką chwilę rozpierała mnie duma.

- Nie, Jimmy, przesunął się pan o jakieś piętnaście centymetrów za bardzo do przodu - jest pan zupełnie nieostry.

Dwoje producentów wymieniło jakieś ciche uwagi, po czym spojrzęło w moją stronę. Chociaż było jasne, że wszystkim rządzi Pierś, po okolicy kręcili się rozmaici inni szefowie, którzy wydawali mi polecenia sprzeczne z wcześniejszymi. Przede wszystkim klienci prześcigali się w wysuwaniu niewykonalnych postulatów, których Pierś w żadnym wypadku nie mógł odrzucić. Dawano mi na przykład takie wskazówki: „Czy mógłby pan to powiedzieć trochę szybciej, ale żeby zabrzmiało to mniej pospiesznie?” albo „Czy mógłby pan spróbować nadać słowu »i« większy walor komiczny?”

Chociaż instrukcje te były dla mnie niezrozumiałe, przynajmniej przedkładano mi je niezwykle uprzejmie i ostrożnie, jakby chodziło o niewybuch, który mógłby eksplodować, gdyby troszeczkę podniesiono głos albo nie użyto wazeliniarskiego tonu. „Było naprawdę fantastycznie, Jimmy, ale byłoby jeszcze bardziej genialnie, gdyby powiedział pan słowa we właściwej kolejności, tak jak przy pierwszym czytaniu”. Rzadko się słyszy, żeby sierżant na placu ćwiczeń mówił do żołnierzy: „Było naprawdę super, jestem po prostu zachwycony, że wszyscy maszerujecie mniej więcej w tę samą stronę, ale byłoby po prostu bosko, gdybyście odrobinę się wysilili i spróbowali iść w tempo”.

Ich pobłażliwość wynikała wyłącznie z faktu, że byłem gwiazdą. Statystów, którzy grali moją „publiczność”, traktowano jak nielegalnych imigrantów w ośrodku dla uchodźców. Drugi asystent reżysera okazałby im więcej szacunku, gdyby zagonił ich na scenę nahajem. Ponieważ rzekomo siedzieli w małym klubie kabaretowym, przed wszystkimi postawiono szklanki z piwem. Zdecydowano, że najprościej będzie użyć prawdziwego piwa z puszek, które statyści musieli od czasu do czasu popijać. Ze względu na ciągłość ujęć piwo za każdym razem uzupełniano do tego samego poziomu. Można by pomyśleć, że ktoś zauważy, iż plan ten jest obciążony pewną usterką. Wiem, że wszyscy ludzie pracujący w reklamie są na diecie, nie piją, nie palą i prowadzą się zupełnie inaczej niż zwykli ludzie, ale czy tak trudno jest wymyślić, że jeśli zmusisz ekipę kiepsko opłacanych statystów do ślęczenia przez cały dzień nad samouzupełniającymi się szklankami piwa, to po paru godzinach będą kompletnie ubzdryngoleni?

Tuż przed lunchem nareszcie wypowiedziałem swoją kwestię jak należy, idealnie

utrafiłem z czasem, we właściwym momencie stanąłem na zaznaczonym miejscu, a moje „i” miało wystarczający walor komiczny. I wtedy jeden ze statystów wydał z siebie potężne beknienie, które poszło z samych trzewi, poniosło się głośnym echem po całym studiu i zepsuło idealne ujęcie. „Ajaj, najmocniej przepraszam”, zachichotał, co wywołało zduszony śmiech innych. Pierś usiłował ich skarcić, ale osoba, na którą krzyczał, spadła ze stołka na plecy i leżała na podłodze, wijąc się ze śmiechu.

- Ile oni wypili? - spytał ze złością.

Dziewczyna odpowiedzialna za dolewanie piwa pokazała na dużą reklamówkę wypełnioną po brzegi puszkami po piwie.

- No to nie tak źle - stwierdził Pierś.

Dziewczyna pokazała mu dwa worki do kubłów na śmieci, też pękające od puszek po piwie.

MSUB

- To jest jakaś paranoja. Kto wpadł na pomysł, żeby dać im prawdziwe piwo?

- Pan.

- Ja? To nie trzeba było dawać im tak dużo.

- Kazano mi dolewać do tego samego poziomu dla zachowania ciągłości.

- Przy pierwszych ujęciach byli trzeźwi, a teraz są nawaleni, więc jaka tu jest ciągłość?

- Muszę iść do ubikacji - powiedział statysta wciąż leżący na podłodze.

Część statystów zaczęła śpiewać. Inni chyba zapomnieli, że są w pracy, bo wstawali i częstowali się charakterystycznymi złotymi puszkami.

- Special Brew! - ryknął Pierś. - Nie do wiary! Myślałem, że to wolno pić tylko menelom! Może im damy denaturat i rozpuszczalnik, skoro już zesliśmy do tego poziomu! - mruknął do wtóru piosenki *I'm Forever Blowing Bubbles* w niezbyt melodyjnym wykonaniu.

Statystów w końcu zagoniono na plan. Pierś nie mógł uwierzyć, że tak wyrozumiale traktuję ten cały bałagan.

- Strasznie pana przepraszam, Jimmy - powtarzał bez końca.

- Nic się nie stało, proszę się nie przejmować - odparłem ze wzruszeniem ramion, zadowolony, że już nie z mojego powodu mamy opóźnienia.

- Boże, jeszcze nigdy nie miałem takiego wyrozumiałego wykonawcy. Będziemy musieli parę rzeczy pozmieniać. Po lunchu zrobimy trochę zbliżeń i ujęć dłoni. Ręka Simona do charakterystycznych! - zawołał.

Simon poszedł razem z nią.

Spot został nagrany w ciągu dwóch dni, czyli zgodnie z planem, a emisja była

przewidziana pod koniec miesiąca. Po raz pierwszy zobaczyłem go w telewizji we wtorek o ósmej dwadzieścia wieczorem. To nie była żadna wielka sprawa, ale uznałem, że nie zaszkodzi, jak przełączę na ITV, żeby zobaczyć tę reklamę. Potem klienci Red Lion zażądali chóralnie:

- Super, Jimmy, a teraz czy moglibyśmy przerzucić z powrotem na mecz?

Jedna emisja wiele nie zmieniła, ale to jest tak, jak z muzycznym przebojem: kiedy słyszysz go po raz pierwszy w radio, prawie go nie rejestrujesz, ale po drugim słuchaniu refren wpada ci w ucho. Przy kolejnym słuchaniu przypominasz sobie niektóre słowa, zauważasz solówkę na saksofonie i odruchowo zacznasz nucić pod nosem. W końcu stwierdzasz, że masz piosenkę w głowie i znasz ją teraz co do jednej nuty. Pierwsza emisja reklamy niczym się nie różniła od innych moich występów telewizyjnych, ale skumulowany efekt jej powtórzeń spowodował duże zmiany. Komik Jimmy Conway powtarzał w telewizji te same puenty, aż w końcu cały naród znał je na pamięć. To nie była reklama bankowości SMS-owej, to była reklama Jimmy'ego Conwaya.

Obcy ludzie rozpoznawali mnie na ulicy i musieli się powstrzymać przed wybuchem śmiechu, przypomniawszy sobie, jaki jestem śmieszny. Choć na ekranie nie opowiadałem dowcipu - słyhać było tylko puentę i histeryczną reakcję widowni - funkcjonowało podświadome skojarzenie „ta twarz równa się zabawny facet”. Ludzie, z którymi od lat prawie nie rozmawiałem, widząc, jak idę ulicą, uśmiechali się od ucha do ucha i kiwali głowami, jakby chcieli powiedzieć: „Idzie ten dowcipniś, ciekawe, z czym teraz wyskoczy!” Kierowcy ciężarówek zauważali mnie z szoferek, wołali: „Nic dziwnego, że dr Spock ma takie spiczaste uszy!” i śmiali się, jadąc dalej. Przekonania, że moje życie naprawdę się zmieniło, nabrałem w dniu, kiedy przechodziłem koło placu budowy i robotnicy zaczęli za mną wołać z rusztowania: „Jak leci, Jimmy?” „Uważaj na siebie, Jimmy!” i „Jezu, te poduszki powietrzne!”

Ja cię!, pomyślałem. Nareszcie jestem naprawdę sławny! No chyba że molestuje mnie banda homoseksualnych budowlańców.

Nareszcie byłem kimś. Genialna puenta, ale bez dowcipu: to ja.

9

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Mówią, że sława czyni człowieka atrakcyjnym. Im bardziej jesteś sławny, tym bardziej kobiety uważają cię za atrakcyjnego. Zgodnie z tą logiką papież musi im się wydawać

powalający. Biedak, niewiele ma z tego pożytku. Raczej nie może wozić się papamobile po całym kraju, zabierać autostopowiczek i proponować, żeby zatrzymali się na chwilę na parkingu w lesie za Watykanem. Papież raczej nie uprawia pontyfikania, że pozwolę sobie na mały żart.

Większość gwiazdorów na pewno odczuwa wielką pokusę, żeby sypiać ze wszystkimi seksownymi panienkami, które rzucą im się na szyję. Byłoby jednak niemoralne, gdybyś w ten sposób wykorzystywał swoją sławę. Podejrzewam, że w obecnej fazie musisz codziennie opierać się tego rodzaju pokusie. Na przykład będziesz na imprezie i jakaś piękna blondwłosa modelka zaciągnie cię do luksusowo urządzonej sypialni, zamknie drzwi na klucz i zdejmie ubranie, żebyś mógł ją zobaczyć naga. Będziesz jej musiał po prostu wytłumaczyć, że owszem, pociąga Cię, zarówno fizycznie, jak i intelektualnie, ale byłoby niewłaściwe, gdybyś nawiązał z nią intymne stosunki.

Nawet jeśli będzie naprawdę seksowna, będzie miała długie włosy i jedwabny biustonosz zsuwający się z ramion i poprosi Cię, żebyś ją od niego uwolnił, bo będzie strasznie zdesperowana, żeby odbyć z Tobą pełny stosunek i nawet pozwoli Ci, żebyś jej pomacał piersi i w ogóle. Będziesz jej musiał stanowczo powiedzieć, przykro mi, ale nie jestem zainteresowany. Że nie masz najmniejszego zamiaru ścisnąć tych pełnych, okrągłych piersi ze sterczącymi sutkami, które pozwoliłaby Ci pieścić i ugniatać, ile byś tylko chciał, nawet jeśli usiądzie na Tobie i już będzie podskakiwała.

Na czym stanąłem? Jest teraz trochę później. Musiałem zrobić sobie krótką przerwę, bo coś mi przeszkodziło. Aha, zmierzam do tego, że prawdziwy gwiazdor nie powinien chodzić do łóżka z obcymi kobietami, których w ogóle nie zna. Ta cudowna modelka może okazać się dziennikarką z bulwarówki pracującą pod przykryciem. To znaczy, nie może być pod przykryciem, jeśli jest zupełnie naga.

Chociaż można dowodzić, że jest to swego rodzaju przebranie, bo po redakcji „Sun” nie chodziłaby nago, no chyba że byłaby panią ze strony 3, ale nie sądzę, żeby wiele z nich było jednocześnie dziennikarkami. Ale mniejsza z tym, zmierzam do tego, że na pewno dopiero po fakcie powiedziałyby Ci, że jest dziennikarką z gazety bulwarowej, i napisałyby o Tobie kompromitujące rzeczy. Że nie masz zbyt dużego doświadczenia łóżkowego, że Twój członek jest mały, że nie jesteś zbyt wydolny i takie tam głupie gadanie, które jest nie na temat, śmieszne i w ogóle nieprawdziwe.

Mam jednak dla Ciebie dobrą wiadomość: nie będziesz odczuwał nieustannej pokusy, żeby się przespać z tymi wszystkimi napalonymi na Ciebie fankami, bo znajdziesz spełnienie w związku ze swoją piękną i kochającą żoną. Nie posunę się do prognozy, że swoją żoną zostanie

Jennifer Barrett, bo w tej chwili ona mnie najwyraźniej nie zauważa. Choć zawarłem z Bogiem umowę, że jeśli trzy razy z rzędu trafię dwudziestkę na tarczy do rzutek w moim pokoju, ona mnie pocałuje, to jeszcze do mnie nie przyszła.

Ale jeśli nie ożenię się z Jennifer, to wezmę sobie za żonę kogoś jeszcze piękniejszego i Jennifer będzie żałowała, że nie skorzystała z okazji. Należało rozpoznać we mnie człowieka sukcesu, który zrobi wielką karierę. Dobra, lepiej zabiorę się za pracę wakacyjną z historii. Za tydzień zaczyna się szkoła.

Lata osiemdziesiąte to był straszny okres, ale nie z tych powodów, które przewijają się w filmach dokumentalnych. Ich autorom zupełnie poprzestawiały się akcenty. Godzinami rozprawiali o wojnie o Falklandy, strajku górników, bezrobociu, pazerności wielkich korporacji i tych wszystkich problemach politycznych, a tymczasem najpoważniejsza i najpilniejsza kwestia lat osiemdziesiątych brzmiała: „Kiedy stracę dziewictwo?”

Był to podstawowy temat epoki. Kiedy Jimmy Conway zrobi to z dziewczyną? Żaden polityk ani redaktor nie umiał udzielić zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Ale co to będzie za historyczne wydarzenie, kiedy wreszcie nastąpi! Pani Thatcher wyjdzie do zebranych pod drzwiami 10 Downing Street dziennikarzy i fotoreporterów, którzy zwietrzyli sensację. A potem Żelazna Dama podejdzie do mikrofonu i przedstawi ministra, któremu pozwoli wziąć na siebie to przyjemne zadanie, chociaż nie pozbawi się satysfakcji z bycia obecną przy tym niezwykłym oświadczeniu.

- Oddaję głos ministrowi skutecznych rozdzielców i rozprawców. Pan minister ma dla was wiadomość, której, jak sądzę, z niecierpliwością oczekiwaliście.

Minister skutecznych rozdzielców i rozprawców zbliży się przy błysku fleszów, usiłując przybrać oficjalną minę, ale nie kryjąc przy tym satysfakcji.

- W dniu dzisiejszym około godziny dwudziestej trzeciej otrzymaliśmy następujący komunikat: „Proszę poinformować Jej Wysokość, że Jimmy Conway właśnie zrobił to z Jennifer Barrett w łóżku swoich rodziców, którzy wyjechali na weekend do babci. Niniejszym podaje się do wiadomości publicznej, że z dniem piętnastym sierpnia 1983 roku Jimmy Conway nie jest już prawiczką. Boże, chroń królową!”

Dla tych dziennikarskich hien będzie to sygnał, żeby zasypać ministra pytaniami.

- Panie ministrze! Panie ministrze! Czy planują to powtórzyć?

- Czy koledzy szkolni Jimmy’ego wiedzą, że to zrobił?

Tu jednak wkroczy pani premier:

- Po prostu cieszc się z tej wspaniałej wiadomości i złożcie gratulacje Jimmy’emu Conwayowi i Jennifer.

Potem oboje znikną za drzwiami 10 Downing Street, a wszystkie cztery kanały telewizyjne na chwilę przerwą program, żeby pokazać to historyczne oświadczenie.

Dekada powoli zbliżała się jednak do końca, a szanse na to, że telewidzowie zobaczą taką naprędce zwołaną konferencję prasową, nie wzrastały. To nie musiała być Jennifer Barrett. W gruncie rzeczy przespałbym się z każdą osobą płci żeńskiej. Z panią Slough, moją nauczycielką od matematyki, z Kim Wilde, z Nancy Reagan, z matką Teresą, z ciocią Jean. Nie miałem poczucia, że mogę sobie pozwolić na wybredność. Uważałem to za wielką niesprawiedliwość, że na planecie Ziemia jest około dwóch miliardów kobiet, a ja do tej pory nawet nie dotknąłem piersi choćby jednej z nich. Na świecie jest, z grubsza biorąc, cztery miliony piersi. To niemożliwe, aby wszystkie pozostawały poza moim zasięgiem.

Chociaż po kilku stuleciach od napisania powyższego listu w końcu straciłem dziewictwo, spodziewana złota epoka bezustannej aktywności seksualnej jakoś nie chciała nadejść. Ale kiedy stałem się sławny, nagle wszystkie kobiety chciały ze mną flirtować. Dostałem nawet list od Jennifer Barrett - obecnie matki trojga dzieci - która bardzo ucieszyła się z mojego sukcesu i wyznała, że zawsze miała do mnie skłonność, kiedy chodziliśmy razem do szkoły, ale nigdy nie starczyło jej odwagi, żeby mi to wyznać. Do jasnej cholery!, pomyślałem. Teraz mi o tym mówi?

Wszystko się zmieniło. Ni stąd, ni zowąd byłem teraz dla płci przeciwnej interesującym i atrakcyjnym mężczyzną, bo kobiety znały mnie z telewizji. Ależ ten świat jest powierzchniowy! Jakie to wszystko sztuczne i upokarzające! Znaczy, który mężczyzna chciałby gdzieś wejść i znaleźć się pośród atrakcyjnych kobiet, które by z nim flirtowały tylko dlatego, że występuje w telewizji? Odpowiedź: ja.

Tak poznałem Tanyę. Fakt przebywania w jednym pokoju z Jimmym Conwayem tak ją zaskoczył, że bez przerwy gadała, czerwieniła się i tłumaczyła, że jeszcze nigdy nie spotkała kogoś tak sławnego. Uważała, że moje reklamy są „genialne”, a ja sam jestem strasznie zabawny i genialny, i słyszała mnie w radio („genialne”), i widziała, jak odczytuję nominacje do nagrody dla najlepszego serialu telewizyjnego i to było genialne, a potem powiedziała, że dałaby wszystko za to, żeby zostać gwiazdą. Poszła na przesłuchania do *Pop Idola*, ale jury okazało się uprzedzone do osób, które nie umieją śpiewać. Kolejnym krokiem miało być zgłoszenie się do *Randki w ciemno*, bo pomyślała sobie, że jak ją tam zobaczą, to ją zatrudnią jako prezenterkę pogody, prowadzącą *Crimewatch UK* czy coś w tym rodzaju.

- Jak to naprawdę jest, być sławnym? - spytała tęsknie.

Jej pytanie sprawiło, że sytuacja się wykrystalizowała: nareszcie osiągnąłem cel, do którego od tak dawna zmierzałem. Ludzie wszędzie mnie rozpoznawali; kelnerzy

błyskawicznie mnie obsługiwali; ochroniarze nigdy nie prosili mnie o okazanie dokumentów, tylko zrywali się i otwierali mi drzwi. W „Sun” ukazało się zdjęcie piersiastej gwiazdki ekranu, którą przedstawiono księciu Andrzejowi i ten na moment utkwiał spojrzenie w jej dekolcie. Nagłówek brzmiał: „Jezu, te poduszki powietrzne!” Gdziekolwiek poszedłem, ludzie mnie prosili, żebym wypowiedział te cztery słowa, po czym konali ze śmiechu.

- To jest pasjonujące - powiedziałem do Tanyi. - Wiesz, jednocześnie ciekawe, przerażające i podniecające.

- Hm. Powiedz: „Jezu, te poduszki powietrzne!”

- E, wolałbym nie.

- Oj, proszę cię. Hej, Janet! Chodź i posłuchaj, zaraz to powie!

W całym pokoju zapadła wyczekująca cisza.

- Jezu, te poduszki powietrzne! - powiedziałem i wszyscy wybuchli śmiechem.

Było jedno uczucie, o którym nie wspomniałem w rozmowie z Tanya: status gwiazdy nie dawał mi spełnienia. Rzecz jasna, podniosła mi się jakość życia, ponieważ zniknęły codzienne przeszkody, łatwiej było o pieniądze i ludzie traktowali mnie z szacunkiem, ale w środku miałem jakąś nieokreśloną pustkę. Swojską scenografię porannego programu telewizyjnego, w którym wystąpiłem, tworzyły między innymi ogromne schody prowadzące do bogato zdobionych drzwi. Oglądając ten program w domu, zawsze się zastanawiałem, co jest za tymi drzwiami, ale kiedy zaproszono mnie do udziału w nim, miałem okazję wejść na te archetypowe show-biznesowe schody i zajrzeć za drzwi. I co? I nic. Schodziło się tamtędy z powrotem do studia.

Tak samo jak ja wcześniej, Tanya sądziła jednak, że sława rozwiązuje wszystkie problemy. Chciała wiedzieć, jak mogłaby się wkręcić do przemysłu rozrywkowego i jakie są w „prawdziwym życiu” różne inne gwiazdy, a ja starałem się odpowiadać najlepiej jak umiałem, jakby należało to teraz do moich obowiązków. Rozmawiałem z nią nie wiem jak długo. Robiłem to zupełnie bezinteresownie. Odpowiadałem na jej pytania na imprezie, na której ją poznałem, a potem w taksówce, która nas wiozła do jej mieszkania.

Joseph Kennedy powiedział, że seks jest jak swędzące miejsce, w które trzeba się podrapać. Ponieważ od ostatniego drapania upłynęło wiele miesięcy, wszędzie mnie swędziało. Całe nogi i ręce pokryły się niewidzialną wysypką. Miałem wymagowaną ospę i wirtualną egzemę. Kiedy poprzedni raz obudziłem się obok kobiety, musiałem przeprosić ją za to, że przez cały lot śliniłem się i chrapałem.

Kiedy zapłaciłem taksówkarzowi, a Tanya przeprosiła za mało atrakcyjną lokalizację swojego mieszkania, wyczułem, że zawarliśmy niewypowiedzianą umowę, w której

uzgodniliśmy, że pójdziemy razem do łóżka. „Ja, Tanya Callaghan, niniejszym zobowiązuję się oddawać dzisiejszego wieczoru czynnościom seksualnym, aż do penetracji włącznie, z Jimmym Conwayem, pod warunkiem że będę mogła opowiedzieć wszystkim koleżankom, że przespałam się z tym komikiem z telewizji, no wiecie, z tym, co mówi Jezu, te poduszki powietrzne! Dodatkowo zobowiązuję się, że nie będę obłąkaną dręczycielką, nie włamię się do jego domu i nie dźgnę go nożem za to, że nie odpowie mi z ekranu telewizora”.

Tanya była niezaprzeczalnie atrakcyjna - niska i szczupła, z opalonym brzuchem, który było widać, ponieważ jej podkoszulek najwyraźniej zbiegł się w praniu. Nalała mi kieliszek wina i usiedliśmy razem na sofie. Zanim zdążyłem wypić choćby jeden łyk, pochyliła się i zaczęła mnie całować, jakbym wymagał sztucznego oddychania metodą usta-usta. Oczy miała zamknięte, podczas gdy moje lustrowały nieznajome mieszkanie. Na telewizorze stały zdjęcia Tanyi z rodziną. Na jednym z nich widniała z siostrą obok Goofy’ego w paryskim Disneylandzie, ale na fotografii nie było dzieci. Każdy z nas ma za sobą intymne kontakty, których żałuje, ale czy mogłem iść do łóżka z kobietą, która jeździ do Disneylandu bez dzieci? Na półkach szafki bibliotecznej zobaczyłem kilka kaset wideo, zielistkę i kolekcję pluszowych zabawek, z których rozpoznałem tylko Snoopy’ego i Garfielda.

Szarpnąłem się nieznacznie, kiedy zaczęła obmacywać mnie w kroku. Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z tak bezpośrednią kobietą i chociaż drapieżna męska strona mojego charakteru podnieciła się wysokim prawdopodobieństwem tego, że za chwilę dojdzie do zbliżenia, inna strona nie umiała oprzeć się uczuciu, że cała ta sytuacja jest niezgodna z zasadami dobrego wychowania. Przed wybuchem regularnej wojny z reguły najpierw są jakieś napięcia dyplomatyczne, parę incydentów granicznych, narasta wzajemna wrogość, aż w końcu powołuje się wojska pod broń i wybuchają pierwsze pociski. Ten przypadek podpadał pod kategorię Pearl Harbor. „Hm, ona teraz ścisła tę bulę z przodu moich spodni, co to może znaczyć? To musi być jakiś subtelny, zakodowany sygnał, ale można go interpretować na różne sposoby, prawda?”

- Masz prezerwatywę? - spytała Tanya, dając chwilę odpocząć moim zmęczonym ustom.

Znowu to samo. Kolejna zaszyfrowana wskazówka, która ma mi pomóc w rozwiązaniu zagadki, jak daleko ta dziewczyna gotowa jest się posunąć (a raczej dać się posunąć) na pierwszej randce. Ach, gdyby kobiety były trochę mniej eufemistyczne i nie zmuszały nas do uprawiania tych skomplikowanych kontredansów, do tego wykańczającego domysłania się: „ma ochotę czy nie?”

- Yy, prezerwatywę? Nie, nie, nie mam.

- Nie szkodzi. Ja mam kilka koło łóżka - odparła i znowu wcisnęła mi język do ust.

Koło łóżka? Teraz mówi o łóżku. Ciekawe, czy leży na nim tyle samo pluszowych zabawek co na regale.

Nie skłamałem, kiedy powiedziałem, że nie mam przy sobie prezerwatyw. Primo, nie poszedłem na tę imprezę z zamiarem nonszalanckiego poderwania dziewczyny na fakt, że byłem osobą publiczną. Secundo, nie mogłem już kupować prezerwatyw, ponieważ byłem osobą publiczną. Co robi książę Karol, kiedy potrzebne mu są środki antykoncepcyjne? Raczej nie może iść do drogerii i liczyć na to, że je przeszmugluje pod grzebieniem i pastą do zębów.

Sądzę, że w tej fazie oczekiwano ode mnie, bym manipulował przy zapięciu biustonosza Tanyi, miętosił jej piersi przez turkusowy podkoszulek albo coś w tym rodzaju, ponieważ nagle odessała się ode mnie.

- Co jest? - spytała.

- Nic, o co ci chodzi? - odparłem trochę za bardzo defensywnym tonem.

- Wydajesz się trochę... no wiesz, jakbyś nie był całkiem wyluzowany.

Miała oczywiście rację, ale zdeprimował mnie fakt, że jest to aż takie widoczne. Byłem w rozterce: ciągnąć to dalej czy nie. Chociaż rozterka to chyba złe słowo: mój mózg był zdecydowanie przeciwny, ale inny narząd lobbował za kontynuacją działań. Tanya chciała się ze mną przespać tylko dlatego, że uważała mnie za sławnego człowieka. Ja jednak wiedziałem, że jestem oszukanym towarem, że ją zbałamuciłem, tak jakbym wsypał jej coś do wina albo fałszywie obiecał tancerce rewijowej główną rolę w musicalu.

- Tanya, przepraszam cię, ale uważam, że nie powinienem iść z tobą do łóżka.

- Co? - odparła oburzona.

- Przepraszam, po prostu nie czuję się z tym dobrze, to się dzieje za szybko.

- Bo jestem nikim, tak? O to chodzi, prawda?

- Nie, chodzi o to, że ja jestem nikim. Nie powinienem tak postępować. Jestem tutaj pod fałszywymi pozorami. - Wstałem. - Posłuchaj, dopiero się poznaliśmy. Może ty to inaczej odbierasz, bo natychmiast rozpoznałaś moją twarz i miałaś wrażenie, że mnie znasz. Ale ja po raz pierwszy cię zobaczyłem parę godzin temu i nic o tobie nie wiem.

- A, czyli jednak dlatego, że nie jestem sławna - powiedziała smętnie.

Idąc w deszczu do domu i bez większego powodzenia machając taksówkom, które miały wyłączone światła, zadawałem sobie pytanie, co na moim miejscu zrobiłby prawdziwy gwiazdor. Przede wszystkim w ogóle by nie pojechał do jej mieszkania. Doświadczona sława telewizyjna nie zaryzykowałaby nocowania u zupełnie obcej kobiety. Tylko pomyślcie! W środku nocy wychodzi na palcach z toalety w kusym damskim szlafroku i wpada na zaskoczoną

współlokatorkę.

- Ja cię kręcę! Facet z *Antiques Roadshow*. Co pan tu robi?

- A, próbowałem tylko spuścić do kanału zużyta prezerwatywę, ale ciągle wypływa.

- Aha. Wie pan co, babcia zostawiła mi te stare porcelanowe figurki, tak się zastanawiałam, ile mogą być warte...

W końcu udało mi się zatrzymać taksówkę i wsiadłem do tyłu, wciąż zadając sobie pytanie, czy słusznie postąpiłem. Może prawdziwy gwiazdor przespałby się z fanką i na drugi dzień zapomniał o niej. Może brakuje mi tej bezwzględnej, egoistycznej przebojowości, instynktu zabójcy, bez którego nie sposób dotrzeć na sam szczyt. Może powinienem starać się naśladować obyczaje seksualne dzisiejszych gwiazd estrady. Problem w tym, że nie miałem ochoty naćpać się kokainy i pozwolić się związać transseksualnym prostytutkom. Próbowałem spojrzeć na ten wieczór od pozytywnej strony. Tanya uważa, że jestem „genialny” i chciała się ze mną przespać, bo jestem sławny. Na imprezie ludzie tręcali się łokciami i pokazywali na mnie. Wszyscy chcieli ze mną porozmawiać. Osiągnąłem wszystko, o czym w życiu marzyłem. Byłem gwiazdą, imponowałem zwykłym śmiertelnikom i wszędzie mnie rozpoznawano. Kiedy te zadufane myśli krążyły mi po głowie, taksówkarz opuścił szklaną przegrodę, która nas od siebie oddzielała.

- Pan się nie obrazi, ale pan jest ten gość z telewizji, prawda?

- Tak, to ja.

- Pewnie ma pan już dosyć tego, że wszyscy pana rozpoznają, prawda?

- E, w sumie mi to nie przeszkadza. W mojej robocie człowiek zaczyna się martwić, jak ludzie przestają go rozpoznawać! - zażartowałem.

- Racja, dobrze pan powiedział! - zarechotał. - Niech mi pan powie, jak to jest, że ta pieprzona prognoza zawsze jest zła?

- Słucham? - spytałem trochę zdeprimowany.

- No bo płacą panu kupę forsy, żeby pan powiedział, czy będzie deszcz czy słońce i za cholere nigdy się nie zgadza.

Teraz, kiedy już to powiedział, uświadomiłem sobie, że faktycznie trochę przypominam tego synoptyka, mimo że nie chodzę w beżowym poliestrze. Dopiero co doszliśmy z taksówkarzem do wspólnego wniosku, że to dla mnie bardzo ważne, aby ludzie mnie rozpoznawali, więc nie miałem szczególnej ochoty wyprowadzać go z błędu.

- Znaczy, jak pan powie, że będzie słonecznie, to nie wychodzę z domu bez płaszcza przeciwdeszczowego, rozumie pan? - podjął.

Trochę mnie zirytował.

- Tak. Zdradzę panu, że specjalnie podajemy złe prognozy - powiedziałem mu konspiracyjnym tonem. - Rząd nas do tego zmusza.

- Naprawdę?

- No. Jeśli powiemy, że będzie lało jak z cebra, to wszyscy ludzie, którzy pracują pod gołym niebem, pójdą na chorobowe, a wszyscy zagraniczni turyści zrezygnują z przyjazdu na wakacje, więc mamy ściśle instrukcje od rzeczników prasowych z Downing Street, żeby zapowiadać dużo lepszą pogodę od rzeczywiście przewidywanej.

- Wie pan, to mnie wcale nie zaskakuje - odparł. - Ani trochę.

Pokręcił głową nad faktem, że propaganda sukcesu w dzisiejszych czasach obejmuje nawet pogodę.

- Ale zachowa pan to dla siebie, dobrze? - poprosiłem go, gdy stanęliśmy pod moim domem.

- Się rozumie - skłamał.

Zapłaciłem mu za odwiezienie i rozpoznanie mnie, nawet jeżeli trochę mnie uraziło, że wziął mnie za kogo innego. Nie można przecież winić przeciętnego obywatela za takie faux pas. Nie byłem człowiekiem próżnym, małodusznym ani skąpym. Po prostu nie miałem drobnych na napiwek. A z tego synoptyka jest dupek i kretyn.

Ku mojemu przygnębieniu tego rodzaju *qui pro quo* zdarzały się częściej, niż bym sądził. Mylono mnie także z gospodarzem teleturnieju, prezydentem z telezakupów, a raz zostałem wzięty za mężczyznę poszukiwanego w związku z serią napadów z bronią w ręku popełnionych w East Midlands. Jedyną grupą społeczną, która nigdy nie myliła mnie z innymi gwiazdami, były same gwiazdy. Ludzie, którzy traktowali mnie jak powietrze na pogrzebie Billy'ego Scrivensa, teraz zapraszali mnie na promocje swoich książek i bankiety po programach, przytulając mnie do swego łona niby odnalezionego po latach przyjaciela.

Nic tak nie motywuje gwiazdy jak strach przed tym, że jego sława zblaknie. Sądzę, że VIP-y, których nigdy wcześniej nie poznałem osobiście, zapraszały mnie na swoje imprezy, żeby podtrzymać własną sławę metodą pokazywania się z nowymi nabytkami salonów. Instynkt mi mówił, że nie czują się bardziej pewni swojej pozycji niż ja. Podejrzewam, że sława jest tak cenna ze względu na swoją nieuchwytność. Jeśli kupisz sobie nowy samochód, to stoi i błyszczy, jego realności nie sposób zanegować. Możesz nim porajdować, zaparkować go na ulicy i kilkanaście razy spojrzeć na niego przez ramię, kiedy idziesz do domu czy do pracy. Tymczasem sława jest jak podmuch powietrza, jak niewidzialne i niematerialne halo: nigdy nie ma pewności, czy zostanie wokół twojej głowy, czy też przefrunie na kogoś innego. Stąd sławni ludzie, których spotykałem, nieustannie rozdmuchiwali swoją sławę. Nawet jeśli byli

laureatami Oscara albo wielkimi gwiazdami filmowymi, nie wystarczało i to, nie mieli poczucia sukcesu, widzieli drzewa, ale nie widzieli Hollywood. Czy moje dokuczliwe poczucie niespełnienia ustąpi, jeśli stanę się trochę bardziej sławny? Czy problem jest taki, że wziąłem za małą dawkę tego narkotyku? A może moja niepewność brała się z faktu, że moja sława od początku była mirażem? Za każdym razem, kiedy miałem nadzieję, że uda mi się osiągnąć status autentycznej gwiazdy, stwierdzałem, że znowu muszę kłamać. Mój kostium sceniczny trzymał się na dziesiątkach ukrytych agrafek. Gdyby „Hello!” zechciało napisać o mnie artykuł, nie mógłbym im pokazać swojego domu w Seaford.

Dla komika Jimmy’ego Conwaya dom oznacza dwupokojowe mieszkanie w zabudowie szeregowej. „Cudownie jest mieszkać w nadmorskim kurorcie. Najpiękniejsze jest to, że mogę wyglądać rano przez okno na bezkresną połąć parkingu samochodowego przy supermarkecie Safeway”, mówi Jimmy, z dumą pokazując nam widok przez nie pierwszej, ani nawet nie drugiej czystości firanki. Każde pomieszczenie roi się od pamiątek. Duża brązowa plama przypomina Jimmy’emu o tym, jak nagle zadzwonił telefon, kiedy on napuszczał wodę do wanny.

Duże, nowoczesne kaloryfery przypominają mu o czasach, kiedy jeszcze działało centralne ogrzewanie. Tapeta z motywem wiórów drzewnych, która łagodnie faluje na ścianach łazienki, została osobiście wybrana przez Jimmy’ego ze słynnego oszczędnościowego asortymentu w składzie budowlanym Do-It-All. Spracowany dywan w salonie jest w brązowe cętki, a w skład nieregularnego wzoru wchodzi odcienie, które Jimmy określa jako „bordoskie” i „bretońskie”. Cały dom został urządzony pod kątem odzwierciedlenia odrzutowego trybu życia Jimmy’ego. Oprócz porzucanych w artystycznym nieładzie poduszek są porzucane w artystycznym nieładzie gazety, spodnie i pudełka po pizzy na wynos.

Domy, które widuje się na łamach „Hello!” i „OK!”, mało się od siebie różnią. W każdym z nich jest stół, na którym nie wolno nic położyć, i poduszki, na których nikt nie odważyłby się usiąść. Myślę, że tylko pod takim warunkiem redakcje przysyłają fotografów.

- A, dzień dobry. Wie pan co, musimy sprawdzić parę rzeczy. Oczywiście ma pan grube, ciężkie zasłony w kolorze żółtym?

- Ma się rozumieć.

- Wyśmienicie. Pan daruje to pytanie, ale w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele.

Trudno byłoby znaleźć bardziej nefotogeniczny dom od mojego, ale kiedy redakcja „OK!” w końcu się ze mną skontaktowała i spytała, czy interesuje mnie fotoreportaż o moim domu, nie umiałem się oprzeć.

- Tak, byłbym zachwycony! - odparłem.

Nie mogłem się powstrzymać, tak mi to pochlebiło. Był to kolejny szczebel w show-biznesowej karierze, kolejny medal w wojnie z anonimowością. Wiedziałem, że nie mam nadającego się do pokazania domu, ale jakiś głos w mojej głowie powiedział: „Coś wymyślisz, jak znajdziesz się pod ścianą”. A potem inny głos, spanikowany, wrzasnął: „Nie ma żadnej ściany, ty idioto! Nie ma żadnej ściany, tylko przepaść! Powinieneś raczej powiedzieć: »Jak znajdziesz się nad przepaścią, to skoczysz i będziesz miał szybką śmierć«,,.

Jedynym rozwiązaniem było użyć cudzego domu. Skoro policja sławy chce mnie przesłuchać, nie pozostaje mi nic innego, jak podać fałszywy adres. Dysponowałem idealnym lokalem: koreańscy sąsiedzi rodziców często wyjeżdżali z kraju i zostawiali im klucze. Byłem tam kiedyś z mamą, kiedy poszła podlać kwiaty. Zawsze mówiła, że dom nadawałby się do czasopisma „Ideal Home”. Rzeczywiście wyglądało to jak mieszkanie gwiazdy. Drogie ozdoby były starannie zaaranżowane w podświetlonych niszach, a wokół jacuzzi stały pełne butelki balsamów i olejków kąpielowych. Ci ludzie mieli półki, na których stał tylko jeden przedmiot! Do tej małej figurynki nigdy nie dołączyły przeczytane powieści w miękkiej oprawie, sterty kaset wideo czy kilka popękanych pustych pudełek na kompaktki.

Czemuż nie miałbym przedstawić tego społeczeństwu jako mojej londyńskiej chaty? Było mniej niż nieprawdopodobne, że koreańskie małżeństwo kupuje „OK!” Operacja byłaby zupełnie nieskomplikowana. Umówiłbym się z fotografem na konkretną porę, czekałbym tam na niego, wpuściłbym go do środka, żeby pstryknął kilka zdjęć i po pół godzinie już by go nie było. No dobra, po fakcie pewnie trzeba byłoby się przyznać rodzicom i przekonać ich, że muszą zachować ten mały sekret dla siebie, ale reszta opinii publicznej nie powinna mieć problemów z uwierzeniem, że Jeden z najciekawszych nowych komików brytyjskich” („Daily Telegraph”), „wschodząca gwiazda humoru scenicznego” („Time Out”) posiada luksusowe mieszkanie w zachodnim Londynie.

Ustaliłem termin i pewnego spokojnego środowego ranka wszedłem do środka i wstukałem kod, żeby wyłączyć alarm. Kiedy towarzyszyłem mamie w podlewaniu kwiatków, nie widziałem w tym nic problematycznego, ale teraz czułem się jak intruz, złodziej prestiżu, który włamał się do mieszkania, żeby podkraść temu małżeństwu trochę wystawnego stylu życia.

Włożyłem do lodówki karton mleka, żebym mógł bez skrupowania poczęstować gościa herbatą, a następnie rozłożyłem na stoliku do kawy dwa aktualne dzienniki wraz z zaczytanym egzemplarzem książki zatytułowanej *Marchewka. O tym, jak jedna roślina zielna wpłynęła na dzieje świata*.

Usiadłem wygodnie na sofie. „Tak, pierwotnie to były trzy pokoje, ale mój architekt wykonał wspaniałą robotę”. Przełożyłem prawą nogę na lewą i w zamyśleniu wsparłem podbródek na dłoni. „Tak, oczywiście w tym budynku pierwotnie mieściła się fabryka zegarów - jaka szkoda, że w stolicy nie ma już prawdziwego przemysłu...”, a potem zadzwonił domofon i zerwałem się jak oparzony. „Witam, proszę na górę!”, powiedziałem do skrzynki i wcisnąłem guzik otwierający drzwi na klatkę schodową. Po raz ostatni spojrzałem do lustra, aby się upewnić, czy jestem całkowicie zadowolony z tego, co mam na sobie., Skompletowanie stroju, który miał zrobić na ludziach z „OK!” wrażenie, że mało dbam o wygląd zewnętrzny, zajęło mi całe wieki.

Gdybym się nad tym choć chwilę zastanowił, to pewnie bym wymyślił, że zawodowy fotograf nie pojawi się zaopatrzony w niewielki aparat i na tym koniec. To było jak desant w Normandii. On i jego młody asystent wnosili metalowe skrzynki, stojaki, statywy, wielki biały parasol, kable elektryczne, srebrny reflektor i kolejne metalowe skrzynki. Zmartwiłem się, że zanim to wszystko rozpakują, upłynie cały miesiąc i właściciele wrócą z Nowego Jorku akurat na czas, żeby zobaczyć, jak siedzę na skraju ich podwójnego łóżka, a zwalisty kosmaty fotograf pochyla się nade mną.

Przedstawił się z imienia (Carl), a jego asystent nie zadał sobie nawet tego wysiłku. Natychmiast odniosłem wrażenie, że Carl chce sprawdzić, czy to rzeczywiście jest moje mieszkanie.

- Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z ubikacji? O nie, nie złapie mnie na czymś tak banalnym!

- W głębi korytarza, drugie drzwi po lewej! - wyjaśniłem mu pewnym siebie tonem.

- Znalazłem! - zawołał.

- No - powiedziałem z dumą do asystenta. - Tam jest kibel.

- Dawno pan tu mieszka? - dociękał Carl po powrocie z ubikacji.

- Nie, nie, a właściwie tak. Znaczy, to jest tylko moja londyńska chata, wie pan. Mam też metę w Sussex.

Asystent i Carl pomyśleli chyba o czymś zabawnym, czym nie zamierzali się ze mną podzielić, bo obaj usiłowali powstrzymać się od śmiechu.

- Ładne obrazy! - powiedział Carl.

- Dziękuję.

Asystentowi wypsnęło się ciche parsknięcie śmiechu. Spojrzałem na obrazy i zobaczyłem, że wcale nie są ładne, tylko mocno kiczowate.

- A, tak naprawdę to one nie są moje. Znajomy oddał mi na przechowanie. Nie w moim

stylu.

- W porządku - odparł Carl ze złośliwym uśmiechem. - Niech mi pan powie, czy ta mała fontanna z aniołami nie działa panu na nerwy, że tak bulgocze przez cały dzień w holu.

Asystent zagryzał wargę, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Zerknąłem na fontannę. Coś straszego. Mieszkanie było dopieszczane, duże i drogo urządzone, ale kiedy spojrzałem na nie oczami moich gości, zdałem sobie sprawę, że roi się w nim od najbardziej nieestetycznych sprzętów i bibelotów, jakie można sobie wyobrazić. Kiedy byłem w kuchni i robiłem im herbatę, słyszałem, jak o tym dyskutują i śmieją się z mojego fatalnego gustu. Nagle przyszło olśnienie: właśnie miałem wystawić się na pośmiewisko wobec całego narodu.

- Patrz na te zasłony - ohyda!

- Ciiii... nie tak głośno.

- Przepraszam.

- Nie ty. Mówiłem do zasłon.

Znowu pokładali się ze śmiechu moim kosztem.

Po przyniesieniu herbaty usiłowałem ich przekonać, że niedawno zatrudniłem kogoś do urządzenia mieszkania, ale nie jestem zadowolony z rezultatu i zamierzam jeszcze raz wszystko zmienić.

- Byle by pan nie wyrzucał sofy w zebkę - powiedział asystent.

Carl zachichotał, a ja pocieszyłem się myślą, że przynajmniej niczego nie podejrzewają. W tym momencie zadzwonił telefon.

Carl spojrzał na mnie wyczekująco, a ja uśmiechnąłem się do niego życzliwie.

- Nie odbierze pan? - spytał.

- E, nie. - Wzruszyłem ramionami. - Wasz czas jest cenny.

- Nie ma problemu. To chwilę potrwa, zanim wszystko rozstawimy, więc niech się pan nami nie przejmuje.

Telefon nadal dzwonił natarczywie.

- No, hm, myślę sobie, że tak czy owak pozwolę mu się wydzwonić... Jeśli to coś pilnego, to na pewno tyrkną jeszcze raz.

Włączyła się sekretarka. Zamarłem z przerażenia, że instrukcje dla dzwoniącego zdemaskują moje oszustwo, jeszcze zanim się na dobre zaczęło, ale na szczęście wiadomość wychodząca nie została puszczone na głośnik i uszedłem z życiem. A potem wszyscy wysłuchaliśmy wiadomości przychodzącej. Carl uniósł brwi, zaskoczony nie tyle treścią nagrania, ile faktem, że telefonująca kobieta mówi po koreańsku.

- Annyong hashimmikga - powiedziała. - Kanapsummida. Olma immigga Halggi

han-guk aradmddupta?

Gadała i gadała, jak zaś kwitowałem jej słowa zamyślonym kiwaniem głową.

- Ciekawe... ciekawe... - mruczałem do siebie.

Carl zrobił taką minę, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale uniosłem dłoń na znak, żeby nie wybijał mnie z koncentracji.

- Annyong-i kyeseyo!

Monolog nareszcie dobiegł końca. Pokręciłem głową zirytowany tym, co zostało powiedziane.

- Co to był za język? Japoński?

- Koreański.

- Kurka, pan mówi po koreańsku?

- No, wie pan... *un petit peu*. Daję sobie radę. Chcą mnie zaprosić na koncert do Sajgonu.

- W Wietnamie?

- Nie do Sajgonu, przepraszam, jak się nazywa to miasto? Seul. Zawsze mi się mylą, bo tu i tam była wojna, prawda? Znaczący, w Korei i Wietnamie. Aha, tylko że ono już się nie nazywa Seul, prawda? Zaraz, co ja gadam. Seul dalej nazywa się Seul, tylko Sajgon nazywa się jakoś inaczej, prawda?

Moje nerwowe pobredzanie mogło wzbudzić podejrzenia, że mam coś na sumieniu, więc poczułem się zmuszony rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Lepiej załatwię to od razu - zakomunikowałem. Podniosłem słuchawkę, wykręciłem numer i skarciłem zegarynkę zaimprovizowaną wersją dalekowschodniego bełkotu.

- Ning-dai sorne waidonga noy niee dawii blioni dwing noee singa hyundai daewoo noi Daewoo - powiedziałem i trzasnąłem słuchawką.

- Miałem kiedyś daewoo, ale teraz jeżdżę hondą - skomentował asystent po chwili milczenia.

Fotoreportaż był bardzo pochlebny. Wystrój wciąż budził grozę, więc doskonale się wpasowałem pomiędzy pierwszoligowego piłkarza i emerytowanego parodystę telewizyjnego. Godzinę później zjawiał się dziennikarz z „OK!”, żeby porozmawiać ze mną o moim pracowitym życiu. Jak wszyscy żurnaliści, których w życiu spotkałem, poprzekręcał wszystko, co powiedziałem, a resztę po prostu zmyślił. Tyle że tym razem owe wierutne kłamstwa służyły temu, żeby przedstawić mnie jako człowieka sympatyczniejszego niż w rzeczywistości. Przeinaczyli moje słowa na moją korzyść. Można powiedzieć, że zamiast wrzucić granat w szambo, spryskali je perfumami. Ktoś powinien na nich donieść do Rady Etyki Mediów.

Kiedy moja matka zobaczyła artykuł, spytała mnie, czy bez jej wiedzy kupiłem mieszkanie od Koreańczyków. Niepotrzebnie ściszym tonem wyjaśniłem jej, że założyłem się, czy będę miał odwagę pozować do zdjęcia w cudzym domu, przedstawiając go jako swój, a pieniądze miały pójść na zbożny cel, ale jeśli ten sekret wyjdzie na jaw, okaleczone morskie ptaki nie otrzymają tej pomocy. Mama była zachwycona i obiecała, że nie piśnie o tym nikomu. Potem zaczęła dociekać, o którą fundację chodzi oraz ile pieniędzy zdobyłem. Skończyło się na tym, że musiałem na miejscu wypisać czek i dać jej do wysłania.

Trudno było ocenić, czy fotoreportaż w „OK!” nobilitował mnie w oczach mojego środowiska, ale rozmaite zaproszenia i prośby o publiczne wystąpienia napływały coraz szerszą strugą. Żadnego nie odrzucałem. Coś mi mówiło, że wakacje na planecie Fama mogą nie potrwać długo, więc chciałem maksymalnie wykorzystać pobyt na niej. To oznaczało, że prawie się nie widywałem ze znajomymi z Seaford. Nie była to z mojej strony świadoma strategia. Po prostu zawsze miałem jakąś ciekawą imprezę, której nie chciałem przegapić. Wiedziałem, jak wyglądają urodziny Dave’a w pubie Red Lion, byłem już na wielu, i trudno mi było zrezygnować z darmowego biletu na premierę nowego musicalu opartego na *Czasie Apokalipsy*. Mieli prawdziwy helikopter na scenie i autentyczne wietnamskie potrawy na bankiecie po spektaklu.

Dotrwałem do końca *Napalmu!*, po czym rozmawiałem niezobowiązująco z innymi gwiazdami, które, tak samo jak ja, skorzystały z zaproszeń kosztem części osób biorących udział w produkcji musicalu. Jeszcze niedawno na tego rodzaju imprezach stałem z boku i miałem nadzieję, że ktoś do mnie podejdzie i przedstawi się. Teraz zamknięte kręgi ludzi otwierały się w magiczny sposób i inne sławne twarze pozdrawiały mnie, jakbyśmy byli europejskimi podróżnikami, którzy spotykają się w sercu Afryki. Istniała oczywiście hierarchia i trzeba było zaczekać w kolejce, żeby zostać przedstawionym niektórym megagwiazdom. Raczej nie mogłem podejść do Roberta de Niro i powiedzieć: „Cześć, Rob. Jimmy Conway. Na pewno mnie znasz z tej reklamy bankowości SMS-owej. Powiedz mi szczerze, czy kręcenie filmów czasami nie wydaje ci się potwornie nudne?” Jednakże dla sław, których kariera wytraciła impet albo dla mieszczących się parę szczebli pode mną, Jimmy „Jezu, Te Poduszki Powietrzne!” Conway był osobą, z którą warto jest się pokazać.

Piłem szampana obok jakiegoś afektowanego aktora w smokingu, który z takim entuzjazmem wynosił mnie pod niebiosa, że poczułem, jak się czerwienię.

- Och, Jimmy, zdradzę panu tylko, że kilka miesięcy temu widziałem pana na scenie i był pan po prostu fantastyczny.

Nie wiedziałem, co mam myśleć, kiedy ludzie mówili mi takie rzeczy. Żyją w jakimś

urojonym świecie czy zarazili się show-biznesową obłudą i kłamstwo przychodzi im tak łatwo jak oddychanie?

- Och, dziękuję panu bardzo. Jestem szczęśliwy, że się panu podobało.

- Tak, był pan bardzo zabawny. Myślę, że określenie „geniusz komizmu” nie byłoby przesadą.

- Rany boskie! Dziękuję.

Wprowadził mnie w poważne zakłopotanie. Chciałem zmienić temat.

- Gdzie pan go widział? - wtrącił czyjś głos za moimi plecami.

To był Mikę Mellor, komik-skinhead, którego wylali ze szkoły uroku osobistego. Miał na sobie podkoszulek z własnym zdjęciem.

- Zaraz, gdzie to było... minęło już trochę czasu, a te kluby są do siebie takie podobne - odparł Malcolm. - Ale pamiętam, że był bardzo, bardzo zabawny. Znaczący, monolog o rybach, to jest po prostu klasyka, prawda? Zapewnił sobie trwałe miejsce w annałach kabaretu. Jest pan na jednej półce z największymi, mój drogi!

- Czy to było w Londynie? - nie poddawał się Mikę Mellor.

- Hm, tak, chyba tak. Czy to mogło być gdzieś w północnym Londynie? - spytał, licząc na to, że podpowiem mu nazwę kabaretu.

- Jongleurs Camden? - zasugerowałem. Strzelił z palców i pokazał na mnie.

- Jongleurs Camden! To jest to! Właśnie! Genialne, naprawdę. Byłem bliski podejścia do pana po spektaklu i przedstawienia się, ale miejsce i czas, mój drogi, miejsce i czas...

- Tak, to był dobry występ.

- Nigdy nie grałeś w Jongleurs Camden - powiedział Mellor.

- Słucham? - spytałem, chociaż usłyszałem go bardzo dobrze.

- Nigdy nie grałeś w Jongleurs Camden.

- Nie grałem? No, nie wiem, jak mówi Malcolm, te wszystkie kluby zlewają się ze sobą. Może to było Jongleurs Battersea.

- Tam też nigdy nie grałeś. Moja kochanka pracuje w Jongleurs. Nie grałeś w żadnym z tych klubów ani w żadnym kabarecie, w którym ja występowałem przez pięć lat pracy.

Zacukałem się, nie mając pewności, jak powinienem się bronić przed celnym oskarżeniem Mike'a Mellora.

- Tak, no, znaczący... Wiesz, ja też nigdy cię nie widziałem, Mikę, ale czego to dowodzi? Malcolmowi podobał się mój numer, prawda, Malcolm?

- Bardzo zabawne. Musi pan koniecznie iść na jego spektakl.

- Przepraszam, nie przedstawiłem was sobie. Malcolm, to jest Mikę Mellor. Też

kabareciarz. Może go pan widział. Zajął drugie miejsce w kategorii najlepszego młodego humorysty scenicznego na British 'Biz Awards... - plotłem, a potem skarciłem się za to, że jeszcze bardziej go sprowokowałem. Mellor zjeżył się niesympatycznie, kiedy mu przypomniałem o jego porażce.

- Nie, nie miałem przyjemności - stwierdził Malcolm. - Ale gratuluję. To i tak jest wielkie osiągnięcie. Kto był pana konkurentem?

- Jimmy - wyburczał Mikę do swoich butów.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

- Wyprzedził mnie Jimmy - zmuszony był powtórzyć. - Jimmy Conway.

Mikę Mellor najwyraźniej zniechęcił mnie od pierwszego wejrzenia. Miesiąc przed rzezoną premierą podszedł do mnie podczas benefisowego meczu piłkarskiego i powiedział:

- Ten gag w reklamie o uszach pana Spocka - będziesz musiał z niego zrezygnować, bo to ja robię *Star Treka*, to jest moja działka, ryjesz mi się w materiał.

Westchnąłem i odparłem:

- Och, teleportuj mnie, Scotty!

Nie nastroiło to Mellora bardziej życzliwie.

- Co, Gene Roddenberry dał ci wyłączne prawa do dowcipów z jego postaci? - podjąłem.

- Nie, ale to jest tak, jak ja bym mówił dowcipy o rybach. Po prostu nie podkrada się innym komikom tematów. Takie zasady obowiązują w naszym środowisku. Oczywiście nie spodziewam się, żebyś je znał - powiedział z naciskiem.

- A gdyby istniało stworzenie będące skrzyżowaniem ryby z Wulkanem? Mógłbym z niego żartować?

Wpadł w namysł.

- Gdyby występowało w *Star Treku*, to nie - odpowiedział z całą powagą. - Ale jeśli się pojawi na stoisku rybnym w Sainsbury's, to jest twoje. Ja się tego nie będę tykał.

Mikę Mellor zawsze mi przypominał, jakim jestem oszustem. Gdybym w reklamie bankowości SMS-owej mówił do kamery jako ja, to miałbym prawo sobie powiedzieć, że moja sława jest zasłużona, ale pokazano mnie przy pracy - tak „Jimmy Conway” zarabia na życie - toteż moje kłamstwo nabrało jeszcze większego wymiaru. Nigdy nie czułem się zupełnie swobodnie, kiedy Mikę Mellor pojawił się na tej samej imprezie co ja. ON WIEDZIAŁ. Wyczuwałem to za każdym razem, kiedy był w pobliżu. Nie mam pojęcia, jak do tego doszedł, może intuicyjnie, ale czułem, że MIKĘ MELLOR WIE. Dowiedziałem się, że pytał innych kabareciarzy, czy zdarzyło im się wystąpić w tym samym programie co ja. Widziałem kiedyś,

jak rozmawia z pewnym producentem i pokazuje na mnie. Mikę Mellor zbierał przeciwko mnie dowody, więc mój sekret był zagrożony.

Od jakiegoś czasu wiedziałem, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Wkrótce nie pozostanie mi nic innego, jak rzeczywiście wystąpić na scenie. Chcąc podtrzymać renomę wybitnego humorysty, będę zmuszony opowiadać dowcipy przed publicznością. Perspektywa ta śmiertelnie mnie przerażała. Miało to nastąpić wcześniej, niż sądziłem. Stella Scrivens też była na premierze. Chciałem z nią porozmawiać, ale czekałem, aż fotoreporterzy z bulwarówek od niej odstąpią, żebym nie musiał tłumaczyć się później przez pół godziny przed Nancy.

- Cześć, Jimmy - powiedziała, częstując mnie głośnym całusem do wtóru eksplozji fleszy. - Od dawna mam do ciebie ogromną prośbę.

Mikę Mellor schował się za pasztecikiem i podsłuchiwał.

- Organizuję wielką galę charytatywną w Palladium, najlepsi komicy, topowe zespoły i tak dalej, zbieramy pieniądze dla fundacji Star Appeal na pamiątkę Billy'ego. Czy byłbyś gotów dać dziesięciminutowy występ?

- E, tak, jasne. - Wzruszyłem ramionami. - Z wielką przyjemnością. Wystarczy ci dziesięć minut? Bo jak chcesz, to mogę dłużej...

- Super. Zobaczą, jak mi się to ułoży. Mam jeszcze kilka dziur do zapełnienia.

Oboje czuliśmy, że Mikę wwierca się w nas spojrzeniem.

- A może Mikę...? - spytałem zażenowany.

- A, no, pula komików jest już raczej wyczerpana - wyjąkała Stella.

- Nic nie szkodzi - powiedział Mellor, patrząc mi w oczy. - Postaram się o to, żeby zasiąść na widowni.

W ten oto sposób zgodziłem się produkować przed dwoma tysiącami ludzi. Mój sceniczny debiut miał zatem nastąpić podczas najważniejszej imprezy rozrywkowej roku. Czuję się jak ktoś, kto od dawna się przechwalał, że ma czarny pas judo i nagle osaczyła go banda zbirów, więc teraz wszyscy patrzą i czekają, kiedy ich zmasakruje. Najpierw się dowiedziałem, że spektakl będzie zarejestrowany i wydany na wideo, potem że nagra go telewizja i wreszcie że będzie transmitowany na żywo przez BBC1. Każdą z tych wiadomości przekazywano mi z wielkim entuzjazmem, bo przecież aspekt charytatywny imprezy miał ogromnie na tym zyskać, ja jednak miałem ochotę zmienić pleć i wstąpić do klasztoru w najdalszym zakątku Paragwaju.

Termin: środek września. Cały rok od dnia, w którym fałszywie powiedziałem, że znam Billy'ego Scrivensa, miałem spróbować pójść w jego ślady. Wystąpić na żywo na estradzie przed dwoma tysiącami ludzi. I milionami telewidzów w domach. „Dam sobie radę!”

powiedziałem na głos do siebie w swoim domu w Seaford. „Nareszcie zostanę autentyczną gwiazdą!”, zakomunikowałem psu. „Będzie świetnie! Powalę wszystkich na kolana, jestem tego pewien!” Betty pociągnęła nosem, prychnęła, przekręciła głowę i zadała sobie pytanie, dlaczego leżę na podłodze pod łóżkiem.

10

27 Elms Crescent
East Grinstead
West Sussex
Anglia

Drogi Jamesie!

Katastrofa! Dzisiaj ostatni dzień wakacji, a ja jeszcze nie zacząłem pisać wypracowania o Tudorach. Jestem w ciężkich tarapatach i robię w portki na myśl o pójściu jutro do szkoły.

Podejrzewam, że śmiejesz się teraz do rozpuku z rzeczy, które Cię martwiły, kiedy miałeś trzynaście lat. Na przykład ze swoich lęków, że zostaniesz ukarany albo się wygłupisz, albo z tego ciągłego zadreczania się pytaniem, czy ludzie Cię lubią. Przypuszczalnie już się dowiedziałeś, że jeśli ktoś się czegoś boi, to jedynym sposobem na pokonanie strachu jest to zrobić. Na przykład jeśli ktoś ma lęk wysokości, to zmusza się do skoku z piętnastego piętra - to znaczy nie, wtedy by zginął, więc to nie jest zbyt dobry przykład, ale generalnie rzecz biorąc, jeśli się czegoś boisz, powinieneś się zmusić do zrobienia tego.

Tak jak w zeszłym roku, kiedy Kevin Fraser znęcał się nade mną. Zgłosiłem się z tym do mojego nauczyciela, który powiedział: „Nie masz się czego bać oprócz samego strachu”. Potem uśmiechnął się do mnie i spytał: „W porządku?”, a ja skinąłem głową i na tym skończyliśmy. Nie miałem się czego bać oprócz samego strachu. Aha, no i tego, że Kevin Fraser przywali mi w mordę, pomyślałem, tego też się boję. I że mnie skopie, jak już się przewrócę. Nie mogłem oprzeć się poczuciu, że nadal jest to dla mnie dosyć przerażająca perspektywa. I że wykręci mi ramię do tyłu, i zabierze mi pieniądze przeznaczone na obiad, i rzuci mój worek ze strojem od WF-u na dach przystanku autobusowego. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że pan Stock mnie nie słuchał, bo z całą pewnością nie bałem się samego strachu, tylko Kevina Frasera.

Ale jeśli boisz się czegoś, co tak naprawdę nie jest zbyt przerażające ani faktycznie niebezpieczne, to powinieneś się zmusić do zrobienia tego. Chyba że masz autentyczną fobię czy coś, to zupełnie inna sprawa. To jest uznana choroba i tacy ludzie potrzebują dyskretnej porady, żeby się z tego wyrwali i wzięli w garść.

Większość ludzi nie realizuje swoich marzeń, bo nigdy nie zebrali się na odwagę, żeby

przynajmniej spróbować. Jak w tej piosence: „Musisz mieć marzenie, jeśli nie będziesz miał marzenia, to jak może się ono spełnić?” Chociaż senne marzenia lepiej żeby się nie spełniały, bo mnie najczęściej się śni, że chodzę goły po centrum handlowym Arndale, co nie bardzo mi się uśmiecha, dziękuję, postoję.

- Wyobraźcie sobie postać ze *Star Treka*, która byłaby skrzyżowaniem Wulkanu z rybą...
- wyrecytowałem do mikrofonu lekko ubawionym głosem, kręcąc z niedowierzaniem głową, że można wymyślić coś tak niedorzecznego. - Kurczę, przez większość czasu zachowywałby się całkiem logicznie, nie licząc tych chwil, kiedy podsunęłoby mu się pod nos robaka na haczyku...
Wtedy rybia strona jego osobowości nie umiałaby się oprzeć, prawda? „Hm, ciekawa rzecz, kapitanie, wszystko wskazuje na to, że gigantyczny zardzewiały hak przebija mi policzek, powodując nieznośny ból i wewnętrzny krwotok nie do zatamowania”.

Z jedną ręką na kablu pochyliłem mikrofon i ukloniłem się, by podziękować za zasłużone oklaski. Ten konkretny mikrofon pracował też na fuchę jako słuchawka prysznicowa, a jedyną widownią było moje własne odbicie w dużym, popękany lustrze nad umywalką. Nie miałem pojęcia, czy mój skecz jest dowcipny czy raczej bzdurny i głupi. Znaczący, nie ma takiego stworzenia jak Wulkan, a ryby nie mówią. Widownia nie będzie potrzebowała mikroskopu, żeby zauważyć te usterki. Nowy materiał wydał mi się całkiem śmieszny, kiedy go zapisałem, ale potem musiałem rozważyć drugą możliwość: że tracę rozum. Poza tym czy *Star Trek* nie jest trochę passe, czy ten motyw kabaretowy trochę się nie zgrał? Nadzieje dwudziestopierwszowiecznego kabaretu nie piszą skeczy o *Star Treku*. Nadzieje kabaretu dwudziestego pierwszego wieku piszą skecze o filmie *Star Trek - następne pokolenie*.

Przerobiłem cały monolog ze sześć razy i fakt, że ta konkretna wersja tekstu była podarta na kawałki, a potem posklejana taśmą, nie ułatwiał czytania. Psycholog by powiedział, że przeżywałem napad lękowy, ale napad lękowy oznacza krótki epizod nasilonego niepokoju, więc mój permanentny stan śmiertelnego przerażenia nie podpadał pod tę kategorię diagnostyczną. W moim przypadku należałoby mówić o obłąkaniach lękowych i maratonach lękowych. Do spektaklu pozostał jeszcze miesiąc, ale ciśnienie w mojej głowie było tak wysokie, iż uznałem, że mój organizm dłużej tego nie wytrzyma, toteż należy dać sobie z tym wszystkim spokój. Byłem już bliski podjęcia takiej decyzji, kiedy natrafiłem na swoje nazwisko w niedzielnej gazecie. Autor wypowiadający się krytycznie o ogólnym stanie brytyjskiego kabaretu dodał na marginesie: „Nawet Jimmy Conway nie jest już taki śmieszny jak kiedyś”. Co? Jak on śmie! Za kogo ten buc się ma? „Nawet Jimmy Conway nie jest już taki śmieszny jak kiedyś”. Byłem dokładnie tak samo śmieszny jak kiedyś, czyli w ogóle nie śmieszny. Nie miał żadnego prawa tak o mnie napisać przed obejrzeniem mnie na scenie. Po

prostu skandal. Już ja mu pokażę, pomyślałem. Zje swoje słowa, kiedy ściany London Palladium zatrzęsą się od śmiechu. A potem usiadłem, aby się zastanowić, które genialne i oryginalne dowcipy sprawiają, że ściany London Palladium zatrzęsą się od śmiechu, po czym znowu spłynęła na mnie fala strachu, która kompletnie mnie sparaliżowała. Był sierpień, czyli, jak się okazało, pusty miesiąc w kalendarzu towarzyskim gwiazd. Do Seaford zjechały hordy urlopowiczów, którzy usiłowali ugasić żar zesmażonych na słońcu ciał, wlewając w siebie hektolitry zimnego piwa. Wychodzenie z domu coraz więcej mnie kosztowało. Wszyscy mnie rozpoznawali, a ja musiałem odnosić się do tych obcych ludzi przyjaźnie i wesoło. Determinacja wakacjuszy, żeby upić się do utraty zmysłów, nadawała ich nadmiernej zażyłości niebezpieczny charakter. Pewnego wieczoru, kiedy wracałem do domu, zatrzymał mnie obżerający się kebabem pijak z wielkim brzuchem, który sterczał spod koszulki Chelsea, co wzbudziło we mnie wątpliwości, czy ów jegomość naprawdę występuje w tej drużynie. Uśmiechał się szeroko i pokazywał na mnie palcem, szukając słów, które precyzyjnie oddałyby mój gwiazdorski status.

- Kurde, ty jesteś ten zasraniec od jak-mu-tam!

Złapał mnie za ramię, żebym mu nie uciekł, zanim pokaże mnie koledze.

- Kurde, Terry, patrz - to jest ten zasraniec od jak-mu-tam!

- Ja pierdołę, faktycznie! Kurde, stary, powiedz to. No dawaj, powiedz „Jezu, te poduszki powietrzne!”

- Nie, dziękuję.

- Kurwa, mów!

- Nie, nie chcę.

Jego przejście zamieniło się w gniew wywołany faktem, że złamałem warunki mojego gwiazdorskiego kontraktu.

- Myślisz sobie, kurwa, że jesteś Bóg wi co, ty chuju nadęty!

Uderzył mnie w usta z taką siłą, że upadłem niezdarnie na ziemię i rozbiłem sobie głowę o chodnik.

- Ale mięczak pierdolony! Jezu, te poduszki powietrzne! Pośmiali się i zostawili mnie ze smakiem krwi w ustach. Przez jakiś czas po tym incydencie czułem się obłączony w moim małym domu, zupełnie sam z brudnym, nieogolonym Jimmym Conwayem, nadaktywnym psem i bezkresnymi połączeniami niezapisanego papieru przed oczyma. Tamsin zapewniała mi jedyny kontakt z gatunkiem ludzkim, o ile można ją było do niego zaliczyć. Miała teraz w ustach tyle kółek, że można by tam powiesić ze dwie zasłony. Zatrudniłem ją do codziennego wyprowadzania psa, żebym sam nie musiał w ogóle wychodzić.

- Co u twojej mamy? - spytałem.

- W porządku - odburknęła, być może zirytowana, że wolę rozmawiać o Nancy niż o niej.

Widziałem po niej, że marzy jej się kolejna sesja psychoterapeutyczna za pośrednictwem psa. Głaskała Betty tak czule, jakby dawno jej nie widziała, chociaż właśnie spędziły ze sobą godzinę. Przyszła pora, żeby Betty wyjęła notatnik i założyła okulary.

- Dobry piesek, dobry piesek - mruzczała Tamsin, siadając na sofie. - Jak myślisz, Betty, co by powiedział twój tatuś, gdybym go o coś poprosiła?

- Posłuchaj, nie mogę odpowiedzieć, póki nie wiem, o co chodzi.

Jeszcze trochę pobaraszkowała z psem. Betty tak mocno lizała ją po twarzy, że obawiałem się, czy nie dostanie wścieklizny.

- Tak sobie myślałam, czy mogłabym zabrać Kelvina na któryś twój występ - powiedziała, nadal patrząc na psa. - A potem, gdybyś się zgodził, to poszlibyśmy za kulisy, żeby się z tobą przywitać i byśmy pogadali, i bym cię przedstawiła Kelvinowi, to może byłby mną bardziej zainteresowany.

- Przykro mi, Tamsin, ale to niemożliwe.

Zrobiła taką zrozpaczoną minę, jakby wszystkie swoje nadzieje opierała na tym jednym pomysle, jakby to była ostatnia szansa na zatrzymanie przy sobie ukochanego.

- Wiesz, że nigdy nie zdradzam, gdzie będę występował. A poza tym Kelvin powinien interesować się tobą, a nie mną.

- Ale ja znam sławnego człowieka! - błagała. - To jest u mnie jedyna ciekawa rzecz.

Nie przychodziło mi do głowy bardziej przygnębiające stwierdzenie. Poza tym, że to nie była prawda.

- Nie bądź śmieszna! Na pewno jest mnóstwo chłopaków, których byś pociągała. - Na przykład pracowników fabryki magnesów, pomyślałem. - Nie, żałuję, ale nie mogę ci pomóc. Przykro mi.

- Ale co ja mam w takim razie zrobić? - spytała psa i na jakiś czas umilkła, by znowu sięgnąć do guzika detonującego bombę nuklearną. - Betty, czy byłabyś zazdrosna, gdybym urodziła dziecko Kelvina?

- O nie, znowu się zaczyna! - warknąłem wściekły, że uciekła się do szantażu. - W takim razie zajdź w ciążę, ty głupia kozo. Zrzuń sobie życie, jeśli cię to bawi. Ja nie potrafię cię powstrzymać.

Usiłowałem wrócić do pracy, ale jedyne słowa, jakie zapisałem, brzmiały: „Zadzwoń do Nancy w sprawie Tamsin”. Położyłem karteczkę koło telefonu, ale nadal miałem wyrzuty

sumienia, że do tej pory nie powiedziałem Nancy o niedorzecznym pomysle Tamsin z ciążą. Kiedy próbowałem wymyślać skecze, stale ogarniał mnie wstyd, że dałem się wytrącić z równowagi czternastoletniej dziewczynce. Nie czułem się przez to bardziej dowcipny.

Tamsin przestała przychodzić do wyprowadzania psa i po kilku dniach nareszcie zrobiłem to, co należało zrobić kilka miesięcy wcześniej: zadzwoniłem do Nancy. Telefon dzwonił bardzo długo jak na małe mieszkanie Nancy, a potem piknęło i jej nagrany głos poinformował mnie (jak również potencjalnych włamywaczy, którzy przypadkiem do niej dzwoniли), że są z Tamsin na wakacjach w Normandii. Był to urlop, na który zawsze wyjeżdżaliśmy razem. Tyrknałem do Chrisa, Normana i Pandy. Nikogo nie zastałem. W końcu Dave odebrał komórkę.

- Halo? - zawołał zaskoczony.

- Dave? Tu Jimmy.

- To ty żyjesz? Nie masz asystentki, która obdzwaniana za ciebie ludzi?

- Gdzie jesteś?

- Jesteśmy we Francji, a co myślałeś? Jest sierpień.

W antyramie na ścianie miałem różne zdjęcia wakacyjne z minionych lat. Oto wszyscy płyniemy promem z Newhaven albo męczymy się nad stawianiem namiotów, albo machamy do obiektywu na plaży z butelkami wina w garści.

- A, nie wiedziałem, że w tym roku to też jest przewidziane.

- Co, dlatego, że ty jesteś zajęty, wszyscy mają odwołać wakacje?

- Nie, po prostu nie wiedziałem, że jedziecie... Gdybym wiedział, to może bym z wami pojechał na kilka dni.

- Co, gwiazdor na pieszym urlopie? A kto by nosił lektykę?

Zauważyłem, że na jednym ze zdjęć Dave obejmuje ramieniem Nancy. Do tej pory mi to nie przeszkadzało.

- Czy Nancy ma się dobrze?

- Zaczekaj chwilę, Jimmy. *L'addition, s'ii vous plait* - poprosił z przerysowanym akcentem z Yorkshire. - Jesteśmy w restauracji. Panda powiedziała, że w tej knajpie jest *quiche*, ale mnie się nie wydaje kiczowata. - Usłyszałem, że wszyscy się roześmiali. - Możesz to wykorzystać, Jimmy, wiesz, do swojego monologu.

- Dzięki. Czyli wszyscy mają się dobrze?

- No, jest super, Jimmy. Tamsin ciągle się smęci, ale dobrze jest mieć kogoś, kto chodzi z zapasowymi szpikulcami do rożna w nosie.

Znowu wszyscy parsknęli śmiechem. Powiedziałem, że zobaczą się z nimi, jak wrócą.

To ja zapoczątkowałem dowcipy o Tamsin. Ujrzałem oczyma duszy, jak Nancy żartobliwie szturcha Dave'a w ramię.

Przez resztę dnia nawet nie próbowałem pracować. Musieli podjąć decyzję, że nie powiedzą mi o swoim wyjeździe na wakacje. Na pewno była rozmowa, podczas której ktoś spytał: „A co z Jimmym? Zaprosimy go?”, po czym doszli do wniosku, że nie ma sensu albo że wolą jechać beze mnie. Zdjęcie, które włożyłem do antyramy jako ostatnie, pochodziło z sierpnia ubiegłego roku, pływam w morzu daleko od brzegu i macham w stronę plaży. Jakby na pożegnanie. Zaginiony, uznany za sławnego.

Następnego dnia zdjąłem antyramę ze ściany. Co rano odbębniałem ten sam absurdalny rytuał: siadałem za biurkiem w nadziei, że przyjdzie niewidzialny piszący dowcipy krasnal i poprowadzi moją rękę. Za każdym razem, gdy wena mnie opuszczała, traktowałem to jako sygnał do wyprowadzenia Betty na spacer. Biedny pies był zmuszany do odbycia trzech albo czterech spacerów po klifach dziennie. Zawsze jednak Betty zabierała się do swoich obowiązków ze znacznie większym zaangażowaniem niż ja. Tego dnia szedłem z nią po klifach w głąb łądu, zazdroszcząc jej entuzjastycznego optymizmu.

Och, genialnie! Tam jest duża kępka trawy! Będę biegła, biegła i biegła, och, nie, stop! Leży duża gałąź, wezmą ją, Boże, jaka ciężka, podniosę ją za jeden koniec i będę ją wlekła po ziemi w kółko, ooch, zaraz, jest coś innego, jakiś owad przeleciał koło mnie z bzykiem, złapię go! Kłap! Kłap! Kłap! Uciekł mi, nie szkodzi, sprint na pagórek, potarzać się na plecach, podskoczyć do góry, zbiec z pagórka na pełnym gazie, coś genialnego, coś fantastycznego, to jest największa frajda, jaką można sobie wyobrazić na całym Bożym świecie!

Kiedy spotkałem na tych klifach Billy'ego Scrivensa, byłem przejęty i dumny z faktu, że znalazłem się blisko niego, pochlebiało mi, że oddycham tym samym powietrzem, co ta wielka sława. Teraz ta cenna moneta straciła na wartości. Widziałem z bliska mnóstwo sławnych ludzi, dostrzegłem ich wady i słabostki, na powrót stali się oni dla mnie zwykłymi śmiertelnikami. Nie byli cudownymi ludźmi wiodącymi bajkowe życie odmalowywane w kolorowych czasopismach, nie wszyscy byli też zapatrzonymi w siebie megalomanami. Dowiedziałem się, że jest to środowisko równie zróżnicowane jak każde inne, że jak wszyscy ludzie, gwiazdorzycy mają rozmaite kompleksy i lęki. Niektórzy sprawiali wrażenie w miarę zrównoważonych i rozsądnych, natomiast u innych drobne idiosynkrazje ulegały tysiąckrotnemu wyolbrzymieniu i z małych ludzkich słabości rodziły się ciężkie nerwice. Na własne oczy widziałem multimilionerów, którzy zabierali do domu wszystkie chusteczki higieniczne zostawione do ich dyspozycji w łoży. Na własne uszy słyszałem, jak nieśmiała aktorka zadzwoniła z tylnego siedzenia limuzyny do swojego agenta, żeby poprosił

telefonicznie kierowcę o zmniejszenie klimatyzacji. Nie miało to zbyt dużego związku z normalnym życiem.

Naturalnie posiadali inną rzecz, bez której ja miałem nadzieję się obejść: talent. Ach, ta złota nić, której nadaremno u siebie szukałem przez ostatnie kilka tygodni! Miałem poczucie, że nie mogę dłużej ciągnąć życia gwiazdy, jeśli nie stanę na scenie i nie zrobię tego, co zapewniło mi sławę - a wszystko wskazywało na to, że jeśli stanę, to mój niezaplanowany eksperyment dobiegnie końca. Chociaż dobitnie pokazałem, że można przez jakiś czas być sławnym z tego, że jest się sławnym, talent czy raczej jego brak prędzej czy później wyjdzie na wierzch.

W oddali widziałem wiejski dom Stelli Scrivens. Wystarczyło pójść do niej i wyjaśnić, że nie mogę wziąć udziału w gali charytatywnej, bo w tym dniu wypada pogrzeb mojej babci. Nie, mam termin zabiegu usunięcia jądra, ale nie chcę o tym mówić. Nie, mam i pogrzeb babci, i zabieg usunięcia jądra, więc absolutnie nie dam rady.

Alternatywą było wrócić do domu i jeszcze raz spróbować napisać zabawny monolog. Na tę myśl jeszcze szybciej poszedłem w stronę domu Stelli. Wypisuję się. To już koniec.

Furtka była zarośnięta wiciokrzewem. Alejka prowadząca do domu biegła pod ciemnym tunelem pergoli uginającej się od zwiędłych róż i bujnego dzikiego wina, które z końcem lata zaczynało rudzieć. Drzwi frontowe były uchylone, ale kiedy pociągnąłem za sznurek staroświeckiego dzwonka, nikt do mnie nie przyszedł. Zadzwoiłem po raz drugi, ale nie usłyszałem zbliżających się kroków ani szczekania psa. Betty zostawiłem przywiązaną do furtki, bo podobnie jak jego nieżyjący już wąż, ściiciel, labrador Billy'ego Scrivensa miał renome samca, który I spróbuje pokryć każdą samicę stojącą na jego drodze, a to raczej nie pomogłoby mi w przeprowadzeniu trudnej rozmowy, która mnie czekała. Może Stella jest w ogrodzie? Obszedłem cały dom wkoło, by w końcu pchnąć drzwi frontowe i zawołać z intonacją pytającą: „Dzień dobry?” Na stole kuchennym wciąż stały naczynia ze śniadania i leżała gazeta. Na kominku zobaczyłem zdjęcie Stelli i Billy'ego z księciem Karolem i jeszcze jedno, na którym Billy wygłupiał się na jakiejś egzotycznej plaży. Na półkach stały książki o telewizji, kabarecie i wielkich artystach scenicznych z przeszłości. Można było odnieść wrażenie, że od śmierci Billy'ego nic się nie zmieniło. Najwyraźniej Stella nie znalazła w sobie siły, by zacząć się pozbywać jego książek i kaset albo zmienić zdjęcia.

Potem na sfatygowanym starym fotelu zobaczyłem duże tekturowe pudło z papierami, fotografiami i poważnie wyglądającymi dokumentami. Nie mogłem oprzeć się pokusie przeglądnięcia tego archiwum. Zobaczyłem scenopis jednego ze starych spektakli Billy'ego, jakieś nieciekawe rachunki i kilka nic mi nie mówiących karteluszków, zanim zauważyłem

kopię umowy z BBC, którą ostrożnie wyjąłem z pudła i z szelestem przejrzałem. Z dokumentu wynikało, że Billy dostawał 75 000 funtów od emisji. Przypomniałem sobie, że kilka tygodni przed śmiercią Billy'ego doszło do potyczki między jego agentami a BBC. Publiczny nadawca skrytykował firmę prowadzącą interesy Billy'ego za pazerność, bo zażądała podwyżki. Trochę później BBC wykonało błyskawiczną woltę i składało patetyczne hołdy temu wspaniałemu artyście zmarłemu tragiczną śmiercią w kwiecie wieku.

Nagle za moimi plecami rozległ się głośny hałas. Spanikowałem i zawstydzony wrzuciłem dokumenty z powrotem do pudła, zanim sobie uświadomiłem, że to tylko zegar szafkowy w holu wybił godzinę. Chociaż byłem teraz jeszcze bardziej zdenerwowany, wróciłem do buszowania w pudle. Miałem już dać sobie z tym spokój, kiedy wpadło mi w oko kilka kartek gęsto zadrukowanych wyjątkowo małą czcionką. Wziąłem scenariusz do ręki drżącymi rękami, ale nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu po przeczytaniu pierwszego dowcipu. O trzy głowy przerastał wszystko, co ja mógłbym wymyślić. Drugi dowcip był jeszcze lepszy, puenta kompletnie mnie zaskoczyła, do tego stopnia, że wybuchnąłem śmiechem.

W duchu słyszałem, jak Billy wygłasza kabaretowy monolog, ale nic z tego materiału nie było mi znane. U dołu pierwszej strony widniała data: dwa dni przed śmiercią Billy'ego. Nagle dotarło do mnie znaczenie mojego odkrycia: ten monolog musiał wyjść spod pióra Billy'ego - przypuszczalnie była to ostatnia rzecz, którą w życiu napisał. Bezcenna pamiątka: kawałek historii kabaretu, a przy tym tekst, który nigdy nie zostanie wykonany. Odłożyłem go do pudła. A potem rozejrzałem się ukradkiem dokoła, zanim znowu go wyjąłem i włożyłem do wewnętrznej kieszeni kurtki. W tym momencie usłyszałem szum wody w zewnętrznej kanalizacji, a jednocześnie przez moje żyły ruszyła adrenalina. Na górze czyjeś stopy chodziły po skrzypiących deskach podłogi. Pospiesznie ruszyłem na palcach w stronę drzwi. Billy uśmiechał się do mnie porozumiewawczo ze zdjęcia na ścianie, kiedy wymknąłem się na dwór. Potknąwszy się na wystającej płycie alejki, pokonałem tunel pergoli i odwiązałem Berty, spozierając przez ramię na dom. Zasłony na górze wciąż były zaciągnięte. Zapewne Stella brała kąpiel, podczas gdy ktoś wyprowadzał psa. Co za nieostrożność - każdy mógł wejść i coś ukraść.

Znaleziony tekst wydawał się skrojony specjalnie dla mnie. Doskonale pasował do głosu i scenicznego *emploi*, które przybrałem na potrzeby reklam telewizyjnych - przypuszczalnie podświadomie naśladując styl Billy'ego Scrivensa. Monolog był fantastyczny, z autoodniesieniami, powtarzającymi się gagami i strukturą narracyjną prowadzącą do genialnej penty, która po prostu musiała powalić publiczność na kolana. Było nawet

dodatkowe pół strony materiału przeznaczonego na nieuchronny bis. Nie natrafiłem na skecz o rybach, ale nie można mieć w życiu wszystkiego. Byłem teraz uzbrojony. Uwierzyłem, że dam sobie radę.

Za czasów mojego dzieciństwa był komiks zatytułowany *Buty Billy'ego*. Młody chłopiec grał jak wybitny piłkarz za każdym razem, gdy wkładał zaczarowane buty odziedziczone po wielkiej gwiazdzie futbolu z dawnych czasów. Ja miałem zagrać w London Palladium *Dowcipami Billy'ego*. Ten zaczarowany monolog, ta hipnotyczna, napakowana gagami mantra miała mnie chronić i rzucić humorystyczny urok na każdą publiczność wystawioną na jej działanie. Teraz już nic nie mogło mnie powstrzymać. Przez kilka tygodni umierałem ze strachu, a teraz nie mogłem się doczekać sobotniego wieczoru. Wielkimi krokami przemierzałem salon, recytując tekst ze swadą i bezprecedensową pewnością siebie. Wieczór był zapowiadany jako gala ku czci Billy'ego Scrivensa w rok po jego śmierci. Czy można sobie wyobrazić lepszy hołd niż wykonanie jego ostatniego monologu? Rzecz jasna, jedyną osobą, która wiedziała, że jest to monolog Billy'ego, byłem ja, ale liczy się zasada, prawda?

Zadzwoiła komórka, ale ja nie chciałem wytrącać się ze skupienia. Dopowiedziałem ostatni dowcip i ugryzłem kawałek tosta, zanim nonszalancko odebrałem telefon.

- Tak? - spytałem może odrobinę zbyt czupurnie.

- Cześć, tu Stella Scrivens.

Upuściłem tosta. Serce biło mi tak głośno, że wystraszyłem się, iż Stella to usłyszy.

- Co? Co się stało? - spytałem spanikowany.

- Wszystko w porządku?

- Słucham? Czy wszystko w porządku? Jasne, że wszystko w porządku, czemu miałyby nie być w porządku? - odparłem zdecydowanie zbyt agresywnie.

- Okej. Chciałam tylko sprawdzić, czy wiesz, co i jak w sobotę.

- A, tylko o to chodzi? - powiedziałem, patrząc, jak Betty pożera kawałek tosta, który leżał u moich stóp. - Jasne. Oczywiście. Szczerze mówiąc, udało mi się przygotować całkiem niezły tekst.

- Świetnie. Dzwonię dlatego, że podobno nie odpowiadasz na e-maile dziennikarzy z prośbami o szczegóły.

- A, przepraszam, już sprawdzam pocztę.

Zasłoniłem tekst, jakbym się bał, że Stella dysponuje specjalnym aparatem, z którego pomocą może mnie podglądać.

- I dziękuję ci bardzo, że się zgodziłeś - powiedziała tym zalotnym tonem, którym

zawsze się posługiwała w rozmowach ze mną. - To dla mnie naprawdę ważne, George...

- George? Jestem Jimmy Conway.

- Och, przepraszam, Jimmy. George jest następny na mojej liście.

Jej telefon z początku wprowadził mnie w spore zdenerwowanie, ale potem potwierdził, że mi się upiekło. W tekturowym pudle było tyle śmieci, że Stella najwyraźniej jeszcze nie przekopała się przez nie, toteż mogłem mieć pewność, że nie zauważy braku tekstu. Przez następne dwa dni wykonywałem monolog pod prysznicem, recytowałem podczas spacerów po plaży, deklamowałem z klifów i szeptałem do siebie w łóżku tuż przed zaśnięciem. Betty uważnie wsłuchiwała się w każde słowo z łbem przechylonym na bok. Czułem, że życzyłyby sobie pewnych korekt. Brakowało jej słów „spacer” i „aport”.

W sobotę rano zerwałem się z łóżka natychmiast po przebudzeniu. W dołączonym do gazety programie telewizyjnym gala była zaklasyfikowana jako „Koniecznie trzeba zobaczyć” i podano imponującą listę gwiazd, które miały się pojawić. Moje nazwisko z jakichś powodów tam nie figurowało. Nie miałem o to pretensji. Większość wymienionych w notce ludzi była bardziej znana ode mnie. Poza dwoma. Zresztą to są rzeczy trudne do zmierzenia. A właściwie trzema, doszedłem do wniosku po ponownej lekturze, ale nie ma sprawy, słowo daję. A potem zadałem sobie pytanie, czy wymieniono mnie w programach telewizyjnych z innych gazet. Ponieważ dochód z imprezy miał być przeznaczony na cele charytatywne, rozmaite megagwiazdy dały się przekonać do wzięcia w niej udziału. Notkę ilustrowało zdjęcie damę Judi Dench. Jejku, ciekawe, czy będę miał okazję osobiście poznać damę Judi Dench. To dopiero byłoby coś!

Najpierw mi się wydawało, że mam za dużo czasu na rozmyślenia o czekającym mnie występie, a potem ledwo zdążyłem jeszcze raz przeciwżyć tekst przed wyruszeniem w drogę do Londynu. Postanowiłem pojechać samochodem i zostawić go pod domem rodziców. Nie zamierzałem dać się zawieźć błyszczącym czarnym mercedesem usłużnemu szoferowi. Nadużywanie tego rodzaju przywilejów może sprawić, że woda sodowa uderzy człowiekowi do głowy. Z pewnym zaskoczeniem skonstatowałem jednak, że machinalnie usiadłem na tylnym siedzeniu mojego nissana. Obok siebie położyłem swój najlepszy garnitur w specjalnym ochronnym pokrowcu i bez przerwy obmacywałem spoczywający w kieszeni tekst. Stojąc na czerwonym świetle, wyjmowałem go i bez zrozumienia wpatrywałem się w słowa, aż w końcu trąbienie samochodu z tyłu wytrącało mnie z odrętwienia.

Przybyłem pod Palladium dwie godziny przed początkiem widowiska, ale tłumy fanów potulnie gniotły się za barierkami.

Nad wejściem wisiał ogromny transparent ze słowami: „W HOLDZIE BILLY’EMU

SCRIVENSOWI”. Typowe dla Billy’ego: nawet po śmierci zagarnął cały afisz dla siebie. Środki bezpieczeństwa przerastały wszystko, z czym się do tej pory spotkałem na tego rodzaju imprezach. Do niektórych stref nawet wykonawcy nie mieli wstępu. To jest najbardziej ryzykowny gatunek programu telewizyjnego: widowisko na żywo poza studiem bez próby kostiumowej. Trzeba zdać się na wykonawców, że nie przekroczą przyznanego im limitu czasowego. Producent siedzi w reżyserce i modli się, żeby ktoś nie powiedział słowa na „k” albo jeszcze gorzej, na przykład żeby nie zaproponował widzom wyłączenia telewizorów i poczytania książki.

Chciałem przywitać się ze Stellą i sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, ale powiedziano mi, że to niemożliwe.

- Niech pan powie, że to ja, Jimmy Conway.

Ochroniarz zniknął na chwilę, ale po powrocie powtórzył, że Stella nie może w tym momencie ze mną rozmawiać. Mówiłem sobie, że na pewno w ogóle jej nie zapytałem. Ochroniarze byli uprzejmi, ale stanowczy - przeprowadzano operację typu wojskowego, gdzie każdy miał ściśle określone zadania i nikt nie zamierzał naginać przepisów ani robić wyjątków dla osób, którym się wydawało, że przepisy te nie mają do nich zastosowania. Przysługiwała mi krótka próba mikrofonu, w ramach której zwięźle zreferowałem, co jadłem na śniadanie, starając się nie robić za bardzo zbaraniałej miny na widok rozmiarów pustej widowni. Z jakiegoś powodu scenografia udawała ogromny kościół, jakbyśmy uczestniczyli w nabożeństwie żałobnym za duszę śp. Billy’ego. Był ołtarz, kazalnica i lilie, które dwójka scenografów pracowicie czymś spryskiwała, ponieważ najwyraźniej nie były w zbyt dobrej formie. Kiedy już inspicjent napędził mi stracha, pokazawszy, na jak wielkiej sali wystąpię, zostałem zabrany do charakteryzatów, a następnie zostawiony w garderobie, żebym miał dostatecznie dużo czasu na panikowanie.

Przebrałem się i leżałem delikatnie rozdygotany na kanapie.

Próbowałem nie słuchać osy, która bzyczała z furią koło świetlika. Podejrzewam, że tylko trema kazała mi przypisać nadmierne znaczenie symboliczne temu złapanemu w pułapkę owadowi. Tak wygląda moje życie, pomyślałem: bez końca walę głową w szybę, usiłując wyrwać się na wolność. Tak wygląda życie większości ludzi: cokolwiek robią, stale napotykają te same przeszkody. Widzą, że za tymi przeszkodami rozciąga się szeroki świat, ale z jakichś zupełnie niezrozumiałych powodów pozostaje on poza ich zasięgiem.

Mój występ wypadł mniej więcej godzinę po rozpoczęciu tego telewizyjnego maratonu. Słyszałem, jak inspicjent wywołuje kolejnych artystów za kuliszy niby dyspozytor w firmie taksówkarskiej, ale nie miałem możliwości się dowiedzieć, jak przebiega spektakl.

Spytałem praktykantkę, czy mogliby puścić mi dźwięk przez głośnik na ścianie. Obiecała, że to sprawdzi, ale już więcej nie przyszła. Obowiązywał nas surowy zakaz I schodzenia na dół, zanim zostaniemy wezwani, więc czekałem i czekałem, usiłując zabić czymś czas, ale w końcu na nosie nie został mi ani jeden wąż. Ze środkami bezpieczeństwa tak przesadzili, że zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie chodzi o mnie. Że tak naprawdę nie jest to gala na cześć zmarłego kolegi, tylko to od dawna oczekiwane wydanie *To jest twoje wspaniałe życie* z Jimmym Conwayem w roli głównej. Potem przypomniałem sobie, że widowisko zakwalifikowano do kategorii „Koniecznie trzeba zobaczyć” i pomyślałem, że raczej nie urządziliby aż tak rozbudowanej operacji maskującej.

Kiedy w końcu mnie wywołano, zebrałem myśli w najbardziej profesjonalny sposób, jaki można sobie wyobrazić, to znaczy zachlapałem wodą spodnie, a następnie dałem się złapać w garderobie Judi Dench z suszarką do włosów w spodniach. To ćwiczenie na koncentrację z niezrozumiałych powodów pominął Konstantin Stanisławski w *Pracy aktora nad sobą*.

Stojąc za kulisami, czułem gorąco, które biło od widowni. Sala była wypełniona po brzegi i chociaż nie widziałem publiczności, niemal fizycznie wyczuwałem nastrój podniecenia i wyczekiwania. Inspicjent usiłował wyciągnąć mnie na pogaduszki o niczym, żeby pomóc mi rozładować napięcie, ale zdradziłem się ze swoim zdenerwowaniem, kiedy zadzwoniła komórka.

- Przepraszam! Przepraszam! - szepnąłem. Poczęstował mnie teatralnym spojrzeniem typu „ty mały łobuzie!” i powiedział:

- Dobra, wchodzi pan. Myślę, że czeka pana przyjemna niespodzianka - dodał, co wydało mi się bardzo osobliwe.

Usłyszałem, jak konferansjer z entuzjazmem mnie zapowiada i nagle znalazłem się w jaskini lwa. Przy akompaniamencie oklasków i gwizdów wymaszerowałem na scenę pewnym i dziarskim krokiem, który podpatrzyłem u gwiazdorów telewizyjnych czatów. Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, był oślepiający blask reflektorów. Ściana światła jakby rzucała mi wyzwanie: spróbuj nie zasłonić oczu. Ja jednak wiedziałem, jakie jest moje zadanie: muszę udawać, że czuję się swobodnie, że mam ochotę tu być. Konferansjer poklepał mnie w plecy jak starego kumpla i zostałem sam na sam z odległym stojakiem mikrofonu, który sprawiał wrażenie zdecydowanie zbyt cienkiego, żebym mógł się za nim schować.

Postanowiłem wcześniej, że zamiast od razu zacząć wygłaszać monolog, dam sobie parę chwil na rozejrzenie się po sali, sprawdzenie, kto siedzi na pierwszym balkonie i w łóżach po obu stronach. Na kasecie pożyczonej w Fish and Flicks widziałem, jak Steve Martin tak zrobił i odebrałem to jako następujący sygnał: czuję się tutaj jak u siebie. Problem w tym, że

spojrzenie po sali uświadomiło mi, jak ogromny tłum mnie ogląda i jaki muszę się wydawać mikroskopijny widzom zasiadającym na najwyższym balkonie. Coś jakby linoskoczek sprawdził, jak daleko ma do ziemi. „Wielkie nieba! To byłaby bardzo bolesna śmierć, gdybym teraz spadł!”

Nie były to jednak wszystkie myśli, które kłębiły mi się w głowie. Dotkliwie sobie uświadamiałem, że to dzieje się naprawdę, że nareszcie jestem na scenie, nie ma odwrotu, tu i teraz, każdy mój oddech i gest ulega zwielokrotnieniu i jest bacznie śledzony przez tysiące, co ja mówię, przez miliony ludzi, którzy zasiedli przed telewizorami. Z konstatacji tej musiała się zrodzić inna myśl: Co ja tu, kurwa, robię? Niestety, nie bardzo mogłem podzielić się tą myślą z przykutymi do ekranów telewidzami, bo pokazywano mnie w paśmie ogólnodostępnym.

Kiedy oklaski ucichły, powoli zdjąłem mikrofon ze stojaka i zacząłem.

- Dobry wieczór państwu, nazywam się Jimmy Conway...

Potem bezbłędnie wyrecytowałem pierwszy dowcip, z trzydziestu metrów posłałem bombę nie do obrony w samo okienko i urwałem, żeby pozwolić wybrzmieć pierwszej fali gromkiego śmiechu.

Nic. Zero reakcji. Choćby jednego prychnięcia jakiegoś widza z miejsc dla plebsu. Grunt usuwał mi się spod nóg. Fakt, że publiczność najwyraźniej nie rozumie elementarnej angielszczyzny, tak mnie zaskoczył i zdeprymował, że czym prędzej przeszedłem do następnego dowcipu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie spaliłem pierwszego gagu, niechcący pomijając kluczowe słowo. Po drugiej puencie linia na EKG nadal była rozpaczliwie płaska. Szybko, trzepnij przełączniki, wypróbuj wszystkie pokrętła, włącz alarm, coś się stało, nie ma tętna, pacjent nam ucieka! Pomocy! Pomocy! Przy trzecim dowcipie przypomniałem sobie, że jest słabszy od dwóch poprzednich, ale liczyłem na to, że zanim do niego dotrę, zdążę tak rozgrzać publiczność, że śmiech rozsadzi salę. A jednak nadal nie dostrzegałem żadnych oznak życia w morzu twarzy: żadnej reakcji, tylko pełna zakłopotania i napięcia cisza. W moim prywatnym hołdzie składanym zmarłemu komikowi sam umierałem na antenie telewizji.

Przedzierałem się dalej przez gąszcz pozbawionych sensu słów, z których składał się mój monolog, pocąc się w miejscach, o których nie wiedziałem, że są wyposażone w gruczoły potowe, i czując, że nogi trzęsą mi się tak potwornie, iż na pewno to widać. To jakaś granda, pomyślałem. Robią mnie w konia. Znam scenariusz na pamięć i dokładnie pamiętam, że przewidziane są efekty dźwiękowe w postaci ryku śmiechu w regularnych odstępach. Aktorzy grający w kiepskim dramacie mogą sobie wmawiać, że widownia jest w duchu głęboko poruszona, ale sukces lub porażka kabareciarza jest dla wszystkich oczywista. Można się łudzić, że publika śmieje się wewnątrz i e, ale tylko desperat by w to uwierzył. Teraz to już naprawdę

goniłem z tekstem, wypływając z siebie zdania, nie dbając o akcenty intonacyjne i znaki przestankowe. Zabrakło mi przytomność i umysłu albo doświadczenia, żeby przejść na skróty do końca monologu i zniknąć ze sceny, więc brnąłem dalej. Czy jest tu jakaś zapadnia? Może gdybym na niej stanął, ktoś miłosiernie pociągnąłby za dźwignię i spuściłby mnie do lochu.

Mimo oślepiającego światła widziałem wyraźnie twarze wielu widzów. Dziwna rzecz, ale całkiem liczne spośród nich uśmiechały się do mnie. Nasuwała się tylko jedna interpretacja: jest to ten dzielny, współczujący uśmiech, którym żegna się starego psa zawiezonego do weterynarza do uspienia. Chcieli być uprzejmi, bo chodziło o transmitowaną na żywo galę charytatywną. Nikt nie gwizdał ani nie krzyczał „buuu!” Byłem za mało interesujący, żeby wywołać tego rodzaju reakcję. Cierpliwie czekali, aż skończę, jak robiące dobrą minę do złej gry rodziny, które godzinami siedzą w lotniskowej poczekalni, bo odlot się opóźnia, ale oni nie mają zamiaru psuć sobie wakacyjnego nastroju. Patrzenie prosto na widzów stało się dla mnie zbyt bolesne, toteż dalszy ciąg monologu niestarannie recytowałem głównie do kawałka podłogi przed moimi stopami. Spomiędzy klepek sterczał kawałek niebieskiej taśmy klejącej. Co za niechlujstwo, pomyślałem. Należałoby oczekiwać, że przed tak ważną imprezą wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik.

Kiedy udało mi się opuścić fragment monologu - pierwsza twórcza rzecz, którą zrobiłem od wejścia na scenę - stała się rzecz niewytłumaczalna. Wybuch śmiechu. Nastąpiło to po satyrycznym skeczu o komputerach i chociaż końcowy dowcip nie był wcale najlepszy, ogromnie rozbawił publiczność. Podniosłem wzrok zaskoczony i prawie obrażony, że w tak niekulturalny sposób przerwano mi moją prywatną recytację. To też uruchomiło lawinę śmiechu. Czulem, jak rośnie barometr nastrojów. Potem nastąpiła potężna eksplozja śmiechu, a potem druga, mniejsza, coś w rodzaju wstrząsu wtórnego, jakby dopiero teraz naprawdę zrozumieli, co powiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że zmieniłem postawę, wyprostowałem się i wypiąłem pierś do przodu, z pokonanego jeńca wojennego przeobrażając się w bramkostrzelnego bohatera stadionów. Dzikie zwierzę, które miałem przed sobą, było niebezpiecznie nieprzewidywalne. Nagle przebudziło się ze snu zimowego i sprawiło wrażenie, że na chwilę zdołałem je zaczarować. Ale teraz, kiedy było już obudzone, bałem się, że w każdej chwili może mnie zaatakować.

Trzeci wielki wybuch radości jeszcze bardziej mnie zdeprzy| mował. Nastąpił na długo przed puentą. Nie mieli powodu do i wesołości, a tymczasem sala spontanicznie zatrzęsała się od radosnego, zachwyconego śmiechu, po czym zaczęła klaskać. Podręcznikową reakcją kabareciarza na takie zaskakujące zdarzenie jest spojrzeć w dół i powiedzieć: „Nieprzewidziany śmiech? Sprawdź rozporek!” Byłem taki zdezorientowany i spanikowany,

że ten natchniony komentarz nie przyszedł mi do głowy. Potem zrozumiałem, że oni wcale nie śmieją się ze mnie, że ich uwagę odwróciło coś innego i na tym są obecnie skoncentrowani. Znowu coś ich rozweseliło, potężna fala śmiechu przetoczyła się od parteru po jaskółkę, ale znowu nie mogło to mieć żadnego związku z moim monologiem. Byłem teraz tylko statystą w jakimś większym gagu, o którym nic nie wiedziałem. Mechanicznie wypowiadałem słowa, kompletnie sparaliżowany. „Za panem!”, krzyknął zachwycony głos z którejś łoży. Obróciłem się powoli, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście ktoś za mną stoi, i poraziła mnie niezwykle wizja, nadprzyrodzona zjawą, najbardziej zaskakująca, niezrozumiała i niesamowita rzecz, jaką w życiu widziałem.

Za moimi plecami, uśmiechnięty od ucha do ucha, w swojej firmowej wysadzanej cekinami marynarce i muszce, stał Billy Scrivens.

Kilka tygodni po tym, jak Św. Piotr na własne oczy widział ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa, jak był świadkiem śmierci swego Pana i mentora, spotkał Go po drodze do Jerozolimy. Musiał to być dla niego lekki szok, ale Piotr był z natury mocny jak skała, więc na pewno lepiej poradził sobie z tą sytuacją, niż uczyniłbym to na jego miejscu ja. Zwłaszcza że już dawno miał Jezusa zaszufadkowanego jako Syna Bożego, więc wystarczyła chwila refleksji, żeby racjonalnie wytłumaczyć sobie to zjawisko. Nie, zjawą, którą ja miałem przed oczyma, była zdecydowanie bardziej zaskakująca. Owszem, Billy Scrivens był wielką gwiazdą i niezwykle wszechstronnym artystą estrady, ale żeby wstać z martwych? Gdyby mnie o to wcześniej spytano, powiedziałbym, że taki numer przerasta możliwości nawet tego wybitnie utalentowanego człowieka.

Powiedzieć, że mój świat stanął w tym momencie na głowie, to nic nie powiedzieć: całe moje istnienie zostało w ułamku sekundy unieważnione. Zmarła supergwiazda, za której przyjaciela fałszywie się podawałem, której zwłoki obrabowałem ze znamion sławy, której kabaretowe skarby splądrowałem i której humorystyczne perły zbrodniczo rzuciłem przed wieprze, gdy on stał za kulisami i słuchał - krótko mówiąc, była to jedna z tych sytuacji, w których nie jest łatwo się wytłumaczyć.

Billy stał tam przez chwilę, uśmiechając się do mnie niby duch Banąa. Zastygłem z przerażenia. Spojrzałem przez ramię na tysiące widzów, w oczekiwaniu, że podzielą moje niezrozumienie i zaskoczenie, w nadziei na jakąś solidarność w tej chwili objawienia, oni jednak śmiali się ze mnie, delektowali się moim osłupieniem.

Atawistyczny instynkt kazał mi natychmiast brać nogi za pas. Oczywiście nie mogłem tego zrobić. Stałem na scenie przed dwutysięczną widownią. Spektakl transmitowała telewizja publiczna. Ale i tak rzuciłem się do ucieczki - przyskoczyłem do gotycko sklepionych drzwi

scenograficznego kościoła, by stwierdzić, że są zamknięte na cztery spusty. Szarpałem za wielką metalową kłamkę, słysząc zachwycony śmiech tych hien, które wiwatowały na widok tego szeroko uśmiechniętego zombi, idącego w moją stronę z rozpostartymi ramionami. Żeby mnie uściskać czy udusić? Nie umiałem tego ocenić. Drzwi ani drgnęły. Zostałem celowo uwięziony na scenie, porzucony na tym ringu bez wyjścia na pastwę tego ludożercy z branży lżejszej rozrywki.

Odróciłem się twarzą do Billy'ego Scrivensa z wyrazem absolutnej zgrozy na twarzy.

- Jimmy! - powiedział z serdecznym uśmiechem. - Kopę lat!

Potem uściskał mnie na miśka. Ponowne spotkanie dwóch przyjaciół z przemysłu rozrywkowego wzbudziło gromki aplauz i publiczności. Byłem za bardzo spanikowany, żeby to w tym momencie zarejestrować, ale widownia nie podzielała mojego osłupienia. Wręcz przeciwnie, widok mojego niedowierzania sprawiał im przyjemność, ponieważ na początku spektaklu ich spotkała podobna niespodzianka. Jak się później dowiedziałem, cała plejada gwiazd pierwszej wielkości padła ofiarą scrivensowskiego kawału wszech czasów podczas specjalnego, dwugodzinnego wydania *Mam cię!* - sławy, które płakały rzewnymi łzami na jego pogrzebie, teraz zostały zwabione na scenę, by oddać hołd zmarłemu przyjacielowi, który podchodził do nich od tyłu i klepał je w ramię. Śmierć Billy'ego, pogrzeb i gala charytatywna na jego cześć składały się na gigantyczny kawał wymyślony przez największą brytyjską gwiazdę telewizyjną, który to kawał miał przyćmić wszystkie szwindle i numery kiedykolwiek wykonane na antenie. Ale było to najzupełniej w porządku, bo pieniądze szły na zbożny cel.

A ponieważ ja spędziłem cały rok na dorabianiu sobie życiorysu, uświadomiłem sobie, że jest to również moment zdemaskowania mnie jako szarlatana i kłamcy.

Billy wypuścił mnie z niedźwiedziego uścisku i wyprowadził mnie na środek sceny, podczas gdy ja gorączkowo usiłowałem wymyślić jakąś linię obrony.

- No, Jimmy, jak się teraz czujesz? - spytał w końcu Billy. Obejmował mnie ramieniem na oczach ławy przysięgłych złożonej z dwóch tysięcy osób. Zamiast odpowiedzi wydałem z siebie dźwięk zbliżony do piśnięcia myszy, ale pełne euforii napięcie na sali było tak wielkie, że nagrodzono mnie eksplozją śmiechu.

W chwili mojego wyjścia na scenę publiczność ewidentnie już wiedziała, że Billy żyje. Ale co jeszcze im powiedziano? Czy kiedy ja siedziałem cierpliwie w garderobie, bez możliwości podsłuchania lub podpatrzenia zza kulis tego, co się działo na estradzie, Billy ujawnił, że nasza rzekoma wieloletnia przyjaźń jest moim wymysłem? Czy widowni pokazano zdjęcia, na których widać, jak wkęcnam się na jego pogrzeb? Czy na telebimach wyświetlono zdjęcia „mojego” mieszkania z czasopisma „OK!”, a następnie potajemnie wykonane

kompromitujące fotografie mojego prawdziwego domu i wywiad z zaszokowanym koreańskim małżeństwem? Czy Billy ostrzegł ich, że wykonam monolog skradziony z pudła z dokumentami w jego domu, zabrany spośród papierów Billy'ego, które w moim mniemaniu porządkowała jego pogrążona w żałobie żona? Rozważyłem możliwość podbiegnięcia do zrobionych ze sklejki wielkich drzwi kościoła po drugiej stronie sceny, ale domyślałem się, że również są zamknięte na głucho.

- No, co mam powiedzieć? - wyjąkałem. - Czuję się trochę, wiesz, zakłopotany.

Sala znowu się zaśmiała. Billy uciszył ich ruchem dłoni.

- Zakłopotany? Czemu miałbyś się czuć zakłopotany, Jimmy?

Perfidna świnią, zmusi mnie, żebym wobec tysięcy ludzi opowiedział całą historię z najmniejszymi szczegółami.

- No, z powodu tego wszystkiego - powiedziałem, pokazując na scenografię i widownię.

- Wiesz, i że nagle się zjawiłeś - dodałem, siląc się na ironiczno-filozoficzny śmiech, z którego wyszło świszczące prychnięcie.

- Niezły szok, co? - stwierdził Billy.

- E, no, można tak powiedzieć. Ale chciałem podkreślić, że cokolwiek by ludzie o tym sądzili, w sumie nikt nie ucierpiał. Znaczy, nikomu nie stała się krzywda.

Nadal mocno obejmując mnie ramieniem, Billy pokiwał głową z miną mędrca. Rozległy się niepewne oklaski, które dodały mi otuchy: widać, że publiczność jest gotowa bezstronnie wysłuchać, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

- Dziękuję ci, Jimmy. Bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz. Na pewno jak zwykle znajdą się ponuracy, którzy powiedzą, że cała ta historia ze sfingowaną śmiercią i pogrzebem była niesmaczna, politycznie niepoprawna i tak dalej. Ci ludzie nie powinni jednak zapominać, że dzięki tej imprezie zbierzemy mnóstwo pieniędzy na dobry cel, a mianowicie dla brytyjskich dzieci.

Podniosły się automatyczne oklaski i ktoś z parteru krzyknął „brawo!” Potem Billy rozładował napięcie słowami:

- A poza tym jak inaczej miałem odwlec moment zapłaty podatku?

Znowu eksplozja śmiechu i oklaski. Billy nie załapał, że mówiłem o sobie. Myślał, że chodzi mi o jego mistyfikację. Typowe dla tych gwiazdorów: skupieni wyłącznie na sobie...

Bijącą od widowni zyczliwość można było łapać garściami. Zrozumiałem, że Billy nie będzie psuł atmosfery, wygarniając mi na scenie. Król lekkiej rozrywki rodzinnej nie zamierzał wywoływać podczas transmitowanego na żywo programu awantury, rzucać oskarżeń i rozgrzebywać przeszłości. Na to przyjdzie pora później, prywatnie. Nie, zdałem sobie sprawę,

że najpierw ta świnia porządnie mnie podręczy. Postawi wszystkim przed oczyma ogromną przepaść między nami: on bez wysiłku owija sobie publiczność wokół palca, podczas gdy ja nie zdołałem z niej wydobyć choćby zdawkowego śmiechu, mimo że dysponowałem jego genialnym tekstem. Każe mi dokończyć monolog.

- Dobra, Jimmy - zdaje się, że byłeś w trakcie rozweselania szanownych państwa, zanim ci tak brutalnie przerwałem. Pójdę sobie i pozwolę ci dokończyć monolog. - Następnie zwrócił się do widowni ze słowami: - Do zobaczenia później, kiedy kolejna gwiazda przeżyje największy szok swojego życia!

Chciałem zaprotestować, ale on już biegł za kulisy, zostawiając mnie samego jak palec na środku sceny. Zobaczyłem, że uśmiech zgasł na jego twarzy, gdy tylko znalazł się za kulisami, gdzie podano mu ręcznik do wytarcia potu z czoła.

Stałem przed fanami Billy'ego jak skazaniec. Dobra, na razie nie znają mojej tajemnicy, ale prędzej czy później wszystko się wyda i będę pośmiewiskiem całego społeczeństwa: mitoman, który zmyślił swoją sławę.

- Pamiętacie, jak Billy Scrivens wstał z martwych? - będą mówili. - Był ten rzekomy kabareciarz, co wyjechał na przechwalaniu się, że się kumpłowali, i nawet mu się udało dostać do telewizji i w ogóle, ale się okazało, że to żaden komik, tylko jakiś frustrat, co marzy o sławie...

- A, tak, teraz sobie przypominam. Jimmy coś, nie? Boże, co za fatalny komik!

Taki czekał mnie los, a na razie moje czternaście i pół minuty sławy dobiegało końca. Stałem sam na scenie i miałem udzielić ostatniego sakramentu swojemu gasnącemu życiu gwiazdy estrady. Arcykapłan zmusił mnie do tego, bym publicznie dokończył kopanie sobie grobu. Za pierwszym razem zupełnie nie udało mi się nawiązać kontaktu z publicznością a teraz przyszło mi ponownie stawić jej czoło. Tyle że w międzyczasie przypominano im, jak brzmi prawdziwy komik.

- E, tak, na czym stanąłem?

Wzruszyłem ramionami i ku mojemu zaskoczeniu sala zareagowała lekkim śmiechem, jak podejrzewałem, bardziej z zakłopotania i współczucia niż z rozbawienia. Przypominałem sobie, że mówiłem o komputerach, kiedy niespodziewanie zaczęli się śmiać - jak się okazało, dlatego że tuż za mną stanął Billy Scrivens. W historii zachodniej sceny nie było chyba przypadku, żeby jeden aktor tak kompletnie przyćmił drugiego. Moja raczkująca, ale już wspaniała kariera pękła jak bańka mydlana. To był mój łabędzi śpiew. Wstrząśnięty i przegrany, zdjąłem mikrofon ze stojaka. Mój sen rozwiął się, wszystko było skończone. Już nie chciałem za wszelką cenę zyskać sobie sympatii ludzi, którzy przede mną siedzieli. Szczerze mówiąc,

trochę nimi gardziłem. Tak bardzo tego pragnąłem, kiedy przed kilkoma godzinami - tak mi się wydawało - wchodziłem na scenę. A teraz, pomyślałem, mam to wszystko głęboko w dupie.

Pierwszy dowcip wyburczałem znudzonym tonem, nawet nie próbując ukryć faktu, że wolałbym być wszędzie, tylko nie tam. Śmiali się. Naprawdę się śmiali z kabaretowego konceptu, który im zaserwowano. Na papierze dowcip nie zrobił na mnie wrażenia śmieszniejszego od poprzednich, ale sposób jego wygłoszenia najwyraźniej ubawił Jej Wysokość Widownię. Rozejrzałem się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie podkraść się do mnie Billy Scrivens - a nawet czy księżna Diana nie tańczy w głębi sceny tanga z Elvisem Presleyem. Na estradzie byłem jednak tylko ja. Nadal emanując ponurą antypatią, wydusiłem z siebie następny żart i znowu się śmiali. Widzowie najwyraźniej poczuli się swobodnie, zaskoczeni i ubawieni faktem, że mam odwagę traktować ich obcesowo.

Uzmysłowiłem sobie, że wcześniej trudno im było się skupić na moich słowach, ponieważ wiedzieli, że lada moment podkradnie się do mnie Billy. To mogło tłumaczyć moje niepowodzenie. Inny możliwy powód: jestem fatalnym komikiem. Tak czy owak, teraz, kiedy napięcie opadło, śmiali się z każdego dowcipu, każdy rzucony przeze mnie granat eksplodował. Niektóre gagi dostały więcej, a niektóre mniej niż w mojej ocenie na to zasługiwały, ale udało mi się zapanować nad rowerem i jechałem na nim bez wywrotki. Byłem humorystą scenicznym, który umie rozśmieszyć publikę.

Skoncentrowałem się na podtrzymaniu tej pozy ironicznej obojętności, która ewidentnie sprawiła, że spijali mi z ust każde słowo. Poczulem się dostatecznie pewnie, żeby odczekać chwilę przed każdą puentą, celem osiągnięcia jak najlepszego efektu humorystycznego. A potem: „Trzask!” i radość we wsi była jeszcze większa. Czulem, że wszystko jest pod moją kontrolą. Na mój rozkaz morze twarzy nieruchomiało, na moje wezwanie fale śmiechu rozbijały się o brzeg. Zakończyłem monolog przy burzy oklasków, a kiedy wykonałem nieśmiały ukłon, usłyszałem, że coraz więcej ludzi krzyczy: „Jeszcze! Jeszcze!” Nie chcąc przeciągać struny, postanowiłem nie wygłaszać tekstu przewidzianego przez Billy’ego na bisy. Chciałem na zawsze zatrzymać tę chwilę. Jestem tutaj bezpieczny, pomyślałem. Nie odważą się mnie skrzywdzić przy tylu świadkach. Kara spotka mnie dopiero po zejściu za kulisy. Kiedyś perspektywa stanięcia na scenie budziła we mnie śmiertelny strach, a teraz bałem się z niej zejść. Definitywnie pomachałem sali na pożegnanie i przeszedłem ze strefy światłości do strefy półmroku. Nie miałem żadnych argumentów na swoją obronę ani żadnych okoliczności łagodzących, na które mógłbym się powołać. Uzbroiłem się w odwagę i czekałem, co powie Billy Scrivens.

- Jimmy, stary! - zarechotał, ironicznie, jak sądziłem. - Daruj, że ci to zrobiłem, ale

spektakl jest super, co, stary draniu? Musisz przyznać, że program pierwsza klasa! - powiedział, boksując mnie żartobliwie w ramię, wyraźnie zachwycony przebiegiem wieczoru. - Jak pobiegłeś do drzwi, Jimmy, genialne, myślałem, że w majtki się posikają! Nawet nie przeszło ci przez myśl, że wyciąłem taki numer, co?

- E, nie, nie przeszło - wydusiłem, patrząc na niego podejrzliwie.

Mruknął coś do siebie zadowolony, że tak doskonale mu się udało zrobić mnie w konia.

- Kurczę, super cię znowu widzieć, Jimmy, mówię ci. Uwierz mi, to jest sakramencka nuda ukrywać się przez dwanaście miesięcy. Człowiekowi zaczyna brakować starych kumpli, rozumiesz?

Nadal nie byłem pewien, co powinienem powiedzieć. Czy to jest kolejny test? Czy Billy daje mi okazję, żebym jeszcze bardziej się pograżył? Na estradzie zespół, który wydawał mi się znajomy, grał swój przebój i wokalista krzyknął: „Śpiewajcie razem ze mną, jeśli znacie tekst...”

- Hm, tak, świetnie, że wróciłeś, Billy - zaryzykowałem. - I brawo, wiesz, świetny numer!

Aż zamruczał z zadowolenia.

- Wiesz co, Jimmy, za rzadko się widywaliśmy przed moim małym urlopem naukowym. Powinniśmy się częściej spotykać.

- A, jasne. To byłoby, yhm, super.

Patrzyłem na niego wytrzeszczonymi oczami. Billy uśmiechnął się do mnie, a potem spojrzał na występujący na scenie zespół i zaczął radośnie wybijać stopą rytm ich największego przeboju.

W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że Billy Scrivens jest niepoczytalny. Jego kosmiczna megalomania sprawiła, że nie pamiętał, kogo zna, a kogo nie zna. Literalnie nie wiedział, z kim się przyjaźni. Mój strach przed zdemaskowaniem opierał się na założeniu, że Billy Scrivens jest zdrowym na umyśle człowiekiem, który uświadomi sobie, że w gruncie rzeczy się nie znamy. Ale ponieważ media podały, że jestem jego starym przyjacielem, uznał, że to musi być prawda. Czy wszystkie jego przyjaźnie są tak powierzchowne, że nie pamięta, z kim się widuje, a z kim nie zamienił ani słowa?

Nie wspominał o wygłoszonym przeze mnie monologu. Może nie słuchał?

- Aha, Jimmy - na sto procent rozpoznałem połowę z twoich gagów.

Jasna cholera! Jednak słuchał. Zaraz się zacznie.

- Zastrani autorzy skeczów! Typowe, co? Billy Scrivens pada trupem i od razu sobie myślał: to znaczy, że nie użyje materiału, który dla niego napisaliśmy. Zobaczmy, czy nie da się

tego sprzedać komu innemu. Dajcie mi do telefonu Jimmy'ego Conwaya!

Z tubalnym śmiechem poklepał mnie po plecach.

- No, ci autorzy gagów! - poparłem go. - Kto ich potrzebuje?

- My, niestety, co za pech! Ha ha ha!

A zatem kompletnie mi się upiekło. Dokonałem w głowie przeglądu wszystkich dziur do załatania w moim przebraniu. Wyglądało na to, że od stóp do głów jestem dobrze zakamuflowany. Podałem się za przyjaciela zmarłego komika i nawet on sam mi uwierzył. Wyszedłem na scenę w roli humorysty i z takiego czy innego powodu spotkałem się z fantastyczną reakcją. Dobra, to nie były moje dowcipy, ale okazało się, że Billy też ich nie napisał. Autorzy dostali już za nie pieniądze, więc raczej nie powinni robić skandalu o to, że najwybitniejszy brytyjski komik postanowił przekazać je w darze przyjacielowi. Nie dość, że unikałem zdemaskowania, to jeszcze sprawdziłem się na scenie. Znalazłem swój indywidualny ton i byłem prawdziwym artystą estrady, a że nie umiałem napisać sobie tekstów? Przecież mogłem wynająć kogoś do tego zadania, tak jak to robił Billy.

Osiągnąłem wszystko, o czym marzyłem. Poszedłem do saloniku dla gości, w którym grupka osłupiałych gwiazd wymieniała się swoimi odczuciami na temat tego, jak to jest, kiedy nieżyjąca supergwiazda podejdzie do ciebie od tyłu i poklepie cię w ramię na oczach zgromadzonej w London Palladium publiczności. Wszyscy cierpliwie czekali swojej kolejki, by zdać identyczną z poprzednią relację. Ja musiałem udać się do swojej garderoby, żeby pozbiierać myśli, więc wyjąłem jedną butelkę z sześciopaku zimnego czeskiego piwa, po czym postanowiłem zabrać cały sześciopak.

Upłynęło zaledwie trzydzieści minut, odkąd opuściłem ten mały kokon, ale moje życie uległo przez ten czas całkowitej metamorfozie. Położyłem się na kanapie i jednym haustem obaliłem pierwsze piwo, by zabrać się do drugiego. Byłem prawdziwym komikiem. Udało mi się. Byłem w euforii, kręciło mi się w głowie i czułem się tak, jakbym miał trzy metry wzrostu.

A potem przypomniałem sobie, że tuż zanim wszedłem na scenę, zadzwoniła komórka. Kto, na litość boską, chciał ze mną rozmawiać w takim momencie?, zastanawiałem się, pociągnawszy kolejny duży łyk piwa. Zadzwoń i spytam, czy widział spektakl. Włączyłem telefon i zobaczyłem, że ktoś zostawił wiadomość. Zarejestrowany głos był stłumiony i zniekształcony, ale natychmiast rozpoznałem dzwoniącą osobę, mimo że od tygodni ze sobą nie rozmawialiśmy. Nancy dzwoniła do mnie z Seaford z informacją, którą przekazała mi przez lży: Tamsin zaszła w ciążę.

Seaford
Sussex

Drogi Jimmy!

Miałeś trzynaście lat, kiedy napisałeś serię listów do swojego przyszłego ja, coś w rodzaju telegramów umieszczonych w wehikule czasu, które miały przypomnieć Twojemu dorosłemu wcieleniu o Twoich świetlanych planach na przyszłość. Być może pamiętasz, że kiedy w wieku dorosłym ponownie zobaczyłeś te listy, uznałeś, że Twoje życie nie potoczyło się do końca zgodnie z oczekiwaniami. Poczułeś się przegrany i podjąłeś dosyć niekonwencjonalne kroki, które miały naprawić tę sytuację. Piszę do Ciebie ten list już po tym wszystkim. Myślę, że jestem teraz dużo starszy i mądrzejszy niż dwa dziesięciolecia temu czy nawet dwanaście miesięcy temu. Przynajmniej wiem, co to znaczy odnieść w życiu sukces.

Sądzę, że proces dojrzewania polega na tym, iż człowiek uczy się za bardzo nie przejmować tym, co mogą o nim pomyśleć inni. Kiedy miałeś trzynaście lat, paraliżował Cię ten dojmujący lęk. Ze strachu przed ośmieszeniem się nie wykorzystujemy niezliczonych cennych szans. Dopiero po trzydziestce z potężnym westchnieniem ulgi zdajemy sobie sprawę, że niechęć paru osób niespecjalnie nas martwi. To jest prawdziwe wyzwolenie, kiedy ktoś ma do nas jakąś głupią prośbę, a nam starczy pewności siebie, żeby mu odmówić.

Niestety, ewolucja nie znalazła sposobu na to, żeby krzywa wyrównała się na odpowiednim poziomie troski o odbiór społeczny nas samych. Na półmetku życia jest on mniej więcej odpowiedni, ale krzywa dalej nieubłaganie zmierza w dół, aż w końcu stajemy się emerytami, którzy mają gdzieś cudzą opinię o nich. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że niegdyś zielona kamizelka Doreen Cutbush jest teraz brudnoszara i permanentnie obleziona psią sierścią albo że zrzędlivy starszy pan zapytany w piekarni, czy pokroić mu chleb, odpowiada: „A odpieprz się pan!” Nie można przesadzać z tą obojętnością na to, jak ludzie nas widzą.

Udzielę zatem memu dorosłemu alter ego tylko jednej rady: Jimmy, zachowaj odrobinę próżności, zarówno w obszarze dbania o wygląd zewnętrzny, jak i stosunków międzyludzkich, i staraj się nie przeklinać pod nosem, kiedy stoisz w kolejce na pocztę. Aha, i kiedy zarost na Twojej twarzy rozprzestrzeni się do góry i nad kośćmi policzkowymi wykwitną wielkie kępy siwych włosów, dobrze byłoby je zgolić.

Ważniejsza jest jednak inna sprawa: jeśli na starość przypadkiem natrafisz na ten list, zarchiwizowany pomiędzy kuponami uprawniającymi do rabatu przy zakupie karmy dla kota a poszukiwaną przez Ciebie sztuczną szczęką, to wiedz, że wolałbym, abyś nie próbował zaimponować innym pensjonariuszom domu spokojnej starości, oszukując przy grze w kulki albo pokazując im sfalszowane rysunki wykonane przez wyimaginowanych wnuków.

Odniosłeś w życiu sukces. Nie musisz nikogo okłamywać. „A najważniejsze, byś zawsze był wierny samemu sobie i - co za tym idzie jak noc za dniem - byś innym też nie kłamał”*, jak na pewno sobie przypominasz z lektury Hamleta. No dobra, przyznaję, nie czytałem Hamleta. Znalazłem ten cytat na pudełku zapalek.

* William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Stanisław Barańczak, W drodze, Poznań 1989, s. 34.

Oglądanie wydarzeń tego wieczoru na wideo było doświadczeniem wciągającym i oczyszczającym. Przede wszystkim zmuszony jestem przyznać, że był to jeden z najbardziej pamiętnych programów telewizyjnych, które w życiu oglądałem. Oglądalność pięła się prawie pionowo do góry, bo ludzie dzwonili do rodziny i znajomych z informacją o tym, co się dzieje na BBC1. Uzmysłowiłem sobie, że mój własny udział pójdzie w zapomnienie wobec zaskakującego powrotu Billy'ego Scrivensa, którego pozycja najwybitniejszego brytyjskiego artysty scenicznego była teraz absolutnie niepodważalna. BBC podpisało z nim pięcioletnią umowę na warunkach nieporównywalnie korzystniejszych od tych, które proponowało przed jego rzekomym zgonem, a specjalny program bożonarodzeniowy zbiegł się z publikacją jego autobiografii, nad którą siedział przez rok ukrywania się.

Zbudowany na scenie ogromny kościół, w którym występowałem, nabrał sensu, kiedy zobaczyłem, w jaki sposób Billy objawił się publiczności. Z chórem aniołów, które śpiewały poruszająco w tle, wyświetlono napisy podsumowujące życie Billy'ego, uwieńczone informacjami prasowymi o jego przedwczesnej śmierci. Kiedy już przypomniano publiczności dzień, w którym umarł Billy, spod ziemi wyłoniła się trumna, w pierwszej chwili ledwo widoczna pośród kłębow sztucznego śniegu i migotu świateł. Kiedy muzyka i smutny montaż wrzuciły publiczność do łez, trumnę hydraulicznie dźwignięto do pionu.

Chór śpiewał specjalnie zaaranżowaną wersję piosenki zapowiadającej stary program Billy'ego. Nagle eksplodowały fajerwerki, Billy wyskoczył z trumny i zaśpiewał: „Witam, witam, miło jest być znowu z wami”. Kamera przeskakuje na reakcję osłupiałej widowni: ludzie zasłaniali z niedowierzaniem usta, kiedy Billy biegał między rzędami foteli, aby ludzie mogli zobaczyć, że to naprawdę on. Jedna staruszka klęczała w przejściu, całowała krzyżyk i zanosila Bogu modlitwę dziękczynną.

Potem Billy stopniowo uspokoił publiczność, tłumacząc, jak wpadł na ten pomysł. W historycznej atmosferze każdy dowcip przyjmowano z bezgranicznym zachwytem. Powiedział, że z okazji tegorocznej gali dla Fundacji Star Appeal chciał zrobić coś bardziej zapadającego w pamięć niż poprzednimi razy i zażartował, że wstania z martwych nie praktykowano od dwóch tysięcy lat. Podziękował nielicznej grupie funkcjonariuszy publicznych, czyli policji z Sussex,

lekarzom z Brighton i koronerowi, którzy współuczestniczyli w tej operacji, wiedząc, że pomoże ona zebrać sporo pieniędzy na cele charytatywne. Następnie konspiracyjnym scenicznym szeptem ujawnił, że w budynku znajduje się kilkadziesiąt znanych osób, które wciąż nie zostały dopuszczone do jego tajemnicy i że podczas występu na scenie czeka ich mała niespodzianka.

Poszczególne osobistości różnie reagowały na ten szok. Damę Judi Dench była w połowie przejmującego monologu szekspirowskiego, nie mając świadomości, że telewizywie obiecali już telefonicznie wpłacić 203 500 funtów za przyjemność obejrzenia, jak Billy podchodzi do niej od tyłu i napędza jej potwornego stracha. „Gdzież jego sztuczki i kruczki, jego racje i oracje...”*[* William Shakespeare, *Hamlet*, op. cit., s. 173.], deklamowała, kiedy telewizyjny gwiazdor podszedł do niej i uszczypnął ją w pupę. Damę Judi położyła sobie dłoń na piersiach i powiedziała: „O mój Boże”, co oeniłem jako odrobinę bardziej dystygowane od mojej spanikowanej próby ucieczki. Mick Jagger sprawiał takie wrażenie, jakby widok Billy’ego w najmniejszym stopniu go nie zaskoczył. Może nie wiedział o jego śmierci?, pomyślałem. Elton John wyglądał tak, jakby dostał młotkiem w głowę. Gwyneth Paltrow wybuchła płaczem, a jedna ze Spice Girls zemdlła. Naprawdę pierwszorzędna telewizja.

W tym kontekście moja sceniczna kłapa w pierwszej części występu nie wypadła aż tak dramatycznie. Publiczność czekała na coś ciekawszego i koncentrowała uwagę na drzwiach z tyłu sceny. Moje próby ucieczki większość widzów uznała za genialną improwizację estradową, a potem byli tak nakręceni, że gdybym powiedział cały tekst po norwesku, też by się śmiali i oklaskiwali każde moje słowo. Z wyjątkiem skeczy o Wulkanicznych rybach albo dodo zasługujących na wymarcie - te w każdych okolicznościach poniosłyby artystyczną klęskę.

Pokazano również krótki reportaż o tym, co Billy robił przez minione dwanaście miesięcy, w tym materiał nakręcony w domu pod Seaford. Ku mojej uldze nie sfilmowano mnie zakradającego się do kuchni i grzebiącego w papierach, podczas gdy on brał na górze kąpiel. Billy nie spędził jednak całego roku jako pustelnik, lecz w przebraniu mieszał się z ludźmi. Uraczono nas materiałem, w którym z dosyć idiotyczną przyklejoną brodą siedział w kawiarnianym ogródku i czytał gazetę, a następnie szedł przez Trafalgar Square. Z pewnością było dla niego szokiem, że musi stać w kolejce po bilety do kina, w restauracji zdarza mu się usłyszeć, że mają komplet i że za wszystko trzeba płacić.

Billy miał dwanaście miesięcy na przygotowanie swojego powrotu, toteż nie przeoczył żadnego szczegółu i zadbał o to, żeby przez cały wieczór jeden gag deptał po piętach drugiemu. Na zakończenie gali wszystkie gwiazdy łącznie ze mną jeszcze raz ściągnięto za kulisy na wielki finał. Zanim to się stało, siedziałem sam w garderobie otoczony pustymi butelkami po

piwie i bez powodzenia usiłowałem dodzwonić się do Nancy na numer domowy i komórkę.

Na scenie występował zespół grający Beatlesów, Billy zaś krążył za kulisami, rozmawiając i śmiejąc się z innymi sławnymi ludźmi. Zobaczyłem w tłumie Stellę Scrivens, która uśmiechnęła się do mnie półgębkiem i uniosła porozumiewawczo brwi, nie przerywając szeptanej rozmowy z jakąś telewizyjną szycią. Cały czas wodziła dłonią po wyłogach jego garnituru, a on dyszał jak szczenię i chichotał. Jejku, mężczyźni bywają naiwni jak dzieci. Chwała Bogu, że już kilka minut temu poznałem się na niej.

Kulisy wypełniały się, inspicjent na migi pokazywał budzącym mniejszy respekt gwiazdom, żeby byli cicho. Billy stał otoczony wianuszkami starych znajomych z show-biznesu. Podeszła do niego praktykantka z butelką wody mineralnej na tacy. Nawet jej nie zauważywszy, wypił łyk i oczy wyszły mu na wierzch.

- Prosiłem bez - warknął na nią.

- Jak to bez? - wyjąkała praktykantka z przerażoną miną.

- Nie rób sobie ze mnie jaj! - krzyknął, chociaż mnie zupełnie się nie wydawało, żeby taka była jej intencja. - Prosiłem, kurwa, o niegazowaną! Czy to jest, kurwa, tak trudno zapamiętać, ty cipo nieużyta?

Inspicjent usłyszał, że ktoś podniósł głos, i powiedział:

- Ciii!

Billy okręcił się na pięcie i zabił go wzrokiem. Inspicjent zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki i powiedział:

- Przepraszam, przepraszam, niech pan mówi dalej. Billy pokręcił głową z niedowierzaniem i jakby nigdy nic powrócił do przerwanej rozmowy. Praktykantka skorzystała z okazji i uciekła. Mijając mnie, wybuchła płaczem. Uśmiechnąłem się do niej pocieszająco, ale ona była zbyt zawstydzona, żeby nawiązywać z kimkolwiek kontakt wzrokowy. Szczerze mówiąc, miałem wielką ochotę napić się tej wody, bo uzmysłowiłem sobie, że jestem mocno pijany.

Zespół The Beatles Sound skończył grać przedostatni kawałek i ponownie wypchnięto nas na scenę. Wnętrze kościoła zniknęło - staliśmy teraz w zrekonstruowanej scenografii programu Billy'ego. Wszyscy chwyciliśmy się za ręce i zaśpiewaliśmy *Ali You Need Is Love*, kołysząc się z boku na bok. Mnie przypadło miejsce pomiędzy Davidem Beckliamem i George'em Michaeliem. Oglądając kasetę, zauważyłem, że jako jedyny kołyszę się nie w tempo. Kiedy skończyliśmy śpiewać hymn międzynarodowy, Billy podszedł do publiczności, żeby jej podziękować za wspaniały wieczór. Słuchałem i kiwałem głową, by po jakichś dwóch minutach zdać sobie sprawę, że nadal trzymam George'a Michaela za rękę, więc go puściłem.

Obsypawszy widownię komplementami, Billy odwrócił się, żeby podziękować ludziom, którzy stali za nim na scenie. Grała żalobna muzyka fortepianowa, a na olbrzymich telebimach wyświetlano czarno-białe zdjęcia z pogrzebu Billy'ego. „Jestem bardzo wdzięczny losowi za to, że żyję i mam możliwość pomóc tym wszystkim biednym brytyjskim dzieciom”, powiedział Billy. Potem smutną muzykę pogłośniono, a na telebimach defilowały zdjęcia Billy'ego, który trzymał się za ręce z niepełnosprawnymi dziećmi. „Dobroczynność” to jest przepustka, która w świecie mediów daje wszędzie wstęp, pomyślałem. Nie istnieją granice dobrego smaku, jeśli robisz coś na cele charytatywne. A potem przypominałem sobie, jak usprawiedliwiłem siebie samego z oszustwa, jakim był mój występ w reklamie: robię to dla Nancy. Chciałem zrobić coś, czego robić nie powinienem, ale cel uświęca środki. Mogłem pomóc Nancy na wiele innych, bardziej bezpośrednich sposobów. Na przykład powstrzymując się od powiedzenia jej córce, że jak jej to pasuje, to niech idzie dać sobie zrobić dziecko. Nagranie Nancy płaczącej w komórce wciąż dźwięczało mi w głowie, kiedy oglądałem w zwolnionym tempie film, na którym Billy pchał wózek inwalidzki. Pasażer nie zmieścił się w kadrze.

Już wcześniej doszedłem do wniosku, że Billy Scrivens jest najokropniejszym typem, jakiego w życiu spotkałem, ale na scenie dodatkowo uznałem, że biorę udział w najbardziej wulgarnym i niesmacznym przedsięwzięciu, jaki dane mi było widzieć. Zadałem sobie pytanie, czy kultura Zachodu sięgnęła w tym momencie dna czy też zrobiła to już wcześniej, kiedy Elton John wykonał naprędce przerobioną wersję *Candle in the Wind* w Westminster Abbey w obecności całej brytyjskiej rodziny królewskiej. Poruszony do łez faktem, że przeżył swoją sfigowaną śmierć, Billy ponownie podziękował swoim adoratorom, którzy zebrali się na scenie, aby złożyć mu hołd. „Albowiem ci ludzie są nie tylko najcudowniejszą i najbardziej utalentowaną grupą osób na całym świecie, które można zobaczyć w jednym miejscu, ale także moimi najdroższymi i najbliższymi przyjaciółmi”. Urwał dla lepszego efektu dramatycznego. „Każdy z nich. Bez wyjątku”.

Rozległy się nieco rachityczne, wazeliniarskie oklaski, a ja skrzywiłem się na tę obłudę, kiedy pomyślałem, jak musi się teraz czuć jeden z moich prawdziwych przyjaciół. Można powiedzieć, że w tym momencie coś we mnie pękło, chociaż w mojej ocenie było odwrotnie: coś się na powrót połączyło, zagoiło, naprawiło.

- To nieprawda! - rzuciłem, pijacko ośmielony. - Ja nie jestem twoim przyjacielem! Powiedziałeś, że miło jest znowu mnie widzieć, ale przed dzisiejszym wieczorem ani razu ze mną nie rozmawiałeś.

Billy przez ułamek sekundy sprawiał wrażenie zaskoczonego, że mu przerwano, ale w jego oku natychmiast pojawił się błysk. Perspektywa słownego pojedynku na żywo bardzo go

kręciła.

- Gwiazdy mediów nie rozmawiają ze sobą, Jimmy. Kiedy się spotykają, mówią: „Starczy już tego gadania o mnie. Jak tobie się podobał mój program?”

Publiczność serdecznie się z tego uśmieła. Niektórzy pewnie sądzili, że mój wtret był przewidziany w scenariuszu. Ale nawet jeśli niechęcy stawiałem Billy’ego w jeszcze lepszym świetle, nie zamierzałem rezygnować.

- Tak, tak, ale widzisz, ja nie jestem gwiazdą mediów. Kłamałem, kiedy twierdziłem, że cię znałem, zanim umarłeś, a potem kłamałem, że jestem humorystą. Podrobiłem recenzje, sfabrykowałem sobie karierę, zmyśliłem życiorys gwiazdy, bo chciałem być sławny.

Parę osób na widowni prychnęło zażenowanym śmiechem i na tym koniec. Nawet Billy nie umiał znaleźć na to błyskotliwej riposty i po raz pierwszy zobaczyłem, że na chwilę zabrakło mu słów. Jego oczy przybrały niemal błagalny wyraz. „Dlaczego mi to robisz, Jimmy?”, zdawały się mówić. Tekst na teleprompterze panicznie przewijał się w górę i w dół w poszukiwaniu tego fragmentu scenariusza. Na sali zapadła niesamowita cisza, chociaż ze słuchawek operatora słyszałem zniekształcone, paniczne krzyki reżysera. Nie miałem odwagi dłużej zwlekać.

- Przed dzisiejszym wieczorem nigdy nie opowiedziałem publicznie ani jednego dowcipu. Więc nie jestem twoim przyjacielem, Billy. Jeśli kogoś to interesuje, moimi przyjaciółmi są Nancy, Dave, Chris, Norman, Panda i cała reszta w Seaford. - Pomyślałem, że czas już kończyć, bo zaczyna to brzmieć jak dedykacja w porannej audycji Radia 2. - Jeśli oglądasz, Nancy, to nie martw się, wszystko będzie w porządku.

Dumny, że udało mi się wygłosić tę przemowę bez bełkotania, dostojnym krokiem zszedłem ze sceny. - Był wprawdzie pewien drobny zgrzyt, bo zapomniałem, że za kulisy schodzi się po dwóch stopniach i padłem na pysk. To była ostatnia salwa śmiechu, jaką mnie nagrodzono w mojej karierze wybitnego humorysty scenicznego.

Publiczność była już świadkiem powrotu Billy’ego z martwych, toteż podejrzewała, że znowu robią jej kawał. Ludzie postanowili, że nie będą ani ubawieni, ani zaskoczeni, tylko zaczekają na wyjaśnienie Billy’ego. Muszę przyznać, że kiedy oglądałem później kasety, zaimponował mi refleksem.

- Puk, puk! - zawołał do widowni.

- Kto tam? - odparli posłusznie.

- Jimmy!

- Jaki Jimmy?

- Hej, to jest show-biznes! - powiedział, pokazując miejsce, w którym zniknąłem, po

czym ruszył dalej ze spektaklem. Ten stary gag doskonale wszystko podsumował.

Kiedy znalazłem się za kulisami, drzałem jak liść, ale z dumną i beczelną miną minąłem inspicjenta i wyszedłem. Za drzwiami znajdował się słabo oświetlony korytarz, na końcu którego odkryłem zamknięte na klucz podwójne drzwi. Okręciłem się na pięcie i pomaszerowałem z powrotem. Po raz drugi minąłem zdezorientowanego inspicjenta i na siłę otworzyłem wyjście przeciwpożarowe. Z ciepłego blasku reflektorów, oświetlających widowisko transmitowane na żywo do milionów domów, przeniosłem się na obskurną, cuchnącą moczem uliczkę, na której pod płachtami tektury spali dwaj bezdomni.

W retransmisji z powrotu Billy'ego między żyjących moja przemowa została wycięta, ale pośród całych hektarów druku, które gazety poświęciły na to wydarzenie, znalazło się miejsce na wzmiankę o hochsztaplerze, który zdołał wszystkim wmówić, że jest prawdziwym gwiazdorem. Jednakże moment, w którym przestałem być sławnym człowiekiem, całkowicie przyćmiła historia o kimś, kto ponownie się nim stał. Moim upadkiem z firmamentu zajmowano się tylko po to, żeby jeszcze bardziej rozdmuchać sensację z Billym. Sprawdzone amerykańskie recenzje, które sam napisałem, i udowodniono, że nigdy nie ukazały się drukiem. Prawdziwi kabareciarze potwierdzili, że nigdy nie widzieli mnie na estradzie. Media bardzo dziwnie relacjonowały fakt, że zrobiłem ich w konia. Dziennikarze ze wszystkich gazet i czasopism starali się stworzyć wrażenie, że oni jedni nigdy nie dali się nabrać na tę jakże oczywistą mistyfikację. W „mediach”, o których łatwowierności pisali, pracowali naiwniacy z innej planety.

Mój telewizyjny występ i komentarze medialne do niego były jednak dostatecznie kompromitujące, by agencja wstrzymała emisję reklam bankowości SMS-owej. Okazuje się, że banki nie lubią być kojarzone z oszustwem. Agencja była wściekła. Grozili mi nawet podjęciem kroków prawnych, ale zleceniodawcy uzmysłowili sobie, że lepiej będzie nie nadawać sprawie dalszego rozgłosu. Wkrótce rozpoczęli podobną kampanię reklamową z udziałem pierwszoligowego bramkarza, ale tym razem najpierw sprawdzili, czy rzeczywiście gra na bramce i czy umie łapać piłkę. Do tej pory zapłacono mi zaledwie dwa tysiące funtów z hakiem i po gali nie dostałem już ani grosza. Zresztą na co mi jakiś kretyński skuter wodny? Ale teraz bardziej niż kiedykolwiek chciałem pomóc Nancy.

Jej łzawą wiadomość nadal miałem w skrzynce głosowej i nie mogłem się powstrzymać przed jej wielokrotnym odsłuchiowaniem. Ton głosu Nancy zdawał się mówić: „Nie wiem, czy nadal cię to interesuje, ale pomyślałam, że i tak ci powiem...” Nancy brzmiała tak, jakbym sprawił jej zawód i zostawił ją na lodzie. Co czuje teraz, kiedy już wie, że na dodatek przez ostatni rok ich okłamywałem?

Tego wieczoru nie udało mi się do niej dodzwonić, więc nazajutrz rano zatelefonowałem do Chrisa i odbyłem z nim długą rozmowę na temat wszystkiego, co się wydarzyło. Oglądał moją deklamację na scenie Palladium i wpadł w osłupienie. Słyszał moje publiczne wyznanie i wyteżał słuch, kiedy wyjaśniałem, dlaczego odrzucam świat gwiazdorstwa i wszystkiego, co on reprezentuje. Powiedziałem mu, że byłem kompletnym idiotą, dając się omamić tombakowemu blichrowi sławy, i wyraziłem nadzieję, że przyjmie moje przeprosiny za oszukiwanie ich wszystkich. Traciłem tylko czas. Chris w kółko powtarzał to samo.

- Tak, ale to było niesamowite! Wymieniłeś nas w telewizji! Jesteśmy teraz sławni!

- Nie całkiem o to mi chodziło...

- Tak, ale moje imię w telewizji - przy wszystkich tych ludziach! Zdajesz sobie sprawę? Co za sukces!

Pech chciał, że Nancy wykazała się znacznie większym zrozumieniem przyczyn, dla których dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Całkowicie podzielała moje zdanie, że powinienem czuć się winny. Nadal byłem u rodziców, ale w końcu udało mi się porozmawiać z nią przez telefon. Moje przeprosiny nie trzymały się scenariusza. Kiedy ktoś posypuje głowę popiołem i występuje z tekstem typu: „Zrozumiałem, że sprawiłem wszystkim zawód”, oczekuje od przyjaciela słów pociechy, na przykład: „Nie, to nieprawda, nie wygłupiaj się, nikt tak nie uważa...” Nancy powiedziała:

- Tak, to prawda. Ja na to:

- Chyba każdy popełnia w życiu głupoty. Nancy odparła:

- Aż takie nie każdy.

Jeszcze nigdy nie słyszałem w jej głosie tak wielkiego przygnębienia.

- Strasznie cię przepraszam, Nancy, szczerze. Jesteś na mnie śmiertelnie obrażona?

- A czego się spodziewałeś, Jimmy? Okłamywałeś nas. Próbowaliśmy nam zaimponować tymi idiotyzmami z byciem gwiazdą, a teraz jesteś zdziwiony, że twoich najlepszych przyjaciół to zabolalo. Byłoby inaczej, gdybyś nas wtajemniczył. Dlaczego nas też musiało oszukiwać? Nie jesteśmy czasopismem „OK!” ani gospodarzami poranka w telewizji. Po co próbowałeś nam zaimponować?

- Chciałem odnieść sukces. Chciałem zostać zauważony.

- Bardziej cię zauważaliśmy, kiedy byłeś z nami, ty idioto. Zawsze cię zauważaliśmy, ja cię zawsze zauważałam. Kiedy zobaczyłam ten artykuł w „Sunday Times”, zauważyłam, że zrobiłeś się sztucznie poważny, jak zawsze, kiedy kłamiesz. Zauważyłam, że unikasz mojego spojrzenia, kiedy kłamiesz na temat występu w Comedy Store albo trasy objazdowej w Stanach.

Za każdym razem, kiedy zaczynałeś ściemniać albo zmieniać temat, ja to zauważałam. Zawsze wszystko zauważałam.

- Chcesz powiedzieć, że od początku wiedziałas?

- Wiedziałam, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wiedziałam, że mnie okłamujesz.

Ale nie wiedziałam, że aż tak bardzo.

I odłożyła słuchawkę. Czyli w naprawdę ważnych sprawach nie była taka łatwowierna.

Po usłyszeniu wściekłego i zawiedzionego głosu Nancy przyszło mi do głowy, że w Seaford spaliłem za sobą mosty, a w Londynie też nie mam czego szukać. Kiedy miraż sławy rozpląnął się w powietrzu, zostałem z niczym. Moja zmyślona tożsamość i wyimaginowana racja istnienia pękła jak bańka mydlana, a na domiar złego znikła również ślepa wiara w to, że kiedyś uda mi się coś w życiu osiągnąć. Niezlomna wiara w przyszły sukces, która przez lata podtrzymywała mnie na duchu, w końcu zgasła.

W poczekalni u chiroprody leżą na stoliku egzemplarze czasopisma „Stopy dzisiaj”, bo kiedy ktoś przychodzi do usunięcia nagniotków, chce poznać najświeższe wiadomości ze świata stóp. Na stoliku u fryzjera mają czasopismo „Włosy”, bo gdybyś nie był zainteresowany włosami, to nie przyszedłbyś ich ostrzyć. Jaki publikator należałoby udostępnić klientom w poczekalni Jimmy’ego Conwaya? Dziennik „Jeszcze Nie Wiem”? Miesięcznik „Nie Mogę Się Zdecydować”? Magazyn „To Wszystko Nie Ma Najmniejszego Sensu”? Nie chodziło tylko o to, że nie robiłem kariery. Ogarnęło mnie poczucie, że nie mam w życiu żadnego celu. Nie przychodziła mi do głowy żadna inna osoba, która stała się sławna dzięki temu, że nie była sławna.

W takich momentach ludzie podejmują czasem głupie i desperackie decyzje. Zrozpaczeni więźniowie odsiadujący dożywocie podcinają sobie żyły potłuczonymi żarówkami. Moje autodestrukcyjne działania przybrały inną, subtelniejszą postać. Uznałem, że w tej fazie mojej kariery zawodowej najlepszym posunięciem będzie wyjazd do pracy jako nauczyciel angielskiego w Kuwejcie. Do głowy cisnęły mi się takie powiedzenia jak „otworzyć nowy rozdział” i „zacząć od zera”. Człowiek, którego nachodzą takie obrzydliwe frazesy, powinien mieć odebrane prawo nauczania języka angielskiego, ale pomyślałem sobie: „Kuwejt, jejku, co za doskonała okazja, toż to jedna z kulturalnych stolic świata. Paryż ma Luwr, Nowy Jork ma Broadway, a Kuwejt ma słynny, hm, piasek”. Wyszukałem odpowiednie hasło w encyklopedii. Dowiedziałem się, że 92 procent powierzchni kraju zajmuje kamienista pustynia, ale zostawało jeszcze 8 procent. Byłem pewien, że mieszkańcom Umm Qasr przydałby się nauczyciel angielskiego, który by im wyjaśnił, że po „q” zawsze stawiamy „u”. Chciałem uciec od wszystkich i od wszystkiego, toteż 92 procent kamienistej pustyni nagle wydało mi się

bardzo kuszące. Zadzwoiłem do gabinetu Doreen Cutbush w szkole językowej i okazało się, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nikt nie sprzątnął mi sprzed nosa tej posady.

- Och, tak się cieszę, Jimmy - powiedziała. - Chociaż oczywiście będzie to również smutny dzień.

- Och, dziękuję ci, Doreen.

- Moje psy będą tęskniły za Betty.

Wysłałem znajomym krótkiego e-maila, żeby zawiadomić ich o swoim wyjeździe, nie dając im szansy na wyperswadowanie mi tego. Albo jeszcze gorzej, na zaniechanie prób wyperswadowania mi tego.

Drodzy Wszyscy!

Uważam, że winien jestem wam wszystkim przeprosiny. Kiedy powiedziałem, że jestem wybitnym humorystą scenicznym, miałem na myśli to, że jestem żenującym marzycielem z rozbuchanym ego. Co mogę jeszcze powiedzieć? Jest mi wstyd, czuję się idiotycznie i mam tylko jedną rzecz na swoją obronę: w końcu postąpiłem jak należy, chociaż trochę poniewczasie. Mam nadzieję, że potraficie przyjąć te przeprosiny i że nikt z was nie przerzucił się na bankowość SMS-ową, bo szczerze mówiąc, to jest kretyński pomysł, który nigdy nie chwyci.

Postanowiłem zacząć wszystko od nowa i za kilka dni podejmę pracę jako nauczyciel angielskiego w Kuwejcie. Mam dwuletni kontrakt. Betty będzie mieszkała u moich rodziców do mojego powrotu.

Będzie mi was wszystkich brakowało.

Jimmy

PS: Znowu zbliżają się moje urodziny. Jeśli ktoś by chciał, żebym mu postawił pożegnalne piwo, to będę w Red Lion w następną niedzielę koło 8 wieczorem.

Nie chciałem kłaść zbyt dużego nacisku na sprawę z zaproszeniem. Musiałem dysponować jakimś wyjaśnieniem, dlaczego nikt nie przyjdzie. Kusilo mnie, żeby zostać tego wieczoru w domu, urządzić cichą kolację dla dwojga z jedynym przyjacielem, na którego obecność mogłem liczyć. Border collie mają tę zaletę, że nigdy nie odrzucają zaproszenia na kolację. Mogłem uraczyć Betty prawdziwą ucztą, posadzić ją przy stole i odpowiadać na jej zapytania dotyczące kolejnych pozycji w jadłospisie.

- Dobrze... *viande pour chien en boite* - co to dokładnie jest?

- Ach, to jedna ze specjalności zakładu, szanowna pani. Mięsna karma dla psa. Z puszki. Wyłożona na miskę.

- Mmmm. Brzmi smakowicie! - odrzekłaby Betty, oblizując wargi. - A to tutaj:

tradycyjne kawałki mięsa w sosie własnym?

- Em, to też jest mięsna karma dla psa, tradycyjnie podana, to znaczy wrzucona do dużej miski z napisem „PIES” z boku.

- Och, to też wygląda mi na pyszności. Nie mogę się zdecydować.

Bardzo kochałem Betty, ale człowiek może poczuć się spętany, kiedy pies ani na chwilę nie odrywa od niego wzroku. CoI kolwiek robiłem, Betty chciała robić to ze mną.

- Spokojnie, Betty, nie musisz tak podskakiwać, przewracam tylko stronę w książce.

Przez cały Boży dzień nie było takiej chwili, żeby mnie nie obserwowała, żeby nie pasjonowała się każdym moim ruchem. Przypuszczalnie tak się czuje prawdziwa gwiazda: sto tysięcy różnych Betty śledzi każdy jej krok, z tym dodatkowym ryzykiem, że w każdej chwili mogą się zamienić w sforę wściekłych rottweilerów. Kto chciałby tak żyć do końca swoich dni?

Tak się złożyło, że szanse na to, aby do mojego fanklubu należał ktoś jeszcze oprócz trzyletniej border collie, spadły do zera. Kiedy wyruszałem na urodzinowe piwo, zabrałem Betty ze sobą, żeby wyglądało trochę mniej smętnie, kiedy będę siedział sam w pubie. Szliśmy wzdłuż morza. Betty ściagała fale, które rozlewały się po kamykach. Usiadłem na chwilę i patrzyłem w horyzont. Po chwili Betty przybiegła i usiadła obok mnie. Jak mogę porzucić jedynego towarzysza życia, który zawsze pozostanie mi wierny, choćby nie wiem co? Jak mogę powiedzieć mojemu psu, że wyjeżdżam na dwa lata? Znalazła patyk i upuściła go koło mnie.

- Berty, wyjeżdżam do pracy w Kuwejcie i dopóki nie wrócę, będziesz musiała mieszkać u moich rodziców w Londynie.

Przysunęła patyk bliżej mnie w nadziei, że rzucę go jej do aportowania. Nigdy nie umiała myśleć perspektywicznie.

- Chciałbym zabrać cię ze sobą, ale to po prostu niemożliwe. Wiem, że bardzo trudno ci to zrozumieć, przepraszam cię. -Podniosła patyk, upuściła mi na kolana i szczerknęła z przejęcia.

- Tak, tak, zgoda, dwa lata, jak sobie życzysz, tylko rzuć wreszcie tym patykiem, do cholery!

Przyciągnąłem ją do siebie i zanurzyłem głowę w jej gęstej grzywie. Tak bardzo lubiła tę formę czułości, że ogon dosłownie pomachał psem. Cały zad tańczył, kiedy najbliższa jej istota okazywała jej w ten sposób swoją miłość. Nie odrywałem twarzy od błyszczącego futra, bo nie chciałem, żeby zobaczyła, że tłumię łzy.

Od dawna wyznawałem pogląd, że nie ma nic bardziej idiotycznego niż obdarzanie nadmiernym uczuciem zwierząt domowych. Jest coś niezdrowego w tym, żeby adorować durne

zwierzę i trząść się nad nim jak nad noworodkiem. Spod tego potępienia wyłączałem jeden przypadek: jeśli czyjś pies nazywał się Betty i był moim border collie. Wtedy każda ilość uczuciowego przywiązania była dopuszczalna i najzupełniej uzasadniona. Na świecie roi się jednak od ludzi, którzy mają psy znacznie mniej wyjątkowe od mojego, ale zatracają wszelkie proporcje.

Mocno ją przytulałem, gotowy dać jej wszystko, czego zapagnie, a ponieważ pragnęła, żebym rzucił patykiem, łatwo to było zrealizować. Siedząc i patrząc, jak Betty gryzie i wypływa kawałki drewna, zastanawiałem się, czy będzie to jedyne ważne pożegnanie, które mnie czeka. Nie umiałem ocenić, ilu znajomych całkowicie do siebie zraziłem, okłamując ich przez cały rok. Ciągnięty przez Betty wlokłem się do pubu z przekonaniem, że najwyżej dwie osoby pofatygowały się przyjść. Byłem w tym pubie setki razy, miałem się spotkać z ludźmi, których znałem od lat, a mimo to czułem nie mniejszą treść niż wtedy, kiedy stanąłem na scenie przed milionami widzów. Nie miałem żab w żołądku. Stada mew trzepotały tam skrzydłami.

Pchnąłem drzwi pubu. Było jeszcze gorzej, niż się spodziewałem. Przyszedł tylko Chris, pił piwo i heroicznie próbował zabić czas lekturą tekstu na podkładce pod kufel. Napisałem w e-mailu „koło 8 wieczorem”, a teraz było dwadzieścia po. W Anglii został mi jeden prawdziwy przyjaciel, a ludzie mnie pytają, czemu jadę do pracy w Kuwejcie. Jest jeszcze wcześniej, powiedziałem sobie. Za chwilę zjawi się jeszcze parę osób, jak powiedział Robinson Crusoe, kiedy fale wyrzuciły go na brzeg.

Chociaż Chris jako jedyny z moich znajomych przyszedł do Red Lion, poczuł się zobowiązany przeprosić za niską frekwencję.

- Dzisiaj jest ćwierćfinał teleturnieju University Challenge - wyjaśnił przekonująco. - St. Catherine's z Cambridge kontra Brunei.

- A, to wszystko jasne. Właśnie się zdziwiłem, że jest taki mały ruch na ulicach - odparłem, udając udobruchanego. - Mam tylko nadzieję, że sieć energetyczna nie padnie, kiedy po emisji nagle wzrośnie pobór mocy.

Kupiłem dwa piwa i paczkę chipsów dla psa (nie mieli chipsów o smaku dawno zdechłej ryby, więc kupiłem jej zwykłe solone).

- Dobra, żeby mi się piwa nie pomieszały. Dla kogo było małe jasne?

- Dla mnie - odrzekł Chris bez śladu ironii.

- Zachowałem się jak kompletny idiota, Chris - powiedziałem po chwili milczenia.

- Dlaczego, co zrobiłeś?

Myślę, że Chris za często opuszczał University Challenge. Przez jakiś czas

prowadziliśmy niezręczną rozmowę o niczym. Byłem mu to winien, żeby się trochę postarać. Przyszedł jako jedyny, więc postanowiłem wymyślić jakieś ciekawe pytanie, które mógłbym mu zadać.

- Tu pisze, skąd jest piwo - odparł, dając mi swoją podkładkę do przeczytania.

Temat ten wyczerpał się szybciej, niż na to liczyłem. Teraz było już oczywiste, że nikt więcej się nie pojawi, a nie chciałem zmuszać Chrisa, żeby zostawał dłużej ze względu na mnie.

- Wiesz co, Chris, bardzo miło, że przyszedłeś i w ogóle, ale chyba będę już leciał - powiedziałem, ze zgrzytem odsuwając krzesło do tyłu.

- Co? - zawołał, okazując większe zatroskanie, niż się spodziewałem.

- Przepraszam cię, ale jestem teraz trochę zdołowany. Nie ma sensu, żebyś siedział tu ze mną cały wieczór i patrzył, jak się smęcę w swoje urodziny. Dzięki, że przyszedłeś i w ogóle, ale myślę, że pójdę dziś wcześniej do łóżka.

- Nie, nie idź! - krzyknął, zrywając się z krzesła. Nagle dostrzegł coś za moimi plecami i wyraźnie odetchnął z ulgą. Odwróciłem się i zobaczyłem, że podchodzi do mnie Nancy.

- Jimmy Conway? - spytała dosyć oficjalnym tonem.

- A, cześć, Nancy, dzięki, że wpadłaś.

Byłem trochę zdezorientowany, kiedy wręczyła mi duży czerwony album na zdjęcia ze złotym liternictwem. A potem wygłosiła uroczyste oświadczenie. Wielokrotnie wyobrażałem sobie, że słyszę te słowa, ale nigdy nie wierzyłem, że naprawdę tak się stanie.

- Jimmy, sądziłeś, że idziesz do Red Lion na spokojne urodzinowe piwo, ale tak nie jest. Ponieważ, Jimmy Conway, nauczycielu, przyjacielu i knajpiany kumplu, *To jest twoje wspaniałe życie*.

W tym deprymującym momencie zabrzmiało słynne intro do *To jest twoje wspaniałe życie*, w trochę zniekształconej postaci, albowiem system nagłaśniający w pubie przystosowany był raczej do informowania biznesmenów, że kanapki są gotowe. Nie byłem pewien, jak mam zareagować na ten, jak uznałem, nieco dziwaczny żart, kiedy podwójne drzwi do sali bankietowej pubu otworzyły się z rozmachem i zobaczyłem w środku prawie wszystkich znajomych z Seaford i nie tylko. Dave, Tamsin, Norman i Panda, znajomi z Brighton i Newhaven, koledzy i koleżanki z pracy, byli uczniowie - wszyscy się zjawili. Muzyka grała głośniej, kiedy wprowadzano mnie na salę. Przywitali mnie burzą oklasków, uśmiechając się przewrotnie i z dumą, że zrobili mi taką niespodziankę. Dave uśmiechał się szeroko, Norman stał i bił brawo, była nawet Doreen, z dwoma miniaturowymi sznaucerami dyszącymi na jej kolanach.

Nad niewielką sceną Tamsin wieszała transparent z napisem: „Jimmy Conway, To Jest

Twoje Wspaniałe Życie!” Kiedy skończyła, Nancy wzięła mnie za rękę i zaciągnęła na estradę. Bez przerwy odkrywałem w tłumie kolejnych starych znajomych: ludzi, których od lat nie widziałem, bo wyprowadzili się z miasta, ale zgodzili się przyjechać na tę szczególną uroczystość. Aplauz nie gasł i poczułem, że z serca spada mi wielki kamień, ponieważ wszystkie twarze emanowały sympatią. Ci ludzie nie zamierzali wypuścić mnie z kraju bez prawdziwego pożegnania. No chyba że zastawili przemyślną pułapkę i szykowali się do spuszczenia mi lania za to, że okazałem się takim kłamcą i draniem.

Oklaski ucichły i nastąpiła chwila ciszy. „Świnie!”, powiedziałem, co wzbudziło śmiech, bo wiedzieli, że jestem głęboko wzruszony. Uśmiechałem się tak szeroko, że twarz mnie bolała. Nie była do tego przyzwyczajona i bałem się, że naciągnę sobie mięsień śmiechowy. Gdyby mnie ostrzegli, to wykonałbym kilka ćwiczeń rozgrzewających. Betty biegała od stołu do stołu, pozdrawiając wszystkich, aż w końcu usiadła i razem z innymi gośćmi oglądała mnie na scenie.

Nancy wzięła ze stojaka mikrofon i prawie profesjonalnie przeczytała fragment scenariusza, który znajdował się w albumie.

- „Przyszedłeś na świat jako James Eliot Conway i dorastałeś w domu przy Elms Crescent, Zakolu Wiązowym w East Grinstead. Szybko ogarnęło cię rozczarowanie, ponieważ odkryłeś, że ulica nie ma kształtu zakola, a wiązy ścięto na długo przed twoimi narodzinami. W dzieciństwie nie odzywałeś się zbyt wiele, ponieważ przy twojej rodzicielce trudno było wtrącić choć słowo, ale już wtedy byłeś zgodnym dzieckiem, jak wspomina twoja matka”.

Norman wcisnął guzik odtwarzania na magnetofonie i z głośników popłynęła jedyna w swoim rodzaju fristajlowa melorecytacja jazzowa mojej mamy:

„O tak Jimmy był dzidziusiem bardzo łatwym w wychowaniu nauczył się sikać na nocnik kiedy miał półtora roczku parę wypadków oczywiście się zdarzyło dalej jest plama na szezlongu jest pan pewien że to się nagra bez mikrofonu spał całą noc to znaczy tak myślę ale właściwie trudno powiedzieć bo w tamtych czasach spaliliśmy ze stoperami w uszach żeby dziecko nas nie obudziło nie było jednorazowych pieluch ani niczego jednorazowego jak ktoś miał pudełko po butach to go nie wyrzucał tylko trzymał w nim stare pocztówki chyba mam gdzieś mikrofon od naszego starego magnetofonu muszę zabrać je ze strychu dla Jimmy’ego i potniemy pocztówki i zrobimy mu collage Jimmy zrobił przepięknego niebieskiego ptaka z wyciętych kawałków Morza Śródziemnego Egejskiego głównie trochę Adriatyku szkoda że nie chciał pójść na ASP to światełko co miga czy to znaczy że się nagrywa może byłby teraz znanym artystą jak Lucy-Anne Freud ona jest bardzo dobra nie uważa pan chociaż moim zdaniem niepotrzebnie zawsze maluje ich takich grubych”.

Związła i treściwa anegdota mamy, specjalnie nagrana na tę okazję, jeszcze się nie skończyła, ale zatrzymali kasetę, bo sala bankietowa była wynajęta tylko do godziny zamknięcia lokalu. Nancy podjęła swoją opowieść:

- W dzieciństwie marzyłeś o tym, że zostaniesz sławnym komikiem. Popełniłeś nawet głupstwo i spisałeś swoje plany, skutkiem czego twój starszy brat i wszyscy twoi znajomi nabijali się z ciebie w twoje trzydzieste piąte urodziny. Jak wszyscy wiemy, w minionym roku rzeczywiście stałeś się całkiem znanym człowiekiem i wystąpiłeś nawet na żywo w telewizji publicznej, ale potem postanowiłeś tym wszystkim rzucić.

Zaniepokoiłem się, że Nancy przywoła kolejne fragmenty moich nastoletnich wypocin, które rok wcześniej przyniosły mi tyle wstydu.

- Teraz wyjeżdżasz na Bliskim Wschód, by rozpocząć tam nowe życie. Może się wydawać, że Kuwejt leży na drugim końcu świata, ale szczerze mówiąc, będziesz bliżej nas niż przez ostatnich kilka miesięcy. Pragniemy, ci zatem powiedzieć, że chociaż będą nas dzieliły trzy tysiące mil, Jimmy, świetnie jest mieć cię znowu wśród nas.

Puścili nagrany z telewizji motyw muzyczny z *To jest twoje wspaniałe życie* i na znak Nancy do mikrofonu podszedł Dave.

- Nancy spytała mnie, czy mógłbym powiedzieć kilka miłych słów o Jimmym Conwayu. Przeczesałem pamięć, ale niestety nic nie znalazłem. - Na sali rozległ się śmiech, ale Doreen Cutbush zrobiła zgorzowaną minę. - Jimmy jest tchórzem, sknerą i intrygantem, który nigdy nie postawił nikomu drinka ani nie wysłał choćby jednej kartki urodzinowej któremuś z rzeszy swoich rozsianych po całym kraju nieślubnych dzieci. Jest okrutny dla zwierząt i często się zatrzymuje, żeby poszydzić z seafordzkiego trzynożnego psa. Należy do osób, które potrafią stanąć za plecami niewidomego przed przejściem dla pieszych z sygnalizacją świetlną i zrobić „pip-pip-pip”. Poproszono mnie również o wyliczenie jego osiągnięć, ale tutaj również przyznaję się do bezradności. Jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy, to że Jimmy Conway ponosi osobistą odpowiedzialność za plagę wszy pośród kursantek Centrum Językowego Sussex.

Już w trakcie tej przemowy Nancy zeszła z estrady i tłumaczyła spopielalej na twarzy Doreen Cutbush, że Dave ma swoiste poczucie humoru. W głębi sali jedna z kursantek wyjęła słownik angielsko-węgierski, żeby sprawdzić kilka słów, z którymi nigdy wcześniej się nie spotkała.

- Ale poza tymi mało znaczącymi drobiazgami - ciągnął Dave - całkiem w porządku z ciebie facet, Jimmy. Potrafię zrozumieć, dlaczego chcesz teraz uciec do Kuwejtu, ale będzie nam ciebie brakowało. W każdym razie przez pierwsze parę dni.

Odwiódlszy Doreen od zamiaru poszczucia Dave'a swoimi pieskami, Nancy wskoczyła z powrotem na scenę i usiłowała skierować imprezę na tory bliższe z ducha telewizyjnego pierwowzorowi. Podziękowała Dave'owi i przeczytała z czerwonego albumu kolejny fragment mojego życiorysu. „Jimmy, miałeś szczęśliwe dzieciństwo, dwoje kochających rodziców i starszego brata, na którego mogłeś zawsze liczyć, że napierdzi ci w głowę. Niestety, twój brat nie mógł być z nami dziś wieczór, no bo, cóż, nie zaprosiłam go, ale przesyła ci tę wiadomość”.

Na półce wysoko na ścianie stał duży czarny telewizor, tego wieczoru podłączony do magnetowidu na zaimprovizowanym stole mikserskim Normana. Kiedy ekran telewizora rozbłysł, dały się słyszeć pojedyncze oklaski, w uznaniu wysiłku, jakiego musiało wymagać przygotowanie tego wszystkiego. Pod względem technicznym nagranie odbiegało może od standardów, z którymi miałem do czynienia w studiach montażowych przez ostatni rok, ale profesjonalne braki rekompensował urok improwizacji. „Witam, Jimmy!”, promieniał mój brat z leżaka w ogrodzie za swoim domem. „Przykro mi, że nie mogę być na twoich urodzinach, ale z tego, co słyszałem, czeka cię wieczór, którego prędko nie zapomnisz”. Jego dzieci wbiegły na wizję, pomachały do kamery i zawołały: „Cześć, wujku! Było super”. Impreza niewiele się różniła od prawdziwego *To jest twoje wspaniałe życie*, w którym zawsze chciałem wystąpić. Dobra, na razie nie padła żadna wzmianka o mojej niestrudzonej pracy na rzecz ochrony zwierząt, ale przyczyna leżała przypuszczalnie w tym, że nic w tym kierunku nie zrobiłem.

„Byłeś dla nich świetnym wujkiem, Jimmy. Strasznie cię lubią i nam wszystkim będzie cię bardzo brakowało, kiedy wyjedziesz”. Potem starszy z chłopców odepchnął na bok młodszego, który wywrócił się na ziemię i zaczął płakać. Nicholas powiedział: „Przestańcie wy dwaj! Jesteście siebie warci!”

Nicholas ponownie odwrócił się do kamery, przeprosił za zachowanie swoich chłopców i powiedział, że dogrzebał się do kompromitującego materiału filmowego, który przeniósł dla mnie na wideo. Wiwaty na sali, kiedy na ekranie zobaczyliśmy niemy film, w którym dwaj mali chłopcy, ja i mój brat, pluskaliśmy się goli w brodziku. Potem jeszcze głośniejsze hurra, bo odwróciłem się, żeby pomachać do kamery, pokazując malutkiego peniska, który kolebał się bezwstydnie. Zgromadzeni z jakiegoś powodu uznali to za nad wyraz zabawne. Ja oczywiście nie poczułem się ani trochę zażenowany. W końcu to byłem ja jako dziecko, żadnego związku z dorosłym Jimmym Conwayem.

„Rozmiary się nie liczą, Jimmy, liczy się to, jak umiesz się nim posługiwać!”, krzyknął jakiś głos z tyłu. Nie mógł lepiej utrafić, bo pięcioletni Jimmy przystąpił do demonstrowania, jak umie się nim posługiwać: precyzyjnie wycelował srebrnym łukiem sików w starszego brata, który wyskoczył z brodzika we łzach. A ja zawsze myślałem, że to on znęcał się nade mną!

- Urocze stare filmy - powiedziała Nancy, kiedy nagranie się skończyło. - Jeśli poczujesz kiedyś potrzebę ponownego pojawienia się w telewizji, Jimmy, z radością wyślemy ten filmik do *You 've Been Framed*.

Miałem wrażenie, że stoję na tej estradzie całą wieczność, toteż z wielką ulgą wziąłem od Chrisa piwo, które mogłem popijać w co bardziej krepujących chwilach. Nancy szybko streściła moją mało imponującą edukację i opowiedziała o moim przypadkowym przyjeździe do Seaford. Przypomniała mi o paru rzeczach, które dla niej zrobiłem, na przykład wziąłem za nią zastępstwo, kiedy miała problemy ze znalezieniem opiekunki do dziecka. Albo przekonałem ją, że z powodu globalnego ocieplenia Eskimosi mają teraz ponad dwadzieścia różnych słów oznaczających wodę.

Nie ukrywam, że ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, iż Nancy zauważyła moje dyskretne próby wspomnienia jej przy rzucaniu palenia.

- Jimmy, kiedy usiłowałam rzucić nałóg, ciągle proponowałeś, żebyśmy poszli do kina albo do restauracji. Dopiero po wielu miesiącach zdałam sobie sprawę, że celowo tak to organizowałeś, abyśmy nie wylądowali w zadymionym pubie, bo wiedziałeś, że bym wymiękła. To było dyskretne i nienachalne, ale bardzo się starałeś mi pomóc w uwolnieniu się od tego niebezpiecznego i obrzydliwego nałogu, i za to, Jimmy, pragnę ci z całego serca podziękować.

Potem Nancy po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i zgasiła go na zaimprovizowanej scenie.

Przyszła kolej na Doreen. Dźwignęła z krzesła swoje potężne ciało na krótkich nogach i zawlokła je na estradę, żeby wygłosić swoją mowę pochwalną. Wąsate miniaturowe sznaucery pod jej pachami rozglądały się po sali dla sprawdzenia, czy wszyscy słuchają. Jeśli komukolwiek sporo w życiu pomogłem, to właśnie Doreen Cutbush. Zawsze byłem do dyspozycji, kiedy trzeba było wyprowadzić jej pieski na spacer, naprawić kserokopiarkę albo nagrać jej ulubiony program telewizyjny, ponieważ ona akurat oglądała wypożyczony film na wideo. Doreen nigdy nie bała się poprosić, a ja zawsze bałem się odmówić. Dlatego szczególnie mnie wzruszyło, że tego wyjątkowego wieczoru podziękowała mi za wszystkie godziny, które poświęciłem na to, by pomóc mojej dyrektorce i sąsiadce.

- Nancy spytała mnie, czy mogłabym powiedzieć parę słów pochwały o Jimmym. Zapewniam was, że nie wahałam się ani chwili. Zawsze będę darzyła Jimmy'ego Conwaya najwyższym szacunkiem - zagrzmiała, zdjawszy zaopatrzone w łańcuszek okulary, które spoczęły na półce jej obfitych piersi. - Albowiem w epoce, w której zanikają wszelkie normy, Jimmy nadal jest dla wielu przykładem. Wiecie dlaczego? Wiecie, co wyróżnia tego młodego człowieka?

Z dumą zobaczyłem, że kilka osób kiwa głowami.

- Zawsze, ale to zawsze używa poprawnych form nieregularnej liczby mnogiej słów pochodzenia łacińskiego. - Rzuciłem w jej stronę zaskoczone spojrzenie. - Nie usłyszycie z jego ust takich współczesnych potworków jak *curriculum*s, *stadium*s czy *stimulus*es - dla Jimmy'ego istnieją tylko formy *curricula*, *stadia* i *stimuli*.

Starłem się pokazać, jak bardzo jestem wzruszony tymi serdecznymi słowami uznania, a jednocześnie wspominałem pewną noc, kiedy Doreen zerwała mnie o czwartej rano z łóżka, bo pękła rura wodna i na czworakach chodziłem wokół jej domu po śniegu, usiłując znaleźć główny zawór odcinający.

- *Radii, alumni, memoranda* - cóż więcej dodać? Jimmy należy do osób, które nigdy nie powiedzą *criteria*, kiedy chodzi im o jedno *criterion*. Zawsze wyznawałam pogląd, że należy umieć docenić zasługi innych ludzi.

Po tych słowach zeszła ze sceny, a jej psy rozglądały się dokoła z takimi minami, jakby chciały powiedzieć: „Co? Jeszcze wam mało?”

Zakłopotane milczenie przerwał rechot Dave'a.

- Byle znowu nam nie wyjechał z dwoma cappuccini.

- Dziękuję ci bardzo, Doreen - powiedziałem - że wszystko spamiętałaś bez *memorandums*.

Potem Nancy urządziła pokaz slajdów z przeszłości. Na przezroczach sprzed dziesięciu lat nasze niewinne młode twarze uśmiechały się do aparatu w błogiej nieświadomości, że nasz gust odzieżowy wystawia nam fatalne świadectwo. Slajdy z jednodniowej wycieczki do Dieppe, sceny z imprez i pikników czy para znajomych wciskających się naraz do budki fotograficznej. Pod koniec zdjęcie mnie i Nancy w wieku dwudziestu paru lat: siedzimy na plaży i całujemy się.

Nie wszyscy wstali i wygłosili przemowę. Norman ograniczył się do stwierdzenia, że „fajny ze mnie gość i w ogóle”, po czym dodał, że publiczne wystąpienia nie są jego mocną stroną. Chciałby jednak oddać mi hołd w innym języku, „takim jakby bardziej uniwersalnym, w języku muzyki”. Wszyscy pomyśleliśmy sobie: „Nie, to niemożliwe! Czyżby nareszcie zamierzał nam pokazać, jak gra na wymyślonej gitarze?” Wielokrotnie go prosiliśmy, żeby nam się pochwalił swoimi umiejętnościami w tej nietypowej dziedzinie, ale do tej pory żadnemu z nas nie był dany przywilej obcowania z tym geniuszem.

- To dla ciebie, Jimmy - powiedział.

Panda włączyła muzykę, Norman zaś przybrał melodramatyczną pozę, padł na kolana i zaczął udawać, że gra. Przyszedł czas, by podzielić się z nami radością jaką daje gra na

nieistniejącej gitarze.

Należałoby oczekiwać, że kiedy ktoś chce wtajemniczyć grupę znajomych w arkana niekonwencjonalnej dyscypliny sztuki, zrobi to delikatnie, dając im krótką i przystępną próbkę. Jeśli ktoś nigdy nie słyszał opery, raczej nie wprowadza się go w ten temat, każąc mu wysłuchać całej tetralogii *Pierścień Nibelunga* Wagnera. Co zatem wybrał dla nas Norman? Może jedną z krótszych i najbardziej popularnych piosenek Beatlesów? Czy też niewielki urywek koncertu gitarowego nr 2 Rodrigueza? Nie, dla tej grupy profanów Norman wybrał Mount Everest solówek na wymaginowanej gitarze: *Freebird* zespołu Lynyrd Skynyrd. Bite trzynaście minut ogłuszającego łomotu.

Nie bardzo wiadomo, jak należy się zachować, kiedy dorosły człowiek podskakuje w miejscu i udaje, że gra klasyczny kawałek rockowy na wymaginowanym elektrycznym instrumencie strunowym. Niektórzy widzowie ruszali głowami z boku na bok w stylu: „Bardzo chętnie bym to zaśpiewał, ale nie znam słów”. Parę osób usiłowało klaskać do rytmu, ale nikt tego nie podchwycił, więc szybko zrezygnowali, jakby od początku nie zamierzali klaskać dłużej niż dwadzieścia sekund. Większość z nas optowała za życzliwym, pełnym podziwu uśmiechem, niby zachodni turyści, którzy z całkowitym niezrozumieniem przyglądają się skomplikowanemu tańcowi na subkontynencie indyjskim. Tak się składa, że Norman sprawiał wrażenie całkiem dobrego w te klocki. Palce najwyraźniej układały się w prawdziwe akordy. Szarpał za druty, wirował i telepał się jak autentyczny gitarzysta rockowy. Nic nie mogło jednak zmienić faktu, że w ostatecznym rozrachunku grał na wymaginowanej gitarze.

Jak się rzekło, wykonanie tego utworu zajęło mu prawie kwadrans, ale dla nas trwało to całą wieczność. Fizycznie i emocjonalnie wykończony swoim atletycznym i wyciskającym siódme poty występem, Norman nareszcie uklonił się publice, która biła brawo, wiwatowała i gwizdała. Chris zażyczył sobie bisu, ale wyszło z tego „Biiis-auć!”, bo ktoś kopnął go pod stołem na znak, żeby się zamknął. Kiedy oklaski ucichły, Norman na chwiejnych nogach polazł do baru, żeby zamówić kolejne wiadro jabola. Na scenę ponownie weszła Nancy.

- Dziękujemy bardzo, Norman dokończy później swój hołd na cześć zespołu Lynyrd Skynyrd, imitując katastrofę samolotu wbijającego się w zbocze góry.

Widać było, że Nancy starannie zaplanowała cały przebieg wieczoru, ale paru dotąd milczących gości spytało, czy mogłoby się spontanicznie wypowiedzieć.

- Utknąłem kiedyś z Jimmym w korku i przepuścił dwa auta, zamiast tylko jednego.

- Zawsze przestrzega kodeksu hodowcy bydła i zmyka bramy, żeby krowy nie uciekły.

Zadałem sobie pytanie, czy nie zaczynamy się zanadto rozdrabniać. Niedługo pochwałą mnie za to, że zawsze zakręcam tubkę z pastą do zębów, pomyślałem, ale potem

przypomniałem sobie, że nie zakręcą. Nancy zdała sobie sprawę, że spektakl powoli zbliża się do końca i wkroczyła do akcji, aby dokonać podsumowania.

- Jimmy, wyjaśniłeś mi, że zmyśliłeś wszystkie te bzdury z byciem sławnym, bo za wszelką cenę chciałeś odnieść w życiu sukces. Zanim nas porzucisz, by udać się do słoneczniejszych krain, twoi przyjaciele i znajomi chcą cię zapewnić, że już dawno osiągnąłeś w życiu wielki sukces. Wiem, że zawsze marzyłeś o wystąpieniu w *To jest twoje wspaniałe życie*. Okej, może nigdy nie pojawisz się w prawdziwym programie, ale dla nas jesteś największą gwiazdą, Jimmy. Dlatego ogromnie się cieszę, że nareszcie mogę ci powiedzieć: Jimmy Conway, *To jest twoje wspaniałe życie*.

Położyła akcent na „to”, dając mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce. Stojąc na tej małej scenie w zwykłym pubie w prowincjonalnym miasteczku, czułem się dobrze we własnej skórze, nareszcie wiedziałem, że pasuję tutaj znacznie lepiej niż na wielkiej estradzie z udawanymi przyjaciółmi w rodzaju Billy’ego Scrivensa. Moi prawdziwi przyjaciele byli bardziej szczerzy, bo stać ich było na cynizm, ich pochlebstwa miały większą wartość, bo stać ich było także na obcesowość, byli bogatsi, bo byli biedniejsi. Nancy podała mi czerwony album, Norman jeszcze raz włączył motyw muzyczny z *To jest twoje wspaniałe życie* i wszyscy zgromadzili się wokół mnie, żeby pośmiać się ze zdjęć i pokazać na swoje dedykacje. Norman zwinął skręta i Panda usiłowała się nie skrzywić, kiedy zapomniał puścić go w koło.

Piliśmy do późna i podano jedzenie. Prawdziwe jedzenie, a nie jakieś głupie przekąski, którymi nie sposób nasycić głodu. Betty chodziła od stołu do stołu i srogim wzrokiem wpatrywała się w każdego, który w danym momencie coś jadł, chociaż nie uciekła się do swoich hipnotycznych mocy i nie zmuszała wszystkich do natychmiastowego przekazania jej całej potrawy. Wszyscy komentowali, jaka jest słodka, kiedy melancholijnie kładła głowę na kolanach kolejnych stołowników. Potem czuli, że mają mokre spodnie i uświadamiali sobie, że ich obśliniła.

Chodziłem po sali i rozmawiałem z ludźmi, których od wieków nie widziałem, śmiałem się i żartowałem z przyjaciółmi, którym miałem tyle do opowiedzenia. Teraz, kiedy wszyscy byliśmy w swobodnych nastrojach, pytali mnie, jak się czułem, kiedy spotykałem tych wszystkich sławnych ludzi, występowałem w telewizji, na scenie i w reklamie. Udzieliłem im szczerzej odpowiedzi: momentami było to ekscytujące i przerażające, ale od początku miałem nieprzyjemne poczucie wewnętrznej pustki, które nigdy mnie nie opuszczało. Aż do tej chwili, pomyślałem: nigdy wcześniej nie czułem się tak wielką gwiazdą jak tego wieczoru. Wszyscy byli w euforii, bo wiedzieliśmy, że przeżywamy wyjątkowy wieczór, a co więcej, zawdzięczamy to samym sobie. Nawet Tamsin nie umiała powstrzymać się od uśmiechu.

Zadbałem o to, żeby porozmawiać z nią sam na sam i postanowiłem, że powtórzę każde słowo jej matce.

Kiedy zamknęli pub na noc, nieco pijanym krokiem szliśmy wzdłuż plaży, śmiejąc się do rozpuku z urządnego przez moich przyjaciół widowiska.

- Nie możesz powiedzieć, że nie załatwiliśmy ci porządnego pożegnania, Jimmy - stwierdził Dave.

- E, no... a propos - powiedziałem speszony. - Wiecie, kiedy tak z wami idę wzdłuż morza, to nie jestem pewien, czy chcę jechać.

- Co!?

- No, po tym, jak wszyscy powiedzieli, jacy będą smutni, kiedy wyjadę, mam ochotę zostać.

- Naprawdę? - spytała Nancy z zachwyconą miną.

- Co, po tym, jak Nancy tak się cholernie namęczyła? - zaproponował Dave.

- To fantastycznie, Jimmy! - wtrąciła Nancy. - Wróciłbyś do pracy w szkole językowej?

- Na razie chyba tak. Tamsin powiedziała kiedyś, że chciałaby, żebym był jej nauczycielem. Zacząłem się wtedy zastanawiać, jakby to było uczyć młodzież, która rozumie, co do niej mówię.

- Byłbyś genialnym nauczycielem, Jimmy, wiem to na pewno.

Chris sprawiał wrażenie skołowanego.

- Uważam, że powinienes spróbować jeszcze raz jako komik, Jimmy - powiedział. - Całkiem nieźle ci szło. - A potem: - Co? Czemu wszyscy się zatrzymali? Co się tak na mnie gapicie?

W końcu wszyscy porzochodzili się do swoich domów i nad morzem zostałem tylko ja z Nancy. Zeszliśmy z promenady na chrzęszczące pod nogami kamyki plaży i usiedliśmy. Spuściłem Betty ze smyczy, żeby mogła wbiec do wody i ugryźć morze. Od dwunastu lat mieszkalem na wybrzeżu, ale wciąż nie mogłem się nadziwić, że fale nie tylko za dnia, ale również nocą posłusznie rozbijają się o brzeg.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Nancy. Tyle zachodu, żeby powiedzieć mi do widzenia, a ja mówię dzień dobry.

- Ale fajnie było, prawda? - powiedziała z uśmiechem.

- Nagle mam poczucie, że na świecie znowu wszystko jest w porządku - powiedziałem nietaktownie i Nancy posmutniała. - Przepraszam cię, gadam byle co jak idiota.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Rozmawiałem z Tamsin, zanim poszła sobie z Kelvinem.

- Ojcem mojego wnuka... Boże, miej nas w swojej opiece!

- No więc właśnie o tym gawędziliśmy.

- Wiem, widziałam. I co powiedziała?

- Mówiła, jakie to dla niej straszne, ale że nie ma wyboru, bo usunięcie ciąży byłoby niemoralne. Tak się jednak delectowała dramatyzmem sytuacji, że nagle zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem... wiesz...

- Nie wiem, powiedz mi!

- Czy sobie tego nie zmyśliła.

Nancy osłupiała, a potem w jej oczach pojawiła się iskierka nadziei.

- Udaje, że jest w ciąży? Na litość boską, czemu miałyby to robić?

- Żeby wywrzeć nacisk na matkę. Żeby zmusić ludzi do mówienia o niej.

- Takie duże kłamstwo, żeby zwrócić na siebie odrobinę uwagi?

- Bywają większe - pamiętaj, że rozmawiasz z ekspertem. Właśnie to mam na myśli: rozpoznałem ten syndrom. Myślę, że ona rozpaczliwie usiłuje zainteresować innych sobą. Tak samo jak kiedyś ja czy Billy Scrivens.

- Nie spytałeś jej o to wprost, prawda?

- Oczywiście, że nie. Byłem tylko pełnym zrozumienia słuchaczem. Spytałem ją o poranne nudności i powiedziała, że to coś okropnego. Spytałem, czy jest bardziej zmęczona niż zwykle i powiedziała, że tak. Spytałem, czy pod wieczór ma spuchnięty język, bo to jest oczywiście jeden z pierwszych objawów ciąży, a ona powiedziała, jasne, to jest właśnie najgorsze w ciąży, że język tak potwornie puchnie...

- Hm - skomentowała Nancy. Położyła się na kamykach i patrzyła w gwiazdy. - Wiesz, teraz sobie uświadamiam, że nie chciała mi pokazać testu. Nie zgodziła się, żebym ją zabrała do lekarza, a w zeszłym tygodniu po raz pierwszy w życiu sama wyprała swoje rzeczy. Mój Boże, myślę, że masz rację. Chyba masz rację. Jak mogła mi coś takiego zrobić? Ona jest kompletnie pieprznięta!

- Lepsza pieprznięta niż w ciąży.

Nancy parsknęła śmiechem i jednocześnie zalała się łzami.

- Och, Jimmy!

Była w takim delirium, że pocałowała mnie prosto w usta i mocno przytuliła.

A potem pocałowaliśmy się znowu, tym razem delikatniej i bez żadnego udawanego pretekstu. Promienie księżyca ślizgały się po wodzie, fale obmywały plażę - trudno byłoby o doskonalszą i bardziej romantyczną scenerię. To znaczy gdybym I miał taką możliwość, to zmieniłbym jeden szczegół: nie zamówiłbym Betty przynoszącej nam znalezione na plaży

mewę w stanie daleko posuniętego rozkładu. Ale chyba się czepiam.

- Dziękuję za zorganizowanie tego wieczoru - powiedziałem. - To były najlepsze urodziny, jakie w życiu miałem.

- Ileż dziewczyna musi się namęczyć, żeby mężczyzna zauważył, że ona się nim interesuje!

W tym momencie coś sobie uświadomiłem. Cały czas uważałem, że nikt się mną nie zainteresuje, dopóki nie stanę się kimś wyjątkowym. Nie miałem jednak ochoty znowu się w to zagłębiać.

Potem było jeszcze trochę całowania i Nancy powiedziała:

- Przecież mieliśmy być tylko przyjaciółmi.

- I jesteśmy. Jestem twoim przyjacielem. Z paroma dodatkowymi funkcjami, jeśli zależy ci na precyzji.

- A ja jestem twoją przyjaciółką. O dodatkowych funkcjach jeszcze podyskutujemy. Jesteś pewien, że chcesz być z kobietą, która ma na karku zwichrowaną nastoletnią córkę?

- O, Tamsin to w porządku dziewczyna. W porównaniu z niektórymi moimi kursantkami jest całkiem zrównoważona. Myślę, że razem moglibyśmy jej pomóc się odnaleźć. Ta faza szybko jej minie, zobaczysz. I pomyśl, ile zarobimy na tym całym złomie!

Znowu się pocałowaliśmy, a potem siedzieliśmy i patrzyliśmy, jak zachwycona Betty wskakuje i wyskakuje z wody.

Parę tygodni później, po powrocie ze spaceru z psem, Tamsin przyniosła nam herbatę do łóżka.

- To jest obrzydliwe!

- Przepraszam cię, Tamsin. Wolałabyś, żebym spał w pokoju gościnnym?

- Nie chodzi mi o ciebie, tylko o mamę. Kiedy dałaś sobie przekłuć pępek?

- Myślałam, że ci się spodoba.

- Uch, nie. Ohyda.

Nancy ściągnęła w dół podkoszulek, żeby zakryć brzuch. Siedzieliśmy na łóżku, piliśmy herbatę i przeglądaliśmy niedzielne gazety.

- Fuj! Co ta Kylie ma na sobie! - powiedziała Nancy.

- Tak, ale popatrz na Mela Gibsona. Przybrał na wadze, prawda?

W końcu rzuciłem gazety na bok i wbiłem wzrok w sufit. Myślę, że wybrałem się w tę podróż w nieznane z nadzieją, że zasłużę sobie na miłość i szacunek znajomych, stając się kimś wyjątkowym dla ludzi zupełnie obcych. Teraz przynajmniej nie łaknąłem miłości milionów, bo wiedziałem, że ta jedna osoba obok mnie naprawdę mnie kocha. Publiczność może wprawdzie

zaoferować pewien gatunek syntetycznej miłości instant, nie jest to jednak wierna, wybacząca i głęboka miłość, której wszyscy potrzebujemy.

Przy publiczności nie można zostawić spodni na podłodze. Nie można usiąść na muszli klozetowej i spokojnie rozmawiać o tym, jak minął dzień, podczas gdy fani myją zęby przed pójściem spać. Nie można odburkiwać widzom monosylabami i oczekiwać, że odgadną, dlaczego jesteś nadąsany. Z publicznością nie można się pokłócić, a potem pogodzić. Nie można w niedzielę rano zanieść jej do łóżka filiżanki herbaty, powiedzieć „przepraszam za wczoraj”, położyć się i przez chwilę pogadać z nią o niczym. Nie można współżyć seksualnie ze wszystkimi fankami, chociaż kilka gwiazd rocka podjęło takie próby. A ogólniej, publiczność nie kocha ciebie, tylko pewien twój sztuczny wizerunek i styl życia, o którym sami marzą. Czasopismo „Hello!” nie publikuje zdjęć domów sławnych ludzi z niepozmywanymi naczyniami w zlewie, z nieogolonym Julio Iglesiasem, który wtacza się, ziewając, do kuchni, a pod wymiętym podkoszulkiem, w którym sypia, dynda mu sikorek. Wobec publiczności nie można być sobą, więc człowiek czuje się pusty, nawet jeśli miliony ludzi darzą go uwielbieniem. Nie ma bardziej samotnej osoby niż ktoś, kto dostaje tyle fałszywej miłości.

Nancy pokazała mi, że są w życiu cenniejsze rzeczy niż przewartościowana waluta sławy. Każdy człowiek jest na swój sposób bohaterem, czy to wychowując samotnie dziecko, czy to pomagając Ednie Moore zrozumieć system cen w sklepie Mr One Pound. Nancy uświadomiła to nam wszystkim, kiedy zorganizowała ten wieczór nostalgicznych przemówień pochwalnych w pubie. Cóż za genialny pomysł! Pomyślałem sobie, że każdy zasługuje na co najmniej jeden taki wieczór w życiu. Właściwie to byłby z tego świetny program telewizyjny: *To jest twoje wspaniałe życie dla przeciętnego człowieka*. Nancy na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żebym zaproponował to BBC: cotygodniowy program rozrywkowy, który wynosiłby zwykłych ludzi do rangi bohaterów i udowadniałby, że nie trzeba być sławnym, aby być wyjątkowym.

Postanowiłem wysłać im ten pomysł, bo program niósłby ze sobą ważne przesłanie. Może wyleczyłby naszą kulturę z obsesji gwiazdorstwa, która wypacza nasz system wartości. Zamierzałem zgłosić się z tym pomysłem, bo przyszedł już czas, żeby prawdziwi bohaterowie naszego społeczeństwa spotkali się z należnym im uznaniem. Zamierzałem zgłosić się z tym pomysłem, bo ludzie muszą zrozumieć, że ważni są ludzie, a nie gwiazdy.

Poza tym kto wie, pomyślałem. Może nawet zrobiliby mnie prezenterem...

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Billowi Scottowi-Kerrowi, Georgii Garrett, Markowi Burtonowi, Pete'owi Sinclairowi, Johnowi McNally'emu, a przede wszystkim Jackie O'Farrell. Pragnę z tego

miejsca przeprosić prawdziwą Bertę, trochę mniej zwariowanego border collie.

JOT 2